

Hary Harrison

Planeta śmierci 6

I

Daleko nad oceanem, ukrytym przed ludzkim wzrokiem za łań-uchem górskim, gromadziły się ciężkie ołowiane chmury. NE Monaloi burze były dość rzadkim zjawiskiem, ale jeśli już się zdarzały, rozpętywało się piekło. Nie deszcz i wiatr, ale ściana wody i huragan, istne oberwanie chmury. Za trzysta słonecznych dni w ciągu trwającego trzysta dwadzieścia dni roku na tej cieplej, ła skawej planecie trzeba było płacić elektrycznymi burzami o potwornej sile, i istnymi wodospadami z niebios.

Setnik Furuhu siedział na drewnianej wieżycy i uważnie wpa trywał się w ciemniejące chmury na horyzoncie. Próbował obliczyć jak długo jeszcze zdoła ją pracować owocownicy. Wyszło mu, że najwyżej godzinę. Więc niech się teraz szybciej ruszają przed zbliżającym się przymusowym odpoczynkiem.

- Ej! - krzyknął Furuhu do swoich dziesiętników przez wiszącą nad nim na piersi wzmocniaczkę. - Puśćcie pałki w ruch! Mają się po spieszyć. Jak któryś padnie, to trudno. Najważniejszy jest rezultat. Jasne? -1 dodał: - Wszystkim, którzy zbiorą przed końcowym gwizdem sześć pełnych koszy obiecuję drugą porcję polewki. Zadanie nie było łatwe, ale wykonalne. Chętnych do drugiej porcji zawsze było wielu, ale Furuhu mógł sobie pozwolić na taki obietnicę - nie był przecież zwykłym setnikiem, lecz zaufanym selnikiem sułtana Azbaja.

Takich przywódców, jak Azbaj, nie nazywano „tysiącnikami”. Nie stali na czele konkretnej liczby ludzi i owocowników, lecz byli wszechwładnymi panami wyznaczonych terytoriów, zwanych sułtanami. Nad sułtanami był już tylko emirszach całej planety Monaloi. Setnik Furuhu był jeszcze młody, ale szybko pokonywał kolejne szczeble służbowej drabiny i liczył, że wkrótce zostanie osobistym ochroniarzem sułtana. Zasłużył na awans: był taki pilny, taki bezlitosny, taki okrutny. Już wtedy, gdy był zwykłym dziesiętnikiem podobało mu się bicie podwładnych. Razem ze wszystkimi pracował po kolana w wodzie pod palącymi promieniami słońca, wśród rzędów kłującego krzewu ajdyn-czumry, obsypanego ciemnymi kłóciami dojrzałych owoców, ale starał się bardziej od innych. Teraz jeszcze bardziej podobało mu się siedzenie w specjalnym fotelu zamontowanym na wieżycy na długich palach saratelli. Siedział pod baldachimem dającym delikatny chłód i obserwował, jak jego podwładni poganiają owocowników.

Owocownicy byli dość podobni do ludzi, ale nie umieli mówić po monalojsku, a ich głowy i niektóre inne części ciała były porośnięte sierścią. Wyglądali niczym makadryle. Monalojczycy odczuwali naturalną odrazę, patrząc na coś takiego i nikogo nie dziwił zakaz wchodzenia w jakiegokolwiek nieformalne kontakty z tymi żalosnymi stworami.

Furuhu w ogóle nie wyobrażał sobie, jakie mogłyby być nieformalne kontakty z owocownikami. Jaki kontakt można nawiązać z tymi mutantami? To prawda, wydaje im rozkazy w ich idiotycznym języku, ale nigdy nie przyszłoby mu nawet do głowy, żeby pogawędzić z owocownikiem o pogodzie czy jedzeniu! Już sama myśl była wstrętna. A jednak. Niestety, zdarzali się wśród dziesiętników ludzie, którzy łamali prawo. Sam kilka razy widział dziesiętników, którzy zaczynali rozmowę z sierściuchami. Nie, nie wśród jego podwładnych, chwala emirowszachowi! Takich dziesiętników od razu zwalniano ze służby. A nieważnego setnika przenoszono na

zwolnione właśnie miejsce, czyli degradowano. Furuhu nie wiedział dokładnie, co później robiono z tymi, którzy łamali prawo, ale domyślał się, że ich los był nie do pozazdroszczenia. Chodziły słuchy, że niektórzy Monalojczycy łączyli się z samcami owocowników. Furuhu na samą myśl o tym czuł wstręt, jakby gołą stopą wdepnął w ekskrementy. Ale jego przyjaciele, rżąc wesoło, przekazywali sobie obrastające szczegółami opowieści. Kiedyś setnik Guruzu, widząc niedowierzanie Furuhu, poklepał go po ramieniu i szepnął z uśmiechem:

- Młody jeszcze jesteś! Oczywiście, że sierściuchy to bydłeta.

Ale przyjrzyj się uważniej ich samicom.

I pewnego dnia Furuhu się przyjrzał. Przedtem nie za bardzo je rozróżniał - co można wypatrzeć pod strzępami szmat i brudną sierścią? Coś niecoś udało mu się jednak dojrzeć i Furuhu przeraził się: wyglądali tak samo jak ludzie! No, prawie tak samo. Przez dawny wstręt przebiło się potajemne, głęboko ukryte i bardzo silne pożądanie. Tak go to zadziwiło, że o mało nie pobiegł przyznać się przełożonym do swoich brudnych myśli. Tak powinien zrobić, bo tak nakazywał Statut. Ale - zrezygnował; sam zwalczy to niegodne uczucie. Bał się też kary, która mogła zaszkodzić mu w karierze. Do tej pory Furuhu nie złamał żadnego prawa i wierzył święcie, że zostanie nagrodzony kolejnym awansem. Możliwe, że już niedługo. Czuł, że to nowe stanowisko spodoba mu się jeszcze bardziej, chociaż niewiele wiedział o życiu wybrańców, którzy większość czasu spędzali w pobliżu sułtanów za wysokimi ogrodzeniami, gdzie nie wpuszczano nawet zaufanych setników.

Na pewno mają tam dobrze! - rozmyślał Furuhu, próbując wyobrazić sobie wspaniałe sady i zdumiewające szklane domy, o których lubili pogadać jego starsi przyjaciele. Ale oni zawsze wymyślali niestworzone rzeczy.

Twierdzili na przykład, że za górami, za oceanem jest inny kontynent, z którego co chwila wzbijają się w przestrzeń niebiańskie statki - a przesuwające się światła, które można czasem zobaczyć nocą pośród nieruchomych gwiazd, to właśnie te statki. Że owo-cownicy są przywożeni na plantacje nie morzeni, lecz drogąpowietrzną, i że nawet ich zbiory ajdyn-czumry wysyłają na ogromnych statkach prosto w niebo, dlatego że tam, bardzo daleko, wśród gwiazd, są planety, na których też żyją ludzie. Furuhu nie bardzo chciał się w to wierzyć. Zwłaszcza w to o ajdyn-czumrze, czy też o superowcach, jak je czasem nazywano. On najlepiej wiedział, co działo się z dojrzałymi owocami - zbiory z całej plantacji codziennie zwożono do Kombinat. Kombinat je wchłaniał, by później wydzielić energię życiową, zasilającą całą Monaloi. Kto by tego nie wiedział? Ale czasem lubił posłuchać różnych niewiarygodnych historii. W końcu co jeszcze miał do roboty? Mógł pić czorum - dobre owocowe wino. Mógł słuchać muzykantów, grających na gynde, albo tańczyć z kobietami. Ale porozmawiać z przyjaciółmi Furuhu też lubił. Nie było to bezpieczne, tych, którzy gadali zbyt dużo, zabierano. Przychodzili ochroniarze sułtana i związywali im nadgarstki wilgotnymi korzeniami ajdyn-czumry. Mokre korzenie ściśle przywierały do każdego przedmiotu, a po wyschnięciu można je było tylko przepiłować, a i to nie każdą piłą. Furuhu wprawdzie nie doświadczył tego na sobie, ale nieraz widział...

Dlaczego nagle przyszły mi do głowy takie smutne myśli? - zastanowił się, ale natychmiast odgadł przyczynę, kiedy sobie uświadomił, że od dziesięciu minut uważnie obserwuje ładną samicę owocowników. Naprawdę wydała mu się pociągająca i to było straszne. Furuhu od dawna miał ten fatalny zwyczaj, ale wtedy prawomysłna połowa jego mózgu przeciwstawiała się temu haniebnemu zajęciu i zmuszała młodego setnika do odwrócenia uwagi, automatycznie przywołując jakieś nieprzyjemne wspomnienie. Uważaj, Furuhu, bo i tobie kiedyś zwiążą ręce, jeżeli będziesz dawał upust niskim żądzom, upomniał się. Weź się w garść, przecież

potrafisz być okrutny i mądry. Umiesz milczeć, nawet kiedy masz straszną ochotę, by opowiedzieć komuś idiotyczną historijkę. .. nawet po całej butelce czorumu. Weź się w garść. Oderwij wzrok od tej pokraki!

Wprowadzenie tego polecenia w czyn przyszło mu dość łatwo, bo z drugiej strony jego wieżyczki rozległ się ogłuszający wrzask. Pośród krzewów wył jakiś opętany owocownik, przestał pracować i wznosił ręce do nieba.

Oho, nic dobrego z tego nie będzie! - pomyślał Furuhu. Szaleńcy trafiali się rzadko. Zazwyczaj od razu ich zabijano, ale i tak bywało, że ściągali nieszczęście. Ostatnim razem, gdy taki kretyn zaczął wrzeszczeć, burza nadciągnęła pół godziny za wcześnie. Owocownicy nie zdążyli schować wszystkich koszy i grad wytłukł mnóstwo owoców bezcennej ajdyn-czumry. Najbardziej przerażające było to, że opętańcy krzyczeli po monalojsku. Kaleczyli język okropnie, ale czasem udawało im się wymówić nie tylko pojedyncze słowa, ale i całe sensowne zdania. Gdy się tego słuchało, mróz chodził po kościach. Przecież statut planety Monaloi głosił wyraźnie: „Mona-lojczyk nie powinien mówić w języku owocowników, owocownik nie 10 może mówić po monalojsku”. „Nie może” oznacza tylko jedno - nie może. A z wrzasków tego opętanego dało się wyłowić kilka całkiem zrozumiałych zwrotów:

- Ratujcie się! Niebezpiecza! Burza nie duża zła! Góry więcy stracha!

Jak każdy szaleniec, ten owocownik doskonale rozumiał (tacy jak on potrafia), że ludzie mu nie uwierzą. Krzyki opętanych zawsze były krzykami rozpacz. Nie ostrzegali o niebezpieczeństwie, tylko je ogłaszali, gdy już było za późno, żeby coś zrobić. Za późno, żeby się „ratunkować”. Ale ten owocownik prócz zwykłych ostrzeżeń zdążył wykrzyknąć coś zupełnie niezwykłego. Z uporem wymieniał dwa nieznanne Furuhu imiona. Prosił, żeby znaleźć pewnego człowieka i koniecznie mu przekazać, że wszystkiemu winien jest jakiś inny człowiek. Furuhu bardzo dobrze zapamiętał te dziwnie brzmiące imiona, ale bał się powtórzyć, nawet w myślach. Zupełnie jakby to było złowieszcze czarnoksiężskie zaklęcie. Młody setnik nigdy nie przypuszczał, że imiona mogą być tak przerażające.

Potem jeden z najbardziej krzepkich dziesiętników, wysoki Żumu, uderzył opętanego pałką i w ten sposób zmusił do zamilknięcia. Zaraz potem dwóch innych przyłączyło się do bicia owocownika. Furuhu widział, jak zakrwawione ciało odciągają daleko od wieżyczki i wrzucają do mętnej wody pomiędzy rzędami krzaków. Cóż, wydarzenie jakich wiele, nic nadzwyczajnego. A jednak coś w tym wszystkim nie spodobało się Furuhu, coś nie dawało mu spokoju. Do jego duszy zakradło się okropne przecucie. Sięgnął do kieszeni po malutki rozmównik. Zaufanym setnikom oprócz wzmacniaczy dawano również rozmówniki umożliwiające bezpośrednią łączność z sułtanami w wyjątkowych przypadkach. Furuhu uznał ten przypadek za wyjątkowo wyjątkowy.

Sułtana Azbaja nie było i Furuhu musiał rozmawiać z jego osobistym ochroniarzem. Co za zdumiewający typ! Nie chciał potraktować obaw Furuhu poważnie. Co może być strasznego w waszych górach? - pytał. Ale przynajmniej pozwolił zakończyć pracę piętnaście minut przed spodziewanym początkiem burzy. Na koniec nazwał Furuhu opętańcem i zachichotał.

Zaufany setnik, zdenerwowany rozmową z przełożonym, całe pięć minut dochodził do siebie. Posępnie patrzył na plantację, na 11 ołowiane chmury nadciągające od strony morza. Wreszcie ryknął przez wzmacniacz:

- W imię sułtana Azbaja! W związku z burzą, za dziesięć minut koniec pracy! Przekazać dalej!

Inni sernicy błyskawicznie powtórzyli polecenie. Komenda przeleciała nad rzędami krzaków, nad szaroniebieskimi pasami wody, nad brązowymi plecami owocowników. Zbieracze superowoców zaczęli uwijać się jeszcze szybciej, chociaż wydawało się to nie-możliwe. Efektowne widowisko.

Strach przed nieznanym niebezpieczeństwem mijał. Furuhu ogarnął podniosły nastrój. Radosne oczekiwanie na długi odpoczynek po pracy, a potem, potem... Miał wrażenie, że w najbliższej przyszłości zdarzy się coś nadzwyczajnego. Nie zdążył dokończyć myśli.

Opętany miał rację. Jak zawsze. Grzmot rozległ się nie od strony morza i ołowianych chmur. Zagrzało od strony gór. I to jak! Ratuj, emirze-szachu! Furuhu spojrzał w tamtą stronę.

Czegoś takiego na Monaloi jeszcze nikt nie widział.

Najwyższa z pobliskich gór wypuła w niebo fontannę ognia. Olbrzymi płomień popłynął po zboczu, paląc wszystko na swojej drodze. Za kilka minut dosięgnie plantacji.

Wybuchła panika. Zamiast zorganizowanej ewakuacji owocowników, każdy uciekał gdzie mógł. O ratowaniu zbiorów chyba nikt nie myślał. Najbardziej karne osobniki, próbujące opuścić plantację razem z koszami, nie nadązały za tabunem uciekających, przeskoczyły i w efekcie ginęły zdeptywane przez swoich współbraci albo pod pałkami rozwścieczonych dziesiętników. Idioci, myślał Furuhu, dlaczego marnują czas? Lepiej by sami uciekali!

Powinni też pomóc owocownikom w ucieczce. Przy dużych stratach żywej siły roboczej wartość każdego robotnika bardzo wzrasta. Nie będzie zbieraczy - nie będzie plonów. Trzeba o tym pamiętać. Furuhu spróbował wydawać dziesiętnikom odpowiednie rozkazy, rozpaczliwie wrzeszcząc przez swój wzmacniacz. Ale w rym hałasie nie można było nic usłyszeć, a co dopiero zrozumieć. Minutę później Furuhu zupełnie się pogubił. Nie odróżniał swoich podwładnych od innych dziesiętników, którzy przybiegli tu z pobliskich terytoriów. Co-raz trudniej było ich dojrzeć wśród setek sierściuchów. W oszalałym tłumie ludzie i owocownicy wymieszali się dokładnie. Plecy podrapane cierniami krzewów, pałkami i pazurami, podarte i upačkane w błocie ubrania, twarze i mordy wykrzywione przerażeniem... Furuhu poczuł się jak zaszczute zwierzę. Czekał na rozkazy. Bał się zejść z wieży, ale siedzenie na niej też nie miało sensu. Płynny ogień z gór był coraz bliżej. Furuhu domyślał się, że słupy wieży, chociaż wykonane z twardej saratelli, spłoną w ciągu sekundy, gdy ogarnie je ogień. A więc... śmierć? Setnik nie chciał umierać. Postanowił, że poczeka na rozkaz jeszcze minutę, a potem po prostu zeskoczy na dół i pobiegnie razem z tłumem przez plantację, na skróty, do najbliższych baraków i terengbili.

O terengbilach Furuhu przypomniał sobie w samą porę. Jako setnik miał prawo korzystać z nich nawet bez specjalnego powodu, a w tak wyjątkowej sytuacji...

Chwała emirowi-szachowi! Nie zapomnieli o nim. Przełożeni przystali terengbille na gąsienicach - od strony osiedla jechała cała kolumna. Nie będzie musiał biec po błocie razem z tą przerażającą tłuszcą. Terengbile, czasem nazywane po prostu bilami, posuwały się szybko, bo były przeznaczone do poruszania się po bezdrożach. Ale niszczyły plantacje!

Furuhu sam był zdumiony, że myśli o tym w takim momencie - płynny ogień był coraz bliżej. Gdyby przełożeni umieli czytać w jego myślach! Na pewno natychmiast

przeniesiono by go do osobi-stych ochroniarzy. Chociaż nie, Furuhu nie chciałby się dzielić wszystkimi swoimi myślami. Jednak lepiej, że nie umieją w nich czytać. Na terrenbyle już ładowali się dziesiętnicy. Oszołomieni owo-cownicy też próbowali włączyć, czepiając się dłońmi za występy i klamki. Niektórym udało się nawet kawałek przejechać, ale dziesiętnicy ze złością odpychali ich rękami i pałkami, zrzucali pod koła i rozjeżdżali chrząszczącymi gąsienicami. Krew owocowników mieszała się z błotem, wodą i jaskrawoczerwonym sokiem ajdyn-czum-ry. Widok robił wrażenie. Furuhu zapatrzył się i zapomniał, że or też musi się spieszyć. Płynny płomień podpełzł już tak blisko, że czuło się bijące od niego gorąco.

I wtedy wreszcie ożył jego rozmównik w kieszeni spodni. - Setniku Furuhu, spójrz w lewo. Przybyliśmy po ciebie specjalnym transportem, przeznaczonym tylko dla zaufanych setników i innych wybranych kategorii ludności. i:

Osobisty ochroniarz sułtana Azbaja mówił dalej, ale Furuhu nie miał zamiaru słuchać jego przemowy do końca. Już schodził na dół, przytrzymując się poprzeczek wieży, która nagle wydała mu się dziwnie nieprzytulna. Bardzo się spieszył, bo z lewej strony, tam, gdzie kaza-no mu popatrzeć, stał już snabbus - wielki, piękny poduszkiwiec. Taki pojazd Furuhu widział tylko raz w życiu, dawno temu. Był wtedy małym chłopcem i opowiadano mu, że snabbusami jeżdżą wyłącznie sułtani, a i to tylko najbliżsi emir-szachowi. Najwidoczniej od tamtej pory wiele się zmieniło na planecie... albo w życiu samego Furuhu. Właśnie dziś, w ten straszny i piękny dzień. Słyszał, jak spływająca z gór rozpalona masa syczy, stykając się z wodą. Kłęby dymu nie pozwalały swobodnie oddychać. Paliło się wszystko - trawa, drzewa, ludzie, piasek. Wydawało się, że nawet woda płonie. A w górach znowu coś zadudniło, jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Furuhu, zanim wszedł do snabbusa, zobaczył coś, czego zapewne nie powinien był oglądać.

W rozpalonej i dymiącej masie spływającej z góry coś... Nie, nie coś, ktoś się poruszał. Podobne do ludzi, złocistopomarańczowe istoty machały rękami (kleszczami? łapami?), rozdziawiały gardła (paszcze? dzioby?) w bezsilnej próbie oznajmienia czegoś, wykrzy-czenia na cały głos. W tym samym momencie poraził je jaskrawo-błękitny płomień, który uderzył z góry. Furuhu podążył za nim wzrokiem i zauważył nad górami niezwykle, wiszący w powietrzu bil, podobny do lekko wydłużonego owocu ajdyn-czum-ry, tylko z dziwnym lśnią-cym dyskiem u góry.

Złocistopomarańczowe stwory, poruszające się w rozpalonej masie były wyraźnie niezadowolone. Zwały się w sobie, skoncentrowa-ły, chwyciły błękitny płomień, zmieniły jego kolor na złotozielony, po czym puściły niczym naciągniętą gumkę, strzelając nim w stronę lata-jącego bila. Latająca machina stanęła w płomieniach. Po chwili bil poczerniał i zaczął spadać, by w końcu rozlecieć się na kawałki. Co było dalej, Furuhu nie widział. Silne ręce jednego z osobi-stych ochroniarzy sułtana Azbaja wciągnęły go do snabbusa, gdzie panował półmrok, chłód i pachniało bardzo przyjemnie. Przed oczami setnika zaczęły skakać różnokolorowe ogniki, zapach stał się jeszcze silniejszy, nogi się pod nim ugięły i...

14

Jason dinAlt oderwał wzrok od monitora, odwrócił się do Mety razem z fotelem i spytał:

- Zwiększyło się ciśnienie biopola na ekran ochronny? - Nie - odparła Meta. - Wszystkie zmiany w granicach błędu pomiaru. Aktywność biologiczna w Epicentrum nadal zerowa. - Niewiarygodne! Przestaję rozumieć, co się dzieje - mruknął Archie. -

Już trzeci raz przelatujemy nad tym miejscem. Może pośleć tam znowu nasz promień?

- Bez sensu - odezwał się Stan. - Dużo ciekawiej byłoby teraz uderzyć w dżungłę.

Ukierunkowane wiązki fizjomagnetycznych promieni o zwiększonej mocy były ostatnim wspólnym wynalazkiem Staną i Archiego. Obaj byli z siebie nadzwyczaj zadowoleni. Archie był dumny z samej idei humanitarnej broni, nie zabijającej, a tylko hipnotyzującej zwierzęta, a Stanowi, jak przystało na Pyrrusanina, przyjemność sprawiała niezwykła precyzja, moc i szybkość działania nowej broni. Rdzenni mieszkańcy Planety Śmierci, to znaczy imitujące się w nieskończoność złośliwe stworzenia wszelkich gatunków, znowu zareagowały niezrozumiale i nieprzewidywalnie. Praktycznie zostały w spokoju kopalnie, Miasto Odkryte i centrum badawcze, na-wet port kosmiczny Welfa. Pyrrusanie przyjmowali teraz u siebie nawet statki handlowe. Kerk czasem niewesoło żartował, że jak tak dalej pójdzie, wkrótce zaczną przyjmować turystów. Jason wymyślił nawet kilka „atrakcji”: zawody pływackie z lanmarami i wielkono-gami w ciepłym oceanie, pod syjącym śniegiem; obserwacja czynnego wulkanu, wypływającego lawę tuż obok statku spacerowego z wycieczkowiczami; a dla miłośników przeżyć ekstremalnych - wędrówka przez dżungłę bez broni palnej, z maczetą w prawej dłoni i kuszą w lewej. Na życzenie klienta kuszę można przełożyć do prawej, a maczetę do lewej ręki.

Nie wiadomo dlaczego, pyrrusańskie zwierzęta zaczęły być szczególnie niebezpieczne właśnie w dżungli. Na planecie pojawiły się nagle umowne granice „państw”. Zwierzęta w ten sposób dawały do zrozumienia, że na własnym terytorium Pyrrusanie mogą robić, co chcą, ale do dżungli nie wolno im wchodzić. Potomkowie 15 pierwszych kolonistów Pyrrusa musieli porzucić najstarsze farmy, istniejące niemal od czterech stuleci. Niedługo „blacharze”, którzy nie zdołali się przełamać i przenieść do lasu, wybrali życie na innych planetach, a teraz byłych „karczowników” sytuacja zmusiła do przeniesienia się do miast. Dzika dżungla groziła śmiercią. Tylko Naxa ze swoją gwardią najlepszych mówców jeszcze się trzymał. Na razie ich nie ruszono. Kontakt telepatyczny, który ci ludzie umieli nawiązać ze zwierzętami, pozwalał stłumić niemal każdą agresję. Naxa i jego uczniowie żyli teraz w ciągłym napięciu, nieustannym oczekiwaniu zagrożenia, gotowi w każdej chwili rozpocząć walkę.

W ten sposób eksperyment przetrwania na Planecie Śmierci przeszedł w nową i dziwną fazę, która przewróciła do góry nogami sporo wyobrażeń Pyrrusan. Zasadniczo życie stało się łatwiejsze, ale po wielkiej bitwie, którą rozpętali na Pyrrusie piraci, po rozwiązaniu zagadki Epicentrum, wielu spodziewało się innego obrotu wydarzeń. Planeta Śmierci pozostała planetą śmierci i ludziom, którzy zaryzykowali życie na niej, nie skąpiła okrutnych niespodzianek. Jason uświadomił sobie, że pomimo zmian, jakie się dokonały na Pyrrusie jeszcze przez wiele lat do najważniejszych zadań planety będzie należało wychowywanie profesjonalnych bojowników o przetrwanie, gotowych walczyć o sprawiedliwość w dowolnym punkcie Galaktyki. A takich zdesperowanych przybyszów z innych planet, jak Jason i Archie Stover zastąpią nowi poszukiwacze przygód, nowi fanatycy nauki i amatorzy pełnych rozmachu projektów socjalno-ekonomicznych. Tajemnic, zagadek i zwykłej pracy wystarczy dla wszystkich. I to na długo.

Teraz krążyli po orbicie na niewielkim pirackim „Granico”, przeobionym z wojskowego krążownika na statek wielofunkcyjny. Przeprowadzali kolejną serię eksperymentów nad naturą Pyrrusa. Dla Archiego była to próba dokonania bardzo poważnego odkrycia. Dla Staną - regularna walka pozwalająca na testowanie nowej

broni. Zdaniem Jasona była to operacja sanitarno-higieniczna. Nawet trochę się nudził. Jason otwarcie ziewnął i spytał, kiedy wreszcie zrobią przerwę na obiad.

Meta chciała odpowiedzieć, ale w tym samym momencie okazało się, że obiad zjedzą nieprędko. Monotonię krajobrazu w dole zakłócił nieznany obiekt, który wyłonił się nieoczekiwanie z podprzestrzeni.

16

Pilotująca krążownik Liza włączyła sygnał alarmu - obcy statek pojawił się niedopuszczalnie blisko ich krążownika. Sterujący gwiazdolotem człowiek zachowuje się w ten sposób w trzech przypadkach: gdy jest policjantem albo pracownikiem innych tego typu służb i ma zezwolenie na podobne manewry; gdy ratuje się ucieczką (przed policją, przestępcami, szalejącym żywiołem); i wreszcie wtedy, kiedy kosmiczny podróżnik ma kłopoty z rozpoczęciem przeskoku.

Wszystkie działa „Granico” były w gotowości bojowej. Jason z trudem powstrzymał Stana przed rozpoczęciem walki - obcy gwiazdolot nie tylko nie atakował, ale nawet nie próbował się kryć czy maskować. Po kilku sekundach członkowie jego załogi połączyli się z „Granico”, chcąc rozwiać wszelkie podejrzenia co do własnych zamiarów. - Detta vi komma in banan runt Pirrus1 - zapytali. - Tak, nie pomyliliście adresu - odpowiedział Jason, jedyny, który zrozumiał sens zdania wygłoszonego w uproszczonym szwedzkim. Od razu zaproponował, żeby porozumiewać się w pokrewnym, ale lepiej mu znanym duńskim.

- Bardzo dobrze - odpowiedziano ze statku, przechodząc na duński. - Jesteśmy przywódcami planety Monaloi, gromada kulista M39, centralny obszar Galaktyki. Z kim mamy zaszczyt rozmawiać? - Macie szczęście. Rozmawiacie z Jasonem dinAltem - oświadczył Jason dinAlt bez fałszywej skromności. - Mówi wam coś moje imię? - O tak! - W głosie mówiącego zabrzmiała nieukrywana radość. - Moglibyście od razu połączyć się z naszym statkiem? Potrzebujemy pomocy.

- Rozmawiasz z nimi po duńsku? - spytała Meta, wykorzystując przerwę w wymianie zdań.

- O, widzę, że robisz postępy w nauce języków. Najpierw odezwali się po szwedzku, ale ten język znam gorzej. A teraz w całkiem niezłym duńskim poprosili, żeby się z nimi połączyć. - Nie ma mowy! - sprzeciwiła się ostro Meta. - Kiedyś już chciał z tobą porozmawiać pewien „Duńczyk” z Cassylii. Pamiętasz, jak to się skończyło? Nie można się spodziewać niczego dobrego po mieszkańcach planet z rejonu okołobiegunowego.

- Nie zgadzam się z tobą - zaprotestował Jason. - Co tu ma do rzeczy Cassylia? Ludzie z centrum Galaktyki proszą o pomoc, Czy trafiliśmy na orbitę Pyrrusa? (Zniekształcony^

/& _/<*Y*;>,. ‘-’,

2 - Planeta śmierci 6

17

„Granico” jest wystarczająco dobrze wyposażony, poza tym jest nas sześcioro. Czego się bać?

- Interesujące - powiedziała Meta. - Jason dinAlt uczy Pyrrusa odwagi. - Potem dodała w zadumie:

- Jak myślisz, czy oni rozumieją międzyjęzyk?

Nie słyszą naszej rozmowy, jeśli o to ci chodzi - odparł Jason. - Nie o tym mówię. Po prostu nie podobają mi się ci „duńscy Szwedzi” z centralnego skupiska. Skąd się tu wzięli? Zapytaj, o jaką konkretnie pomoc im chodzi. Na naszą decyzję czekają cierpliwie i spokojnie. Nie wygląda mi to na pożar na mostku kapitańskim. - Czy to wasz statek potrzebuje pomocy? - zapytał Jason, nie spiesząc się do eksperymentowania z międzyjęzykiem. - Nie, nasza planeta. Zostaliśmy zaatakowani przez nieznaną, ale potężną siłę. Obawiamy się, że nikt prócz Pyrrusan sobie z nią nie poradzi. Jesteśmy gotowi pokazać wam nasze nagrania i szczególnie o wszystkim opowiedzieć, jeśli się z nami połączycie. Jason przetłumaczył wszystko Mecie.

- Chyba pora zasięgnąć rady Kerka - zasugerował na zakończenie.

Kiedy Jason mówił o „nieznanej, ale potężnej sile”, pistolet Mety ze sprawnością dobrze wyregulowanego mechanizmu wskoczył w jej dłoń, a w pięknych błękitnych oczach pojawił się znajomy błysk myśliwego tropiącego zwierzyne.

Było jasne, że Kerk zareaguje podobnie. Pyrrusanie przywykli do długich podróży, a ostatnio zasiedzieli się na ojczystej planecie, która po tym wszystkim, co przeżyli, stała się zbyt skromną areną dla tak doświadczonych, niezłomnych wojowników, jakimi byli mieszkańcy Planety Śmierci.

- Proponuję inny scenariusz - oświadczyła Meta. - Jeśli pomocy potrzebuje cała planeta, nie można decydować w pośpiechu. Niech wylądowana Pyrrusie. Jesteśmy gotowi przyjąć ich i wszystko szczegółowo omówić. Przetłumacz im to, Jason. Propozycja została przyjęta. Oba statki wzięły kurs na port kosmiczny Welfa i zaczęły schodzić do lądowania. Jason uprzedził dyspozytorów, Kerka, któremu pokrótce wyłożył sprawę, a także (specjalnym szyfrem) kapitana Dorfa na „Argo”. Likor trzymał statek obcych na celowniku, na wypadek nieprzewidzianych działań z ich strony. Znajomość z kosmicznymi piratami oduczyła szlachetnych pyrrusan mierzyć innych własną miarką. Teraz już wiedzieli, że prośba o pomoc może okazać się chytrą pułapką, lub początkiem agresji. Ale wszystko poszło dobrze, jeśli nie liczyć okrzyku Archiego podczas lądowania:

- Co za nieoczekiwany wzrost aktywności w Epicentrum! Po prostu niebywały. Można go zarejestrować nawet z takiej odległości i pod niewygodnym kątem. Och, gdybyśmy mogli znaleźć się tam : 3[^] naj szybciej, nad samym punktem...

- Nie, Archie, teraz nie możemy - sprzeciwił się kategorycznie Jason, a Meta go poparła. - Poślij tam jakąś małą jednostkę ze swoimi asystentami. A ciebie proszę, żebyś został z nami. Dawno nie mieliśmy gości.

- A jeśli ten wzrost aktywności związany jest właśnie z ich przybyciem? - zasugerował Stan.

Proszę, proszę! - pomyślał Jason. Nie bez powodu uważałem go za jednego z najlepszych analityków na Planecie Śmierci.

A głośno odpowiedział:

- Możliwe, ale w tym wypadku tym bardziej powinniśmy być przy nich, a nie nad Epicentrum.

Miał rację. Lekki, ale bardzo nowoczesny i doskonale uzbrojony krążownik zasługiwał na uwagę. Jego wygląd sugerował, że nie-dawno wyszedł spod ostrzału. Mało tego -jakby sprawdzając jego żaroodporność, zanurzono go w roztopionym metalu o temperaturze kilku tysięcy stopni, przy czym grawimagnetyczna termoizola-

cja wprawdzie zadziałała, ale nie do końca. - Niewiele jego dział nadaje się do walki - zauważyła Meta. - Ciekawa jestem, kto ich tak urządził. Nie rozumiem tylko, po co lecieli przez całą przestrzeń międzygwiazdną na tym wraku, skoro nieszczęście wydarzyło się na planecie?

Nie dokończyła tego logicznego wywodu. Przerwała jej niespodziewana reakcja pyrrusańskich zwierząt. Od dawna nie niepokoili portu kosmicznego ani miejscowych statków, nawet handlowe gwiazdoloty zostawiały w spokoju. Po kolejnych mutacjach przestały nawet reagować na fale radiowe i inne technogenne śmieci. A teraz na niebie pojawiło się ogromne stado żądłopiórów i pazuro-sokołów. Po chwili dołączyły do nich chmary diablrogów, igłomiotów i kolczastych hekkonów. Cafe ta hałstra rzuciła się na lądujący krążownik gości. I^ęcącemu obok pyrrusańskiemu statkowi też się dostało.

18

19

Ale członkowie załogi eksploracyjnego krążownika „Granico” i dyżurni pracownicy portu stracili głowę, tylko na ułamek sekundy. Potem błyskawicznie odświeżyli w pamięci zapomniane już trochę sposoby odparcia zmasowanego ataku z ziemi i z powietrza. Oszalałych zwierząt było jednak tak dużo, że nawet Kerk i Brucco, którzy nadlecieli po chwili, musieli sięgnąć po broń. Na szczęście nikt nie został zabity ani nawet ranny, za to znalazło się kilku przestraszonych. W każdym razie przybysze długo nie chcieli opuścić swojego statku. - Właśnie dlatego, że tak dużo słyszeliśmy o waszej zwariowanej planecie - wyjaśniali przez radio - proponowaliśmy spotkanie na orbicie. Kiedyś nam nawet opowiadano, że nikogo do siebie nie wpuszczacie. Ze względów bezpieczeństwa. Zgadza się? - Rzeczywiście tak było~ przyznał Kerk.- Ale teraz czas się zmieniły. Serdecznie witamy na gościnnej planecie Pyrrus. Droga wolna. - A co do tej napaści - dodał Jason - to podobnego ataku nie było u nas już od kilku miesięcy. Myślę, że pyrrusańskie zwierzęta zareagowały w ten sposób na wasze przybycie. Nie domyślcie się przypadkiem, dlaczego?

Pytanie zabrzmiało dość złośliwie i goście na długo zamilkli. Jason już myślał, że awaryjnie wystartują i odlecą, niczym przyłapani na gorącym uczynku przestępcy. Ale taki manewr nie miałby sensu. Goście w końcu odpowiedzieli, chyba szczerze. - Nic dziwnego, że wasze zwierzęta rzuciły się na nasz krążownik! Cały jego pancierz jest pokryty warstwą zastygłej lawy wulkanicznej, w której się rozpuściło... diabli wiedzą. Sami nie wiemy. Ale właśnie lava jest naturalnym środowiskiem tych potworów, które teraz terroryzują Monaloi. Specjalnie przylecieliśmy tu na uszkodzonym statku, żebyście mogli obejrzeć rezultat ich ataku. W przeciwnym razie moglibyście nam nie uwierzyć... - Coś podobnego! - zdziwił się Archie. - Wysokotemperaturowa forma życia!

- To znaczy - zapytał Jason - że wystarczyło wam odwagi, by zanurkować w lawę, a teraz nie chcecie wysunąć nosa ze statku ze strachu przed zwykłymi drapieżnikami? Dziwni z was ludzie! - Nie boimy się waszych zwierząt - odpowiedzieli urażeni goście. - Ale po tym co przeszliśmy u siebie, głupio byłoby ginąć od ich szponów. Nie po to tu lecieliśmy. Najpierw chcemy starannie zbadać waszą atmosferę. Sprawdzamy skład wody, gleby i roślinność. Rzeczywiście, nie odkryliśmy żadnego niebezpieczeństwa. Wycho-dzimy.

Zewnętrzny luk wreszcie się otworzył. Trzeba przyznać, że przybysze potrafili robić wrażenie. Ich wygląd pasował do pewnego siebie tonu. Było ich trzech. Wszyscy wyglądali na prawdziwych wojowników. Ten, który prowadził pertraktację, odznaczał się bujną czarną grzywą i był nieco niższy od pozostałych, nie tak szeroki w barach,

nosił bardziej wyszukane ubranie i najwyraźniej nie był głupi. Jego dwaj towarzysze milczeli, zapewne dlatego, że budowanie dłuższych zdań w obcym języku przekraczało ich możliwości. Odnaczali się potężną muskulaturą, rozpychając materiał kombinezonów; mieli niskie czoła, a lśniące łysiny, gładkie niczym kość słoniowa, płynnie przechodziły w barkowy pas mięśni. Prostoduszne uśmiechy, pojawiające się na ich twarzach jakby na komendę, dopełniały wizerunku. Jasonowi kojarzyli się z najbardziej tępymi Pyrrusanami z odległego i niezbyt chlubnego okresu w historii Planety Śmierci, gdy umiejętność strzelania do ruchomego celu uważano za główną zaletę człowieka. Najwidoczniej przywódcom Monaloi takie tępe osiłki służą do ochrony. Nic nowego. - Krumelur - przedstawił się główny gość z uprzejmym, ale niemiłym uśmiechem.

„Krzyworęki”, pomyślał Jason, chociaż nie był pewny, czy do brze przetłumaczył to imię czy może przydomek. W dosłownym sensie ręce Krumelura nie były krzywe.

- Fuh i Wuk - dodał przybysz, wskazując swoich towarzyszy. Pyrrusanie nie zdążyli się zorientować, który jest który, ale to nie było ważne. Ochroniarze wyglądali na bliźniaków. Zresztą zapewne nie będzie potrzeby porozumiewania się z nimi. Jason zapytał, czy mogliby przejść na międzyjęzyk. Odpowiedź Krumelura była nieco zaskakująca:

- Rozmawianie w międzyjęzyku nie jest u nas przyjęte. Co to miało znaczyć, pozostało tajemnicą. W końcu ustalono, że będą porozumiewać się w esperanto, który, prócz Jasona, znali Rhes, Archie, Kerk i nawet w niewielkim stopniu Meta. Na tym zakończono formalności, jeśli nie liczyć prośby Archie-go o udostępnienie mu próbki zastygłej lawy do przebadania. Goście nie mieli nic przeciwko temu.

Kiedy ładowali próbkę do hermetycznego kontenera, z nieba zapikował żądłopiór, który odłączył się od stada. Rozwścieczony

20

21

ptak najwyraźniej chciał przeszkodzić Archiemu. Trzeba przyznać świeżo upieczonemu Pyrrusaninowi, że to właśnie on pierwszy unieszkodliwił atakującego drapieznika. Kolejne trzy strzały były zupełnie zbędne lub, jeśli ktoś woli, osłaniające.

3

A więc co się u was stało? - zapytał Kerk, gdy wszyscy usadowili -T się już w wygodnych fotelach, odetchnęli nieco i ugasiли pragnienie.

- Obejrzyjmy najpierw taśmę - zaproponował Krumelur. - Tak chyba będzie najlepiej. Niektórych zjawisk we Wszechświecie nie sposób opisać...

Trudno było nie zgodzić się z tym stwierdzeniem. Przygaszono światła i pokaz się zaczął.

Sielski krajobraz. Na drugim planie góry, nad nimi jasne niebo, bliżej pola, na których pracują farmerzy, wykorzystujący w charakterze siły pociągowej przypominające konie rogate zwierzęta. Zbiór plonów. Idylla. Nic nie zapowiada katastrofy. Po jakimś czasie obraz wyraźnie drgnął, jakby operatora trzymającego kamerę ktoś pchnął w plecy. W tym samym momencie góry na horyzoncie ożyły. Poruszyły się jak grzbiety gigantycznych dinozaurów, a najwyższy szczyt niespodziewanie wypluł w niebo strumień białego dymu. Po chwili zaczęły walić ciemniejsze kłęby: szare, ciemnoszare, prawie czarne; wreszcie pojawił się płomień. Strumienie jarzącej się nawet w promieniach słońca lawy zaczęły płynąć po zboczach, a po kilku kolejnych

sekundach na środku pola rozstąpiła się ziemia. Grunt zaczął pękać u podnóża góry, ale rozpadlina wydłużała się z niewia-rygodną szybkością. W tej piekielnej szczelinie płynęła lawa, wpa-dali do niej ludzie, którzy nie zdążyli uciec, bydło, i jakieś maszyny niewiadomego przeznaczenia (zraszacze?), które znalazły się na li-nii pęknięcia.

Krótko mówiąc, zwykły wybuch wulkanu, któremu towarzy-szyło silne trzęsienie ziemi. Takich rzeczy Pyrrusanie naoglądali się siebie do syta. Co prawda, wulkan wulkanowi nierówny, erupcja na Monaloi wyglądała bardzo efektownie, no i sfilmowana została no mistrzowsku. Gdyby nie świadomość, że oglądajądokument, moż-na by pomyśleć, że to kadry z filmu katastroficznego z najnowszymi efektami specjalnymi. Sprowokowało to Jasona do zapytania:

- Jakim cudem udało wam się zarejestrować sam początek wy-buchu? Wiedzieliście o nim wcześniej i nie uprzedziliście ludzi? Film był dla was ważniej szy?

Jason sypał pytaniami, nie pozwalając Krumelurowi na odpo-wiedź.

W końcu usłyszał niewzruszone i lakoniczne wyjaśnienie:

- To przypadkowa amatorska kamera.

Pozostawało tylko pytanie, dlaczego jakiś amator miałby kręcić tak długo nieruchomy obraz, właściwie zwykły pejzaż. Jason postano-wił nie zatrzymywać się na zbędnych szczegółach. Czuł, że Krumelur, nawet jeśli nie kłamie, to nie mówi wszystkiego. W końcu to jego prawo. Ludziom zdarzyło się nieszczęście i postanowili zdradzić Pyrrusanom tylko to, co sami uważali za niezbędne dla uzyskania pomocy. Najrozsądniej było obejrzeć film do końca, tym bardziej, że najciekawsze ujęcia były dopiero przed nimi. - A teraz będą kadry nakręcone przez specjalistów - komentował Krumelur. - Przybyli trochę później, razem z pracownikami grupy... - zawahał się, jakby szukając odpowiedniego słowa - .. .ratunkowej. Harmonijny, wręcz majestatyczny bieg wydarzeń na ekranie zastąpiły migoczące plamy światła. Potem popłynęły źle zmontowa-ne szerokie i średnie plany. Czasem pojawiały się na chwilę ogólne ujęcia, więc nie było wątpliwości, że akcja rozgrywa się w tym sa-mym miejscu. Tylko teraz ludziom zagrażała już nie tylko lawa, któ-ra wypływała ze szczeliny na powierzchnię, rozprzestrzeniając się po wypalanej i pokrytej popiołem ziemi. Pojawiło się coś nowego. Zjawisko było tak niezwykle, że Pyrrusanie nie od razu zauważyli poruszające się w lawie żywe, przynajmniej na pozór, istoty.

Goście przygotowali ich na ten widok. Ale każdy normalny czło-wiek, widząc w rozpalonej lawie lśniące ciała - karminowoczerwo-ne, malinowe, jaskrawo pomarańczowe i ciemnowiśniowe po pro-stu nie wierzyłyby własnym oczom. Wysokotemperaturowe stworzenia były zdumiewająco podobne do ludzi, tylko olbrzymie, a zamiast twarzy miały dzioby z licznymi nacięciami. Potwory wyrzucały przed

22

23

siebie straszliwe łapy, niczym słoneczne protuberancje, i chwytaly, co się dało: trawę, krzaki, zwierzęta, maszyny, kamienie, ludzi... W ich rękach metal i kamienie dymily i topily się, a rogate konie i ludzie, zanim się zwęglili i rozpadli na kawałki, wili się, wrzeszcząc z bólu i przerażenia.

To było piekło, takie samo, w którym mają podobno płonąć grzesznicy. Według wyobrażeń starożytnych, którzy je wymyślili, tak właśnie miały wyglądać piekielne istoty - rozpalone człekopo-dobne giganty z drapieżnymi ptasimi dziobami. Gdy na ekranie pojawiły się potwory, pistolety Pyrrusan wsko-czyły im w dłonie. Krumelur

uśmiechnął się - nie złośliwie, raczej pobłaźliwie. Tym, którzy słabo znają mieszkańców Planety Śmierci, podobna reakcja mogła się wydać zabawna. Tak właśnie reagują dzieci, zapatrzone w film wideo, do tego stopnia pochłonięte rozgrywającymi się na ekranie przygodami, że zaczynają czuć się bo-haterami filmu.

Jason spostrzegł kpiące spojrzenie gościa i wyjaśnił:

- To specjalna broń, Krumelur. Pistoletami kierują nie myśli, lecz uczucia. To właśnie pozwala nam, Pyrrusanom, wyprzedzić każdego wojownika w Galaktyce.

- Tylko to? - Krumelur uniósł brwi i uśmiechnął się sarkastycznie. - Trudno, żebym zdradzał panu inne nasze sekrety! - odparował tym samym tonem Jason.

- W porządku - zgodził się gość. - A dlaczego pańska broń nie wskoczyła sama do ręki?

- Dlatego, że we mnie i Archiem pojawiły się nieco odmienne uczucia.

Archie skinął potakująco głową.

- Jakie? - zdziwił się Krumelur.

- Ciekawość - odpowiedział Archie.

Jason dodał:

- Na razie nie widzimy bezpośredniego zagrożenia ze strony tych istot. Sądzę, że one nie są świadome tego, co robią. Dlatego przede wszystkim należy zorientować się w sytuacji z naukowego punktu widzenia.

Krumelur zastanowił się. Widać było, że po namyśle docenił oryginalność tego podejścia. Co nie znaczyło, że miał zamiar zgodzić się z takim stanowiskiem. Naukowe badania fenomenu wyraźnie nie wpisywały się w najbliższe plany ani w krąg zainteresowań mieszkańców Monaloi. Po krótkiej przerwie gość odezwał się:

- Oglądajcie dalej.

Dalsze wydarzenia były jeszcze gorsze. Tak zwana grupa ratunkowa tylko wprowadzała jeszcze większy zamęt do i tak koszmarnego obrazu katastrofy. Żałosni ratownicy w latającej maszynie przypominającej helikopter nie byli przygotowani do jakichkolwiek poważnych działań. Kompletnie zdezorientowani, podjęli najgłupszą z możliwych decyzji. Zaatakowali potwory laserową, a może plazmową bronią o dużej mocy. W taki sam sposób ogłupiały ze strachu dyletant próbuje gasić pożar naftą. Pocisk po prostu zawrócił do dzielnych strzelców. Helikopter stanął w płomieniach, spadł i zniknął w magmie.

Za jedyny pozytywny rezultat tego tragicznego wypadku można było uznać to, że ratownicy byli ostatnimi ofiarami kataklizmu. Wydawało się, że po wchłonięciu helikoptera potworne istoty nasyciły się wreszcie i zaczęły powoli pogrążyć się w swojej rozpadlinie. Jason pomyślał, że to pewnie zbieg okoliczności. Tak to bywa, że każdy proces na tym świecie ma swój początek i koniec - czy to ludzkie życie, czy wybuch wulkanu, czy wizyta piekielnych stworów. - To właściwie wszystko - oznajmił Krumelur. - Jakie są wasze propozycje?

- Najpierw kilka pytań - powiedział Kerk.

- Proszę bardzo - zgodził się gość.

- Czy był tylko jeden taki wypadek?

- Nie. Do momentu naszego odlotu potwory pojawiły się trzy razy, zawsze podczas trzęsień ziemi i erupcji wulkanów. Przypuszczamy, że żyją głęboko w magmie i nie są w stanie samodzielnie przebić się przez skorupę ziemską. Problem w tym, że nasi sejsmolodzy przewidują dalszy wzrost wulkanicznej aktywności. Zajęliśmy się

oczywiście ewakuacją ludności z zagrożonych rejonów. Ale, po pierwsze, nie sposób przewidzieć niczego z absolutną dokładnością, a po drugie, jeśli potwory mimo wszystko będą wydostawać się spod ziemi, wkrótce nie będzie już bezpiecznych miejsc na planecie. - Są podstawy, by przypuszczać, że wyjdą na powierzchnię? - chciał wiedzieć Kerk.

- Już próbowały. Za trzecim razem. Nie tylko umieją pływać w ognistej lawie, ale również poruszać się po ziemi. Niestety nie

24

25

udało się tego zarejestrować. A raczej udało się, ale one zniszczyły nasz film.

Pyrrusański wódz zadumał się, jakby zapomniał, jak brzmi na-stępne pytanie.

Jason miał na końcu języka nietaktowną wypowiedź o poziomie monalojskiej cywilizacji.

Pytanie przedstawicieli planet, korzystających z międzygwiazdowego transportu i łączności dalekiego zasięgu, na jakim stadium rozwoju znajduje się ich cywilizacja, uznawane było za niedopuszczalne. Poziom techniki widać na pierwszy rzut oka, a pozostałe sprawy, określane zazwyczaj trudnym do zdefiniowania terminem „kultura”, dość niewymierne. Istniało jedno niepisane prawo: nie narzucaj innym cywilizacjom swojego języka, swojej religii, moralności, swoich wyobrażeń o etyce i estetyce. Chociaż... tym właśnie zajmowała się większość wysoko rozwiniętych planet, anektując, kolonizując, podporządkowując sobie mniej lub bardziej zacofane narody. W rezultacie zbrojnych podbojów, czy nawet pokojowego zdławienia jednej kultury przez inną, często powstawały niezwykle kombinacje, niewiarygodne połączenia odległych od siebie historycznych epok, systemów i obyczajów, których nie potrafiłaby stworzyć nawet najbardziej wybujała fantazja.

Jason widział dziesiątki takich dziwacznych planet. Od razu wy-czuł, że tym razem również ma do czynienia z typowym przykładem kultury eklektycznej, gdzie jedni potrafią stworzyć komputerową symulację, pozwalającą dokładnie przewidzieć erupcję wulkanu, a po podłączeniu się do galaktycznej sieci informacyjnej znajdują współ-rzędne Pyrrusa i proszą pomoc; a inni w tym samym czasie uprawiają ziemię drewnianymi narzędziami, używając zwierząt, na których jeżdżą wierzchem, i oddając część dziesiątkom pradawnych bogów. Ale o takich sprawach się nie mówi. To byłoby łamanie niepisanych praw Galaktyki. Nawet Liga Planet potępia niekontrolowaną kolonizację zdegradowanych światów. Żeby jeszcze nadążała z wyśledzeniem wszystkich przypadków naruszenia prawa... i karała winnych! Ale to długo jeszcze pozostanie w strefie marzeń. Bezprawy kwitło w Galaktyce w najlepsze; wszyscy robili, co chcieli. I tylko szlachetnym samotnym bohaterem udawało się czasem wy-walczyć sprawiedliwość na zapomnianych dzikich planetach, przy-wrócić ich mieszkańcom utracone ideały rozumu i dobra. Jasona uważano za takiego właśnie bohatera. On sam w chwilach szczerości wyjaśniał ludziom, że zazwyczaj kieruje nim zwykła ludzka ciekawość i ciągle żywa żądza przygód, umiłowanie hazardu zawodowego gracza. Przez to nie raz i nie dwa pakował się w opały, z których tylko cudem wychodził obronną ręką. Dawno temu, gdy Jason miał być po prostu szczęśliwym karciarzem i wirtuozem gry w kości - a raczej utalentowanym szulerem - doskonale opanował nową specjalność, ruletkę, i oszukał kasyno „Mgławicowe” na planecie Mahauta na okrągłą sumkę. I to tak, że nikt nawet nie zauważył oszustwa. O telekinezie tamtejsi mieszkańcy nie mieli bladego pojęcia, a Jason ze swojego daru ko-rzystał po mistrzowsku. Kuleczka na wielkim czarnym czerwonym kole wcale nie sprawiała wrażenia ożywionej. Jason mógł od razu odle-

cieć z tej planety, ale przecież szkoda tak od razu wyjeżdżać, skoro można się dowiedzieć czegoś nowego, poobserwować ludzi, poznać miejscowe obyczaje. Podczas przypadkowej rozmowy usłyszał o cudach prezentowanych przez miejscowych treserów słoni, o wyścigach i walkach tych zwierząt, o koncertach elefant-muzyki i innych rozrywkach. Zapragnął zobaczyć to wszystko na własne oczy, a może nawet wziąć udział - przecież miał pieniądze. No i się zasiedział. Nie byłby sobą, gdyby - jak mówią na Mahaucie - nie zetknął się trąba w trąbę z księciem Finzul-Arksem, którego dosłownie tydzień wcześniej orznął w karty na ojczystej planecie księcia, Saratodze, którą musiał opuścić w trybie pilnym. Nic dziwnego, że książę był szczerze rad z tego spotkania. W efekcie, zamiast w gonitwie słoni, Jason wziął udział w trywialnym pościgu policyjnym. Główną siłą sprawczą w życiu Jasona zawsze była ciekawość. To przez nią zaniósł go na Pyrrusa z siedemnastoma „uczciwie za-robionymi” milionami w kieszeni. Ileż to razy, będąc o włos od śmierci, zamiast uciekać dalej obserwował, jak się udaje przeżyć ludziom w tak nieprzystosowanym do tego miejscu - na Planecie Śmierci! To właśnie ciekawość rzuciła go na zapomnianą przez wszystkich Appsalę, żądza przygód zaniósł go na Szczęście, w okolice Starej Ziemi, na asteroid Solvitz, na światy w centrum Galaktyki, na pi-racką Jamajkę...

Teraz Pyrrusanie znowu mieli komuś pomóc. Byli niczym straż pożarna, dniem i nocą gotowa wyjechać na wezwanie, jak oddział galaktycznych ratowników, cierpiących na chroniczny brak spokoju

26

27

i bezpieczeństwa. Jason, uznany mózg tej drużyny, przeczuwał nie-zwykłe wydarzenia. Czegoś takiego w jego życiu jeszcze nie było. Zobaczyć na własne oczy istoty, żyjące w rozpalonej wulkanicznej lawie! Może nawet walczyć z nimi i zwyciężyć? Albo przepędzić z planety? A może uda mu się z nimi dogadać, znaleźć wspólny język? Każdy z tych wariantów był niesłychanie interesujący. Jednak w całej tej historii jakiś niejasno znajomy szczegół nie da-wał Jasonowi spokoju. Coś mu się nie podobało, ale sam nie wiedział, co: czy wygląd zewnętrzny Krumelura, czyjego sposób zachowania, czy wypowiedzi. Kogoś mu ten człowiek przypominał. Jason miał ogromną ochotę zapytać, czy na Monaloi sprytni koloniści nie rządzą przypadkiem pierwotnymi mieszkańcami planety, ze sporą korzyścią dla siebie. Ale zabrzmiałoby to nieprzyzwoicie, wręcz obraźliwie. Jason przez cały czas zastanawiał się, od której strony zająć, jak sformułować pytanie, żeby zabrzmiało możliwie najdelikatniej. Wreszcie wymyślił.

W tym momencie Kerk odezwał się jego pytaniem:

- Niech pan mi powie, Krumelur, czy Monaloi jest członkiem Ligi Planet?

- Nie - odparł gość i wyjaśnił:

- Nasz świat jest bardzo młody. Zaludniłmy planetę niedawno. Jest prawie wyłącznie rolnicza. Statki wykorzystujemy tylko do handlu produktami, działa na nich - do samoobrony. Wszystko jest tam bardzo proste i tradycyjne.

- A wasza poprzednia ojczyzna? - spytała Meta. - Wybaczcie, ale o tym nikomu nie opowiadamy. Historia naszych przodków jest zbyt smutna. Uciekli z pewnej bardzo agresywnej planety, która uczestniczyła w wielu wojnach i wreszcie sama doprowadziła się do zguby. Nikt nie powinien znać nazwy tego świata, który znikł bezpowrotnie. Przysięgliśmy sobie nie wspominać przeszłości, zapomnieć na zawsze o tym, co było. To jedyny sposób na uniknięcie powtórzenia dawnych błędów. To

stwierdzenie wydało się Jasonowi dość wykrętne, ale nie zareagował. O dziwo, wszystkich Pyrrusan, nawet Metę, odpowiedź Krumelura zadowoliła. Dalszych pytań nie było. Tymczasem Archie dostał od swoich współpracowników wstępne dane dotyczące analizy chemicznej zastygłej lawy. - Muszę was poinformować - powiedział, wykorzystując chwilę przerwy - że metabolizm tych istot różni się nie tylko od naszego, ale w ogóle od wszystkiego, co jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Opuszczę swoje przemyślenia i od razu przedstawię wam wnioski. Sadząc po wynikach analiz, tak zwane wysokotemperaturowe potwory nie są w stanie pójść różnicy pomiędzy rozumną i nierozumną protoplazmą. Żeby nawiązać z nimi kontakt, będziemy musieli najpierw je zniszczyć. Zasada zachowania lustrzanego jako pierwsze stadium wymiany informacji. Czy wyrażam się dość jasno? Trudno było to potwierdzić. Słowa Archiego wydały się paradoksalne nawet Jasonowi. Krumelur ochoczo poparł młodego uczonego. - Właśnie! - wykrzyknął. - I po co było tak kręcić? „Nie ma bezpośredniego zagrożenia!” „Naukowa ocena sytuacji!” Od razu mówiłem, że trzeba je zlikwidować!

Kerk nie zareagował. Zlikwidować... cóż, to normalna sprawa.

Siwowłosy pyrrusański weteran już wyobraził sobie przyszłą walkę. Machinalnie poklepał wyskakujący z kabury pistolet i spokojnie zadał kolejne pytanie:

- Co uprawiacie na waszych polach? Dlaczego tak kurczowo trzymacie się tej planety, skoro zamieszkaliście na niej całkiem niedawno? - Bardzo słuszne pytanie! - ucieszył się Krumelur, jakby oddawał na szukał pretekstu, by pochwalić się swoimi osiągnięciami. - Kontynent na równiku, Karaeli, ma wyjątkowo sprzyjający uprawom klimat. Gleba, woda i powietrze mają tam absolutnie niezwykle cechy, dzięki którym można hodować ponad pół tysiąca różnych roślin, które nie wyrosną na żadnej innej planecie Galaktyki. Przynajmniej tak twierdzą nasi botanicy. Z pięciuset endemitów Monaloi ponad sto jest jadalnych. Mało tego, te wyśmienite owoce i warzywa są bardzo wysoko cenione w światach rozwiniętych technologicznie. Sami rozumiecie, że taka planeta wymaga starannej ochrony przed ewentualnymi bandyckimi napadami. W tym celu utrzymujemy flotę o charakterze obronnym i super-nowoczesne automatyczne systemy ostrzegania. Ale kto mógłby przypuścić, że nieszczęście przyjdzie nie z kosmosu, a spod ziemi?... Krumelur zamilkł na chwilę, zakłopotany, i zakończył przemowę konkretną propozycją:

- Teraz wiecie już o nas prawie wszystko. Pora przejść do praktycznych ustaleń. Sądzę, że nasza wypłacalność nie budzi waszych wątpliwości.

- Niewiem, niewiem - powiedział zadumie Jason. - Nasze usługi są dość drogie. Wiecie przynajmniej, o jakiego rzędu sumach mówimy?

28

29

- Tak - skinął głową Krumelur. - Opowiadano nam, że za usługi Pyrrusan płaci się miliardy kredytek. Jesteśmy na to przygotowani, gra jest warta świeczki. Sami rozumiecie, jak przylecicie na Monaloi. - Już zrozumieliśmy - zauważył Archie.

Z nieoczekiwanym entuzjazmem przyłączył się do niego Brucco. - Rośliny to akurat moja działka - odezwał się najstarszy bio-log Pyrrusa. - Z ogromną przyjemnością poznam waszą planetę. - Co tu mają do rzeczy rośliny? - Stała zdziwiona nagła zmiana tematu. - My, to znaczy ludność Galaktyki, zetknęliśmy się z nie-znaną cywilizacją, która być może przybyła do nas z innego Wszechświata. Po raz pierwszy w historii, przyjaciele, zwróćcie na to uwagę! A wy gadacie o jakichś luksusowych warzywach. Śmieszne! - Każdy ma swoje zainteresowania - mruknął

Brucco lekko urażony. - Problemy należy rozwiązywać kompleksowo. - Właśnie - wtrącił Jason. - Sejsmologów macie, biologów też... A ksenologów?

- A co to takiego? - Nie rozumiał Krumelur. - To akurat ci, których obowiązkiem byłoby zajęcie się waszy-mi potworami - nie całkiem zrozumiale wyjaśnił Jason. - Dobrze, wrócimy jeszcze do tego tematu. A na razie... Macie rację, na razie zajmijmy się kwestiami praktycznymi. Podam wam orientacyjną sumę: pięćdziesiąt miliardów. Czy taka liczba was nie przeraża? - Nie - odpowiedział Krumelur.

- Ciesz się mnie to. To będzie operacja na dużą skalę i nie spo-sób policzyć z góry wszystkich wydatków. Jasne jest tylko jedno: potrzebna będzie zaliczka, jako oznaka zaufania i poważnych za-miarów, a także nieprzewidzianych strat. Mam nadzieję, że to rozu-miecie? Ale to tylko po pierwsze. Po drugie, będą potrzebne pieni-ą-dze* na przygotowanie specjalnego żaroodpornego wyposażenia. Krótko mówiąc, chcielibyśmy dostać dziesięć procent. Wymienione przez Jasona sumy byłyby zabójcze dla każdego śred-nio zamożnego biznesmena z dowolnej części Galaktyki. Żądanie ta-kich pieniędzy od Banku Międzygwieźdnego, Ligi Planet czy Kon-sorcjum Zielonej Gałęzi (co już się zdarzało) to jedno, ale od osoby prywatnej, nawet właściciela solidnej firmy na niezbyt ubogiej plane-cie... to zupełnie inna sprawa. W całej Galaktyce mogło być najwyżej dziesięć firm o rocznym obrocie w tej wielkości. Handlarze zieleniną z rolniczej prowincji nie mogliby zarobić tyle przez sto lat!

Jednak Krumelur zupełnie się nie przejął. Słuchał Jasona nieuważ-

• e kiwając głową, jakby rozmawiali o drobniakach. Kolejna zagadka.

TO 'co niezrozumiałe, zawsze kryje w sobie zagrożenie. Z drugiej stro-' Jason był dostatecznie obyty w świecie, by wiedzieć, jak bardzo mogą się różnić ceny zwykłych pomidorów i błękitnych okazów z Gul-rioszy, czy też zwykłej brandy i prawdziwego koniaku ze Starej Ziemi. Smakosze i kolekcjonerzy umieli sypnąć forszą. Na handlu warzywami teoretycznie można zbić ogromny kapitał, porównywalny z dochodami producentów broni czy twórców ultranowoczesnej technologii. - Umowa stoi - podsumował Krumelur, nie targując się. - Oto mój żeton z Banku Międzygwieźdnego. Możecie sprawdzić rach-u-nek. Gdzie tu macie najbliższe wejście do galaktycznych sieci fi-nansowych? Nie odkładajmy tego. A może wolicie gotówkę? - Niekoniecznie - odparł Jason.

- W takim razie im szybciej to zrobimy, tym lepiej. Chciałbym połączyć się z Monaloi i jak najszybciej wystartować. - Chwileczkę - nie rozumiał Jason. - Przygotowania zajmą nam trochę czasu.

- Rozumiem, będziecie potrzebowali kilku dni... - Jeśli nie tygodni - poprawił go ostrożnie Jason, na wszelki wypadek lekko przesadzając.

- Wolałbym, żeby to trwało jak najkrócej - skrzywił się Kru-melur. - Ale trudno, wasze prawo. Wobec tego poczekamy na was u siebie. Po otrzymaniu zaliczki będziecie mogli chyba od razu przy-stąpić do pracy?

- To jakieś brednie! - warknął Stan. - Lecieliście tu po natych-miastową pomoc przez całą Galaktykę i chcecie odlecieć z niczym? A jeśli okażemy się zwykłymi naciągaczami? Jeśli zgarniemy waszą forszę i nawet palcem nie kiwniemy?

- Na pewno nie - uśmiechnął się Krumelur. - Zainteresowało was to i chcecie teraz zobaczyć wszystko na własne oczy. - Zainteresowało? - Sta-nął zdumiał bieg jego myśli. - Nas inte-resuje tylko nasza własna planeta i możliwość zarobienia pieniędzy na walkę z jej przyrodą. Jednak...

Przerwał mu Kerk:

- Przepraszam, Stan, ale chciałem zadać jeszcze kilka pytań. Panie Krumelur, jeśli dobrze zrozumiałem, Liga Planet nie wie o tym, co się stało?

30

31

- To oczywiste.

- Ale przecież wydarzyło się coś, co może mieć wyjątkowe znaczenie dla całej Galaktyki! Kontakt z niehumanoidalną cywilizacją! Czegoś takiego jeszcze nigdy nie było. Dlaczego nie poinformowaliście oficjalnych władz?

Kerk jak na siebie był wyjątkowo wymowny. A przecież takie pytania powinien był zadać Archie, Jason lub ostatecznie Stan. Ale podczas tej rozmowy w ciasnym gabinecie dowódcy portu kosmicznego wszystko stanęło na głowie. Archie rwał się do walki, Kerk interesował się stroną naukową. Jason wspominał swoją przeszłość, Metę interesowała przeszłość gości, a Stan przewidywał przyszłość niczym rozsądny mieszkaniec innej planety. Wszyscy jakby powariowali. Pytanie w końcu zostało zadane i Jason czuł, że będzie miało istotny wpływ na przyszłe wydarzenia.

Jak się zachować w razie pojawienia się przedstawicieli niehumanoidalnej cywilizacji? Czy to w ogóle można nazwać cywilizacją w naszym rozumieniu tego pojęcia? Czy istnieje zagrożenie dla ludzkości? Kto jest w stanie to ocenić i kto powinien się tym zająć? Oto, co kryło się za ostatnim pytaniem Kerka.

Naukowe znaczenie pojawienia się obcych istot nie ulegało wątpliwości. Tymczasem Archie milczał. Zachowywał się jeszcze dziwniej niż pozostali. Zamiast żądać przeprowadzenia poważnych badań, nagle wezwał wszystkich do totalnej wojny niosącej zagładę. Coś tu nie grało...

Nie to jest najważniejsze, powiedział sobie Jason. Najważniejsze jest ustalenie, kogo należy o tym wszystkim poinformować, a z kim można poczekać.

Może to dziwne, ale Jason był raczej po stronie Krumelura niż Kerka. Jego stary przyjaciel, oficjalny przedstawiciel Pyrrusa w Li-dze, członek Towarzystwa Gwarantowanej Stabilności, z pyrrusańską prostolinijnością dążył do tego, by postępować zgodnie z literą prawa. A Krumelur wolał najpierw wyciągnąć z każdej sytuacji, na wet z tragedii, korzyść materialną. Jason doskonale to rozumiał. Swoje własne obowiązki wobec oficjalnych władz, czy to na planecie, w systemie gwiazdowym czy w Galaktyce, również uważał za niewarte wzmianki.

- Dlaczego nie poinformowaliśmy Ligi Planet? - powtórzył w zadumie Krumelur. - Bo nie mamy takiego obowiązku. Mówiłem... Le do niej nie należymy. A dlaczego zwróciliśmy się do was, nie, powiedzmy, do Korpusu Specjalnego? Wydawało mi się, że to oczywiste. - Zakłopotany Krumelur rozłożył ręce. - Niech pan sobie przez chwilę wyobrazi, że zdradziła pana żona. Do kogo chętniej się pan zwróci? Do policji czy do prywatnego detektywa? Ale sobie wybrał porównanie, pomyślał Jason. Kerk intensywnie zastanawiał się, co odpowiedzieć, więc Jason postanowił pomóc pyrrusańskiemu weteranowi. - Drogi Krumelurze, na planecie Pyrrus instytucja małżeństwa praktycznie nie istnieje, więc pański przykład jest wybitnie nietrafiony. Aleja doskonale pana zrozumiałem. Moja żona siedzi obok mnie. Meta co prawda nigdy mnie nie zdradziła, ale zdaję sobie sprawę, czym jest intymność stosunków międzyludzkich. Tylko zupełnie nie rozumiem, jaki związek ma ogólnoplanetarna katastrofa z układami między kobietą a mężczyzną.

- Porachunki z wrogami to równie osobisty problem jak mał-żeńska kłótnia - oznajmił Krumelur niespodziewanie ostro. Godna odpowiedź, pomyślał Jason.

A głośno powiedział:

- Cóż, chodźmy załatwić nasze sprawy finansowe. Nie masz nic przeciwko temu, Kerk?

Kerk, nieco zasepiony, skinął głową. Szaleństwo wygasło. Za-czynąła się normalna praca.

4

Postanowili wyruszyć na Monaloi natychmiast na gotowym do ialszej drogi „Konkwistadorze” oraz zacząć przygotowywać do wyprawy „Argo” i, na wszelki wypadek, „Aligatora”. Specjali-styczne żaroodporne wyposażenie mogło spokojnie dotrzeć z pew-nym opóźnieniem. Najważniejsze było przeprowadzenie zwiadu bojowego, ocena skali katastrofy, zorientowanie siew sytuacji na miejscu i udzielenie pierwszej pomocy - na tyle, na ile będzie to możliwe.

32

3 - *Planeta śmierci 6*

33

Broni kriogenicznej mieli pod dostatkiem. Wypróbowane na ojczystym Pyrrusie i asteroidzie Solvitza działa zamrażające umiesz-czono w specjalnych komorach ekspirackiego krążownika. W sześć godzin po podpisaniu nieodzownych dokumentów szybki, potęż-ny statek wyruszył w drogę.

Nauczony gorzkim doświadczeniem poprzednich ekspedycji, Jason tym razem starannie przygotował się do drogi. Nie kontakto-wał się z Bervickiem, ale wszystkie informacje, które można było uzyskać przez otwarte kanały, zabrał ze sobą, w nadziei, że uda mu się zapoznać z nimi po drodze. Tyle rzeczy mogło się przydać! Na pokładzie mieli też Marka-09-03 - udoskonalony model biblioteki elektronicznej pożyczony od nieboszczyka Henry’ego Morgana, specjalnie zamówione pliki z międzygwiazdnej informoteki i nie dające się odczytać kryształy ze składu Solvitza - a nuż w czasie wielodniowej nudy przeskoku komuś wpadnie do głowy genialny pomysł, jak rozarchiwizować przekłete pakiety informacyjne. W drodze na Monaloi nie mają prawa się nudzić. Jason przez ten czas zdążył dogłębnie zapoznać się z wulkano-logią z naukami zajmującymi się istotami niehumanoidalnymi, czyli z wymyślonym dawno temu problemem niehumanoidalnych kultur we Wszechświecie. Były to głównie mity, legendy, fantastyczne teorie i trudne do zweryfikowania pojedyncze fakty, uzbierane przez ludz-kość w ciągu tysięcy lat jej historii. Z milionów różnorodnych zagad-kowych przekazów powstawał zdumiewający obraz dawno oczeki-wanego, przez wielu upragnionego Kontakt, do którego nigdy nie doszło. Czyżby teraz Pyrrusanie mieli stać się świadkami tego wie-kopomnego wydarzenia? Trudno było w to uwierzyć. Jason poświęcił również sporo czasu na wyszukanie choćby strzępów informacji o Monaloi. Rezultat był zerowy. A zatem do-brze, że nie zwrócił się po dane do Korpusu Specjalnego. Nie uwie-rzyliby mu, że powoduje nim zwykła ciekawość. Berack to szczwa-ny lis, szybko by się zorientował, w czym rzecz. Albo już dawno mają Monaloi na uwadze, albo Specjalny Korpus zacząłby deptać Pyrrusanom po piętach...

A może takiej planety nie ma? - pomyślał nagle Jason. Może zwa-bili nas w pułapkę, wpakowali w kolejną niebezpieczną awanturę? Jeśli natomiast Monaloi istnieje, to trzeba założyć, że Krumelur ma niewyobrażalne możliwości. Wymazać wszystkie dane o swojej lanecie z informatorów, atlasów, notatek! I to przy tak ożywionej działalności handlowej, prawdopodobnie z wieloma dziesiątkami planet! Muszą być poważne powody tak głębokiej konspiracji. Utajnienie całego świata w skali Galaktyki to bardzo skomplikowany i drogi proces. Im „Konkwistador” był bliżej Monaloi, tym bardziej intrygo-wało Jasona jak będzie wyglądało spotkanie z nową planetą. Ani przez chwilę nie wątpił, że ta podróż ma sens. Niewątpliwie grozi im niebezpieczeństwo, a cel jest co najmniej niezrozumiały. Ale czy może być coś bardziej interesującego dla prawdziwego gracza? Od-powiedzi na najważniejsze pytania zazwyczaj znajduje się w naj-mniej spodziewanym miejscu. To Jason zrozumiał już dawno. Archibald Stover również nie tracił czasu. Całymi dniami przesiadywał przy komputerze, sumując jakieś dane, robiąc długie wyli-czenia, rysując na ekranie monitora skomplikowane schematy. Jason kilka razy zachodził do niego. Próbował podzielić się swoimi odkry-ciami i wniknąć w sens poszukiwań Archiego. Ale sfery ich interesów były tym razem zbyt od siebie oddalone. W plątaniu wzorów fizycz-nych i długich kolumnach statystycznych tabel nie było nawet śladu informacji o wulkanologii, botanice czy polityce. W końcu, chyba na trzeci dzień, Archie raczył wyjaśnić, czym się zajmuje. - Zebrałem tu w całość wszystkie niezwykle zdarzenia, jakie prześladowały cię w różnych częściach Galaktyki w różnych latach i spróbowałem ułożyć je w logicznej kolejności. - Udało się? - zainteresował się Jason, nie rozumiejącena ra-zie, do czego tamten zmierza. * - Zasadniczo tak. Ale jeszcze zbyt wcześnie na wnioski. Na razie nakreśliłem cztery podstawowe kierunki dalszych badań: na-tura hiperprzestrzennych przejść typu rwanaur i zasady ich działa-nia; historia powstania, stosunków i wpływu na ludzką cywilizację różnych nieśmiertelnych ras; sztuczne życie i sztuczna inteligencja: roboty, cyborgi, androidy, homunkulusy. I wreszcie telepatia. Nie tylko jako sposób przekazu, ale i jako sposób istnienia. - Pięknie -pochwalił Jason z lekką ironią. Też mi odkrycie Amery-ki, pomyślał. -1 do której dziedziny przyporządkujesz obecne zadanie? - Jeszcze dokładnie nie wiem. Można je rozpatrywać w różnych aspektach. Potwory mogły przejść przez rwanaurl Mogły. Maj ą rów-nież szansę okazać się istotami nieśmiertelnymi, cyborgami i telepa-tami. Nawet tym wszystkim jednocześnie.

34

35

- Hmm... - wzruszył ramionami Jason. - I co z tego wszyst kiego wynika?

- Z tego wszystkiego wynika - uśmiechnął się Archie - że po-twory polują osobiście na ciebie. Żartuję - dodał po przerwie - cho-ciaż w każdym żarcie...

- Dobra, Archie, wystarczy. Powiedz mi lepiej, czy nadal uwa-żasz, że na Monaloi będziemy musieli zlikwidować te stwory? - Niestety tak. Uwierz mi, to jedyna możliwość. Jeśli chcesz, oczywiście możesz zapoznać się z biochemicznymi i socjopsycholo-gicznymi przesłankami tej tezy... opracowałem to dość szczegółowo. Ale lepiej nie trać czasu. Zajmij się praktyczną stroną przygotowań do spotkania z potworami. Zwróć uwagę, co zrobili Monalojczycy: za-nurzyli w lawie bojowy statek, strzelając jednocześnie ze wszystkie-go, z czego da się strzelać.

- Prócz broni kriogenicznej - zauważył Jason.

- Chwała wysokim gwiazdom, że starczyło im na to rozumu! Gdyby użyli armat zamrażających wewnątrz płynnej lawy, zamuro-waliby się żywcem. Za to grupa ratownicza atakująca z powietrza powinna była użyć właśnie ciekłego helu.

- Dobrze - powiedział Jason. - Przemyślę to. Meta też miała jakieś ciekawe propozycje...

- AmojaMidi... - skojarzył Archie. - Zresztą, nie. Na to jeszcze za wcześnie.

- Jak chcesz - nie nalegał Jason. - Słyszałeś, że ma być przystanek?

- Tak - odpowiedział Archie. -1 bardzo mi się to nie podoba. Piątego dnia drogi, gdy od Monaloi dzieliła ich tylko doba, musieli wykonać skok. Prosił o to Krumelur, Kerk się zgodził, a Meta poprawnie wykonała nieskomplikowany manewr. Wysoczyli z podprzestrzeni w systemie Małej Rudej, gwiazdy w gwiazdozbiornie Adlera. Charakterystyczne, że Monalojczyk użył nazwy według klasyfikacji przyjętej w polarnej strefie Galaktyki. Jason od razu zrozumiał, że właśnie wokół tego żółtego karzełka obraca się Mahauta. Zabawne! Nie tak dawno przypominał sobie swoje przygody na tej planecie, a nowi znajomi chcą złożyć wizytę właśnie w tym systemie planetarnym. I to tak pilną, że nawet los ich ojczyzny, zaatakowanego przez potwory, zszedł na drugi plan. Zapytał o to Krumelura, nie owijając w bawełnę.

Czy rzeczywiście mamy czas, żeby się tu zatrzymać?

- Niech was to nie dziwi, przyjaciele!

Ten spryciarz zawsze znajdzie odpowiedź, pomyślał Jason. I nie anomni przy tym podkreślić, że wszyscy jesteśmy jego przyjaciółmi! _ Zrozumcie mnie dobrze - ciągnął Krumelur. - Na Monaloi, według ostatnich danych, panuje spokój. Planeta Mahauta leży po prostu po drodze, a właśnie tutaj przebywa nasz bardzo ważny klient. Nie mogę do niego nie wstąpić.

Musiał być jakiś inny powód, a czuł to nie tylko Jason. Nie trzeba być jasnowidzem czy telepatą, by dostrzec, jak denerwuje się Krumelur przed tym przymusowym przystankiem. Musiał się czegoś dowiedzieć podczas połączenia z rodzinną planetą. Ale co to było, Pyrrusanie na pewno się teraz nie dowiedzą. A na razie... Niespodzianka została starannie przygotowana i trudno ją było nazwać przyjemną.

Gdy liniowy krążownik wyskoczył w zwykłą przestrzeń, został ostrzelany najróżniejszą zabójczą bronią, służącą do likwidacji celów o różnym stopniu trwałości. Ale atakujący nie wiedzieli, że systemy obronne „Konkwistadora” uznawane są za najlepsze w Galaktyce. Napastnicy bez wątplenia mieli zamiar zadać poważne szkody albo nawet zniszczyć obiekt. Szok wywołany takim przyjęciem był silny, ale żaden z systemów statku poważnie nie ucierpiał, więc załoga przeszła do kontrataku. Pyrrusanie w kosmosie to nie to samo, co Pyrrusanie u siebie w domu. Oczywiście, zdalnie sterowany mechanizm rozruchowy głównych dział statku też można zarzucić na ramię i bez zastanowienia przejechać serią po wrogu. Można też aktywować ogromną moc jednym skurczem mięśnia, reagującego na nerwowy impuls strachu, który przeszedł w gniew. Pyrrusanie tak właśnie robili, gdy braли udział w prawdziwych kosmicznych wojnach. Ale na razie nikt jeszcze nie wypowiedział wojny. Nawet Kerk i Meta chcieli się przede wszystkim zorientować, o co chodzi. Wyruszyli wypełnić ważne zadanie, a tu ktoś próbuje im przeszkodzić. Przypadek? A może w tym miejscu Wszechświata rozstrzelują każdego, kto pojawi się bez uprzedzenia? Wiedza była ważniejsza niż zwycięstwo. Dobrze by było wziąć tych łajdaków żywcem. Od obłoczka kosmicznego pyłu, w który tak łatwo zamienić obcy statek, niewiele można się dowiedzieć.

36

37

Klasę statku Meta określiła od razu - superszybki ścigacz bojowy klasy Niewidka, wzmocniony dodatkowym konsolowym systemem rakiet. Niewykluczone, że takiemu

statkowi udałoby się bez-karnie ukryć. Ale ucieczka przed „Konkwistadorem” była mało realna, zwłaszcza gdy za jego sterami siedziała Meta. Pozostawało tylko wymyślić, jak z minimalnymi stratami dla siebie zdjąć tego rozbójnika z kosmicznej drogi. Najprostszą rzeczą byłoby podjęcie dialogu i wyjaśnienie, że opór nie ma sensu, a kapitulacja będzie dla wszystkich najlepszym rozwiązaniem.

Wtedy rozbójnik -Niewidka zrobił coś bardzo dziwnego. Nie odpowiadając na sygnały ani słowami, ani strzałami, zaczął się powoli zbliżać. Na „Konkwistadorze” komendy wydawano teraz z szybkością automatu. Wszystkie systemy były w pełnej gotowości bojowej, wszystkie urządzenia obserwacyjne i sondujące rozpaczliwie starały się zdobyć jak najwięcej informacji o obiekcie. Dane były błyskawicznie rozszyfrowywane i przekazywane na przedni ekran mostku kapitańskiego w formie przystępnej dla każdego laika. Zbliżający się do „Konkwistadora” statek zadał im niszczący cios, dla Pyrrusa był więc tylko wrogiem. Ale Meta nie była już taka jak kiedyś. Przez lata wspólnego życia z Jasonem nauczyła się nie działać bez namysłu. Przejęła od niego nawyk, by podawać w wątpliwość najbardziej oczywistą rzecz.

Co może oznaczać takie zbliżenie? - myślała. Próbę staranowania? Czy może bardziej stosowne byłoby porównanie do próby abordażu? Śmieszne! Malutka łódeczka nie zdoła pokonać ogromnego krążownika. Chociaż... kto to może wiedzieć? Wystarczy sobie przypomnieć Henry’ego Morgana z jego bandą zdesperowanych szaleńców... A może to nagłe zbliżenie należy rozumieć jako kapitulację? Może mają problemy z łącznością? Ale przecież jest tysiąc sposobów, by dać sygnał lecącemu z naprzeciwka statkowi, że nie ma się złych zamiarów!

To było jedyne pokojowe wytłumaczenie, które Mecie udało się wymyślić, ale od razu okazało się, że nie ma sensu. W którym momencie dać komendę „ognia?” - zastanawiała się Pyrrusanka. A może zrobi to za mnie Kerk? Ale to nie Kerk jaw tym wyręczył.

W pełnej napięcia ciszy, która aż dzwoniła w uszach, rozległ się zduszony i ochryply ze strachu głos Krumelura:

38

Poznałem go. Strzelajcie! Strzelajcie natychmiast! Ale to nie Krumelur dowodził. Nie był ani dowódcą grupy, ani itanem statku, ani nawet członkiem załogi. Po prostu gość, a może pasażer. Dlatego nikt go nie słuchał.

_ TO statek-anihilator! Poznałem go!-krzyknął Krumelur jeszcze głośniej..

Teraz Kerk spojrział na niego z pewnym zainteresowaniem. Nie-widka była coraz bliżej i nabierała szybkości. Od zderzenia dzieliły ich sekundy.

Meta wykonała tak gwałtowny manewr, że krzyczącego z bólu Krumelura wbiło w ścianę, nawet Jason o mało nie grzmotnął na nodłogę. A był pewien, że do wszystkiego się przyzwyczaił; uważał się za prawdziwego Pyrrusana. Okazuje się, że Pyrrusaniem trzeba się urodzić. Kerk ani Stan nawet się nie zachwiali i ani słowem nie skarcili Mety za ten wybryk. Uznali, że zrobiła wszystko jak należy. Nikt nie miał czasu, by martwić się o tych, którzy nie pochodzili z Pyrrusa.

Obcy statek powtórzył manewr z idealną dokładnością, jakby był przywiązany. Kontynuował pogoń z tą samą, jeśli nie większą szybkością.

- No, strzelajcie wreszcie!! - głos rozplaszczony na podłodze Krumelura przeszedł w rozpaczliwy pisk. – To przecież skazaniec! Niech spłonę w plazmie, jeśli się mylę i to... Nie zdążył dokończyć, bo Meta wystrzeliła. Cel był już tak blisko, że od

potężnego wybuchu zadrżał cały krążownik. W między-planetarnej przestrzeni płonęło małe słońce, a systemy obronne „Konkwistadora” pracowały na granicy możliwości, jeśli nie poza tą granicą.

- Odchodzimy na dopalaniu - uprzedziła Meta i najwidoczniej litując się nad gościem, dodała: - Dwanaście g. W innej sytuacji, ratując statek, dałaby całe dwadzieścia pięć.

Jason podziękował jej w myślach.

Gdy Krumelur doszedł do siebie, posadzili go w wygodnym fotelu w mesie i spytali wprost:

- Kto to był?

- Konkurencja - odpowiedział Krumelur, jak zwykle zwięźle.

39

- Skazaniec jest konkurencją? - Zdumiał się Jason. - Oczywiście, że nie - Krumelur był zde gustowany tępotą rozmówcy. - Konkurencja wynajęła skazańców, żeby mnie zniszczyć. Prowadzą bardzo poważne interesy.

- Chwileczkę, chwileczkę - pierwszy spostrzegł się Stan. - To znaczy, że jest pan nieustannie śledzony? Kiedy był pan na Pyrru-sie...

- Przecież mówię, że to bardzo poważne interesy. Kerk posępniał w oczach, słuchając podobnych oświadczeń. ; \ - Zazwyczaj - powiedział w końcu - uprzedza się ludzi o do-datkowym niebezpieczeństwie.

Meta dodała: .

- Niczego się nie boimy, po prostu wolimy wiedzieć o takich rzeczach wcześniej.

Krumelur skinął ze zrozumieniem głową.

- Przepraszam, przyjaciele, postąpiłem niestusznie. Założmy, że właśnie w ten sposób was uprzedziłem. Gotów jestem wypłacić rekompensatę za straty moralne.

Gdy rozmowa zesłała na pieniądze, włączył się Jason. - Nie, panie Krumelur, to się nazywa inaczej. W takiej sytuacji trudno mówić o jednorazowej rekompensacie za nieprzyjemny in-cydent. Przecież coś takiego może się powtarzać. Mam rację? - Może się powtarzać - powiedział w zadumie Monalójczyk. - W takim razie - ciągnął Jason - nazwiemy to dopłatą za szko-dliwość.

- Za jaką szkodliwość? - nie zrozumiał Krumelur. - Na niektórych planetach - zaczął cierpliwie tłumaczyć Jason - istnieją takie pojęcia, jak szkodliwe fabryki i, co za tym idzie, szko-dliwe zawody. To znaczy szkodliwe dla zdrowia. Takim ludziom dopłaca się procent do pensji. Proponuję zwiększyć nasze honora-rium o osiem procent. To standard przyjęty na Cassylii. - Nie ma problemu - zgodził się od razu Krumelur. Jason nie był zdziwiony. Bardziej zaskoczyłby go protest. Po-żałował, że nie zażądał piętnastu procent. Oni chyba nie słyszeli o żadnych standardach.

Ale wiedział z doświadczenia, że chciwość do niczego dobrego nie prowadzi, zwłaszcza gdy mowa o naprawdę dużych pieniądzech. Teraz interesowały go bardziej zasadnicze kwestie. Reguły zmieniały się w trakcie gry i to go niepokoiło. W takiej sytuacji nawet cel mógł ulec zmianie.

Założmy, że to strzelali konkurenci, myślał Jason. Cóż, to cał-kiem prawdopodobne. Ale w takim razie to musi być bardzo poważ-ny biznes. Za ogromne pieniądze zabijali, zabijają i niestety, będą zabijać zawsze. Ale przecież nie tak bezczelnie! Bez

żadnych wyjaśnień, bez próby porozumienia, posługując się wynajętymi skazańcami. To nie może być ludzka logika.

Jason postanowił przejść do ataku i przypomnieć Krumelurowi, kto tu jest gospodarzem, a kto gościem. Dość tej zabawy w dyplomację i uprzejmość:

- Wiem już, Krumelur, że dla pana żadne sumy nie stanowią problemu. Jednak istnieje problem innej natury, którego nie rozwiążą nawet największe pieniądze. Na pewno pan rozumie, że żadnej własności nie sprzedaje się bez zgody właściciela, zwłaszcza jego życia i wolności. Pyrrusanie są wolni i mogą udzielić pomocy komu chcą, mogą również odmówić. Ale jeśli już biorą się za robotę, mają prawo wiedzieć o niej coś więcej. Ratowanie kogoś od nieszczęścia to jedno, a uczestniczenie w międzyklanowych walkach z powodu „bardzo ważnych interesów” to całkiem inna sprawa. Na to się nie godziliśmy, panie Krumelur. Niewykluczone, że te potwory, które wyszły z lawy, to tylko piękna inscenizacja. Niebanalny sposób znęcenia profesjonalnych pomocników, włączenia ich do ekonomicznej wojny między korporacjami. Przy środkach, którymi dysponujecie, urządzenie wybuchu wulkanu to pestka, tak samo jak wpuszczenie w lawę żaroodpornych „potworów”... - Ostrożniej na zakrętach, przyjacielu - nieoczekiwanie przebrał mu Krumelur. - Obraża nas pan.

- To prawda - przyznał Jason. - Sęk w tym, że panu nie wierzę. Ciekaw jestem, co pan powie, jeżeli jeszcze przed wejściem w podprześcierzeń połączymy się z Korpusem Specjalnym i spytamy ich o was. Reakcja gościa była szokująca.

Krumelur nie odpowiedział, za to nagle obok niego pojawili się, jakby wyrosli spod ziemi, dwaj ochroniarze. Lufy kieszonkowych armatek plazmowych spojrzały Jasonowi prosto w twarz.

Pyrrusańskie pistolety w tej samej sekundzie wyskoczyły im na spotkanie. Ale do strzelaniny nie doszło. Wszyscy znaleźli w sobie dość siły, by się uspokoić. Widząc lekko speszone miny Kerka, Mety i nawet Stanę, Jason zrozumiał, że oni też nie rozumieli, co się

40

41

właściwie stało. Niebezpieczeństwo kryło się w tym, że Pyrrusanie nie umieli uznać się za przegranych.

Krumelur tego nie wiedział, więc sądził, że inicjatywa należy teraz do niego.

- Nie radziłbym, przyjaciele - powiedział z godnością - robić tego, o czym przed chwilą wspomniał pan diAlt. Wydawało mi się, że doszliśmy do porozumienia we wszystkich kwestiach. Po co od nowa omawiać warunki? Nasza planeta naprawdę znalazła się w ciężkiej sytuacji i nie cofnę się nawet przed groźbami, by ją uratować. Wybaczcie. Sądzę, że przede wszystkim powinniście zorientować się w sytuacji na miejscu i dopiero wtedy zacząć wyciągać wnioski. Inaczej nie da rady.

Krumelur miał rację, a prostota jego rozumowania przekonała wszystkich. Obie strony schowały broń i wzięły rozejm na czas nieokreślony.

Jason dogonił w korytarzu dumnego Monalojczyka i szepnął:

- Obiecuj, że kiedyś opowiesz mi o tej sztuczce! - O czym tu opowiadać? Nie ma żadnej sztuczki - zdumiał się Krumelur. - Po prostu przesunięcie skali czasu. Jason nic nie odpowiedział i z mądrą miną pokiwał głową. Skoro coś takiego jak zmiana skali czasu to dla was zwykła sprawa, pomyślał, to rzeczywiście zbyt się pośpieszyliśmy z oceną monalojskiej cywilizacji. Sam umiem zwolnić czas, gdy to konieczne, ale robię to czysto intuicyjnie. Nie zawsze panuję nad tym darem i jeszcze

nigdy nie udało mi się zrobić tego tak błyskawicznie jak Krumelur. Trzeba wzmocnić czujność i odnosić się z większym szacunkiem do tego faceta. - Nie będziemy lądować na planecie - oświadczył Krumelur pewnym siebie tonem, jakby to on teraz dowodził statkiem. - Wyślę w eter sygnał kodowy i przywitaję was na orbicie. Przekaż to swoim, żeby nie było zbędnych pytań.

Jason jeszcze raz skinął głową. Wolał nie pytać o szczegóły. Mały smagły człowieczek w odświętnym cytrynowożółtym mundurze mahautskiej floty królewskiej wyszedł ze służby na spotkanie Pyrrusanom. Przedstawił się w międzyjęzyku, ale z silnym akcentem.

Po dokonaniu formalności przeszedł na język ojczysty, to znaczy hindi, którego nie znał żaden z Pyrrusan, nawet Jason. Potem już śniadolicz oficer zwracał się wyłącznie do Krumelura, który, jak się okazało, znakomicie rozumiał swojego partnera i zupełnie znośnie szwargotał w otoczeniu narzeczu. Treść ich rozmowy pozostała zagadką, ale w tym była zrozumiała: mahautski wspólnik Krumelura rozliczał z nim swoje interesy. Z rąk przekazano standardowy pojemnik z banknotami, na dość dużą, jak się wydawało, sumę. Sądząc po

- tonacji obaj panowie zapewnili się o chęci dalszej współpracy. Najbardziej zadowoleni z tego krótkiego, ale ważnego spotkania.

Dziesięć minut później gość, nie wchodząc do wewnętrznych pomieszczeń statku, uprzejmie się ze wszystkimi pożegnał w międzyjęzyku i opuścił „Konkwistadora” wsiadając na malutki, nieefektywny, ale Dez wątplenia bardzo drogi skuter.

Jason odezwał się urażony:

- Zawsze mnie uczono, że w obecności przyjaciół nie rozmawia się w niezrozumiałych językach. Ten typ nie zna esperanto? - Wybacz - zaczął jak zwykle Krumelur - nie wiem, jak tam u niego z esperanto. Mnie uczono, że istnieje takie pojęcie jak tajemnica handlowa. Nie ma się o co obrażać. - Nie ma o co? - wybuchnął Jason. - Nie pytam cię, ile ci przywiózł pieniędzy. Proszę tylko o krótkie wprowadzenie w sytuację. Nie rozmawialiście o napadzie na statek? Przecież mógł powiedzieć coś nowego.

- Mógł - zgodził się spokojnie Krumelur. - Ale nie powiedział. Jason uznał to za kpiny w żywe oczy i już miał wybuchnąć, gdy Krumelur dodał:

- Mój mahautski przyjaciel potwierdził moje domysły i poparł podjętą decyzję. Tych zabójców należało zlikwidować.

Jason odetchnął głośno i zapytał ze złością:

- I co, nic nam teraz nie grozi? Krumelur, dlaczego muszę z ciebie wyciągać każdy szczegół jak na przesłuchaniu? - Nie wiem - odpowiedział tamten. - Teraz proszę, żebyście wyszli w podprzestrzeń i wzięli kurs na Monaloi. Macie coś przeciwko temu?

- Nie - odpowiedział Jason. Przymknął powieki i pomasażował palcami skronie.

Poczuł się strasznie zmęczony tą rozmową. Marzył teraz tylko o jednym - żeby jak najszybciej dolecieć.

Na szczęście przy tej rozmowie nie było Kerka, który już wcześniej podjął stanowczą decyzję: mieszkańcy Planety Śmierci pomogą

Monalojczykom za odpowiednie wynagrodzenie. Pozostałe kwestie na razie go nie interesowały. Dyskusje z Krumelurem tylko psuły Ker-kowi nastrój, więc w miarę możliwości należało ich unikać. Dypl0. macjąniech zajmuje się Jason, nauką Archie. A prawdziwi Pyrrusa-nie wkrótce przystąpią do swojego ulubionego zajęcia. Będą walczyć.

5

Na planecie wylądowali nocą. Port kosmiczny jarzył się różno-kolorowymi światłami, ale poza jego granicami niewiele było oświetlonych obiektów. Tylko złociste okna w porządnym domkach, latarnie wzdłuż prostych i, sądząc po lśnieniu nawierzchni, gładkich ulic i kilka majaczących w ciemności dużych budynków o niejasnym przeznaczeniu. Dalej aż po horyzont rozpościerał się nieprze-nikniony mrok. Może w mieście nocą nic się nie działo, a może żadnego miasta nie było, tylko niewielkie osiedle wokół portu. To było bardziej prawdopodobne. Monaloi było planetą rolniczą, w każdym razie tak prezentował ją Pyrrusanom Krumelur. Za to port kosmiczny, przynajmniej z lotu ptaka, wyglądał bardziej elegancko niż cas-sylijski Digo czy kliandzki Goldengate. Do rozwiązania tej sprzeczności Jason zamierzał wrócić później, już samodzielnie. Gra w sto pytań z Krumelurem wykończyła go zupełnie. Komfortowe wnętrza portowych zabudowań w niczym nie ustępowały ich architektonicznym zaletom, a wygoda ruchomych chodników, robobarów i rozmaitych dyskretnych urządzeń automatycznej kontroli przylatujących pasażerów pasowała do najnowszych konstrukcji pasów startowych. Pyrrusanie, zajęci kontemplowaniem tego technicznego luksusu, zapomnieli o swoim pierwszym wrażeniu po wylądowaniu na Monaloi. Wskaźniki statku wykazały, że po zewnętrznej stronie pancerza krążownika temperatura powietrza wynosi minus dwadzieścia cztery stopnie, a z nieba sypie gęsty śnieg, złożony z czystego tlenu wodoru, czyli mówiąc po ludzku, wody. Jak przy takiej pogodzie dojrzewają tutejsze rzadkie owoce?

I dlaczego w ogóle opuścili statek. Dlaczego Krumelur poprosił wódców Pyrrusa, to znaczy Kerka, Metę, Jasona, Brucco i Sta-żeby poszli za nim? Na swojej planecie najważniejszą rolę miał ' Krumelur, w to nikt nie wątpił, ale sposób bycia Monalojczyka, wyjaśniał wszystko w ostatniej chwili i tylko wtedy, gdy był , tego zmuszony, zaczął drażnić nie tylko Jasona. A rozdrażnieni Pvrrusanie to niebezpieczne zjawisko. Wzięli Krumelura na stronę . zażądali, żeby im wyjaśnić bardziej szczegółowo, dokąd ich cią-„jje Ostrzegli go, że jeżeli się tego nie dowiedzą, mogą im puścić nenvy. Krumelur zrozumiał i uprzejmie odpowiedział:

- Najpierw muszę przedstawić wam pozostałych władców pla-nety Monaloi. Rządzimy tym światem kolejalnie i wszyscy, a jest nas pięciu, chcemy z wami porozmawiać. Chcemy dać wam ostatnie instrukcje przed rozpoczęciem odpowiedzialnego zadania. Zamilkł na chwilę, dając gościom czas na zareagowanie. Pyrru-sanie obojętnie milczeli.

- Właśnie dlatego - ciągnął Krumelur - musieliśmy wylądować tutaj, w naszym najlepszym porcie, Tomhecie. Znajdujemy się teraz na kontynencie polarnym. Jest tu zbyt zimno, żeby żyć, ale na początku kolonizacji uznaliśmy to miejsce za bardzo dogodne do ukrycia pewnych tajnych obiektów. Tutaj też znajduje się rezyden-cja naszego rządu. A główne bogactwo Monaloi kwitnie i owocuje bliżej równika, na ogromnym, ciepłym kontynencie Karaeli. Wkrót-ce tam się udamy.

Wyjaśnienie było zadziwiająco długie jak na Krumelura, ale brzmiało niezbyt przekonująco. Jeśli na planecie rzeczywiście doszło do katastrofy, to dlaczego na jej

miejsce nie przybył rząd w pełnym składzie? Zdaje się, że tak robiono w całej Galaktyce. Cóż, co kraj, to obyczaj. Tej prostej prawdy Jason nauczył się już dawno i nieraz prze-konał się o jej słuszności w praktyce. W epoce renesansu galaktycznej cywilizacji o podobnych truizmach warto było pamiętać. Jeśli więc miejscowy rząd kryje się jak może przed własnym narodem, własnymi bogactwami i własnymi nieszczęściami, to zna-czy, że tak powinno być. Dobrze, że chociaż postanowili poznać Pyrrusan osobiście. Przecież mogli po prostu przekazać im pienią-dze i nie pokazywać się na oczy, siedząc sobie w jakimś bunkrze. Nie takie rzeczy dzieją się w Galaktyce. Jason już dawno przestał S1? dziwić czemukolwiek.

44

45

Rząd Monaloi rzeczywiście siedział w bunkrze. Przy tak dużej aktywności sejsmicznej było to co najmniej dziwnym pomysłem. Dą-żenie rządzących, by zaryć się, jak najgłębiej pod ziemię, to znaczy bliżej tych stworzeń, które według nich terroryzuj ą planetę, nie było jednak najdziwniejsze w tym świecie.

Gładka droga, po której wieziono Pyrrusan szybkim naziemnym pojazdem, nagle wpadła w rżęsiście oświetlony tunel o śnieżnobiałych ścianach. Tunelem zjechali jakieś sto metrów poniżej powierzchni ziemi. Wreszcie zahamowali przed bramą z wypolerowanego zielonego metalu i wjechali przez nią do ogromnej hali, jasnej, cieplej, pełnej żywej zieleni.

Krumelurzostawił pojazd pod drzewami. Wraz z nie odstępującymi go ochroniarzami przeszedł kilka kroków i zatrzymał się przed masywnymi drzwiami w chropowatej różowej ścianie, niknącej wysoko wśród gałęzi i gęstej plątaniny lian... czy może kabli. Poprosił Pyrrusan, by poszli za nim. Drzwi się otworzyły, a ochroniarze wreszcie odstępili od swojego szefa - zastygli przy wejściu, niczym warta honorowa. Wyglądało, że na tej planecie wszyscy ochroniarze są łysi jak kolano. W porcie Jason też zauważył wielu łysych; niektórzy z nich, o smagłej cerze, wyglądali na przedstawicieli innej rasy. Nie tylko ich głowy były pozbawione włosów; nie mieli nawet rzęs ani brwi, zaznaczonej jedynie fałdami skórnymi. Z taką anatomiczną osobliwością Jason zetknął się po raz pierwszy. Na wszelki wypadek zapytał Kerka i Metę, czy spotkali kiedyś podobnych ludzi. Co prawda, oni oboje razem wzięci nie podróżowali w ciągu całego swojego życia tak wiele jak Jason, ale przecież trasy ich lotów nie zawsze się pokrywały i Pyrrusanie mogli natknąć się na całkiem inne rasy niż on. Jednak Kerk tylko pokręcił głową, a Meta skrzywiła się ze wstrętem i zauważyła:

- Pierwszy raz widzę takie antypatyczne twarze. Przypominają nasze gady, gekony albo kajmany.

- Albo żądłopióry - uśmiechnął się Jason. - Nie zaczynaj przy-padkiem strzelać.

Tę rozmowę odbyli jeszcze w porcie. Teraz nie mogliby już szep-tać między sobą, bo weszli do małej poczekalni przed salą, w której mieli się spotkać ze słynnymi władcami.

Za biurka wstał łysy osiłek w dziwnym półwojskowym uni-formie, uprzejmie skinął głową wszystkim wchodzącym i w zno-śnym esperanto zapytał:

- Przepraszam, czy nie zechcielibyście państwo zostawić tubro-

• na czas pertraktacji?

nl _ Nie - padła zdecydowana odpowiedź Kerka.

Jason uzupełnił:

_ - Nawet podczas snu nie rozstajemy się z pistoletami.
Kjumelur i sekretarz w mundurze zaczęli coś szeptać w nieznanym języku. Jason mógłby przysiąc, że to nie szwedzki i nie hindi.
Reszcie padł werdykt:

_ Wejdźcie.

Urządzenie sali przyjęć miało sprzyjać poufnyim rozmowom. Obie wysokie strony, każda reprezentowana przez pięciu przedstawicieli, zasiadły przy owalnym stole w wygodnych, miękkich fotelach. Siedzenie w nich nie męczyło, a w razie konieczności sprężysty materiał pozwalał zerwać się gwałtownie, aby uchylić się przed ciosem albo zaatakować. Nikt jednak nie planował bijatyki podczas oficjalnego spotkania przywódców dwóch planet. Wywołanie strzelaniny na obcym terytorium byłoby samobójstwem. Jednak każdy Pyrrusanin, aby odczuwać psychiczny komfort, lubił mieć osłonięte plecy i możliwość błyskawicznego przejścia do ataku. Monalojczycy albo o tym wiedzieli i starali się zrobić gościom przyjemność, albo mieli podobne potrzeby. Z dziesięciu otworów w stole wysunęły się wysokie spotniałe kielichy.

- Napój nie zawiera alkoholu - uznał za konieczne wyjaśnić Krumelur.

Rozpoczęto negocjacje. Czterej przywódcy Monaloi różnili się od żywego, gadatliwego Krumelura. Byli zadziwiająco spokojni, wręcz apatyczni. Starszy z nich był mały, suchy, siwy, gładko ogolony, podobnie jak Krumelur. Drugi - smagły, czarnooki, płomienny brunet - miał kędzierzawe włosy, duży nos i wspaniałe wąsy. Pozostali dwaj byli do siebie podobni jak bracia: wysocy, barczyści, brodac i blondyni, przypominający wikingów. Przedstawili się, wygłosili parę uprzejmych, zdawkowych zdań, ale w omawianiu konkretnych planów prawie nie brali udziału; Pyrrusanie rozmawiali właściwie tylko z Krumelurem. A że nie mieli zwyczaju zaśmiecać sobie pamięci niepotrzebnymi informacjami, nawet nie starali się zapamiętać imion pozostałych uczestników spotkania.

Nie przekazano gościom z Pyrrusa żadnych rad ani instrukcji, a tego uroczystego zebrania, w każdym razie jedynym jasno

46

47

określonym, było wypełnienie pewnego zdumiewającego dokumentu. I nie chodziło o kontrakt, umowę, czy zobowiązanie dłużne, na to Pyrrusanie byli przygotowani i załatwili to szybko i bez problemów. Jak się okazało, to był dopiero początek. Teraz każdemu wręczono dodatkowe blankiety z nagłówkiem: „Zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy”. Niżej przeczytali zdumiewający tekst:

„Ja, niżej podpisany, obiecuję, że nigdy, nikomu i nigdzie nie opowiem o tym, co zobaczę na planecie Monaloi. Niniejszym potwierdzam. .. zobowiązuję się... jednocześnie zdaję sobie sprawę...”
Sformułowania były dziwaczne, archaiczne i mętne.

„Po zapoznaniu się z powyższym tekstem potwierdzam, że zostałem uprzedzony o odpowiedzialności i konsekwencjach i nie będą się sprzeciwiał podjęciu wobec mojej osoby odpowiednich środków...”

W tym momencie Jason nie wytrzymał:

- Odpowiedzialności przed kim? I co to za środki?

- Po kolei - zaproponował Krumelur.

Albo był tu najważniejszy, albo uważano go za specjalistę od stosunków zewnętrznych. W końcu znał już Pyrrusan, więc powinien im wszystko wyjaśnić.

- Mógłbym skłamać, że będziecie odpowiadać przed Sądem Międzygwiazdowym, Ligą Planet, czy Korpusem Specjalnym. Ale wszystkie te organizacje zbyt anemicznie realizują swoje prawne możliwości. Nie mamy nawet pewności, że ich wyrok będzie sprawiedliwy. Dlatego korzystamy z własnych sił bezpieczeństwa, własnego sądownictwa i kierujemy się własnymi wyobrażeniami o moralności. Mam nadzieję, że nie będą one zbyt rozbieżne z waszymi. Pyrrusanie mogą odpowiadać tylko przed własnym sumieniem i uczciwością.

Kończąc tą demagogiczną nutą, Krumelur zamilkł na chwilę, po czym dodał:

- Cóż, jeśli nie podpiszecie tego dokumentu, będziemy musieli rozwiązać spisana już umowę.

Zasady gry znowu się zmieniły, tym razem radykalnie.

Jason objął głowę rękami i zaczął masować palcami skronie.

Nie sądził, żeby to rzeczywiście pomagało procesom myślowym; ot, zwykły nawyk wyrobiony podczas kolejnej próby rzucenia palenia.

Pozostali nawet nie próbowali wyciągać wniosków, całkowicie ufając Jasonowi, jego bogatemu doświadczeniu, sprytowi i bystrości.

48

ie miał ochoty zagłębiać się w szczegóły, a treścią głupich f loiskich papierów w ogóle się nie przejmował. Każdy wiedział, m°n,jj pyrrusanin zbyt długo myśli o czymś nieprzyjemnym, kolej- ^6 etapem jest strzelanina. A teraz byłoby to raczej nie na miejscu. ny01ty'ięc teraz Kerk zachęcał wzrokiem Jasona do wymyślenia roz-

- ania. Pyrrusanie i tak zrobią to, co on zdecyduje.

w _ przynajmniej wasza piątka powinna to podpisać - Krumelur rolował pój ść na kompromis, czując, że milczenie zbyt się prze- S? a _ Chociaż żelazną regułą dla wszystkich przebywających na Monaloi jest obowiązkowe podpisanie zobowiązania o zachowaniu iemnicy. To tak jak na innych planetach wypełnienie deklaracji celnej czy zaświadczenia o zdrowiu psychicznym.

Wreszcie odezwał się Jason. Zrozumcie, nie chodzi o to, ile osób podpisze to zobowiązanie. Wystarczyłoby, żebym zrobił to ja i Kerk, za pozostałych w takiej sytuacji moglibyśmy ręczyć. Chodzi o coś innego. Nie rozumiem, z czego wynikają wasze zasady i to budzi moją czujność. Nie lubię, gdy ktoś mnie prosi: „Obiecuj, że czegoś nie zrobisz, a czego, to dowiesz się, jak już obiecasz”. Tak się po prostu nie robi, panowie! Muszę wiedzieć, co podpisuję. W przeciwnym razie zostawiacie nam prawo do zerwania kontraktupostfactum.

- Takie prawo ma każdy i zawsze - mruknął Krumelur. - Ale wolałbym nie zapisywać go jako oddzielnego punktu. W przeciwnym razie wychodziłoby na to, że możecie zerwać umowę z powodu najgłupszego drobiazgu. Na przykład uznacie, że nasze owoce są do niczego, a w dodatku stanowczo za drogie. - A przecież o gustach się nie dyskutuje, jednemu może się spodobać...

- Krumelur - przerwał mu Jason - nie próbuj mnie skołować,

zbaczając z tematu. Chcę tylko zrozumieć, co takiego robicie na tym ciepłym i słonecznym kontynencie Karaeli, że nie można o tym nikomu opowiedzieć. Prowadzicie tam wojnę? To powiedz po prostu! A może mieszkają tam ludożercy? Tym bardziej chcielibyśmy wiedzieć o tym wcześniej...

- Jacy znów ludożercy, Jason? Co za śmieszne fantazje! - obraził się Krumelur. - Czy wy, albo chociaż ty, znasz takie pojęcia jak tajemnica handlowa, tajność, suwerenne interesy planety, zasada nieingerowania w jej sprawy wewnętrzne? A może słyszeliście tylko 0 tajemnicach wojskowych, a w czasie pokoju dla Pyrrusan tajemnice nie istnieją?

Planeta śmierci 6

49

- Czasy mamy nie całkiem spokojne - odezwał się nagle siedzący obok Krumelura drugi z przywódców planety. - Widzieliście taśmy. Walczymy z inną cywilizacją i prosimy was o pomoc. To wszystko. Krumelur postanowił rozwinąć tę tezę:

- Wyobraź sobie, Jason, że wzywasz do domu strażaków, a oni, zanim zaczną gasić płomienie, zaglądną ci do lodówki, czy przypadkiem nie trzymasz tam poćwiartowanych zwłok, które właśnie miałeś zamiar zniszczyć za pomocą pożaru.

Jason osłupiał. Nie zdążył odpowiedzieć, gdy Krumelur już podawał kolejny przykład:

- Albo wzywasz lekarza do chorej żony, a on, zamiast udzielić pomocy, zaczyna wyjaśniać, kim jest ta kobieta. Czy to twoja żona, kochanka, a może siostra? Żąda przedstawienia odpowiednich dokumentów...

- Wystarczy - roześmiał się Jason. - Zrozumiałem.

Na dowód tego przytoczył własny przykład:

- Załóżmy, że doszło do jakiejś tragedii i przyjeżdża do was policja. Będą zadawać tylko te pytania i podejmować te działania, które sami uznają za stosowne. Mam rację?

Wtedy odezwał się siedzący pośrodku chudy siwy staruszek.

Niewykłuczone, że był najważniejszym władcą planety... jeśli wiek miał tu jakiegokolwiek znaczenie.

- Ma pan absolutną słuszność, panie diAlt. Dlatego też, prosząc was o podpisy, chcemy się upewnić, że wezwaliśmy do siebie brygadę ratunkową, a nie policję. Jeśli zechcemy oglądać tu stróżów porządku, zwrócimy się gdzie indziej. Czy to logiczne?

- Bardzo - poddał się Jason. - Teraz chciałbym się dowiedzieć, jakie środki podejmujecie wobec tych, którzy złamali przysięgę.

- Nic specjalnego - Krumelur machnął niedbale ręką.

Współgospodarze planety milczeli.

- Jakie to mogą być środki? - ciągnął Krumelur. - Jeśli wyczuwamy w waszych działaniach złe intencje w stosunku do planety Monaloi, spróbujemy was stąd nie wypuścić. To wszystko. Jak je wyczuwamy? Mamy swoje metody, nie ma mowy o intuicyjnych czy subiektywnych podejzeniach. Dysponujemy specjalistami w najróżniejszych dziedzinach. A co będzie, jeśli zdecydujecie się na nieuczciwy handel naszymi sekretami, a my nie zdążymy was powstrzymać, bo mimo wszystko wyrwiecie się z planety? Cóż, zdarzały się już takie rzeczy. W tym wypadku jedno mogę wam obiecać na pewno: żaden z naszych licznych

partnerów już nigdy was nie zatrudni. Jak już mówiłem, będziecie odpowiadać przed własnym sumieniem. A to też się liczy.

Ostatnie zdania Krumelura wydały się nieco zagadkowe. Jedno było jasne - drań przez cały czas kłamał. Jeśli te ich interesy były tak poważne, to jasne, że tych, którzy złamią „zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy” spróbuj ą odnaleźć wszędzie: w kosmosie albo na innej planecie. Ale czy Pyrrusanie kiedykolwiek bali się walki? W dodatku na razie nie było mowy o wojnie.

Jason zrozumiał, że ma przed sobą możliwość zagrania w zupełnie nową i bardzo intrygującą grę, z nieustannie zmieniającymi się regułami. Czy można z czegoś takiego zrezygnować? Tym bardziej, gdy ma się w drużynie najlepszych wojowników Galaktyki, na najlepszych statkach, wykonanych przez mistrzów dla słynnych flotylli, a za przeciwników potwory z innego Wszechświata. To musi podniecać prawdziwego gracza; tak samo jak tajemniczy i przebiegli Monalojczycy ze swoimi „bardzo poważnymi interesami” i jeszcze poważniejszymi pieniędzmi, co też nie jest bez znaczenia.

W taką grę warto zagrać. Ale zacząć ją można było tylko według zasad ustanowionych przez przeciwników. Gdy wchodzisz do kasyna, też nie możesz targować się o cenę żetonu albo już od progu żądać zamiany talii kart czy kości. Za to potem, gdy gra jest w toku, a w puli są bardzo duże pieniądze... Wtedy bywa różnie.

Jason poczuł przypływ natchnienia i zapału. Uśmiechnął się szeroko i oznajmił:

- Przyjmujemy wasze warunki!

Zaprawiony w dyplomacji Kerk uznał za swój obowiązek wnieść pewne poprawki:

- Weźcie, panowie, pod uwagę, że jeśli to wy zerwiecie umowę, statki pyrrussańskiej floty wyrządzą wam wiele szkód. Jeszcze żadna planeta nie pozwalała sobie na rozmawianie z nami z pozycji siły. Wam też nie radzę. Pyrrusanie umieją dotrzymać słowa. Dajcie wasze dokumenty.

Kerk nie powiedział nic nowego, ale ważne, że ostatnie słowo należało do niego. Monalojczycy nie obrazili się za jego ostry ton; widocznie przywykli do podobnego traktowania. Krumelur, słuchając siwego pyrrusańskiego wodza, kiwał z zapamiętaniem głową, jak wtedy, gdy słuchał żądań finansowych Jasona. Oczywiście, kochani, oczywiście, zdawał się mówić, jeśli coś pójdzie nie tak, odpowiemy

50

51

za to. Nie jesteśmy dziećmi, mówiłem wam przecież, zajmujemy się poważnymi interesami...

- Mamy na pokładzie dwudziestu czterech ludzi - oznajmił Kerk.

- Poproszę o dziewiętnaście dodatkowych egzemplarzy. Natychmiast je wypełnimy. Może wreszcie usłyszymy cokolwiek o dalszych planach?

- Ależ oczywiście - zgodził się ochoczo Krumelur. - Na kontynent Karaeli polecimy na lekkich statkach i uniwersalnych szalupach. Nie ma tam gdzie wylądować dużym krążownikiem. Myślę, że najlepiej będzie zostawić na statku minimalną załogę, a moc krążownika wykorzystać w ostateczności. To na początek. Wasze następne statki ze specjalistycznym wyposażeniem przyjmujemy w Tom-

hecie, gdy tylko się z nami połączą. Czy to wam odpowiada?

- Owszem - odparł Jason. - W takim razie nie traćmy czasu.

Lecisz z nami? A może twoja misja dobiegła końca, a wielkiemu przywódcy nie wypada pchać się w samo piekło?

- U nas nie ma żadnych wielkich przywódców! - rozgniewał się Krumelur. - Są tylko gospodarze, czyli my. Gdy wydarza się poważne nieszczęście, przynajmniej jeden z nas zajmuje się problemem osobiście, nie bojąc się piekła. Nikomu innemu nie można zaufać. Rozumiesz?

- Rozumiem - skinął Jason. - Ci łysi też z tobą polecą?

- Oczywiście - powiedział Krumelur. - Zresztą o łysych porozmawiamy osobno, ale później. Teraz odbędzie się krótkie zamknięte posiedzenie, a was zawiozą na statek. Odpocznijcie, zjedzcie coś, przygotujcie się do lądowania w pasie równikowym. Przelot zajmie najwyżej godzinę. Monaloi jest planetą ziemskiego typu, tylko dwa razy mniejszą. To malutka planetka. Ale droga - dodał nie wiadomo po co, zamilkł i niedostrzegalnym ruchem włączył mechanizm drzwi. Tylko dureń mógłby nie zrozumieć, że audyencja dobiegła końca.

' kim będziemy w końcu walczyć? Z potworami czy z ludźmi? -

/zainteresowała się Meta.

Jason popatrzył na nią z szacunkiem i z zachwytem.

52

- Czytasz w moich myślach!

- W myślach nie czytam, co najwyżej odbieram emocje. Wszyscy ci ludzie bardzo mi się nie spodobali: i ci Nordycy, choć niby tacy układni, i ciemni choć bez rzes i brwi, nie mówiąc już o łysych mięśniakach.

- No proszę! - zdumiał się Jason. - Wydawało mi się, że zawsze ci się podobali silni mężczyźni.

- Sama sobie się dziwię - zgodziła się Meta. - Ale widzisz, ja lubię bojowników. A ci... - zawahała się - er są niewolnikami.

- Dlaczego tak myślisz? - spytał szybko Jason.

- Mają oczy jak wierne psy i mordy głupie jak moropy.

- Masz rację - uśmiechnął się Jason - interesujące spostrzeżenie.

Wszystko już było przygotowane do drogi, czekali tylko na Krumelura i jego gwardzistów, którzy mieli się pojawić lada moment. Monalojski lider oznajmił, że już wyjeżdża. Pyrrusanie postanowili zostawić na „Konkwistadorze” Dorfa, Lizę i jeszcze trzy osoby, by utrzymać stan gotowości bojowej wszystkich systemów ogromnego statku. Na Karaeli mieli jechać trzema superbotami, wyładowanymi wszelką możliwą bronią, specjalistycznym wyposażeniem i aparaturą. Postanowili zabrać też dość nietypowe dziwne rzeczy. Na przykład superwytrzymałe monomolekulame nici, specjalne rękawiczki, haki i czekany z arsenału alpinistów - w końcu jada w góry; spory zestaw trucizn i odtrutek na egzotyczne rośliny, termowytrzymałe sieci, klatki i pułapki - może trafi się jakiś prostoduszny potwór? Prócz tego arsenał broni, jaką można zamocować na sobie oraz na konsolach lekkich statków; uniwersalne szalupy do miejscowych przelotów; spory zapas ciekłego helu; potężne generatory jądrowe; grawimagnetyczne kompensatory; wszelkiego rodzaju lasery z dokładną modulacją do precyzyjnego oddziaływania na obiekty biologiczne... i tak dalej, i tak dalej. Kto wie, co się może przydać? Zawsze lepiej zabrać coś zbędnego, niż potem lecieć na złamanie karku na krążow-

nik po zapomniane rzeczy.

W końcu zjawił się Krumelur. Tuż przed startem. Monalojczyk poprosił Kerka, żeby załadował na lecący jako pierwszy superbot niewielkie pudełko o tajemniczej zawartości. Krumelur jak zwykle kręcił i mówił zagadkami: twierdził, że może otworzyć pudełko dopiero po wykonaniu niezbędnych czynności, w przeciwnym razie mogłoby dojść do niepożądanego reakcji. Kerk kategorycznie odmówił startu z nieznanym ładunkiem na pokładzie.

53

- Naprawdę nie ma tam nic strasznego! - zapewniał Krumelur.

- Żadnej tajnej broni! Boję się tylko, że gdy zobaczycie zawartość przed czasem, pomyślicie, że zwariowałem.

Kerk nie dał się przekonać. Musieli odłożyć start i wysłuchać wyjaśnień Krumelura.

- Wszyscy rdzenni Monalojczycy z przyczyn naturalnych są całkowicie pozbawienie owłosienia. Tak bardzo przywykli do swojej idealnie gładkiej skóry, że wszystkich ludzi pokrytych włosami traktują mniej więcej tak, jak my małpy albo tutejsze makadryle. Monalojczycy nazywają normalnie owłosionych osobników sierściuchami. W zależności od stopnia inteligencji ich reakcje mogą być różne: mogą nie uznawać za ludzi, żywić do nich nienawiść, odczuwać przemożny wstręt lub lekkie obrzydzenie, które potrafią ukryć. Dlatego wszyscy kolonizatorzy, zmuszeni do kontaktów z tubylcami, albo gołą się do gołej skóry, co nie jest złym rozwiązaniem w tym gorącym i wilgotnym klimacie, albo zakładają na głowę te oto sztuczne łysiny, to znaczy plastikowe czapeczki, szczelnie przylegające do głowy i praktycznie zlewające się ze skórą. Komu się one nie podobają, proszę bardzo, może się ogolić, tylko bardzo proszę, żeby zrobił to jak najstaranniej. Zawartość pudełka wyglądała niezbyt apetycznie. Przypominała trofea łowców skalpów, zwalone na stertę. Na niektórych dzikich planetach plemiona miały zwyczaj zdzierać skórę z głowy pokonanego wroga. Gdyby założyć, że przed Jasonem rzeczywiście leżą skalpy, to tutejsi łowcy musieli mieć szczęście wyłącznie do łysych ofiar. Czapeczki wykonane były dość zręcznie, łatwo się zakładały i nieźle wyglądały. Weselość wzbudziły tylko na początku.

- Kobiet również to dotyczy? - spytała przerażona Meta.

- Oczywiście - rozłożył ręce Krumelur. - Wszystkie kobiety są tu kompletnie łyse. To nawet ładnie wygląda - dodał. - Kwestia przyzwyczajenia.

- Dawaj tę czapeczkę - warknęła Meta.

Było jasne, że piękna i dumna amazonka nikomu nie pozwoli ogolić się na łysa.

- A gdybyśmy pojawili się przed nimi tacy... włochaci? - zainteresował się Jason.

- Mogą być nieprzyjemności. - Krumelur skrzywił się, jakby go coś zabolalo. - Duże nieprzyjemności. Przecież tłumaczyłem, jak tubylcy traktują „sierściuchów”.

Zaraz, zaraz - nie zrozumiał Jason. - Sam widziałem w por. kosmicznym, jak mieszały się z jasnoskórymi i włochatymi.

- Tak, masz rację - uśmiechnął się Krumelur. - Ale to byli wyjątkowi ludzie, którzy przeszli odpowiednie przygotowanie. Zaufaj mi.

poważająca większość tubylców zachowuje się tak, jak mówiłem.

- W takim razie jak udaje się wam z nimi żyć? - zdumiał się Archie, który właśnie przymierzał „łysinę” bardzo zadowolony rezultatu. - A jak radzicie sobie z kierowaniem ludźmi, którzy nienawidzą swoich panów?

- Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Mamy tu dość złożoną strukturę społeczną, w której każdy ma swoje wyraźnie określone, stałe miejsce. Rdzenni Monalojczycy to farmerzy, posiadacze małych gospodarstw rolnych. Właścicielami wielkich gospodarstw są sułtani. Tubylcy wybierani są również do pełnienia odpowiedzialnych funkcji w Karaelskiej Kompanii Agrarnej i w związkach pracowniczych zakładów przetwórstwa owocowego. Nad sułtanami stoi emir-szach, wybrany z tutejszej elity i wchodzący z prawem głosu doradczego w skład Wyższej Rady Planety, którą dzisiaj poznaliście. Musicie wiedzieć, że podstawową siłą roboczą na Monaloi stanowią sierściuchy, to znaczy nie-Monalojczycy, dostarczani tutaj z różnych planet Galaktyki. Ale te włochate indywidua mają zupełnie inny status. To przestępcy, którzy zgodnie z międzygwiazdowym porozumieniem odbywają tu swoją karę. Są na robotach reedukacyjnych. Niektórym dobrze to robi - dodał z dziwną intonacją.

- A więc jesteśmy na planecie-więzieniu! - wykrzyknął Jason.

- Interesujące odkrycie.

- To niezupełnie tak - zaprotestował urażony Krumelur. -

Oprócz plantacji, na których pracują skazańcy, mamy wiele wolnych farm. Zresztą... wykorzystywanie niemal bezpłatnej siły roboczej to nasz mały ekonomiczny sekret. Ta metoda była wielokrotnie wykorzystywana w historii ludzkości i niezmiennie dawała dobre efekty. Nie widzimy w tej praktyce niczego nagannego, co więcej... Prawie nikt nie słuchał Krumelura, może oprócz Jasona. Pozostali zajęli się swoimi zwykłymi obowiązkami. Przecież już wystartowali i lot trwał. Z czapczkami szybko się pogodzili. Tylko Stan, który dawno temu wyłysiał, nie mógł się zdecydować, czy włożyć to nakrycie głowy, czy zgolić resztkę włosów. Ważąc wszystkie za i przeciw, jednocześnie dość uważnie słuchał Krumelura. Teraz spytał:

54

55

- Mam przez to rozumieć, że bez tych łysin uznają nas za zbiegłych przestępców, schwytają, a potem zmuszą do pracy, tak?

- No... nie całkiem tak to wygląda - zawahał się Krumelur. -

Przecież będę z wami ja i moi ludzie, a oprócz tego jesteście uzbrojeni. Ale po co siać zamęt w duszach tubylców i przywozić ich do grzechu? To tacy wspaniali, weseli ludzie! Postarajcie się zachowywać wobec nich spokojnie i naturalnie. Spróbujcie też nauczyć się kilku słów w ich cudacznym narzeczu. Sam nie pożałowałem czasu, nauczyłem się monalojskiego i teraz z łatwością się z nimi porozumiewam.

- Czy to dzikusy? - zapytała nieoczekiwanie Meta z pyrrusańską bezpośredniością. Nie chciała bynajmniej urazić Krumelura.

On chyba dobrze odczytał jej intencje, ale skrzywił się, gdy odpowiadał chłodno:

- Wcale nie są dzikusami. Jeśli chcecie wiedzieć, Monalojczycy już dawno przyswoili sobie różne dobrodziejstwa cywilizacji.

- I bardzo dobrze - spróbował załagodzić sytuację Jason. Niewarto zaczynać sporu, jeżeli nie jest się gotowym. - Niech i tak będzie. To ty, Krumelurze, mówiłeś o nich w dość dziwny sposób. Rzecz jasna, będziemy na wszystko patrzeć własnymi oczami i postaramy się zrozumieć.

- To akurat jest niepotrzebne - sprzeciwił się Krumelur. - Wazszym zadaniem jest odnaleźć wysokotemperaturowe potwory i zniszczyć je, byśmy znowu mogli normalnie pracować. To wszystko. Jeśli przy okazji zobaczycie coś interesującego i będziecie chcieli się dowiedzieć, co to takiego, chętnie wam wyjaśnię. Oczywiście, nie będziecie mogli rozgłaszać tych informacji poza granicami Monaloi. Pamiętajcie o swoim zobowiązaniu. Nie jestem tu od oprowadzania wycieczek po planecie! Macie o niej wiedzieć tylko tyle, ile będziecie potrzebowali do wykonania zadania.

Ma rację, pomyślał Jason. Ale gra dopiero się zaczęła. Potrzebujemy tylko czasu.

Zbliżali się do miejsca, które znali z filmu obejrzanego na Pyrusie. Superboty szły lotem koszącym, tuż nad ziemią. Tego wymagały miejscowe reguły. Mogli z bliska obejrzeć straszne kamienne rzeki zastygłej lawy, która pochłonęła niedawno tyle istnień i zniszczyła ogromne przestrzenie urodzajnych pól.

- Ludzie już tu nie pracują - skonstatował Kerk.

- Zgadza się - potwierdził Krumelur. - Na razie nie musicie zakładać czapeczek. Dam wam znać, kiedy to będzie konieczne.

[Rozecie teraz przystąpić do wykonywania zadania. Aha, byłbym zapomniiał: drugim statkiem leci sejsmolog Wyższej Rady Monaloi. podczas pracy możecie mu zadawać dowolne pytania.

Po wylądowaniu najbardziej ożywił się Archie. Wreszcie zaczęła się interesująca praca. Stary Brucco też poweselał. Ten doświadczony fachowiec szykował się do zaktywizowania wszystkich swoich profesjonalnych nawyków do studiowania tutejszej biosfery. Kerk był ponury. Stan wpadł w zadumę. Meta wyraźnie się nudziła - nie zauważyła żadnych wrogów, nie było nawet najmniejszego zagrożenia. Jason wzmógł czujność. W grze nie ma bardziej niebezpiecznego momentu niż pozorny błogi spokój. Zeskakując z trapu na wypalony grunt Monaloi spodziewał się każdej potworności, która mogła nadejść z błękitnego nieba, z zielonej wysokiej trawy, ze zboczy gór, z kieszeni krumelurowskich ochroniarzy - skądkolwiek.

7

Setnik Furuhu ocknął się w ciasnym pomieszczeniu i długo próbował sobie przypomnieć, co się właściwie stało. Wokół nadgarstków nie miał już korzeni, w oknach nie było krat, a przez szybę wlewało się jasne światło - a więc nie jest w więziennym lochu. Ale dlaczego nikogo nie ma? Drzwi zamknięte, cisza... Nie mógł sobie przypomnieć, jak się tu znalazł. Głowę miał jak wypchaną świeżą trawą.

Furuhu złożył usta w trąbkę i zaczął głośno dmuchać, jakby chciał coś wysuszyć. Chyba własne szare komórki, które przemieniły się w mokre zielsko. „Suszenie” poskutkowało. Furuhu najpierw przypomniał sobie, kim jest i jak się nazywa, potem przywołał w pamięci gorący słoneczny dzień. Ołowiane chmury na horyzoncie... nadchodząca burza... opętany owocownik, wykrzykujący nie-

prawdopodobne zdania w łamanym monalojskim na przemian z budzącymi grozę imionami. A dalej? Dalej chyba stracił przytomność

56

57
i zaczęły się halucynacje. Wybuchwały góry, spływała z nich gorąca masa, ginęli ludzie, wszystko wokół płonęło, terrenobile gniotły gąsienicami owocowników i kosze z superowocami. A jego uratowano. Podjechał elegancki snabbus, wciągnęli go do środka i... teraz się obudził. W takim razie kiedy zaczął się ten sen czy utrata przytomności? Może ciągle jeszcze śpi? Co za zamieszanie!

Poplątane myśli przerwało pojawienie się w drzwiach osobistego ochroniarza sułtana Azbaja. Furuhu nie pamiętał jego imienia, ale twarz poznał natychmiast; nieraz się kontaktowali.

- Zaufany setniku Furuhu - oświadczył tamten uroczyście, trzymając w wyciągniętych rękach niewielki pakunek, zawinięty w żółte liście awahagi. - W imieniu emir-szacha Zulgidoja-al-Sahheta zostałeś mianowany osobistym ochroniarzem sułtana Azbaja. Weź ten mundur i szybko się przebierz. Za pięć minut masz być w gabinecie dowódcy ochrony huhuna Buburu. Korytarzem do końca i na prawo. To wszystko.

Rzucił na pościel Furuhu zawiniątko i wyszedł, trzaskając drewnianymi zelówkami.

Stało się! - pomyślał Furuhu, niecierpliwie zrywając żółte liście. Jak mógł się nie domyślić, co to takiego!

Na pół minuty przed wyznaczonym terminem były setnik stanął pod drzwiami swojego nowego szefa i nieśmiało zastukał w nie kostkami palców.

Rozmowa była dość dziwna. Nie tyle nieprzyjemna, ile zaskakująca. Zwierzchnik powitał go krótko, a instrukcję co do bezpośrednich obowiązków kazał odebrać u dowódcy oddziału. Wysoki przełożony potrzebował w tej chwili Furuhu, ale nie jako nowego osobistego ochroniarza, a jako byłego zaufanego setnika, świadka zdarzeń, które miały miejsce na plantacjach.

Buburu poprosił, żeby Furuhu przypomniawszy sobie po kolei i ze szczegółami wszystko, co wczoraj zaobserwował ze swojej wieżyczki (wreszcie mu powiedzieli, że to było wczoraj). Furuhu zaczął opowiadać bardzo starannie, nie pomijając najdrobniejszego detalu. Zataił tylko, że przyglądał się samicy owocownika czując nieodpartą żądzę. Zresztą, kogo to interesuje? Tym bardziej teraz. Gdy doszedł do opętanego owocownika, Buburu zaczął słuchać szczególnie uważnie. Zanotował coś na leżącej przed nim kartce papieru i wysłuchawszy zeznań Furuhu do samego końca, powrócił do najważniejszego momentu.

58

- Naprawdę pamiętasz każde słowo, które wykrzykiwał ten owocownik?

- Naprawdę, huhunie.

- Nawet te słowa, których sensu nie zrozumiałeś?

- Bardzo dokładnie pamiętam, huhunie. Powtórzyć? - zapytał bojaźliwie, jakby od wypowiedzenia na głos tych słów mogło wydarzyć się coś strasznego.

- Nie, nie trzeba - odpowiedział nieoczekiwanie surowo hu-

hun i Furuhu poczuł ulgę.

Buburu nacisnął żółte kółko pośrodku stołu i wyszeptał w kratkę wielkiego rozmównika:

- Sułtanie! Twój niegodny huhun Buburu ma coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Mów-zarządził Azbaj.

Furuhu dobrze znał ten głos, często słyszał go z głośnika.

- Sułtanie, ten człowiek pamięta wszystkie słowa i może je dokładnie powtórzyć.

- Wspaniale - odparł Azbaj. - Każ go do mnie przyprowadzić.

A to ci dopiero! - pomyślał Furuhu, idąc korytarzem w towarzystwie dwóch potężnych młodzieńców. Obaj byli o półtorej głowy wyżsi od niego, a przecież Furuhu nie należał do ułomków. - Coś takiego! Jak się teraz zachować? Od razu wszystko powiedzieć czy udać, że trochę zapomniałem? Przecież dla tych na górze te tajemnicze słowa są bardzo ważne. Może jego, niegodnego Furuhu, przedstawią samemu emir-szachowi? Trzeba tylko pociągnąć lianę. A jeżeli od razu wszystko wyłoży, powiedzą „dziękuję”, dadzą kopniaka w tyłek i z powrotem na plantację, a tam teraz gorąco, nieprzyjemnie i nawet niebezpiecznie. Trzeba bardzo uważać na słowa.

Wyszli na świeże powietrze i Furuhu zrozumiał, że przez cały czas znajdował się wewnątrz wysokiego muru otaczającego szklany pałac sułtana Azbaja. Pałac był rzeczywiście piękny. Biegł ku niemu szary ruchomy chodnik, na którym wszyscy trzej stanęli, tak jakby to była zwykła ścieżka. Jechali coraz szybciej, niemal z prędkością terengbili. Twarda dróżka nieprzyjemnie przypominała Furuhu strumienie gorącej cieczy płynącej ze zbocza góry. Widział wtedy, jak wpadając do wody szybko zastygają i stają się tak samo szare i twarde. Odegnął od siebie tę myśl i znowu zaczął marzyć o przyjemnych rzeczach: o swoim przyszłym losie, o tym, że nie wolno mu

59

r

poddać się biegowi wydarzeń i że musi spróbować samemu schwycić za gardło szansę powodzenia.

Sułtan Azbaj nie był sam w komnacie. Lekkim ruchem dłoni odesłał dwie półnagie nałożnice, gdy tylko w drzwiach stanęli dwaj młodzi giganci i świeżo upieczony ochroniarz Furuhu. Przed szerokim łóżem, na którym wśród pozłocistych poduszek póleżał sułtan, na rzeźbionym krześle siedział grubiotki człowieczek o bardzo jasnej skórze. Miał na sobie obcisłe czarne ubranie, dziwnie kontrastujące z kremowymi fałdami lekkiej tuniki Azbaja.

Sułtan ledwo zauważalnie skinął głową, witając wchodzących, którzy energicznie zgięli się w pół w rytualnej próbie dotknięcia czołem podłogi. Furuhu ze zdumieniem zauważył, że obu jego towarzyszom udało się tego dokonać bez większego trudu. Pozazdrościł im i pomyślał, że skoro tak trzeba, to będzie trenował i szybko nauczy się tej sztuczki.

Młodzi olbrzymi podsunęli Furuhu rzeźbione krzesło z wysokim oparciem, identyczne jak to, na którym siedział bładny jegomość, po czym opuścili pokoje sułtana. Jasnoskóry przedstawił się:

- Pomocnik sułtana Azbaja w kwestiach bezpieczeństwa,

Swamp.

Dziwne imię, pomyślał Furuhu, nie monalojskie.

Zauważył, że pomocnik nie tylko imię ma dziwne. Jego głowa miała zdumiewająco jajowaty, wydłużony ku górze kształt, a skóra twarzy, chociaż jasna, była nierówna, obwisła i porowata. Ale najbardziej przerażające były długie, rzadkie włoski wokół oczu - niemal takie same mieli owocownicy.

Furuhu zrobiło się niedobrze, ale postarał się ukryć swoje uczucia i udać, że niczego nie zauważa, że w ogóle nie patrzy na twarz pomocnika Swampa. Co go obchodzi ten człowiek? Osobisty ochroniarz Furuhu przybył do swojego sułtana na jego osobisty rozkaz.

To wszystko.

Mniej więcej to samo powiedział na głos, wstając z krzesła.

Chciał odpędzić od siebie nieprzyjemne i niebezpieczne myśli.

- Siadaj, Furuhu - rozkazał Azbaj i zaczął bez ogródek: - Jeśli pamiętasz słowa, które krzyczał opętany owocownik, powtórz je teraz. Głośno i wyraźnie.

I Furuhu powtórzył... Nieposłuszeństwo wobec sułtana było ponad jego siły. Nie umiał zdobyć się na żaden podstęp.

Z kim ty chciałeś ciągnąć lianę? - zadał sobie pytanie. Z samym sułtanem Azbajem? Śmieszne, Furuhu. Jesteś jak mały chłopiec. Ale to powiedział sobie później, gdy już miał czas, żeby wszystko przeanalizować. A wtedy po prostu powtórzył straszne słowa na głos. I, i nic się nie stało. Nie uderzył grom. Góry nie wybuchły, nie zaczęły płuć płynnym ogniem. Świat nie znikł. Nawet ludzie w komnacie nie zrobili żadnych gwałtownych ruchów.

Co prawda sułtan od razu zwrócił się do Swampa w nieznanym Furuhu języku, a Swamp mu odpowiedział. Brzmiało to, jakby się makadryle przekrzykiwały w zaroślach ajdyn-czumry wieczorami, potem zwierchnicy znowu przeszli na monalojski.

- Muszę połączyć się z emir-szachem - powiedział Azbaj.

- Proszę bardzo - zgodził się Swamp. - Ale teraz dużo pilniejszą sprawą jest przekazanie tych słów Faderom.

Furuhu nie bardzo rozumiał, o czym oni mówią. Coraz bardziej się przekonywał, że słyszy coś, co nie jest przeznaczone dla jego uszu. Po co w takim razie tamci przeszli na monalojski? Jeszcze go potem zabiją!

Na razie jeszcze nikt go nie chciał zwolnić.

- Masz rację - powiedział Azbaj do Swampa. - Na razie niech zaczną myśleć Faderzy. Emir-szach na pewno będzie chciał poradzić się duchów i cieni Alhinoju, ale musi trochę z tym poczekać.

Rzucił Swampowi swój rozmównik. Swamp postukał krzywym palcami w malutkie przyciski, usłyszał niezbyt wyraźną odpowiedź i zaczął mówić w nieznanym języku, którego często używali ochroniarze. Można było nawet zrozumieć niektóre słowa. W końcu pomocnik sułtana podał rozmównik Furuhu i poprosił:

- Powtórz sam te słowa. Boję się pomylić.

- Tak, jest, huhunie - odpowiedział Furuhu, z przyzwyczajenia stając na baczność.

Swamp uśmiechnął się słysząc ten zwrot. Najwidoczniej miał jeszcze wyższą rangę, a może pomocników sułtana z sierścią wokół

oczu nazywano zupełnie inaczej. Ale skąd Furuhu miał to wiedzieć?
Jest tutaj zupełnie nowy.

Jeszcze raz wyskandował swój tekst, niczym gadający ptak papegoja. I znowu nic się nie stało. Teraz te słowa przestały mu się wydawać straszne. Dlaczego właściwie tak się ich bał? Chyba przez to, że cały wczorajszy dzień był taki nieudany: ciężka pogoda, okropnie

60

61

zjawiska w górach, i jeszcze ta samica... To pewnie dlatego z jego głową coś się zrobiło. A teraz już jest wszystko normalnie, nawet dobrze, a będzie jeszcze lepiej...

Ale okazało się, że jednak nie wszystko jest w porządku. Podczas gdy Furuhu tak sobie rozmyślał, Swamp znowu rozmawiał z kimś w swoim makadrylskim języku. Rezultatem tej rozmowy było pytanie:

- Jesteś pewien, Furuhu, że tego opętanego owocownika zatłuczono pałkami na śmierć?

- Pewien - odpowiedział Furuhu.

I w tym samym momencie stropił się okropnie. Po pierwsze, nie rozumiał, skąd Swamp wie, co on powiedział. Przecież nie było go w gabinecie Bubu! A po drugie, za jednym zamachem stracił całą pewność. Widział zakrwawione ciało w brudnej wodzie, widział, jak w nią wpadało, chyba nawet widział... Chociaż nie, pęcherzyki powietrza najpewniej mu się przywidziały. Niby wiadomo, że takich ciosów kłującymi pałkami jeszcze nikomu nie udało się przeżyć, ale to tylko spekulacje, które zupełnie Swampa nie interesują.

A wstrętny tłuścioch dalej się dopytywał, czy zarejestrowano moment śmierci opętanego owocownika. Może ktoś odciął mu głowę? Albo wetknął pałkę w oko? A może wystarczająco długo trzymał pod wodą? Niestety, niczego podobnego Furuhu nie mógł potwierdzić. W duszy był pewien, że pobity owocownik musiał umrzeć, ale nie mógł tego udowodnić żadnymi faktami.

Swamp uznał za konieczne wyjaśnić:

- Problem polega na tym, setniku, że nie znaleźliśmy ciała tego opętanego. A skoro nie ma ciała, to znaczy, że on żyje. Na tym polega problem, setniku - powtórzył w zadumie jeszcze raz.

O wielki emir-szachu! Dlaczego on nazywa mnie setnikiem?! - zdenerwował się Furuhu. Czyżby mnie zdegradowali za to, że wypuściłem tego opętanego? Ale skąd mogłem wiedzieć? Skąd mogłem wiedzieć? - Furuhu o mało nie zaczął krzyczeć tak rozpierało go oburzenie.

- Nie jesteś niczemu winien, osobisty ochroniarzu - powiedział sułtan Azbaj, jakby czytając w jego myślach. - Po prostu spróbuj sobie przypomnieć. Postaraj się. Może widziałeś, jak ten opętany, powiedzmy, wychodził z wody albo dokąś szedł? Byłoby bardzo dobrze, gdybyś sobie przypomniał...

62

Furuhu sam rozumiał, że to by było bardzo dobrze. Ale naprawdę nie pamiętał, a bał się kłamać.

Żeby mu pomóc, pokazali kolorowe obrazki, przedstawiające różnych ludzi i owocowników. Miałrozpoznać wśród nich tego, który

krzyczał. Rozpoznał, ale to nie bardzo pomogło.

- Wszystko się zgadza - westchnął Swamp.

- Tak - skinął głową sułtan.

I obaj zamilkli.

Potem Azbaj zadał Swampowi pytanie - otwarcie, po monalajsku; zresztą nie musiał nic ukrywać, skoro wskazał Furuhu palcem:

- A co z tym?

- Na razie pod zamek - zarządził ostro Swamp. - W dobre warunki, ale pod zamek. Żeby go nie kusiło.

Sułtan jeszcze raz kiwnął głową w milczeniu. Furuhu zdumiał się. O wielki emir-szachu! -pomyślał. Kto tu jest ważniejszy? Sułtan czyjego pomocnik?

To jasne, że nikt by mu na takie pytanie nie odpowiedział.

W osobistym ochroniarzu zrodziły się poważne podejrzenia. Straszne podejrzenia. Widocznie Furuhu był jednak za mądry na swoją pracę. Dobrze, że go odsyłają pod zamek. Widocznie uważają, że jest niebezpiecznym człowiekiem. Społecznie niebezpiecznym, tak się to chyba nazywa. Za dużo różnych rzeczy wie, za dobrze wszystko rozumie...

Znowu wezwano ochroniarzy, którzy poprowadzili go przez wspinały dziedziniec sułtana Azbaja, tylko teraz nie w stronę muru, lecz w przeciwną- ku małemu domkowi na brzegu sztucznego stawu. Pomocnik Swamp szedł razem z nimi, przez całą drogę wyjaśniając Furuhu, że nikt nie chce go ukarać. Po prostu na planecie panuje teraz bardzo skomplikowana, szczególna sytuacja, jakby stan wojenny, dlatego należy zachować pewne rzeczy w tajemnicy.

Właśnie, pomyślał Furuhu, ten wielki człowiek nie życzy mi niczego złego, chociaż wygląd ma nieprzyjemny, przypomina owocownika, tylko przebranego i ogolonego. Pamiętam, jak opowiadali, że owocownika można ogolić, pozbawiając całej sierści, i wtedy wygląda prawie jak człowiek. Tylko wokół oczu nie można go ogolić. Oczy też mają jakieś inne...

Furuhu myślał tak długo, aż wymyślił, że nie wszyscy owocownicy są dzicy jak zwierzęta. Zdarzają się wśród nich osobniki mądre, 63

wykształcone, mające władzę. I właśnie one manipulują sułtanami, udając ludzi. A może... na samą myśl aż mu dech zaparło... może one już nawet samemu emir-szachowi rozkazują, jeśli umieją latać powietrznymi statkami i kontaktować się z ludźmi na innych planetach!

Gdyby można było czytać w jego myślach, zabito by go od razu, bez wahania. Ale nawet ten zamaskowany owocownik Swamp nie umiał czytać myśli. Zresztą nie było potrzeby: gdy Swamp zaczął pocieszać nowego ochroniarza, strach, przykrość i rozpacz odbiły się jednocześnie na twarzy Furuhu, niczym w zwierciadle.

Tymczasem podeszli do domku na brzegu stawu, gdzie Furuhu miał mieszkać. Swamp powtórzył:

- Na razie będziesz musiał siedzieć tu pod strażą, niej ako przestępca, lecz jako źródło cennych informacji. Kiedy wszystko się wyjaśni, zostaniesz zwolniony. Będziesz wiarą i prawdą służył sułtanowi Azbajowi. Jesteś młody, bystry, łatwo dojdiesz do stanowi-

ska osobistego ochroniarza emir-szacha. A potem... potem się dowiesz, jakie jeszcze istnieją stanowiska. Na razie ci to niepotrzebne. Aha, i jeszcze jedno - dodał na koniec. - W twoim nowym domu jest dużo dobrego jedzenia i beczułka czorumu, żeby ci się nie przykrzyło. Jeśli poprosisz, jeden z ochroniarzy zagra ci na gyndzie. A przed nocą przyślemy ci samicę owocownika. Furuhu już miał powiedzieć, „Dziękuję, huhunie!” - ale ostatnie słowa Swampa tak go zakłopotaly, że ugryzł się w język. Wykrztusił tylko:

- Dla...dlaczego właśnie samicę owocownika? Skąd... skąd wiedzieliście, że o rym marzyłem?

O wielki emir-szachu! - zbeształ się w duchu. Kto mi kazał zadać to drugie pytanie? Dałem się złapać jak mały chłopiec! Przed chwilą pomyślałem, że nikt z nich nie umie czytać w myślach, nawet ten mądrała, a tu nawet nie musiał czytać. To koniec. Pora się poddać. Szczere wyznanie win złagodzi wyrok...

Ale Swamp wytłumaczył sobie słowa Furuhu po swojemu i odpowiedział ze śmiechem:

- Dziwny jesteś, naprawdę. O samicach owocowników wszyscy marzą, bo w łóżku są dużo bardziej atrakcyjne od naszych kobiet. To wszystko, nie mam czasu. Bądź zdrow, setniku! To znaczy, tfu, wybacz... osobisty ochroniarzu! Miłego odpoczynku.

Pomocnik sułtana nie oglądając się ruszył szybko po ruchomym chodniku-

Dlaczego on po nim idzie? - przemknęło przez głowę Furuhu. - Przecież i tak jedzie.

Z roztargnieniem przechodził z pokoju do pokoju, oglądając swoje luksusowe więzienie. Bardzo mu się spodobało szerokie miękkie łóżko i mocne ławy z saratelli wokół stołu, na którym stała spora beczułka czorumu i dwa kubki. Jeszcze bardziej spodobała mu się mroząca szafa do przechowywania jedzenia, pełna owoców, warzyw i orzechów, wspaniała sala kąpielowa i bardzo sprytnie urządzona wygodka. Szybko się zorientował, że tutaj, jak w sali kąpielowej, można puszczać ze ściany strumyczek wody.

Gdy obejrzał wszystko raz, a potem drugi, trochę się uspokoił i mógł się zabrać do jedzenia. Czorumu też sobie nie żałował. Wreszcie położył się na łóżku, którą ugięto się pod nim jak wiosenny mech i mimo woli się zamyślił. Co się właściwie dzieje? Z nim, z sułtanem, z jego pomocnikiem, z całą planetą? Myśli płynęły leniwie, spokojnie, niemal pogodnie, ale nagle niczym poryw wiatru nadleciał nagły niepokój i wszystko zmiótł. Zagadkowe, niezrozumiałe słowa znowu wzbudziły w nim lęk, jeszcze silniejszy niż poprzednio.

Furuhu wstał, wyjrzał przez okno, przekonał się, że ochroniarz stoi daleko i nie może go słyszeć, potem podszedł do lustra i patrząc sobie w oczy, cicho, powoli i wyraźnie powtórzył słowa, przez które się tu znalazł:

- Odszukajcie Jasona dinAlta. Powiedzcie mu: to wszystko wina Teodora Solvitza.

8

T awę w szczelinach badali długo, aż do znudzenia. Wśród Pyrru-J—«an nie było sejsmologa, więc żaden z nich, nawet Jason, który

sporo nauczył się podczas lotu, pod względem wiedzy teoretycznej nie mógł równać się z monalojskim specjalistą. Natomiast w praktyce każdy Pyrrusanin doskonale znał zarówno przebieg erupcji, jak i ślady

64

5 - *Planeta śmierci 6*

65 pozostawione przez wrzącą magmę, niszczącą osiedla, kopalnie, przy-wracającą wnętrzu ziemi wydobytą z takim trudem rudę metalu. Ile wysp na oceanach Pyrrusa uległo zatopieniu albo powstało właśnie dzięki wulkanom! Pyrrusanie mogli nie wiedzieć, że erupcja, która miała miejsce na Monaloi, była typu wylewnego z elementami eks-plozywnymi, ale to, że góry tutaj nie tyle wybuchały, co raczej wypluwały gorącą i bardzo rzadką lawę, widzieli gołym okiem. Ratownicy z Planety Śmierci mogli poplątać rodzaje i kształty brekcji, ale nigdy w życiu nie weszliby na stygnącą skorupę lawy, gdyby istniał choć cień niebezpieczeństwa, że można zapaść się w ognisty potok. Monalojski sejsmolog o wyglądzie szacownego uniwersyteckiego profesora długo oprowadzał wszystkich zainteresowanych wzdłuż szczelin i szklistych rzek lawy, wymachiwał rękami i bez ustanku sypał specjalistycznymi terminami, często nie wyjaśniając nawet ich znaczenia:

- Proszę, oto typowy przykład pahoehoe... Ta skorupa typu aa świadczy wyraźnie, że temperatura lawy nie przekraczała dziewięć-ciuaset stopni... Spójrzcie proszę na te stożki rozprysku, jakby żyw-cem wyjęte z podręcznika geologii... A teraz chciałbym, żebyście zwrócili uwagę na te bomby i lapilli, tu, w tej dawnej kalderze... Zachowywał się, jakby nie oczekiwał od Pyrrusan reakcji, a raczej rozmawiał sam ze sobą. Jakby oprowadzał wycieczkę po swoim ulubionym muzeum i zachwycał się znajomymi eksponatami, ciesząc się ze spotkania z nimi, niczym ze starymi przyjaciółmi, i upajając się własną wiedzą. Niewiele było z niego pożytku. Jason próbował stanąć na wysokości zadania i wtrącić kilka terminów, jak większość w sejsmologii pochodzących z języka hawajskiego. Nikt go nie stuchał. W końcu nie wytrzymał i wypalił:

- Szanowny panie, wszystko to szalenie interesujące, ale wo-lelibyśmy usłyszeć, kiedy spodziewacie się kolejnego wzrostu ak-tywności sejsmicznej.

Uczony staruszek zaskoczony taką bezczelnością zamilkł, ni-czym wyłączony nadajnik, zamyślił się na kilka sekund, po czym niezrażony, grzecznie oznajmił:

- Biorąc pod uwagę wszystkie dostępne czynniki, obliczyliśmy prawdopodobieństwo i doszliśmy do wniosku, że kolejna erupcja nastąpi mniej więcej za trzy, cztery dni. Do tego czasu powinien być spokój.

- Dobra wiadomość - ucieszył się Jason. - Niech mi pan jeszcze powie, czy te podziemne potwory mogą wywołać erupcję przed waszym naukowo wyliczonym terminem?

- Niewiele wiemy o naturze wspomnianego przez pana fenomeny. Potwory zdolne są do wszystkiego, ale rezultaty naszych obserwacji, uogólnione statystycznie, wykazują, że do tej pory to one były uzależnione od wulkanów, a nie na odwrót. Dlatego sądzę że mimo wszystko trzy dni będziemy musieli poczekać. Uczony był zaskakująco uprzejmy, przyjemnie się z nim rozmawiało. Ale za dużo gadał, a Pyrrusanie mieli mnóstwo do zrobienia. Trzy dni do erupcji... - to ma być dużo? Żeby tylko zdążyli z żaroodporną aparaturą! - myślał Jason. W przeciwnym razie nie wiem, co będzie. Zresztą i tak musimy wcześniej rzucić okiem na te potwory.

Miał nadzieję, że im się to uda.

- Widzę, że wasz główny wulkan ciągle dymi - powiedział - Jak go nazywacie?

- Grugugużu-faj.

- Za długa nazwa - poskarżył się Jason. - Nie można by po prostu Faj? J v - Można - odparł uprzejmie seismolog. - Ale to zabrzmiałoby dość głupio. W naszym języku Faj oznacza wulkan. - Aha - mruknął Jason. - W takim razie będę mówił po prostu Gru. Wasz Gra spogląda w niebo otwartą gardzielą. Gdy wzbijemy się w powietrze, będziemy mogli zajrzeć do krateru i zobaczymy płynną lawę. A gdzie jest lawa, tam są i potwory. Mam rację? - Powiedzmy, że nie całkiem - ostrożnie odparł seismolog - Ale istnieje szansa. Spróbujcie, młody człowieku. Sam nie polecę z wami, jestem na to za stary. Poproście o pozwolenie pana Krume-iura. Stoi obok statku.

- Jakie pozwolenie? Mówi pan poważnie? Chyba nie powinno być z tym problemów. W przeciwnym razie po co byśmy tu lecieli? Krumelur nieoczekiwanie zaprotestował.

H*T- Tik r™ SP!_eSZn0 d° teg° piekła? NaJPierw wszystko dopadnie zbadajcie, zbierzcie więcej danych, przygotujcie się... i do-
Piero wtedy. Po co ten pośpiech? Nie rozumiem,

snn P-pusa?ie' P^ystochujący się ich rozmowie, wzięli stronę Jasona. Nie tylko przez solidarność - jak zwykle rwali się do walki

66

67

a wszelkie oczekiwanie, niezdecydowanie i przeciąganie doprowadzało ich do szaleńczego. Zakrzykany z czterech stron Krumelur spręczył się coraz słabiej:

- Wejście do krateru jest naprawdę niebezpieczne. Poczekajcie na wsparcie. Ze specjalnym wyposażeniem będzie wam łatwiej. A zresztą... spójrzcie tutaj. Obok głównego strumienia lawy były tu jeszcze wyrwy lawy bazaltowej typu szczelinowego. Na początek warto zająć się tymi śladami. Bez ryzyka dla statku i ludzi. Proszę, proszę, tutaj co jeden to wulkanolog! - pomyślał Jason. - Ale wymyślił! Pyrrusanie i praca bez ryzyka! Kupa śmiechu! O niczym dobrym to masowe wykształcenie nie świadczy. „Poważny biznesmen” nie martwiłby się tak o nasz statek i ludzi. Tu chodzi o coś innego. Trzeba będzie przycisnąć pana Krumelura! Trzymaj się, przyjacielu!

Jason miał dar perswazji i chociaż dyskusja trochę się przeciągnęła, w efekcie udało mu się wywalczyć prawo Pyrrusa do przelotu nad kraterem Grugugużu.

Czekali jeszcze na Brucco, który kręcił się zaabsorbowany po trawie, zbierając przykłady miejscowej fauny i flory. Z każdym znaleziskiem pyrrusański biolog dziwił się coraz bardziej, co wyrażało się w coraz głośniejszych okrzykach.

- O co chodzi, Brucco? - Pytali.

Ale on tylko się opędzał:

- Poczekajcie, przyjaciele, poczekajcie! Jeszcze nie do końca się zorientowałem. W tym wszystkim kryje się coś niezwykłego. Musieli oderwać go od tego pasjonującego zajęcia, bo był potrzebny w kraterze.

- Może to właśnie potwory stały się przyczyną twojego fenomenu? - zasugerował Jason.

- Nie - odpowiedział z przekonaniem biolog. Nic nie wyjaśnił, ale przez cały czas był milczący i nad czymś ze skupieniem myślał.

Archie też wyglądał na nieobecnego. Zdążył już przeanalizować spektra promieniowania dwóch miejscowych słońc, porównał te dane ze wskazaniem magnetometrów, starannie zmierzył stopień promieniowania kosmicznego, bardzo ważny z powodu cienkiej warstwy atmosfery Monaloi. Wreszcie dobrał się do ulubionego tematu - wpływu pól grawimagnetycznych na psychofizyczne, coś tam znalazł i dosłownie wpadł w trans. Równie dobrze można go było nie zabierać. Ale gdy Archie oderwał się na moment od rozmyślań i usłyszał, dokąd się wszyscy wybierają, oświadczył, że on też leci. Midi również się do nich przyłączyła. Tak jak Meta, nie lubiła puszczać swojego męża samego na niebezpieczne ekspedycje. Denerwowała się tak, że wołała wszędzie mu towarzyszyć. Pomogła jej obsesja Jasona na punkcie wykorzystywania fal telepatycznych do nawiązywania kontaktu z obcą inteligencją: Jeśli to, z czym się tu zetknęli, było inteligencją.

Grupa uderzeniowa składała się więc z Krumelura, Jasona, Ker-ka, Mety, Staną, Brucco, Archiego i Midi. Wyruszyli na najpotężniejszym z superbotów, z porządnym zapasem energii i płynnego helu w zbiornikach.

Wysoki i piękny, niczym sztucznie zbudowana piramida, wulkan Grugugużu-faj sączył jadowity, gęsty biały dym, przypominający śmietanę wypływającą z przepelnionego słoika. Dym nie unosił się w górę, jak powinien, ale spęzał w dolinę nieporządnymi, postrzępionymi kłębami.

Pyrrusanie zanurzyli się w niego jak w wodę. Od razu zrobiło się ciemno. Gdy spojrzeli w dół, na krater, okazało się, że zasłona dymna nie jest już biała, ale czarna. Po ciemnych kłębach pląsały złowieszcze czerwone błyski. W głębi krateru oczom Pyrrusan odśloniło się bulgoczące piekło.

- Schodzimy? - spytał Kerk.

- Oczywiście - skinął głową Jason.

Zaczęli powoli spadać niżej. Przyrządy nie radziły im podchodzić bliżej niż na pięć metrów. Włączenie grawimagnetycznej osłony nie pozwoliłoby na obserwację, a tym bardziej na ewentualny kontakt. Superbot zawisł więc nad jeziorem magmy w sugerowanym przez przyrządy punkcie. Od razu podjęto próby oddziaływania na płynną lawę - od prymitywnych pocisków plazmowych i ciekłego helu do sygnałów SOS. Co z tych środków zadziałało, nie wiadomo, w każdym razie z kilku punktów - podczas oglądania na grania okazało się, że było ich siedem - wyłoniły się identyczne istoty.

Ich agresywne nastawienie nie budziło w nikim wątpliwości. Sprężyste, mocne ciała z prawdziwymi (na oko) mięśniami, przelewającymi się pod prawdziwą (na oko) skórą, wyrwały się do góry w rozpaczliwych podskokach. Ręce-kleszcze uparcie próbowały dosięgnąć

68

69

pancerza statku i gdy jednemu z potworów w końcu udało się doskończyć, wypalił w poszyciu statku sporą dziurę - długą, głęboką, stopioną na brzegach. Wylali na potwory mnóstwo ciekłego helu, ale superbot i tak wystartował niemal ostatkiem mocy. Gdy statek wzniósł się wyżej, powstałe od gwałtownego wlotu strumienie powietrza rozgoniły gęsty wulkaniczny dym i oczom Pyrrusan ukazał się niesamowity obraz. Nie w kraterze wulkanu, tam i tak już wszystko było jasne, ale po drugiej stronie wąskiej przełęczy.

Od podnóża skalistych gór aż do samego oceanu, który niebieskim paskiem majaczył na horyzoncie, rozpościerały się pola. Pracowały na nich tłumy ludzi. Dosłownie tłumy. Ogromne ludzkie mrowisko. Początkowo ta mrówcza krzątająca

wydawała się cha-otyczna, ale wystarczyło zatrzymać wzrok na jakimś konkretnym miejscu, by pojąć, jak precyzyjnie zorganizowana była ta praca. Rów-noległe symetryczne grządki poprzecinane były prostopadłymi li-niami, w punktach przecięcia sterczały wieżyczki. Na każdej wie-życzce siedział jeden człowiek - nadzorca. Wielu innych nadzorców stało na dole, przy niewolnikach. To właśnie słowo wypłynęło z pa-mięci Jasona - niewolnicy. Pracowali tępo i równomiernie, jak ma-szyny. Jeśli ktoś poruszał się wolniej niż należało, nadzorcy poga-niali go ciężkimi pałkami.

Jason widział wiele zdziczałych planet, ale coś takiego mogło się tylko przyśnić w koszmarnym śnie. Wyglądało to jak kadr z filmu o strasznej przeszłości Ziemi. Ale tutaj wszystko działa się naprawdę. - Lecicie z powrotem, czy nie? - spytał niedbale Krumelur, jak-by to, co się tu działo, zupełnie go nie dotyczyło. - Dlaczego Meta nie zawraca i wisimy tu tak długo?

- Dlatego, że mojążonę, i mnie również, zainteresowało to nie-zwykłe widowisko - odparł ucziwie Jason, wypowiadając każde słowo powoli i z naciskiem. - To jest wasze wspaniałe więzienie? Czy to może twój bardzo poważny biznes? Nigdy nie widzieliśmy niczego podobnego.

- Raczej to drugie. Macie przed sobą nie tyle więzienie, ile poprawczo~robocze plantacje dla przestępców. - W tę stronę również spływała lava - zauważył jadowicie Ja-son. - Bardzo ciekawe ślady. Dlaczego nie mielibyśmy się nimi zająć? - Dlatego, że panuj ą tu niesprzyjające warunki. - Zapewne masz rację, Krumelur - westchnął ugodowo Jason. - Meta, wracamy.

- Na czerń przestrzeni! - oburzył się Kerk. - Dlaczego mówi-cie tylko o tych więźniach? A co sądzicie o głównym zadaniu? Spodo-bali się wam nowi wrogowie?

- Są gorsi od żądłopiórów - powiedziała Meta. - Wyglądają tak samo jak na tamtym filmie - zauważył Ar-chie. - Już wtedy powiedziałem, że trzeba będzie je zniszczyć. - Zgadzam się - odezwał się Stan. - Bezlitośnie zlikwidować.

- Uda się? - zapytał surowo Krumelur.

- Myślę, że tak - odparł Stan. - Zasada jest zrozumiała, a na-sze siły porównamy, gdy przywożą sprzęt. - Zgadzam się z wami - powiedział Brucco - ale nie do końca. Nie sądzę, żeby udało się je tak po prostu pokonać. Zaufajcie do-świadczeniu starca. One są zbyt podobne do zwykłych ludzi. I żyją w temperaturze tysiąca stopni! Trzeba będzie dobrze wszystko prze-myśleć, zanim zaczniemy wojnę.

- Od myślenia jest Jason - warknął Kerk, najwyraźniej niezadowolony z nowych komplikacji.

Jason nie zareagował na tę uszczypliwą uwagę. Nie myślał o czekającej ich wojnie. Zaprzętało go coś zupełnie innego. - Gdzie oni mieszkają, Krumelur?

- Wulkaniczne potwory? - nie zrozumiał Monalojczyk.

- Nie, ci wasi przestępcy.

- W barakach. Takie nieduże domki wokół plantacji. Na każdym osiedlu jest specjalny obóz dla owocowników... to znaczy przestępców pracujących na polu. Nie musicie się przejmować, krzywda im się nie dzieje, mają normalne łóżka i jedzenie, a klimat na Monaloi jest ciepły... Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie i Jason natychmiast prze-szedł do ataku:

- Często umierają?

- Zdarza się - odpowiedział wymijająco Krumelur.

I nagle zaatakował:

- Jakie to ma znaczenie? Jesteście z komisji praw człowieka? - Ja jestem członkiem komisji praw człowieka - oświadczył nieoczekiwanie Kerk, nieco przesadzając ze swoimi pełnomocnictwami. Zaledwie kilka razy brał udział w pracach tej komisji, bo zetknął się z wieloma drażliwymi problemami Galaktyki.

70

71

Zbity z pantaląku Krumelur przez chwilę otwierał i zamykał usta, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie wziął się w garść i ostro odpowiedział:

- Rozmowy z członkami podobnych komisji prowadzimy tyl-ko po okazaniu odpowiednich dokumentów. Oprócz dowodu tożsamości wymagany jest nakaz i listy polecające dla dwóch, podkre-ślam: dwóch ludzi. Pojedynczo się na inspekcje nie jeździ. Kto jest tą drugą osobą?

- Powiedzmy, że ja - zażartował Jason. - Uspokój się, Krume-lur, przecież wiesz, że nie przyjechaliśmy tu z inspekcją. I tak wie-my, że nie wszystko tu u ciebie w porządku. A to niedobrze. Inspek-cja może ci się zwalić bez uprzedzenia. Pomyśl o tym. Potwory, owoce, pieniądze... wszystko pięknie, ale o ludziach też trzeba pa-miętać, prawda?

- Dobra, Jason, nie prostuj mnie - mruknął Krumelur. Podobnych wyrażen używali kryminaliści na Cassylii. Zastana-wiające. .. Tymczasem przywódca planety udało się uspokoić. - Przecież ja właśnie o ludziach myślę - westchnął ciężko. - Jakżeby inaczej?...

Superbot wylądował na zielonym polu. Pyrrusanie, którzy zo-stali na dole, mieli do przekazania nowe interesujące wiadomości. Ci, którzy właśnie wylądowali, też mieli o czym opowiadać. Krume-lur popatrzył na ten pracowity rozgardiasz i z nutą rozpaczy w głosie zapytał:

- Przyjaciele, poradzicie sobie z tymi olbrzymami z lawy? - Oczywiście, że tak - uśmiechnął się Jason. - Jeśli tylko nie będziecie nam przeszkadzać.

Pod wieczór pojawiła się delegacja farmerów, której monalojski przywódca chyba sienie spodziewał. Służba obserwacyjna zdą-żyła uprzedzić o przybyciu delegacji, więc Krumelur polecił wszyst-kim Pyrrusanom, by włożyli idiotyczne sztuczne łysiny. Wyjątkiem 72 był Stan, który dobrowolnie ogolił się na łyso, i troje Pyrrusan, którzy zostali na pokładach statków. Obiecali, że pod żadnym pozorem nie wyjdą na zewnątrz. Pyrrusanie nigdy nie byli wścibscy, ale wyostrzo-ne poczucie zagrożenia powodowało, że na widok obcych kładli rękę na spuście broni. Nawet jeśli przybysze sprawiali absolutnie poko-jowe wrażenie.

Mieszkańcy Planety Śmierci nazywali wszystkich nieznanymi osob-ników obcymi, a przecież to farmerzy byli tutaj prawdziwymi gospoda-rzami, przynajmniej dopóki nie wydarzyło się nieszczęście. Widząc, że na ich ziemie zawitał sam Krumelur, tubylcy przyszli dowiedzieć się, jak długo jeszcze ich gospodarstwa nie będą mogły podjąć sezonowych robót. Nie wyglądali ani na rozdrażnionych, ani na złych, byli tylko zakłopotani, czego nie mogły ukryć przyklepione do twarzy uśmiechy. Terytorium katastrofy już drugi tydzień otoczone było kordo-nem żołnierzy - ze względów bezpieczeństwa, a także w celu umoż-liwienia pracy grupom badawczym. Od żołnierzy, jak wiadomo, nie sposób się niczego dowiedzieć. Farmerzy nie znali więc ani przy-czyn, ani skutków wydarzeń, i nie wiedzieli, co będzie dalej. Jedyna nadzieja w najwyższych zwierzchnikach. Na spotkanie z nimi wy-słano najmądrzejszych i najbardziej elokwentnych. Tak przynajmniej oświadczyli sami delegaci.

Krumelur nie podał im żadnych konkretnych terminów i nie miał niczego nowego do powiedzenia. Farmerzy uśmiechali się coraz bardziej niewesoło, ale nie spieszyli się z odejściem. Pojawienie się maszyn, które spadły z nieba, wcale ich nie uradowało. Teraz czeka-li na jakieś pocieszenie - wiedzieli, że wszystko katastrofalnie się przeciąga i zbiory mogą się po prostu zmarnować. Rozmowę prowadzono po monalojsku, Pyrrusanie nie rozumieli ani słowa. Jednak intonacja była wymowniejsza niż słowa i nie trze-ba było znać języka, by pojąć o co chodzi. Utalentowany lingwystycznie Jason opracował sobie nawet krótki słowniczek podstawo-wych terminów i przyswoił pojedyncze konstrukcje gramatyczne. Dzięki temu zdołał zrozumieć więcej niż inni. Na przykład to, że Krumelur sporo ukrywa przed miejscowymi; na przykład nie mówi im, kim są Pyrrusanie. „Co za różnica! Po prostu jeszcze jedna gru-pa uczonych i ratowników, przysłanych przez przywódców!” - Tak mniej więcej przetłumaczył Jason nerwową odpowiedź monalojskie-go bossa. Ciekawe, dlaczego nie mówi prawdy...

73

Cóż, skoro jesteśmy jeszcze jedną grupą uczonych, pomyślał Jason, spróbujmy to wykorzystać do własnych celów. Przywołując całe swoje językowe zdolności, zdołał ułożyć nie-zbyt skomplikowane zdanie po monalojsku i zwrócił się do tego z farmerów, który wydał mu się najbardziej bystry:

- Widzieliście to, co tu było?

- Tak - skinął głową farmer.

- Powiedzcie mi. Ja wiem mało. Chcę wiedzieć więcej. Pociągnął za sobą rolnika pod pretekstem, że chce być jak naj-dalej od zgiełku i zamieszania, co oczywiście oznaczało, że chce się znaleźć z dala od Krumelura. Przywódca wprawdzie czuł, że coś jest nie w porządku, ale ściganie obcego „specjalisty”, który odszedł na bok uznał za coś poniżej swojej godności. Musiał zachować twarz. - Przylecieliśmy z innej planety - ogłosił Jason na wstępie i szybko spytał: - Mówi pan w esperanto?

Z rozmowy po monalojsku niewiele byłoby pożytku. - Od razu się domyśliłem - odpowiedział szeptem farmer - ale niestety nie mówię w esperanto.

Cóż, okazało się to nieważne - to zdanie farmer wypowiedział w międzyjęzyku, rozglądając się ukradkiem. Krumelur nie mógł ich stąd usłyszeć, ale na wszelki wypadek farmer zaproponował, żeby odeszli trochę dalej, ku zastygłym stru-mieniom lawy, niby po to, żeby lepiej się im przyjrzeć. - Jak tylko zobaczyłem statki, domyśliłem, że jesteście z innej części Galaktyki - powiedział szybko farmer. - U nas takich nie ro-bią. Jest pan inspektorem?

- Nie - odparł Jason. - Jesteśmy grupą ratunkową. Przylecie-liśmy tu na prośbę Krumelura, by wybawić wasz świat od potwo-rów, które wychodzą z wnętrza ziemi.

- Wielka szkoda - westchnął farmer. - Poznajmy się. Nazywam się Urizbaj.

Jason nie rozumiał, czego właściwie żałuje Urizbaj, ale uprzej-mie się przedstawił:

- Jason dinAlt.

- Wielka szkoda, że nie jest pan inspektorem - rozwinął swoją poprzednią myśl Urizbaj. - Jestem może jedynym człowiekiem, który może opowiedzieć prawdę o Monaloi. Na naszej planecie źle się dzieje.

- To widać gołym okiem - mruknął Jason.

- Nie mówię o wulkanach ani o potworach. - Farmer machnął ręką z rozdrażnieniem.

- Ja też nie. Nie spodobały mi się za to wasze plantacje. Wasi wybawcy za bardzo przypominają pacyfikatorów. To wszystko jest bardzo zagadkowe: dziwny rząd, ogromne pieniądze, które za coś otrzymuje... Wątpię, żeby rzeczywiście za handel owocami... - Rzeczywiście za handel owocami - odezwał się jak echo Uri-zbaj, a potem zawołał, jakby się ocknął: - Na cienie Alhinoju! Jest pan bardziej bystry niż niejeden inspektor! Ale nie rozumie pan naj-ważniejszego. Postaram się panu wyjaśnić, co zdążę i zdołam. My-śle, że Krumelur da nam spokój przez jakieś piętnaście minut. Ale najgorsze jest, że niestety nie wszystko pamiętam. Należałoby chyba powiedzieć „nie wszystko wiem”, ale farmer wyraził się właśnie tak, zupełnie jakby był zgrzybiałym starcem, któ-remu szwankuje pamięć.

- Przejdźmy się wzdłuż tych śladów lawy i niech mnie pan uważnie wysłucha. Pytania zada pan później, jeśli zdążymy. Opo-wiada to panu?

- Na razie tak - odpowiedział dyplomatycznie Jason. - To dobrze. A więc Krumelur i pozostali Faderzy nie są rdzen-nymi mieszkańcami Monaloi. Nazywamy Faderami nie tylko pięciu rządzących, ale i wszystkich sierściuchów stojących u władzy. Nie jest ich w sumie tak wielu, nie pamiętam dokładnej liczby. To wła-śnie oni wykorzystując swoją przewagę techniczną zawładnęli pla-netą i ciągną z niej niewiarygodne zyski.

- To już zrozumiałem - wtrącił Jason. - Słowo „Faderzy” jest jednak dla mnie nowe. W takich sytuacjach będę musiał przerywać panu pytaniami. Sam pan mówi, że czasu jest mało. Proszę mi opo-wiedzieć, czym oni się tu zajmują.

- Źródłem zysku rzeczywiście są owoce, przede wszystkim aj-dyn-czumra. Nasi przodkowie przylecieli tu jako pionierzy wiele wieków temu. Od razu stwierdzili, że Monaloi to zdumiewająca pla-neta. Na tej ziemi wszyscy czuli się szczęśliwi. Nigdy nie było tu ani wojen ani przemocy, nie zabijano zwierząt. Nie ma tu drapieżników. Rozumie pan, jaki to niezwykły świat?

- Rozumiem, chociaż z trudem - odpowiedział Jason na to re-toryczne pytanie.

74

75

Urizbaj zmierzył go długim spojrzeniem, ale nie skomentował.

Kontynuował przerwany monolog:

- Jednak za wszystko trzeba zapłacić. Nie znamy chorób, ale długość naszego życia nie przekracza czterdziestu pięciu obrotów pla-nety wokół słońca. Nie znamy smutku i nieszczęść, ale za to mądra monalojska przyroda zrobiła coś dziwnego z naszą pamięcią. Nie pa-miętamy naszej historii, zapominamy to, co wydarzyło się kilka lat, a nawet miesięcy temu, niektórzy nie pamiętają, co działo się przed tygodniem. I ci są najszczęśliwsi. Im mniej pamięta człowiek, tym częściej się uśmiecha. Zapewne już pan zauważył, jak często uśmie-chają się Monalojczycy. Zawsze żyło nam się bardzo dobrze i wesoło. Słowo „wesoło” Urizbaj wypowiedział ze szczególnym smut-kiem. W jego opowiadaniu było mnóstwo sprzeczności. Uśmiecha-jących się bez przerwy Monalojczyków Jason zobaczył dopiero te-raz. Czy to znaczy, że pozostali nie byli Monalojczykami? Jednak na razie wołał o nic nie pytać.

- Nie potrzebowaliśmy innych narodów i światów - ciągnął far-mer. - Było nam tu wspaniale. Ale potem przylecieli tamci, Faderzy, i wprowadzili szalony zamęt w wykształcony przez stulecia obraz życia. Nadal uprawialiśmy pola, ale oni uważali, że praca posuwa się zbyt wolno. Potrzebowali dużo więcej owoców w dużo krótszym czasie. Nam się to nie udawało. Przywykliśmy pracować z radością i nie chcieliśmy zmieniać życia w męczącą pogoń za niezrozumia-łym celem. Przecież to skraca

życie. Faderzy w końcu pojęli, że im też się to nie uda. Wtedy przywieźli tu innych, żeby pracowali za-miast nas. Przyszłych pracowników nazywali brottslingami. Potem dowiedzieliśmy się, że w języku Faderów oznacza to „przestępcy”. Po monalojsku przywykliśmy ich nazywać owocownikami. Albo sierściuchami. Wie pan dlaczego?

- Wiem - odparł Jason.

- Nie lubimy ich - oświadczył Urizbaj przepraszająco. Po pro-stu nie czujemy do nich sympatii. Ale nigdy nie uważaliśmy ich za przestępców i od samego początku nie mieliśmy nic przeciwko ich obecności tutaj. Przecież na naszej planecie wszystkim zawsze było dobrze. Ten świat jest życzliwy dla wszystkich ludzi, nie ma w nim miejsca dla zła. A złe cienie, które tkwią w każdym z nas, się ujaw-niają dopiero w Alhinoju. Dobra i miłości, które promieniuje z Mo-naloi, wystarczało dotąd dla wszystkich. Powinno też wystarczyć 76 dla wielu tysięcy nowych ludzi przywiezionych przez Faderów. Ale stało się inaczej.

Nowi ludzie inaczej żyli, inaczej pracowali. Samo patrzenie na nich sprawiało nam ból. Ale okazało się, że nie wszystkim. Wtedy dowiedzieliśmy się, że ludzie są bardzo różni. Okazało się, że część tych, z którymi od urodzenia spożywaaliśmy ajdyn-czumrę i inne owo-ce, jest zdolna do przemocy, nawet do zabójstwa. Cały nasz świat sta-nął do góry nogami. Monalojczycy, którzy do tej pory byli nikim wię-cej,tylko farmerami, podzielili się na kilka klas: jedni zostali sułtanami, inni ochroniarzami i nadzorcami, a pozostali nadal uprawiali swoje pola. Z każdym rokiem stawało się coraz bardziej jasne: farmerzy nie są nikomu potrzebni. Nie zabijano nas, po prostu stworzono takie warunki, że sami zaczęliśmy wymierać. Powoli, niezauważalnie. Ale pozostaliśmy sobie wierni: monalojskim zwyczajem uśmiechamy się i cieszymy z każdego nowego dnia, z każdego nowego owocu. - Zaraz, zaraz - przerwał Jason. - Jeśli cieszy się i uśmie-chacie, to dlaczego pan mówi o nieznośnych warunkach życia? Sam pan sobie przeczy.

- Otóż właśnie, przeczę - skinął głową Urizbaj. - Nie zrozu-mielibyśmy nigdy, co się stało, gdyby nie pewne wydarzenie. Kilka lat temu dostarczono na Monaloi wielką partię zamrożonego mięsa. Nie jemy mięsa, nawet nie wiedzieliśmy, co to takiego, a wtedy spró-bowaliśmy. I okazało się, że od mięsa budzą się w nas wspomnienia. Mięso sprawiało, że stawaliśmy się zupełnie innymi ludźmi. Rozu-mie pan? To, o czym się dowiadaliśmy, żując pyszne kawałki pie-czeni, przeraziło nas, ale nie mogliśmy wyrzec się tej wiedzy. Za-chorowaliśmy na „mięsnąchorobę”. Tak się to u nas nazywa, chociaż każdy rozumiał, że tak naprawdę jest odwrotnie, że mięso okazało się lekarstwem.

Faderzy dowiedzieli się o tym i zaczęli w panice konfiskować uczciwie zarobione jedzenie. Wmówili nam, że to szczególne mięso właściwie nie było mięsem. Że na planetę, a już tym bardziej do far-merów trafiło przez pomyłkę. Zabierali całe mięso, jakie udało im się znaleźć. Tylko ja zdołałem ukryć spory zapas. Inni, którym się to nie udało, próbowali zabijać miejscowe zwierzęta i jeść. W imię nowej wiedzy gotowi byli do takiej zbrodni. Ale to nic nie dało. Niektórzy nawet zaryzykowali i spróbowali ludzkiego mięsa. Ale i to nie pomo-gło. Najwidoczniej tamto mrożone mięso było wyjątkowe.

77

Jasonowi wydawało się, że słyszał już o takim cudownym mię-sie, ale nie mógł sobie przypomnieć, na jakiej planecie hodowano tak niezwykle zwierzęta. Mógłby poszukać w elektronicznej bibliotece, ale według jakiego klucza? Nie miał żadnego punktu

zaczepienia. - Nie słucha mnie pan? - zapytał farmer, widząc nieobecny wzrok Jasona.

- Przeciwnie, słucham bardzo uważnie.

- Mówiłem o tym, że zabójcom i ludożercom pamięć nie wróciła. Ludzie zaczęli tracić odzyskane cudem wspomnienia. Tylko ja, moi najbliżsi przyjaciele i rodzina regularnie jedliśmy kawałki cudownego mięsa. Podtrzymywaliśmy i do tej pory podtrzymujemy w sobie wiedzę o prawdzie. Wszystko, co panu opowiedziałem, to właśnie obudzone wspomnienia. Od nikogo innego by się pan tego nie dowiedział. Moi współziomkowie unikają kontaktu, a gdyby zaczął pan zadawać pytania, usłyszałby pan zawsze tę samą odpowiedź: „Życie jest cudowne, nasz świat jest najlepszy, jesteśmy zawsze szczęśliwi”. Zamilkł na chwilę, jakby odpoczywał.

- A przecież na planecie źle się dzieje. Jest dużo gorzej niż można sobie wyobrazić. Pamiętam, że gdy mięsa było jeszcze dużo, przypomniałem sobie jedną straszną rzecz, ale teraz znowu zapomniałem. A mięso trzeba oszczędzać i boję się, że ta najważniejsza myśl przepadła na zawsze. Musi pan nam pomóc, Jason. Musi się pan dowiedzieć, co się dzieje na Monaloi. Potwory, które wyszły na powierzchnię, to coś nowego. Możliwe, że to agresorzy. Nie ich pierwszych skusiłaby nasza planeta. Ale nie to jest najważniejsze. Najpierw trzeba zrozumieć, co tak wszystkich przyciąga na Monaloi, skąd biorą się owocownicy, kim są Faderzy, dlaczego nie chcą zwrócić nam pamięci... Musi pan znaleźć źródło zła, które pojawiło się w naszym świecie. To właśnie jest najważniejsze... Jason już chciał wyjaśnić Urizbajowi, skąd biorą się owocownicy, ale w tym momencie farmer zauważył:

- Oho, Krumelur już do nas idzie! Coś wyczuł. Muszę przestać mówić w międzyjęzyku, jest zabroniony przez władze. To jeszcze jedna zagadka, której nie zdołałem rozwiązać. Ale kiedyś przypomniałem sobie, że międzyjęzyk był powszechnie używany. Tutaj najbardziej znany był język tafi, teraz zwany monalojskim. Niech się go pan nauczy. Jest bardzo prosty, a bez jego znajomości trudno tu będzie panu pracować...

_ No i co? - spytał Krumelur, podchodząc. - Kto komu opo-o tym, co się stało?

- Wzajemnie - wyjaśnił Jason. - Urizbaj opowiedział mi mnóstwo interesujących rzeczy. Przy okazji uczę się miejscowego języka, a sam w dowód wdzięczności przywróciłem nadzieję temu nieszczęsnemu farmerowi.

- Nieszczęsnemu? - zdumiał się Krumelur. - Na Monaloi wszyscy są szczęśliwi. To jego słowa?

- Ależ skąd - Jason starał się zatrzeć swój błąd. - Po prostu wyciągnąłem własny wniosek: człowiek, który nie może zajmować się swoją ulubioną pracą, jest nieszczęśliwy z definicji. - Chyba masz rację - zgodził się Krumelur. - Ale ten farmer może pracować. Po prostu teren jego zasiewów został tymczasowo okrojony. Nic takiego się nie stało. Nikt nie broni mu zajmowania nowych terenów. Na Monaloi wszyscy są bogaci, wszystkim jest dobrze. - Owocownikom też? - zapytał niedbale Jason, specjalnie wypowiadając to nowe dla niego słowo po monalojsku. - Co tu mają do rzeczy owocownicy? To są przestępcy. Nie powinno cię to obchodzić! - rozłościł się Krumelur. - Zrozum, są pełnoprawni mieszkańcy Monaloi, a prócz tego tymczasowa siła robocza. Im nie powinno być dobrze, bo zasłużyli na karę. - Jasne - skinął głową Jason.

Nie chciał się kłócić. Urizbaj stał obok nich, głupkowato uśmiechnięty, rzeczywiście nie znał esperanto.

- Posłuchaj, farmerze - Krumelur poklepał go protekcjonalnie po policzku. - Zabieraj swoich i idźcie. Jeśli grupa Jasona weźmie się na serio do roboty, wszystkie potwory zostaną pokonane w ty-dzień. Wtedy odzyskasz swój ą ziemię.

Krumelur mówił prostymi zdaniami, a Jasonowi wydało się, że wszystko zrozumiał.

Urizbaj uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zanim wyszedł, mru-gnął do Jasona. Krumelur albo tego nie zauważył, albo udał, że nie widzi. Czyżby naprawdę nie domyślał się, że ci dwaj spiskowali? A może to on wszystko zaaranżował? Może to zwykła prowokacja. Na wysokie gwiazdy! Kto wie, jacy naprawdę są ci farmerzy. Naj-wyższa pora przekroczyć przełęcz i pogadać z tymi owocownikami--brortslingami. Jason zauważył z góry, że wszyscy robotnicy byli włochaci, więc nie powinni skarżyć się na problemy z pamięcią.

78

79

Zaraz, zaraz... Skąd mu przyszło do głowy, że to ma jakiś związek?

Nie wiedział, ale czuł, że może mieć rację.

Rozmyślenia przerwał mu Krumelur.

- Teraz mi powiedz, co twoi ludzie zdążyli dziś zrobić i jakie nowe informacje zdobyli.

- Jest tego trochę - odparł Jason. - Chodźmy na statek. Wnio-ski, jakie wyciągnął Arenie, lepiej przedstawić na monitorze, a do-świadczania Brucco ciekawiej wyglądaj ą w laboratorium. - Chodźmy - zgodził się Krumelur.

Prezentacja osiągnięć naukowców szybko znudziła Monalój-czyka. A może to wcale nie Monalójczyk - pomyślał Jason? Pewnie powinni go teraz nazywać Faderem, jeśli ten zapominalski Urizbaj mówił prawdę. Sprawozdania Pyrrusan, naszpikowane specjalistycz-nymi terminami, wzbogacone dodatkowo były mnóstwem cyfr, ta-blic i wykresów.

Najważniejsze to pokazać, że praca wre, pomyślał jadowicie Jason, a rezultaty... Wybacz, stary, zobaczysz je na finiszu. Etapo-we odkrycia będziemy prezentować tak samo dokładnie, jak ty nam opowiadasz o rodzinnej planecie.

Gdy Krumelur zorientował się, że nic interesującego nie usły-szy, pokręcił sięjeszcze trochę po statku, chyba tylko z grzeczności, po czym nagle zaczął się spieszyć. Po zachodzie słońca odleciał na północ, zostawiając Pyrrusan na noc samych. Pomysł Jasona, żeby lecieć po ciemku za przełęcz nie zyskał aprobaty pozostałych Pyrrusan. Po pierwsze, nie było powodu do pośpiechu. Po drugie, nie warto psuć sobie stosunków z klientem. Po trzecie, mieli inne sprawy do załatwienia.

- Rozwiążmy wszystkie zadania po kolei - zaproponował Kerk. - Dobrze - zgodził się uprzejmie Jason, ale w głębi duszy po-został przy swoim zdaniu.

Rozmowa z Urizbaj em upewniła go, że nie uda się pokonać potworów bez rozwiązania głównej tajemnicy Monaloi. A jej roz-wiązanie kryj e się za przełęczą.

Jeszcze jeden dzień się tu z wami pobawię, myślał Jason, a po-tem znajdę sposób, żeby sam tam polecieć. - Cóż - zaczął, jak przystało na kierownika projektu - w takim razie proponuję zrobić podsumowanie, a potem opracować plany na jutro. Co u ciebie, Archie? Opowiadaj.

80

Zebranie przyniosło pewne efekty. Archie przepowiedział nasile-pjg aktywności wulkanu już na następny dzień, na przekór progno-zom monalojskiego specjalisty. Brucco był bliski rozwiązania zagad-ki miejscowej roślinności. Niewiele mu już

brakowało do pełnej oceny tutejszej symbiozy. Przekazana przez Jasona rozmowa z Urizbajem doskonale wpasowywała się w koncepcję, wypracowaną przez pyrusańskiego biologa. Stan zaproponował błyskotliwy i ekonomiczny sposób walki z potworami. Należało je atakować, zamiast strumieniami ciekłego helu, niewielkimi próżniowo-kriogenicznymi bombami, przeprowadzone przez Staną obliczenia wykazywały, że 2-kilogramowy pocisk helu, pod warunkiem użycia ukierunkowanej grawimagnetycznej powłoki, w zupełności wystarczy do unieszkodliwienia wielotonowego cielska wysokotemperaturowego potwora. Brzmiało nieźle. Jednak Jason, zaabsorbowany ideą pokojowego kontaktu, spytał Midi, czy nie udało się Archiemu jakoś rozszyfrować jej wrażeń podczas przelotu nad wulkanem. Na prośbę Jasona, który sam też podjął taką próbę na własną rękę, Midi z całych sił starała się nawiązać telepatyczny kontakt z potworami. Niestety, nie poczuł żadnego płynącego od obcych istot promieniowania. Wysokotemperaturowe potwory miały zupełnie inną naturę. Były pozbawione biopola w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Parapsychologiczne zdolności Midi zawsze były większe niż jego, więc Jason jeszcze się łudził. Niestety, ona też była praktycznie bezsilna. W odróżnieniu od Jasona poczuła jakieś emanacje, ale nie przypomniało to rozmowy w obcym języku, raczej szelest liści czy szum morza. Jak można rozszyfrować bezduszne i absolutnie bez znaczenia w naszym odczuciu szumy? Bo to był właśnie „telepatyczny szum” - ten termin wprowadziła sama Midi - daleki, przerażający, złowieszczy. Nawet tak genialny uczonec jak Archie był bezradny. Jason jednak nie tracił nadziei na kontakt. Był zmęczony wydarzeniami ostatnich dni, kiedy musiał rozwiązać jednocześnie kilka problemów, ale po rozmowie z Urizbajem i po zebraniu czuł, że jutro powinno wydarzyć się coś ważnego.

Gdy zasnął, przyśnili mu się wielcy włoscy ludzie z owocami zamiast głów. Stan zrzucił na nich kriogeniczne bomby, a ludzie, bardzo zadowoleni, zmieniali się w mrożone mięso i z apetytem zjadali się nawzajem, odrywając zębami jak największe kawałki. Krzyczeli przy tym wesoło: „Wszystko sobie przypomniał! Teraz Planeta śmierci 6

81

już wszystko sobie przypomniał!” Potem ziemia pod nimi za-drżała i pękła z trzaskiem. Huk był tak silny, że Jason się obudził, ale hałas trwał dalej. Zaczęła się kolejna erupcja. 10 r / ycie osobistego ochroniarza Furuhu stawało się z dnia na dzień Z-jcoraz przyjemniejsze. Różnych rozrywek miał po uszy, a pracy żadnej. Przynajmniej na początku. Zdarzały się męczące rozmowy z różnymi typami w rodzaju Swampa, tylko jeszcze bardziej nudnymi i paskudnymi. Zdarzało się, że zanurzano go w intensywnie pachnącej cieczy, świecono prosto w oczy różnokolorowymi mrugającymi latarkami, kluto cieniutkimi, łaskoczącymi igiełkami. Po tym wszystkim Furuhu po prostu zasypiał. Budził się przeważnie w łóżku albo we własnej sali kąpielowej, czasem przy stole. Bywało, że po tych wszystkich świństwach go mdliło, bolała głowa albo zaczynały dokuczać stawy, ale był młody, więc znosił wszystko dość do-brze i szybko wracał do formy.

Furuhu zaczynał pomału rozumieć, że go badają niczym nowy gatunek zwierzęcia. Że jest nietypowy. Jeden typ z wielkim nosem i w jaskrawożółtym płaszczu już pierwszego dnia spytał:

- Dlaczego tak dokładnie zapamiętałeś słowa tego opętanego? Ktoś cię o to prosił? Nie? W takim razie dlaczego? Dlaczego? - dopytywał się monotonicznie. - Przecież to niemożliwe, żebyś nie wiedział. Mów, dlaczego.

A Furuhu zapamiętał je bez wyraźnego powodu. Czego się cze-piają? Chociaż z drugiej strony sam wiedział, że nic się nie dzieje bez powodu. Tajemnicze słowa żyły w głowie Furuhu własnym ży-ciem. Poza tym mówił tym dokuczliwym ludziom o sobie, chociaż wcale tego nie chciał; nie zależało to od jego woli! Więc od czyjej? Gdy Furuhu pojął sens własnego przypuszczenia, o mało nie zaczął krzyczeć ze strachu. Przecież to kompletne szaleństwo. Wy-chodzi na to, że wewnątrz niego jest ktoś obcy. Jak w opętanym owocowniku! Wyglądało na to, że w żarciku niesympatycznego ochroniarza sułtana tkwiło ziarno prawdy. Chyba naprawdę jest opę-tany Później Furuhu się uspokoił. Zorientował się, że sprawa jest bardziej złożona niż myślał. Nie było sensu rwać włosów z głowy. Faderzy rozpoczęli kolejny eksperyment: nie dawali mu nic do jedzenia ani do picia przez dwa dni. A może trzy. Furuhu stracił rachubę. Nie wiedział nawet, że człowiekowi może być tak źle. To był koszmar. Przyjaciele opowiadali mu kiedyś o podobnym zdarze-niu, a on nie wierzył.

Leżał skurczony na podłodze, gryzł nogi stołu z twardej saratel-li i od czasu do czasu jęczał przez spieczone wargi:

- Zabijcie mnie! Zabijcie! Proszę, zabijcie mnie! Więcej nie był w stanie wykrztusić. A ci łajdacy stali wokół niego, przyczepiali mu coś do rąk i głowy. Furuhu było wszystko jedno. Po prostu chciał umrzeć. Po raz pierwszy w życiu. Przywrócili go do normalnego stanu dość gwałtownie, wstrzy-kując jakiś środek. Jeśli dobrze zrozumiał, okrutny eksperyment nie dał Faderom nic nowego.

Nie wiedział, kim są Faderzy, ale to słowo często powtarzało się w rozmowach, więc Furuhu zaczął tak nazywać swoich dręczy-cieli. W końcu musiał ich jakoś określić. Najpierw myślał o nich „żółci” - od koloru okropnych błyszczących płaszczy, w które cią-gle się ubierali. Ale żółci tylko robili mu zastrzyki i kąpali w róż-nych świństwach; ci, którzy lubili sobie z nim porozmawiać, ubiera-li się zazwyczaj w czarne obcisłe stroje, podobnie jak Swamp. Rozumiał już sporo słów w ich języku, i to nie tylko w tym, którym rozmawiali ochroniarze, ale i w makadrylskim. Żółci zauwa-żyli to i zasugerowali czarnym, by nie trzymali go w nieświadomo-ści, tylko nauczyli kilku rzeczy, skoro jest taki zdolny. Nauka języków była trudnym, ale interesującym zajęciem. W pewnym momencie Furuhu naprawdę to pochłoneło. Szczegól-nie spodobało mu się porównywanie tych samych pojęć w różnych językach.

Gdy przeszedł etap przygotowawczy, wręczono mu specjalną obręcz, zwaną hipnopromiennikiem, i polecono zapamiętywać sło-wa i reguły gramatyczne z tą obręczą na głowie. Wtedy dopiero za-częła się prawdziwa zabawa. Zupełnie jakby jakiś wariat siedział w Jego głowie i myślał dziesięć razy szybciej niż zwykły człowiek.

82

83

Furuhu znowu przypomniał sobie opętanych. Ale już się nie bał. TO było naprawdę zabawne. I ciekawe.

Hipnopromiennika nie odbierano Furuhu nawet na noc. Zaraziw-szy się od Faderów duchem eksperymentatorstwa, spróbował nawet jeść w obręczy. Natychmiast wyczuł nowe wspaniałe smaki. Potem pił czo-rum. Co za niewyobrażalne upojenie! Jak mawiali dziesiętnicy, niesamowity, oszalamiający haj. Nie zdejmując cudownego przyrządu, wziął do ręki gyndę, na której teraz sam nauczył się grać. To było coś! Nawet ptaki się zleciały, żeby posłuchać. Co prawda, ptaki mu się chyba przy-widziały, ale i tak wrażenie było bardzo silne. Wreszcie zaryzykował i nie zdjął obręczy podczas nocy z kobietą. Nieprawdopodobne! Gdyby tak mieć jeszcze jedną obręcz! - marzył Furuhu. Zwierzył się z tego pragnienia kolejnej przyjaciółce. Od tego

wszystko się zaczęło. Przyjaciółka była mianowicie samicą owocownika. Furuhu już dawno przestał uważać owocowników za brudne i dzikie stworzenia. Wstręt zastąpiła sympatia. Już wiedział, że oni są prawie tacy sami jak ludzie. Ba, po prostu są ludźmi, tylko innej rasy. Teraz w słowniku Furuhu pojawiło się takie słowo. Miał już za sobą kontakty z kilkoma samicami, wśród żółtych i czarnych też rozpoznał kilku przebranych samców i doszedł do wniosku, że owocownicy są bardziej rozwiniętą rasą niż ludzie z Monaloi. Na początku ta świadomość nim wstrząsnęła, ale teraz już miał pewność. Każdy, kto choć trochę orientował się w ogólnej sytuacji na planecie, nie mógł tego nie widzieć. A gdy już zorientujesz się trochę, to chciałbyś zorientować się jeszcze bardziej. „Chciałbyś” to zresztą niewłaściwe słowo - czło-wiek pragnie tego bardziej niż jedzenia, niż czorumu i kobiety. Z tym jedzeniem trochę przesadził... Furuhu przypomniał so-bie, jak gryzł stołowe nogi, i zwątpił w siłę swojego pragnienia wie-dzy. Ale na razie nikt nie kazał mu wybierać. Furuhu postanowił zaryzykować i porozmawiać poważnie. Z kim? Oczywiście z samicą owocownika. To znaczy z puszystą dziewczyną, jak nazywał ją teraz, odkąd zrezygnował z poprzedniego przezwiska. Nie przypadkiem właśnie jej zaproponował zdobycie drugiej takiej obręczy, żeby mogli jednocześnie i bardzo mocno poczuć siebie nawzajem. Zaskoczyło to chyba kobietę i stało się początkiem ciekawej rozmowy.

Furuhu nie pomylił się. Puszysta dziewczyna okazała się napraw-dę wykształcona, podobnie jak większość ludzi jej rasy. Wiedziała mnóstwo szalenie interesujących rzeczy o innych planetach, gwiaz-dach i gwiazdozbiorach. Zrobiła mu wykład z astronomii i kosmo-nautyki, a potem przeszli do spraw bardziej ziemskich, czyli mona-lojskich. Historia rodzinnej planety składała się dla Furuhu głównie białych plam. Okazało się, że do niektórych tajemnic owocownicy nie mają dostępu. W każdym razie puszysta dziewczyna nie wie-działa o pewnych ważnych wydarzeniach z przeszłości. Na przy-kład, skąd i kiedy pojawili się tu pierwsi osadnicy, a także kiedy ernir-szacha zastąpili Faderzy. Za to szczegółowo opowiedziała mu o samych Faderach. Tak nazywano kilku najwyższych przedstawi-cieli władz planety. Fader to po szwedzku ojciec, Fader - ojcowie. Wszyscy przywódcy i służba bezpieczeństwa, zarówno „na górze”, jak i „na miejscu”, posługują się uproszczonym szwedzkim. Furuhu poznał już ten język, ale jakoś nie skojarzył tego słowa, które znał z monalojskiego.

Cóż, ojcowie to ojcowie. Furuhu nie zdziwił się zbytnio. Dużo bardziej zainteresowało go, co znaczy „na górze” i „na miejscu”. Pu-szysta wszystko mu wyjaśniła. Mówiła o północnym kontynencie Tom-fastland i równikowym Karaeli. O specjalnych pomocnikach, którzy w każdym sułtanacie reprezentują faderską władzę. O tym, że ci po-mocnicy stojąponad sułtanami, a Faderzy nad emirem Zulgidojem. Furuhu aż się wzdrygnął, gdy nazwała Najwyższego skróco-nym imieniem. Tak nie wolno! Ale widocznie owocownicy się tym nie przejmowali. W końcu to wyższa rasa.

Były setnik zaczynał się powoli orientować, kto jest kim na pla-necie Monaloi. Cieszyło go to, chociaż sam zaczynał czuć się nie całkiem Monalojczykiem.

Uważał się teraz za niezwykłego człowieka. Wcześniej nazy-wałby się wyrodkiem; teraz, zachwycony, myślał o sobie jako o fe-nomenie. Owocownikom tacy jak on są potrzebni. Mogą go prze-szkolić, a potem wykorzystać w różnych projektach - do pracy naukowej, do zdobywania innych planet, opracowywania nowych technologii... Pewnie o takich stanowiskach mówił Swamp. Gdy Furuhu podzielił się swoimi marzeniami z puszy sta dziewczyną, ona nagle posmutniała. Nie rozumiał dlaczego, więc zaczął wypytywać. A im więcej wiedział, tym bardziej był ciekaw. Chciał

Wycisnąć z dziewczyny wszystko, co wiedziała. Kiedy już się wy-płakała, otarła łzy i wyszeptała:

84

85

- Nie wolno mówić tego Monalojczykom, ale tobie powiem. Wasza rasa nigdy nie zdoła opuścić tej planety. Nie możesz polecieć w kosmos. Nigdy nie będziesz zdobywał nowych planet. Jesteś przy-kuty do Monaloi, bo jesz niewłaściwe jedzenie. Widzisz... Nagle grymas bólu wykrzywił jej twarz. Puszysta dziewczyna wstała, ubrała się szybko i spytała:

- Mogę odejść?

- Oczywiście - odpowiedział kompletnie zbity z pantałyku Furu-hu. -Przyjdź jutro, dobrze?

Dziewczyna wyszła w milczeniu. Furu-hu po raz kolejny zdumiało własne zachowanie. Dlaczego ją wypuściłem? - zastanawiał się bez końca. ;|

Następnego dnia poprosił Swampę o przysłanie tej samej dziewczyny. |

- Nie da rady - odparł obojętnie Swamp. -\

- Dlaczego? - zdziwił się Furu-hu. |

- Dlatego, że dziś rano odrąbano jej głowę - wyjaśnił Swamp|> jeszcze bardziej obojętnie. * t - Szkoda - odparł Furu-hu nieswoim głosem. Nagle zachciało mu się płakać. Żaden normalny monalojski set-nik czy ochroniarz nie przeżywałby takich uczuć! Wstrząśnięty Furu-hu po raz pierwszy w życiu poczuł, że szkoda mu nie tyle spotkania z miłą partnerką, ale jej samej. Właśnie tej puszystej dziewczyny. Jak człowieka, jak... jak kobiety. Bardzo mu jest żal.

Żeby zmienić temat, zapytał:

- Ile dni już tu jestem?

- Dopiero dwanaście - wyjaśnił Swamp.

- A wydaje się, jakby całą wieczność. - Furu-hu był szczerze zaskoczony.

- Jasne - powiedział z dziwnym uśmiechem Swamp - Mnie i moim współpracownikom też się czasem coś wydaje. Przedstawiciel Faderów wygłosił to zagadkowe zdanie jakby niechcący. Ale Furu-hu nie dał się nabrać. Czy takiemu typowi jak Swamp mogło się coś przypadkiem wyrwać? Wykluczone. Po prostu chciał zobaczyć reakcję Furu-hu. Po co? Furu-hu miał już pewną hipotezę. Wszyscy ci „współpracownicy” - i czarni, i żółci, a może nawet sami Faderzy - boją się swojego byłego setnika. Zbyt szybko zaczął się zmieniać. Nie chcą go zabijać, żeby się nie zmarnował ^yyjątkowy eksponat. Zresztą... pewnie nawet nie zdołaliby go za-bić. Skoro Furu-hu jest taki wyjątkowy, na pewno umiałby się obro-nić. Albo ktoś by się za nim wstawił. Furu-hu był tego pewien. - Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Jasonem dinAltem? - wypa-lił nagle Swamp.

- A co, tak nazywała się ta puszysta dziewczyna? - zapytał głu-pio Furu-hu i dopiero w następnej sekundzie dotarła do niego absur-dalność tego pytania.

Swampowi wystarczyła ta szybka, odruchowa odpowiedź. Dla pewności zapytał:

- Naprawdę nie wiesz, kim jest Jason dinAlt?

- Naprawdę.

- Chwała Bogu - westchnął nie wiadomo dlaczego Swamp. Furu-hu znał już ogólny sens słowa „bóg”, ale o jakim bogu wspo-minał Swamp, nie miał pojęcia.

Nocą przysłano mu jednak puszystą kobietę z rasy owocowni-ków. Najwidoczniej Swamp szczerze chciał pocieszyć swojego nie-zwykłego jeńca. Kobieta nie była młodziutka, może nawet starsza od Furuhu, ale odznaczała się olśniewającą urodą. W jej ogromnych błękitnych oczach, okolonych długimi rzęsami (teraz takie szczegóły bardzo się byłemu setnikowi podobały) błyszczało coś niezwykłego! Furuhu poczuł się niepewnie.

- No, dosyć już tego przyglądania się sobie nawzajem, chodź tu szybciej, mała - powiedział gorącym szeptem namiętnego kochanka, aby ukryć nagłą nieśmiałość.

Ale piękna nieznajoma wyraźnie nie rozumiała po monalojsku. To go zbiło z tropu, dopóki nie przypomniał sobie, że istnieje język esperanto, który powinni rozumieć wszyscy. Furuhu szybko przetłumaczył swój tekst, okraszając go dodatkowo sprośnościami. - Za kogo ty mnie bierzesz? - oburzyła się puszysta, jakby była Wziętą do niewoli nałożnicą emir-szacha.

Furuhu przywykł już do dziwactw rasy owocowników i gotów był je wybaczać. W końcu to istoty wyższego rzędu, a zatem może to Wcale nie są dziwactwa, tylko przejaw mądrości. Ale jeśli ładacznica

86

87

zaczyna kaprysić i odmawia jemu, osobistemu ochroniarzowi sułtana Azbaja, wyjątkowemu mieszkańcowi planety Monaloi, wokół które-go na paluszkach chodzą sami Faderzy... to już przesada! Zrobił krok w stronę puszystej piękności i gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Wczoraj było łagodnie i czule, a dzisiaj ma być inaczej. To też lubił. Zwłaszcza dawniej, gdy był jeszcze żółtodziobem dziesiętnikiem. - Chodź tu, dziwko!

Nic więcej nie zdążył zrobić. Puszysta dziewczyna o wielkich błękitnych oczach wykonała ledwo zauważalny ruch i Furuhu nagle poczuł okropny ból. Spojrzał na dół.

Lewa ręka była złamana w przedramieniu.

11

Potwory zachowywały się dziwnie, no, ale przecież nikt nie wiedział, jak powinny się zachowywać. Ale w porównaniu z taśmą, przywiezioną przez Krumelura na Pyrrussa, i z krótkim starciem w kraterze logika zachowania wysokotemperaturowych monstrów tym razem była jeszcze trudniejsza do prześledzenia. Czym była dla nich erupcja? Sposobem ataku czy szansą uwolnienia? A może taką samą katastrofą, jaką było trzęsienie ziemi dla Monalojczyków? Wy-pływanie lawy mogło się okazać religijnym rytuałem. Te dziwne stwo-rzenia mogły zwyczajnie nie zauważać obecności innego życia. Miały ważniejsze sprawy. Możliwe, że potwory znajdowały się w stanie mistycznego transu czy ekstazy. Tej hipotezy nie można było wykluczyć, niektóre wyłaniające się ze szczeliny postacie wirowały ni-czym w tańcu, rozpryskując przy tym krople gorącej lawy, albo za-mierały wysuwając głowy ponad powierzchnię i ze smutną - zdaniem Archiego - zadumą oglądały okolicę. Stan twierdził, że nie mogło tu być mowy o żadnej zadumie, a dziwne medytujące sylwetki po-równywał z peryskopami bojowych maszyn. Niektórzy przedstawiciele gorącego narodu, podobnie jak przed-tem wynurzali się z rozpadliny wypełnionej magmą i z wściekłością chwyтали wszystko, co im wpadło w ręce. Byli jeszcze inni, niemal nieruchomi. Ci wydawali dziwne skrzypiące dźwięki, które przy du-żej dozie dobrej woli można było wziąć za mowę, chociaż bardziej przypominało to jęki rozpacz albo bojowy okrzyk przywódcy stada. Można było odnieść wrażenie, że to nie inna forma

życia, tylko nierozumne twory natury albo nieczynne, zepsute mechanizmy. Bruc-co nie mógł sklasyfikować potworów po rodzaju ich zachowania. Te same robiły za każdym razem co innego; wyczyny pozostałych nie zależały ani od rozmiaru, ani od koloru czy kształtu głowy. Jason zwrócił uwagę na jeszcze jeden szczegół: wszystkie potwory były stworzone na obraz i podobieństwo mężczyzny. Kobiet wśród nich nie było w ogóle - ale w takim razie jak się rozmnażali? Niewykluczone zresztą, że tak jak u ludzi, potwory wysyłały na wojnę tylko mężczyzn.

Dziwna to była wojna. Bezpośrednia agresja się nie zdarzała, ale niebezpieczeństwo z całą pewnością istniało. Czy spadające ze stołu gorące żelazko jest agresywne? Nie. A czy jest niebezpieczne? Niewątpliwie. Te oszalałe żelazka z rękami i nogami wyglądały bardzo groźnie. Zagrożenie wzrosło, gdy potwory podczas kolejnej próby zajęcia terytorium (albo nawiązania kontaktu - Jason nie przestawał wierzyć w ten wariant) zaczęły wydostawać się ze szczelin. Miażdżąc rozpalonymi nogami dymiącą roślinność, zdecydowanie ruszyły w stronę statków. Do tej pory Pyrrusanie starali się nie atakować. Woleli najpierw poznać zachowanie wroga, a dopiero potem przejść do poważniejszych działań. Zadali tylko kilka ostrzegawczych ciosów, ale raczej dla własnego bezpieczeństwa. A teraz musieli zacząć ostrzeliwać się na serio.

Kerk zdecydował, że najwyższa pora zaatakować całą mocą. Użyli działa jonowego i kriogenicznego miotacza bomb. Potwory znacznie szybciej wskakiwały do rozpadlin niż z nich wychodziły. Meta również nie żałowała pocisków, chociaż zawsze wolała strzelać po dokładnym wycelowaniu. Stan zrzucił na szeregi płomien-nych wojowników swój najnowszy wynalazek - ultradźwiękowy dezintegrator. Broń okazała się bardziej skuteczna niż można było przypuszczać. Zanim potwory zdołały ukryć się w strumieniach lawy, na skutek drgań rozpadały się na kawałki rozpalonej substancji. Nie-stety, te resztki były wyjątkowo nieodporne na tlen i nie dawało się ich przebadać. Bruc-co domagał się zdobycia choćby jednego całego potwora - żywego lub martwego.

89

f;TI

Okazja pojawiła się, gdy pewien szczególnie lekkomyślny potwór zbliżył się na dziesięć metrów do superbota. Pyrrusanie ostrze-lali go ze stacjonarnej broni bardzo delikatnie - nie chcieli go znisz-czyć, tylko unieruchomić helem. Następnie otoczyli olbrzyma i przygotowali się do transportu. I wtedy nastąpił nieoczekiwany wy-buch. Wzięty do niewoli potwór dokonał autodestrukcji, przemie-niając się w smętną kupkę popiołu.

Bruc-co na pewno potem przeanalizuje skład chemiczny tych resztek, ale nikt nie łudził się, że uda mu się wyciągnąć interesujące wnioski. Przekłete potwory po prostu nie chciały dostać się do nie-woli. Może rację miał Archie, który najenergiczniej z nich wszystkich, z prawdziwie pyrrusańską nienawiścią zwalczał wyłażących zewsząd obcych. Jakby niszcząc jedno, spodziewał się pojawienia nowych. Bardziej rozmownych? Zdaje się, że właśnie o tej hipote-zie mówił poprzedniego dnia Jasonowi.

Z samego faktu samobójstwa pojmanego wroga (jeśli to było sa-mobójstwo) można było wyciągnąć interesujące wnioski. Może to był tylko sprytny program robota? A może tymi potworami ktoś steruje na odległość? Właśnie do tych „sterujących” chciał się dobrać Archie. No nie! - zdenerwował się Jason. Żeby Pyrrusanie jeszcze się nie zorientowali, czy ich wrogowie są żywi czy mechaniczni?! Zresztą o co mi chodzi? Przecież tabuny zwariowanych naukowców robią, co mogą, żeby ta różnica stała się coraz trudniejsza do wykrycia. Jasonowi wydawało się czasem, że ostatnio na

Pyrrusie i in-nych planetach walczył wyłącznie z androidami i cyborgami. Ludzie stali się bardziej bezduszni i okrutni od robotów, a zwierzęta to potężne wojenne maszyny, przeznaczone wyłącznie do zabijania... Jason przestawał widzieć sens walki. Jako gracza, biznesmena i naukowca mierzył go jawny antyhumanitaryzm i bezmyślny przelew krwi, właściwe każdej wojnie. W ciągu całego życia Jason szukał - i zawsze znajdował - inne metody zwycięzania ludzi, potworów i całych światów.

Dzisiejszą rzeź również uważał za zbędną. Bardzo możliwe, że to konieczny etap w wymyślonej przez Pyrrusan operacji na wielką skalę, ale on nie miał ochoty w nim uczestniczyć. Chciał robić coś zupełnie innego.

Myśl pojawiła się nieoczekiwanie i jak zawsze błyskawicznie przerodziła się w konkretny plan działania. Póki wybuchają bomby i płonie ziemia, póki wojownicy obu stron miotają się w dymie i płomieniach, on zniknie z pola bitwy. To nie będzie dezercja, tylko sprytne taktyczne posunięcie. Jason nie czuł wyrzutów sumienia. I tak się tu nie przyda, a całe to piekło może potrwać jeszcze ładnych kilka godzin. W tym czasie on zdąży zrealizować swój plan i wrócić. To, co miał zamiar zrobić, miało ogromne znaczenie dla nich wszystkich. Nie było tylko czasu, by wyjaśnić cokolwiek Kerkowi czy Mecie. Z Krumelurem w ogóle nie warto rozmawiać, ba, mogło-by to być nawet niebezpieczne. Monalojczyk zbyt wiele chce ukryć, a w Pyrrusanach widzi tylko zwykłych wykonawców. Wybacz, stary, ty masz w tym swój interes, a my swój, pomyślał Jason. A do tego potrzeba innych metod. Zwykła strzelanina w takich sytuacjach nie wystarcza.

Już najwyższy czas trochę pokombinować i rozpocząć zwiad. Trzęsienie ziemi jeszcze się nie skończyło. Szczeliny podchodziły już prawie do statków. Najbardziej uparci farmerzy, którzy pozostali w pyrrusańskim obozie na noc, tym razem nie ucierpieli. Zdążono ich ewakuować ogromnymi pojazdami terenowymi na gąsienicach. Ale teraz mogły ucierpieć statki. Kerk rozkazał przerzucić powietrzno-kosmiczne siły Pyrrusan, a kilka uniwersalnych szalup polecił na wszelki wypadek trzymać w gotowości do wylotu. Kilka razy trzeba było wysłać desant na pole walki, żeby wyciągać z niebezpiecznej strefy strzelców otoczonych strumieniami lawy. Jason ocenił sytuację w dolinie, wziął jedną z szalup, pokrzyżył chwilę nad najgorętszym miejscem i skręcił gwałtownie w stronę gór, skryty za zasłoną dymu. Nikt nie zauważył tego manewru. Nie mieli do tego głowy. Kanonada nie milkła nawet na sekundę. Nad przełęczą Jason przeleciał bardzo powoli, tuż nad sterczącymi drapieżnie skałami. Po chwili zobaczył znajomy majestatyczny pejzaż, rozpościerający się od podnóża wulkanu do morza na horyzoncie: bezkresne plantacje rojące się od ludzi, kilkanaście budynków i pas ciemnej wody w oddali. Nad wybrzeżem wstawała siwa mgła, ale przez nią widać było wyraźnie, jak po wijącej się serpentynie drogi pełznie pod górę ciężki samochód. Jason potrzebował szalupy tylko do pokonania przełęcz, potem postanowił iść piechotą, żeby nie ściągać na siebie niczyjej uwagi. Umieścił maszynę w gęstych zaroślach, przykrył gałęziami i zaczął schodzić w dół po wąskiej ścieżce, którą wypatrzył z góry. Ścieżka prowadziła do niewielkiego osiedla, 91 położonego na płaskowyżu, kilkaset metrów nad rozpościerającymi się w dole polami.

Specjalnie wybrał jako pierwszy obiekt właśnie to osiedle. Nawiązywanie kontaktu z ludźmi, którzy pracują w pocie czoła, w dodatku w takiej masie, w dodatku pilnowani, było skazane na niepowodzenie. Najpierw trzeba poobserwować pojedynczych przedstawicieli różnych klas monalojskiego społeczeństwa z ukrycia, a potem spróbować się z nimi porozumieć. Może warto byłoby „wziąć języka”, jak to się niegdyś mówiło, dostarczyć jeńca do pyrrusańskiego obozu i dopiero tam o wszystko

wypytać. A potem zorganizować konfrontację z Krumelurem i zażądać szczerych wyjaśnień. Jason jednak wolał na razie ograniczyć się obserwacji. Urządzała go każda informacja. Musiał przecież wrócić do swoich przed zakończeniem bitwy.

Jak to zwykle bywa, wszystko poszło inaczej niż zaplanował. Gdy ścieżka wyprowadziła go na szeroką szosę, Jason usłyszał zza zakrętu szum motoru. Domyślił się, że do osiedla podjeżdża pojazd, który widział z szalupy. Z lotu ptaka środek transportu przypominał klasyczny autobus, tylko poruszał się dużo wolniej, wspinając się po fatalnej szosie. Jason przyjrzał się kamienistej jezdni. Dziwne! Na północnym kontynencie nowoczesna nawierzchnia autostrad lśniła niczym lustro.

Na razie to nieważne, pomyślał i zaczął się w krzakach w oczekiwaniu na coś interesującego.

Autobus, obliczony na jakieś dwadzieścia miejsc, z zewnątrz prezentował się całkiem nieźle, a do środka nie pozwalały zajrzeć ciemne szyby. Sądząc po zapachu spalin, jeździli tu na zwykłym oleju solarnym. Więcej nie udało się Jasonowi ustalić. Gdy szum silnika ścielił w oddali, wstał i ostrożnie poszedł drogą za samochodem. Do pierwszych budynków było już niedaleko. Domki nie były luksusowe, ale ładne i czyste. Nie wyglądały na baraki, w których nocowali nieszczęśliwi owocownicy, już przędzej mieszkała w nich straż. Cóż, porozmawiam z jednym z ochroniarzy, to powinno na początek wystarczyć, postanowił Jason. Podejdę do pierwszego lepszego domku i zastukam. Ciekawe, swoją drogą, czy oni mają tu zwyczaj stukać...

Nie dowiedział się.

Kompletnie pusta ulica w jednej chwili wypełniła się ludźmi. Zupełnie jakby czaili się w przydrożnych krzakach, tylko na niego czekając. Bronią wprowadzie nikt nie wymachiwał: nie mieli chyba przy sobie młotów. Procz gładkich pałek u pasa. Najwyraźniej byli to żołnierze, sądząc po jednakowych mundurach i wojskowej postawie. Całkiem łysi osobnicy (czyli prawdziwi Monalojczycy), o ciemnej, błyszczącej skórze, uśmiechali się od ucha do ucha. Otoczyli go i wszyscy naraz zaczęli mówić. Trudno było cokolwiek zrozumieć, więc Jason nie spieszył się z odpowiedzią. Wysłuchał się uważnie i w końcu zrozumiał. Żołnierze dyskutowali między sobą, kim on jest: Faderem czy owocownikiem.

Pora rozwiązać ich wątpliwości. Ale co ma powiedzieć? Oznajmić, że jest Faderem? Niebezpiecznie, nie zna miejscowych obyczajów. Przyznać, że jest owocownikiem? Samobójstwo! Zwiążą go i wyślą na pola razem z innymi. Wychodzi na to, że trzeba powiedzieć prawie prawdę:

- Bracia!

Ten zwrot Jason zapożyczył od Faderów. Od razu zrozumiał, że popełnił błąd.

- Ludzie! - poprawił się szybko. Zabrzmiało to jeszcze bardziej głupio. - Nie jestem Faderem, ale przyjacielem Faderów. Po ich minach zorientował się, że nikt tu nie używał takich zwrotów. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, jak z tego wybrnąć, gdy nagle myślenie przestało być konieczne.

Któryś ze stojących za nim uderzył Jasona pałką po głowie, po czym, dla większego efektu, pchnął pod żebra elektrycznym ochronnikiem. Jason krzyknął, napiął wszystkie mięśnie i automatycznie przyjął postawę bojową. Nie chciał strzelać, ale - przeklęty pyrruski nawyk! - pistolet sam wskoczył mu w dłoń. W tej samej chwili na głowę Jasona spadł nowy cios. DinAlt stracił przytomność.

12

Bitwa, a raczej masakra, została przerwana pod wieczór, gdy po-dwójne monalojskie słońce kryło się za horyzontem. Ocalałe - osobniki pochowały się, potoki lawy powoli gęstniały i zastygały.

92

93

Ziemia już nie drżała. Superboty wróciły na pozycje wyjściowe Pyrrusanie nie ponieśli prawie żadnych strat, tylko dwie osoby od-niosły lekkie obrażenia.

Nieobecność Jasona pierwsza spostrzegła Meta. Niemal jedno-cześnie Kerk nie doliczył się jednej szalupy. Hipotezy, że szef projektu mógł razem ze szalupą runąć w roz-paloną lawę nikt nie wziął poważnie.

- Po prostu się zmył - oznajmiła Meta. - Mówił mi wcześniej, że chce się dostać na drugą stronę przełęczy. - Wszystkim to mówił - burknął Kerk. - Ale jak śmiał? Bez konsultacji ze mną! Z nikim!

Kerk zacietrzewiał się coraz bardziej, zaczął nawet wymachi-wać pistoletem.

Na szczęście w obozie Pyrrusan nie było już Krumelura. Odle-ciał pół godziny wcześniej, bo dostał ważną wiadomość z Tomhetu. Przebiegły i skryty Fader nie wyjaśnił oczywiście, z jakiego powodu został wezwany. Wiadomości z pomocnego kontynentu najwidocz-niej nie wchodziły w minimum informacji, udostępnianych Pyrrusa-nom do ich pracy. Ale przynajmniej mogli do rana utrzymać w ta-jemnicy fakt zniknięcia Jasona. To było bardzo istotne. - Polecę za nim - zdecydowała Meta. - Od razu. Do rana na pewno go znajdę. W ten sposób Krumelur nawet się nie dowie, że Jason gdzieś latał. Unikniemy niepotrzebnego konfliktu. Archie był zdumiony spokojem Mety. Przez cały czas mówiła tylko o ich zadaniu, w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że niepokoi się o ukochanego.

To były tylko pozory. W głębi duszy Meta ani na chwilę nie przestała przeklinać się za to, że spuściła męża z oka. Jak mogła?! Teraz miała jeden cel: jak najszybciej odnaleźć i przywieźć Jasona z powrotem. Bez względu na cenę. Dyplomatyczne wyjaśnienie wy-myśliła wyłącznie na użytek Kerka.

Pyrrusański weteran nie dał się na to złapać. - Nigdzie nie polecisz! - ryknął j ak ranny zwierz. - Na razie j a tu dowodzę! Jason zawsze miał swoje tajemnice. Sam nawarzył so-bie piwa, niech sam je pije. Ciebie nigdzie nie puszczę, przynaj-mniej do czasu przybycia wsparcia.

- Właśnie, już niedługo mają przylecieć - poparł Stan Kerka.

Dzisiaj liczy się każdy człowiek. Jesteś nam potrzebna tutaj, Meto. A tam. • • nie mamy nawet pojęcia, w jaką kabałę wpakował się tym razem Jason. Dlaczego się z nami nie kontaktuje? Jaki ma plan? Co będzie, jeśli ty też przepadniesz bez śladu?! - Ja? - obrazila się Meta. - Ja przepadnę? W takim razie leć-my razem.

Kerk zbladł z oburzenia.

- Nikt nigdzie nie poleci. Zapomnieliście już, jak szybko zapa-da tu zmrok? Wszyscy natychmiast spać!

Ostatni rozkaz był nieco przedwczesny - Pyrrusanie nie jedli jeszcze kolacji. A po takiej bitwie każdy był głodny. Jednak zniknię-cie Jasona wielu osobom popsło apetyt. Nastrój był ponury. Archie jedną ręką trzymał widelec, a drugą bez przerwy rysował coś na ekra-nie. Tym razem Midi mu nie pomagała - nie miała siły. Brucco

po-stanowił odłożyć wszystkie swoje badania do jutra. Nie miał ochoty myśleć przy jedzeniu o zagadkach tej nieszczęsnej planety. Meta przeciwnie - zastanawiała się głośno i prosiła wszystkich, by razem z nią przeanalizowali minioną walkę. Towarzysze bronii odpowiadali jej wprawdzie apatycznie i bez entuzjazmu, ale cel został osiągnięty: nikt nie podejrzewał, że dumna Pyrrusanka ma jakieś tajne plany. Gdy się zupełnie ściemniło i wszyscy oprócz dyżurującego Stana już spali, Meta podkraśla się cicho do szalupy i odleciała bezszelestnie jak najdalej w ciemność. Dopiero wtedy ostro, z wariackim przyspieszeniem, do jakiego chyba tylko ona była zdolna, runęła do przodu, ku górskiej przełęczy. Leciła tak, jakby się bała pogoni. Ale pogoni nie było. Stan od razu wiedział, kto wziął szalupę. Poczł pyrrusański szacunek dla uporó i odwagi Mety. Nie budził Kerka - i tak nie udałoby im się dogonić niepokornej ślicznotki, słusznie uważanej na Pyrrusie za najlepszego pilota. Na podnoszenie alarmu tym bardziej było za wcześnie. Jason i Meta razem to potęga, głupio byłoby bać się o nich. Jak będą potrzebowali wsparcia, dadzą znać. Takie właśnie myśli przelatywały Stanowi przez głowę, gdy od-prowadzał wzrokiem nikiące w mroku światła malutkiego stateczku.

Szalupę Jasona Meta znalazła bez problemu. W końcu na Monaloi nie było aż tyle metalu, żeby nie odnaleźć byle jak ukrytego stalowego przedmiotu o wystarczająco dużej masie. Potem było już trudniej. Jakie mogą być punkty orientacyjne w ciemności? Przydałby się

94

95

pyrrusański łuskowaty pies - wyjątkowo brzydkie zwierzę, żyjące w nieprzebytej dżungli. Naxa nauczył Pyrrusan je oswajać. Łusko-wate psy okazały się bardzo przyjazne i oddane ludziom, a węch miały fenomenalny. Szkoda że nie ma teraz obok siebie jednego z nich.. Skoro nie mogła złapać śladu węchem, trzeba było użyć innych zmysłów. Połamane gałęzie, pomięta trawa, opadłe liście, odciski butów w wilgotnej glinie. Wypatrywanie takich szczegółów nocą, przy świetle latarki nie było łatwe. Gdy wyszła na szosę, była pew-na, że idzie dokładnie po śladach Jasona, ale zauważenie czegokol-wiek na tym przeklętym kruszywie nawet w jasny dzień graniczyło-by z cudem. Musiała zaufać intuicji. Ryzyko było duże - jeśli wybierze zły kierunek, straci mnóstwo bezcennego czasu. Po lewej droga ostro skręcała i spadała w dół, na plantacje, czy-li tam, dokąd pchał się Jason. Na prawo, w odległości kilkuset me-trów widać było jakieś zabudowania - promień latarki ledwo ich dosięgał. Niemożliwe, żeby Jason nie zajrzał najpierw tutaj, skoro to tak blisko, doszła do wniosku Meta. Też miał mało czasu, więc na pewno plantacje odłożył na później.

Bez wahania skręciła w stronę osiedla.

Słuszność wyboru potwierdziła się bardzo szybko. Przesuwając promieniem latarki po drodze, Meta już po dwustu metrach natknęła się na przedmiot, który rozpoznałaby wszędzie. Pośrodku kamienistej ścieżki leżał zgnieciony - kamieniem albo obcasem - psi-nadajnik Jasona. Na Monaloi takich nie używano. Meta obróciła w rękach spłaszczony pudełeczko z rozbitą szybką, pomyślała, że chyba da sieje naprawić i włożyła do kieszeni kombinezonu. Zresztą, tak czy inaczej, należało go zabrać - nie mogła przecież zostawić go na środku drogi w nieznanym osiedlu! O tym, co oznaczało podobne znalezisko, Meta nie zdążyła pomyśleć. Z tyłu dobiegły na razie dalekie, ale już wyraźne rozróżnialne głosy. Meta obejrzała się, gasząc latarkę, i skoczyła w ciemność przydrożnych krzaków. Po chwili obok jej kryjówki niespiesznie przedefilowała dzi-j waczna grupka: trzy całkiem normalne młode kobiety z długimi wło- i sami i dwóch łysych mężczyzn. Drogę oświetlali sobie latarniami o bardzo interesującej konstrukcji: z plecaczków, które nieśli męż-czyźni

sterczały długie żerdzie. Przymocowane do nich sześciany jasnych latarni dyndały na wspornikach pół metra przed ich twarzami. W ten sposób nocni wędrowcy oświetlali sobie najbliższy kawałek i; n'6 widzieli wiele więcej od czubka własnego nosa. Wyglądało na to, że jedynym zagrożeniem w tej okolicy były dziury na drodze. Ciekawe.

Kobiety były eskortowane, to się czuło. Wprawdzie nie miały więzów, nawet nie trzymano ich za ręce, ale i tak dziwna procesja bardziej przypominała konwojowanych więźniów niż spacerowiczów, fylonalojskiego Meta prawie nie znała, więc nie było sensu wsłuchiwać się w rozmowę, ale intonacja wydała się jej zupełnie pokojowa. Przepuściła grupę tubylców, wyszła ze swojego ukrycia i podążyła za nimi. To było najlepsze, co mogła zrobić. Latarki nie włączała. Ciekawiło ją, dokąd prowadzą nocą te trzy dziewczyny. Jason pewnie nic ciekawego nie zdążył zobaczyć, pomyślała. Rozgnieciony psi-nadajnik może oznaczać jedno: doszło do bijatyki, po czym Jason albo uciekł, albo go złapali. Jeśli uciekł, to raczej nie z powrotem w góry. Jeśli go złapali, to pewnie zaprowadzili tam, gdzie teraz te kobiety. Wróćmy do pierwszego wariantu, zdecydowała Meta. Jason uciekłby pewnie do jednego z przydrożnych domów, szukając pomocy u jakiegoś tubylca... Nie, w takiej sytuacji nie wybrałby pierwszego lepszego domu, w końcu to nie planeta Szczęście ani kamacze dzikich koczowników z plemienia Temudżyna. To rozwinięta cywilizacja. Skoro doszło do poważnego konfliktu, rozwiązać go mogą tylko miejscowe władze, choćby najniższą rangą lokalny naczelnik. A naczelnicy nie mieszkają w pierwszym lepszym domu. To było logiczne. Meta w roztargnieniu błędziła wzrokiem po obu stronach pustej ulicy, po ciemnych oknach sennych domów i uważnie obserwowała kołyszące się na przedzie dwie latarnie, rzucające na drogę kręgi białego blasku, poprzecinane ciemnymi cieniami. W pewnym momencie Meta zauważyła przed sobą wysoki, słabo oświetlony mur, wzdłuż którego posuwała się grupa. No jasne! - ucieszyła się. Właśnie za takim ogrodzeniem z drutem kolczastym na górze powinien mieszkać naczelnik, z którym Jason albo już się zaprzyjaźnił, albo do tej pory jest w konflikcie. Tam właśnie muszą się dostać. I dostanę się, choćbym miała rozwalić mur i iść po trupach, chociaż lepiej by było załatwić to po cichu. Szkoła Jasona! - uśmiechnęła się Meta do własnych myśli.

Znowu musiała się ukryć. Zrobiło się zbyt widno. Wielkie sześcienne latarnie nad masywną bramą płonęły martwozielonym światłem, które wysączało wszystkie barwy z otoczenia. Wrażenie było

96

7 -

Planeta śmierci 6

97

koszmarne. Widocznie specjalnie je tu zamontowano, żeby hipnotyzowały, dławili wolę tych, którzy przybyli tu nocą. Tuż przed wejściem do rezydencji miejscowego naczelnika stało co najmniej dwa-dzieścia dziewcząt. Meta zauważyła, że wszystkie są bardzo młode, ładne i zgrabne. Piękne były nawet te zupełnie łyse. Nałożnice, przy-pomniało jej się archaiczne słowo z jakiejś bardzo starej książki, którą czytała, kiedy jeszcze pasjonowała się problemami miłości, małżeństwa, i związków rodzinnych. Nałożnice z haremu. Nie ręczyła za prawidłowość użycia terminu, ale uznała, że jej domysł był słuszny.

Zaczajona w krzakach Meta przez piętnaście minut obserwowała, jak nałożnice przepuszczane są przez furteczkę w bramie. Łysy ochroniarz nie żądał od nich żadnych dokumentów ani jakichkolwiek przepustek, tylko na sekundę zapalała się specjalna lampa, oświetlając twarz kolejnej dziewczyny.

Fotografują, pomyślała Meta, żeby potem rozpoznać. To też wydało się jej zabawne.

Nie wszystkie dziewczyny mówiły po monalojsku, wokół było słycać mnóstwo różnych języków. Jason zaraz by się zorientował, która kobieta jest skąd. Meta dużo gorzej się na tym znała, ale w pewnym momencie usłyszała zdanie w międzyjęzyku:

- A pieniądze kiedy, panie?

- Zwracaj się do mnie „huhun” - odezwał się ochroniarz rów-nież w międzyjęzyku. - Pieniądze dostaniesz przy wyjściu. Nie pła-cimy z góry.

Ten krótki dialog był bardzo interesujący. Nałożnice, o ile Meta pamiętała, nie brały pieniędzy. Te, które pracowały za pieniądze, nazywały się jakoś inaczej.

Zauważyła, że dziewczyny nie zawsze przyprawdzali mężczyź-ni. Niektóre zjawiały się same, w dumnym odosobnieniu. I wszyst-kie były łyse. Meta już się zdenerwowała, że nie uda się jej podsta-wić za jedną z nich, gdy nagle pojawiła się zgrabna postać długowłosej blondynki. Była wysoka, ładnie zbudowana i w jakimś stopniu podobna do Mety. Pyrrusanka zrozumiała, że to jej jedyna szansa.

Prześliznęła się wzdłuż krzaków, przekonała się, że w pobliżu nikogo nie ma i wystrzeliła w dziewczynę igłę chemicznego paraliza-tora. Nic straszego - ocknie się za pół godziny. Blondynka upadła 98 szczęśliwie, nie rozbijając nawet swojej sześćciennej latarni. To bar-fjzo ważne, bez tego przyrzędu Meta wyglądałaby podejrzanie. Ko-biety podchodzące do bramy ubrane były tak rozmaicie, że w osta-teczności Meta mogłaby wystąpić w kombinezonie, ale wołała się zabezpieczyć: narzuciła zdjętą z nieszczęsnej nałożnicy pelerynkę, pod tą peleryną dziewczyna nie miała nic prócz spódnicy. Meta nie wiedziała, jaki jest na Monaloi stosunek do osób publicznie pokazu-jących się nago, ale nie miała innego wyjścia.'Ułożyła dziewczynę na miękkiej trawie w krzakach. Peleryna zasłaniała wszystkie odsta-jące kieszenie kombinezonu i przyczepione do niego obowiązkowe wyposażenie: medpakiet, latarkę, nóż, motek bardzo mocnej nici z hakiem na końcu i sprężynowym urządzeniem do wstrzeliwania, mini-kamerę, nadajnik i z dziesięć różnych rodzajów broni - czyli to wszystko, co każdy Pyrrusanin stara się zawsze mieć przy sobie. Naprzód! -zdecydowała.

A jeśli się nie uda? Nic się takiego nie stanie, bez trudu wszystkich zastrzeli i zniknie w ciemnościach. Co prawda wołałaby tego nie robić. I nie tylko dlatego, że starannie obmyśloną operację diabli by wzięli. Po prostu nie chciała zabijać ludzi. To już chyba wpływ Jasona! Podeszła do bramy. W jaskrawym świetle niczym nie różniła się od innych, nikt też nie zwrócił nanią specjalnej uwagi. Trzask aparatu i już była po drugiej stronie, gdzie od razu dwóch łysych złapało ją pod ręce i poprowadziło dalej. Niewiarygodnym wysił-kiem woli Meta stłumiła w sobie wewnętrzny protest i zmusiła wy-skakujący z kabury pistolet, by powrócił na swoje miejsce. Udało się. Musi dojść do końca, bo inaczej wszystkie przebiegłe kombina-cje, karkołomny plan i ogłuszona, naga dziewczyna w krzakach po-szłyby na marne.

Wytrzyma.

Na razie nikt nie zadał jej bólu, nie obraził ani słowem ani ge-stem. Zresztą nie próbowała nawet rozszyfrować sensu obcej mowy. Nagle zdała sobie sprawę, że ochroniarz, idący z lewej strony coś do niej mówi. Wsłuchiwała się w skupieniu i rozumiała: pytał, czy umie mówić po monalojsku.

- Nie - odparła Meta.

To słowo znała. Obaj ochroniarze zaśmiali się i powtórzyli pytanie po szwedzku. Pokręciła głową, nie siląc się na eksperymenty ze szwedzkim. Kolejny wariant pytania zabrzmiał w międzyjęzyku.

99

Meta drgnęła. Krumelur ostrzegał ich, że w międzyjęzyku się tu nie mówi. A może jeńcom z innych planet takie rzeczy uchodzą? Zwłaszcza jeśli nie mówią w żadnym innym języku. Skojarzyło się jej, że farmer Urizbaj nazywał międzyjęzyk owocownikowym. Więc o to chodziło! Trudno! Niechjąznajązaowocowniczkę, czy jak się to mówi. Tych dwóch w razie czego uda jej się pokonać bez problemu i hałasu. A do celu już chyba dotarli.

Zza drzew ukazał się miły domek nad brzegiem sztucznego stawu, okolonego kamieniami.

- Mówię w międzyjęzyku. Trochę - dodała na wszelki wypadek.

- No i dobrze - odparł ochroniarz i parsknął. - On też mówi.

Trochę. Poznacie się.

Meta nie zrozumiała, o czym albo o kim mowa, ale wolała powstrzymać się od pytań. Ochroniarz ciągnął:

- Idź do tego domu. Zrozumiałaś? Mamy tu jeszcze pełno ta-kichjaky. Inie próbuj uciekać. Mogą cię zastrzelić. Pewnie jesteś tu pierwszy raz?

Meta skinęła głową.

Wszyscy troje stali już na progu. Jej rozmowny towarzysz krzyknął coś niezrozumiałego w stronę okna. Śmieszne słowo brzmiało jak „ruruhu”. Możliwe, że to było imię, bo ochroniarz dorzucił w międzyjęzyku:

- Przyprawiliśmy ci samicę.

Do Mety nie od razu dotarło, że to o niej mowa, a gdy już zrozumiała, wolała myśleć, że się przesłyszała. Albo uznać, że to słowo w obcym języku znaczy...

Przerwała rozmyślenia, bo dwaj ochroniarze odeszli na kilka kroków, zatrzymali się nagle i, nadal w międzyjęzyku, zaczęli się zastanawiać nad bardzo interesującą dla Mety kwestią:

- A może trzeba jabyło zaprowadzić prosto do kazamatów sułtana Azbaja, tam, gdzie siedzi ten opętany owocownik, którego nie-dawno złapali?

- Nie, nie! - odpowiedział stanowczo drugi. - Pamiętam dokładnie: właśnie tu, do tego stukniętego.

Wkrótce ich kroki ucichły w oddali.

Pokusa, żeby natychmiast odnaleźć kazamaty sułtana, była bardzo silna, ale to mogło się okazać wyjątkowo nierozważne. I niebezpieczne.

100

(który to już raz?) podporządkowała się głosowi rozsądku. W końcu, skoro tutaj na nią czekali, to może właśnie tu uda się coś wyjaśnić. Tym bardziej, że skoro zostawili ją samą, to raczej nie po to, by urządzić egzekucję. Chyba miała zabawiać jakiegoś typu, niczym getejsza czy partyzana. Uczciwie mówiąc, Meta nie pamiętała, jak nazywano takie kobiety w zamierzonych czasach. Ale i tak mogła się od razu domyślić, jaki jest cel tych nocnych wizyt-Cóż, amatorze nieznanym kobiet, witaj! -

pomyślała Meta, uśmiechnęła się przekornie i otworzyła drzwi na oścież. Mężczyzna, który wyszedł jej na spotkanie, okazał się młodym, ciemnoskórym, wysokim, muskularnym i dość atrakcyjnym osobnikiem, jeśli nie brać pod uwagę całkowitego braku owłosienia. Uśmiechał się od ucha do ucha i wpatrywał w Metę z nieukrywaniem zachwytem i pożądaniem. Mówił przy tym coś po monalojsku gruchającym gło-sem. Miała wrażenie, że były to jakieś niewybredne świństwa. Intuicja jej nie zawiodła. Gdy tylko tubylec się zorientował, że kobieta po monalojsku nie rozumie ani słowa, przeszedł na esperan-to. Pierwsze zdanie zabrzmiało tak:

- Co tak chowasz pupę i wypinasz pierś? Chodź tu szybciej, mała!

Wyciągnął łapy ku upragnionej kobiecie.

- Za kogo ty mnie bierzesz?! - dławiąc się z oburzenia wypaliła Pyrrusanka.

Czując, że ręka tysego chwyta ją za ramię, Meta nie czekała na rozwój sytuacji. Chrzęst łamanej kości zagłuszył skamlanie Mona-lojczyka.

13

Jason ocknął się w wilgotnej, ciemnej piwnicy. Słabiutkie światło ko sączyło się gdzieś z góry, ale chyba nie z okna, a z jakiejś szczeliny. Przede wszystkim obmacał głowę. Włosy miał zlepione zaschniętą krwią, ale bólu już nie czuł i nie mógł wymacać rany. Musiało minąć sporo czasu albo przysłużyła mu się zdolność do szybkiej regeneracji 101 tkanek. Podświetlacz zegarka nie działał. Trudno, skoro zawiódł naj-prostszy ze sposobów, trzeba będzie inaczej się dowiedzieć, która godzina. Najważniejsze, że nie zabrali mu wszystkiego, nie rozebrali do naga - a więc istniała szansa na wydostanie się stąd. Możliwe, że uda mu się to, zanim po niego przyjdą. Jeśli w ogóle przyjdą. Ostatnia myśl była szczególnie przykra. Na tej idiotycznej planecie wszystko jest takie nielogiczne! A jeśli to nie byli żołnierze, tylko zwykli bandyci! Zabrali mu broń, nadajnik, latarkę, sprzęt al-pinistyczny, a medpakiet i parę innych rzeczy zostawili, bo nie znali ich przeznaczenia. Następnie wrzucili go do głębokiego dołu - braterskiej mogiły wszystkich ograbionych. Nie mógł tego wykluczyć. Musiał sprawdzić, czy kości są całe.

Były. Kiedy udało mu się wstać, rozmasował zdrętwiałe mięśnie i zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby oświetlić otoczenie. Niczego takiego nie znalazł, więc zaczął po ciemku obmacywać swoje więzienie. Kiedy trafił nagorzstkie, ale sztucznie obrobione ściany ucieszył się. Więc jednak więzienie, nie grób. Może jeszcze będzie komuś potrzebny. Może nawet dadzą jeść. Ale co dalej? Medpakiet, przymocowany do ręki pod rozerwanym kombinezonem, zaczął działać, więc fizycznie Jason nie czuł się najgorzej. Za to gnębiła go nieświadomość dalszego losu i wstyd za własne idiotyczne zachowanie. Dał się podejść jak żółto-dziób, jakby po raz pierwszy trafił na obcą planetę. Czy to wpływ opowiadania farmera? Świat bez przemocy, bez wrogów i drapieżników, wszyscy szczęśliwi... Ale przecież Urizbaj wspomniał, że przybycie Faderów wszystko zmieniło. A Krumelur w ogóle zabronił im się tu pchać. Może mówił to w dobrej wierze? Przecież Jason jest mu potrzebny. Nie życzyłby mu źle...

Na wysokie gwiazdy! Co on wie o siłach rządzących tą planetą? Może nawet Faderzy nie kontrolują całkowicie sytuacji? Może nie tylko potwory, ale również zbuntowani przywódcy innych klanów i kast od dawna próbują zachwiać delikatną równowagą tego dziwnego świata?

Odechciało mu się uciekać. Spróbował krzyknąć. Echo odbiło się od ścian jak w studni. Zrozumiał, że sufit jest bardzo wysoko. Czekał na odpowiedź, ale bez rezultatu.

Wreszcie znalazł drzwi. Więc jednak nie zrzucili go z góry. Przez wąskie szczeliny między łączonymi metalem deskami sączyło się słabe światło. Jason przypadł do jednej ze szpar, ale nie zdołał niczego wypa-trzyć. Zdeterminowany krzyknąłjeszcze raz, tym razem w stronę drzwi:

- Ludzie! Ocknąłem się!

Dla zabawy powtórzył to zdanie we wszystkich znanych mu ję-zykach. Wreszcie w głęboką ciszę piwnicy, do tej pory zakłócaną je-dynie monotonnym kapaniem wody, wdarł się nowy dźwięk: skrzy-pienie jakiejś drewnianej konstrukcji, chyba schodów. Czyżby kroki? Ktoś długo gmerał kluczami w zamku i wreszcie drzwi się otwo-rzyły. W prześwicie stanął łysy ciemnoskóry Monalojczyk z pochod-nią. Za nim, kilka schodków wyżej, na stromych schodach Jason zauważył jeszcze dwóch. Można by się na nich rzucić, ale kto wie, ilu ich tam jeszcze stoi? Lepiej pogadać.

- Chcę się widzieć z twoim przełożonym - powiedział Jason w esperanto.

Monalojczyk mruknął coś niezrozumiałego i Jason powtórzył zdanie po monalojsku.

- Rozmawiaj ze mną - zaproponował wielkodusznie trzyma-jący pochodnię.

Jason wprawdzie wątpił, żeby miejscowi naczelnicy schodzili do podziemi z kluczami i pochodniami, ale nie miał innego wyjścia. - Kiedy mnie wypuszczą? - zapytał od razu. - Gdy Najwyższa Rada Zakonu Cieni Alhinoju zdecyduje, że nadszedł czas. Jestem jednym z członków Najwyższej Rady, ale nie mogę decydować bez kworum.

Odpowiedź była bardzo wyczerpująca, choć nie miała większe-go sensu, więc początkowo Jason milczał zdezorientowany. Po chwili spróbował dowiedzieć się o szczegóły.

- Ile dni będzie potrzebować Najwyższa Rada Zakonu Cieni Alhinoju na podjęcie decyzji?

Bardzo się starał nie przekreślić nazwy organizacji, o której przy-bysz mówił z taką człołobitnością, jakby każde słowo wymawiał z wielkiej litery. Udało mu się.

- Dwie doby - padła lakoniczna odpowiedź.

Jason zaryzykował pytanie, czy na pewno po dwóch dobach zwrócą mu wolność. Okazało się, że ten bęcwał sam nie wiedział, co mówił. Za dwa dni Jason stanie dopiero przed Najwyższą Radą. Bę-dzie mógł na własne oczy obejrzeć Wielkich Kapłanów, nawet sa-mego Głównego Wielkiego Kapłana. A potem albo zostanie tutaj,

102

103

w lesie, albo oddadzą go tym Cieniom, które jak się zdaje, władają Monaloi.

Jason ucieszył się, że w rozmowie wspomniano Monaloi. Przy-najmniej było wiadomo, gdzie są. Można było liczyć na kontakt z normalnymi ludźmi.

Dwie doby to nie wieczność. A może jednak lepiej uciec? - zastanawiał się gorączkowo Jason. Ale nie w tej chwili. Teraz pew-nie się tego spodziewają.

Przyszło mu do głowy jeszcze jedno ważne pytanie:

- Czy dostanę coś do jedzenia przez te dwa dni? - Tak, przybyszu - obiecał człowiek z pochodnią i dodał: - Jeśli podasz nam swoje imię.

Nie było sensu tego ukrywać. Jego imię nawet na Monaloi coś znaczyło. Przynajmniej tak wynikało ze słów Krumelura. - Na wszystkich planetach Galaktyki nazywaj ą mnie Jason din - Alt - oświadczył uroczyście.

Efekt był mniejszy niż się spodziewał, ale jednak nie najgorszy. Ciemnoskóre łysiny zakolysały się w drzwiach, światło jedynej po-chodni zadrgało, dały się słyszeć szepty, które długo nie cichły. Naj-widoczniej roztrząsali to, co usłyszeli, dopasowując nowe informa-cje do swoich obłąkanych wzorców. Jason przynajmniej dowiedział się, że za drzwiami jest dużo ludzi. Dobrze, że nie zaryzykował ucieczki. Może na tych schodach już zebrało się kworum? W takim razie decyzja zostałaaby podjęta tutaj, natychmiast.

Ale szum głosów stopniowo ścichł. Facet z pochodnią oznajmił:

- Czekaj na decyzję, Jasonie dinAlt! Twoja szansa na życie wieczne pośród Duchów i Cieni Alhinoju jest bardzo duża. Drzwi zatrzaśnięto i Jason został sam z chaosem w głowie. Ży-cie wśród Duchów Alhinoju, w dodatku wieczne, nie było zbyt ku-szącą propozycją. Pachniało rytualnym spaleniem albo utopieniem. Nieśmiertelnym uczyniono go już jakiś czas temu, drugi taki pre-zent to byłaby przesada. Poza tym „wieczność” Jasona wcale nie oznaczała, że jego ciała, zdolnego do nieskończonych cykli regene-racji, nie można unicestwić. Przeciwnie, zabić go można było na kilka tysięcy sposobów. A życie mu się jeszcze nie znudziło. W Ga-laktyce czeka na niego mnóstwo interesujących rzeczy. Cóż, moi szaleni bracia, pomyślał Jason, swoim ostatnim oświad-czeniem po prostu zmuszacie mnie do ucieczki i to jak najszybszej folusze się tylko dobrze przygotować i poczekać, aż przyniosą jedze-nie. Chyba nie musi się zebrać kworum, żeby przynieść mi miskę zupy? Był gotów do walki już po dziesięciu minutach. Resztę czasu poświęcił na wymyślanie różnych wariantów przedarcia się na górę. Długo wyczekiwana chwila nastąpiła cztery godziny później. Jason uważnie przysłuchiwał się krokom na schodach i zrozu-miał, że jest tam więcej niż jeden człowiek. Ilu? Jeśli będzie miał szczęście, okaże się, że tylko dwóch. Tak było przyjęte w więzie-niach wszystkich narodów, na różnych planetach i w różnych epo-kach. A jeśli nie będzie miał szczęścia... Na czerń przestrzeni! Drzwi otworzyły się gwałtowniej niż poprzednio. Jason ude-rzył tego, który pierwszy pojawił się na progu.

14

Tubylec, który czekał na kobietę, okazał się doskonałym wojow-nikiem, znakomicie wyposażonym przez naturę, dobrze wyszko-lonym i rozpaczliwie odważnym. Meta poczuła szczerzy szacunek do jego szalonych prób pokonania jej w walce. Ostry ból w złamanej ręce tylko go rozjątrzył, nie odbierając siły ani męstwa. Monaloi-czyk mógł stać się niebezpieczny. Meta musiała uderzyć go palcem w arterię, żeby chwilę odpocząć. Gdy nieszczęśnik leżał bez świa-domości, Pyrrusanka nastawiła mu kość i opatrzyła ranę posługując się najnowszymi środkami z medpakietu. Potem przyszło jej do głó-wy, żeby go związać. Jeszcze jedna runda walki na pięści jej nie interesowała - i tak było wiadomo, że wygra. Gdy zakończyła przy-gotowania, zastosowała pobudzający zastrzyk. Mężczyzna rzeczywiście słabo znał międzyjęzyk. Najlepiej opa-nował przekleństwa, ale słuchanie ich nie sprawiało Mecie zbytnej przy-jemności. Mniej więcej po minucie syczenia parskania i prób uwolnie-nia się, udało im się porozumieć w esperanto. Na szczęście męska duma nie pozwoliła pokonanemu przez kobietę wojownikowi krzyczeć i wzy-wać pomocy. W przeciwnym razie znowu musiałaby go wyłączyć, albo Przynajmniej zatkać mu usta zaimprovizowanym kneblem.

105Po pięciu minutach rozmowy Meta dowiedziała się, że to miejscowy strażnik o imieniu Furuhu, mieniący się osobistym ochroniarzem sułtana, zadziwiająco bystry i nawet dość wykształcony. Podobne cechy niezbyt pasowały do jego zawodu. Od słowa do słowa Meta dowiedziała się, że Furuhu jest wyjątkowym okazem, którego trzymają tu w celu przeprowadzenia badań. Pyrrusanka uzyskała przy okazji sporo cennych informacji. Osobisty ochroniarz sułtana Azbaja chętnie dzielił się z dopiero co poznaną kobietą swoją wiedzą, chociaż nie miał pojęcia, kim ona jest i skąd się tu wzięła. Miał przed sobą samicę owocownika, piękną, mądrą, swobodnie mówiącą w owocownikowym i esperanto, i to mu wystarczało. Właściwie wystarczyłby fakt, że kobieta przyleciała z kosmosu. W ciągu ostatnich kilku dni zdążył zniechęcić Monaloi, tak niedawno ojczystą planetę, a teraz straszny, obcy świat, gdzie garstka złych Faderów trzyma innych w kompletniej nieświadomości. Największym jego pragnieniem była wiedza i dostanie się na inne planety. Furuhu zwierzył się też Mecie ze swojego nieszczęścia: opowiedział jej o pięknej dziewczynie, która otworzyła mu oczy na wiele monalojskich tajemnic, płacąc za to życiem. Święcie wierzył, że teraz Meta pomoże mu odlecieć z tej przeklętej przez duchy planety. Chociaż tamta puszysta dziewczyna mówiła, że nie uda mu się nigdy opuścić Monaloi...

Meta nie zamierzała omawiać z Furuhu tak poważnych tematów. Wyciągnęła z niego informacje, ale nie spieszyła się z wyciągnięciem wniosków. A na robienie wykładu o innych światach zwyczajnie nie było czasu.

Rozwiązała go i teraz oboje siedzieli przy stole. Furuhu, rzecz jasna, pił czorum, żeby się uspokoić. Meta zdecydowanie odmówiła poczęstunku, gdy dowiedziała się, że to napój alkoholowy. W ogóle wolała niczego tu nie jeść i nie pić, dopóki Brucco nie wyrazi oficjalnego pozwolenia. Były wszelkie przesłanki ku temu, by nieufnie podchodzić do tutejszego jedzenia. Na Monaloi nic nie było zwyczajne: ani woda, ani powietrze, ani gleba, ani rośliny, ani tym bardziej zwierzęta. Nie warto było narażać organizmu, choćby nawet gruntownie przygotowanego i doskonale chronionego, na kontakt z miejscowymi środkami odurzającymi. Jeśli ludzie chorują tu na „mięsną” chorobę, to pewnie nietrudno złapać „owocową”. Furuhu robił się coraz weselszy. Ręka już go najwyraźniej nie bolała, a pęknięta kość goiła się może nawet szybciej niż Pyrrusanorn. Meta zaczęła się obawiać, że po pijanemu nieszczęśliwemu znowu się zbierze na czułości i będzie zmuszona złamać mu drugą rękę. Pośpiesznie zadała najważniejsze pytanie, poprzedzając je prośbą:

- Nie pij tyle. Będziesz mi potrzebny do wykonania pewnego zadania, i to już niedługo. Jeśli chcesz się stąd kiedykolwiek wydość, przestań pić.
- Dobrze - zgodził się od razu Furuhu. - Jakiego zadania? Mów, słucham cię uważnie.
- Znasz drogę do głównych lochów sułtana Azbaja?
- Jasne.
- Możemy się tam dostać po ciemku?
- Tam wcale nie jest ciemno - odparł Furuhu. - Zawsze jest silne światło na zewnątrz. To więzienie jest szczególnie starannie chronione. - Wiesz już, na co mnie stać - tłumaczyła mu Meta. - Myślę, że we dwoje zdołamy wykończyć całą tutejszą ochronę. A jeśli będzie trzeba, zacznę strzelać. Wasi nie mają takiej broni jak ta. - Wierzę ci - powiedział Furuhu. - Chodźmy. Jeśli tak trzeba dla wyższego celu, pomogę. Tylko chciałbym wiedzieć, kogo będziemy uwalniać?
- Mojego męża - odparła cicho Meta. - Jasona dinAlta. Myślę, że właśnie tam jest.

Furuhu właśnie wstawał, żeby odstawić gliniany kufel od czołmu na półkę, gdy naczynie wyskoczyło mu z ręki, huknęło o podłogę i roztrzaskało się na drobne kawałki.

- Jason di'Alti jest twoim mężem? - wyszeptał osłupiały Monalójczyk.

- Znasz go? - zdziwiła się z kolei Meta.

I znowu nie udało im się wyjść. Do tej pory Furuhu po prostu nie miał odwagi opowiedzieć jej najważniejszego. Wydawało mu się, że gdy znowu wymówi imiona Jasona i Solvitza, od razu pojawi się przebiegły Swamp. Ten zamaskowany owocownik na pewno wszędzie umieścił aparaturę podsłuchową, a może nawet kamery obserwacyjne. Czy można się przed nim ukryć? Ale Swamp się nie pojawił, chociaż Furuhu opowiedział Mecie tamto wydarzenie z opętanym. Pośpiesznie, w skrócie, ale i tak zanim sobie wszystko wyjaśnili, upłynęło około dwudziestu minut.

Dwójka spiskowców zaczęła się w pobliżu wejścia do lochów.

Akurat szli zmiennicy strażników - idealny moment na atak. Meta

106

107

i Furuhu podkradli się do trzech idących wartowników i udało im się ich po cichu unieszkodliwić. Meta wzięła na siebie dwóch, pozostawiając Monalójczykowi trzeciego. Furuhu starannie ułożył ochroniarzy na trawie pod drzewami. Miał teraz do odegrania ważną rolę. Wyszedł do swoich ziomków jako rzekomy naczelnik zmiany. Wartownicy wypytywali Furuhu, dlaczego właściwie nie znajdują nawet z widzenia, a w tym czasie Meta celnymi strzałami uśpiła dwóch z nich niemal jednocześnie. Trzeci jakimś cudem się uchylił. Najlepsi tutejsi wojownicy znali widać lepsze sztuczki niż Pyrrusanie. Ale dzielnego ochroniarza zgubiła własna odwaga. Gdyby pobiegł po pomoc, Mecie, nawet z pomocą Furuhu, nie udałooby się go dogonić. On jednak zaatakował, nie wiedząc, że żaden miejscowy super-man, choćby obdarzony niewiarygodnymi zdolnościami i umiejętnością błyskawicznego przemieszczania się, bez broni parnej nie ma szans. Gdy tylko jego postać zmaterializowała się z ciężką pałąką wzniesioną nad głową Furuhu, Meta na sekundę przed ciosem wystrzeliła jeszcze jedną anestezyjną igłę.

Potem czekały ich jeszcze masywne stalowe drzwi w stalowej ścianie. Ich grubość i wytrzymałość materiału wzbudzała szacunek nawet u Pyrrusanki. Zajęło im to sporo czasu, istniało nawet ryzyko, że wpadnie na nich przypadkowy nocny obchód. Ale udało się. Bezszelestnie wycięty zamek umieścili potem starannie na swoim miejscu, a drzwi szczelnie zamknęli - z zewnątrz nie było widać nic po-dejrzanego.

Gdy schodzili na dół, już świtało.

Meta nie zastanawiała się nad tym, jak wyjdą. Cieszyła się, że znów będzie mogła powierzyć myślenie Jasonowi, a sama zacznie tylko działać. To jej bardziej odpowiadało. Na wysokie gwiazdy! Jak strasznie zmęczyły ją te tajne operacje!... Nagle przez głowę przemknęła jej straszna myśl: a jeśli Jasona tam nie ma? Stali już na schodach prowadzących do lochów, gdy Furuhu zapytał Metę:

- Skąd wiesz, że on jest właśnie tutaj?

Meta opowiedziała o podsłuchanej rozmowie.

Furuhu zamyślił się posepnie i powiedział:

- Chyba się mylisz. Opętanymi nazywają u nas owocowników, którzy zbyt długo pracowali na plantacjach i od tego zwariowali. Przy najmniej zawsze tak mi mówiono.

Teraz wiem, że to nie całkiem tak. Jeśli się dobrze domyślam, tutaj nie siedzi Jason, tylko ten typ, który wołał coś o Jasonie i cudem uniknął śmierci. Musieli go złapać dopiero dziś w nocy, bo nawet mnie nic nie powiedzieli Furuhu zapewne miał słuszość, ale Meta wycedziła z niedowierzaniem:

- Zaraz się dowiemy, kto miał rację.

Drzwi na dole były grube, ale drewniane, i poradzili sobie z nimi bez trudu. Meta po prostu wyważyła je jednym uderzeniem ramienia.

Pięć szerokich desek z przybitymi w poprzek metalowymi sztabami nie zdążyło upaść na podłogę, gdy człowiek siedzący pośrodku wąskiego jak studnia pomieszczenia zerwał się, unosząc prawą rękę. Albo chciał zaatakować, albo przeciwnie, bronić się. To nie był Jason.

Meta poznała go od razu. Jak mogłaby nie poznać mlecznego brata Jasona z prowincjonalnej planетки Porgorstorsaaand? Tam upłynęło nudne dzieciństwo i smętna młodość jej ukochanego. Wiele lat później los znowu rzucił ich oboje w ten cichy galaktyczny zakątek. Właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyła Actiona. Brat Jasona był z zawodu myśliwym; nawet stworzenia zamieszkujące Planetę Śmierci nie wywarły na nim zbyt silnego wrażenia. To budziło szacunek. Potem, na Porgorstorsaaandzie, Action okropnie ich zawiódł, właściwie zdradził. Jason nawet podejrzewał, że jest czyimś agentem, chociaż mógł też działać nieświadomie. Zresztą po co to teraz wyciągać?

Action też ją poznał.

Furuhu odsunął się z szacunkiem. Zrozumiał, że nikt tu nie ma zamiaru z nikim walczyć.

15 rumelur, który przyleciał do podnóża wulkanu później niż obiecywał, na oświadczenie o zaginięciu dwójga Pyrrusan zareagował zdumiewająco obojętnie.

108

109

- Cóż - powiedział w zadumie - na naszej planecie zdarzają się różne rzeczy. Ale wy pracujcie dalej. Pracujcie, bo to jest najważniejsze. Pamiętajcie, że zawarliśmy umowę. - Chwileczkę - osłupiał Kerk. - Chyba pan nie rozumie. Nie przepadł byle kto, tylko kierownik ekspedycji, a zaraz po nim jego żona, czyli pierwszy pilot naszego krążownika. Macie zamiar ich szukać czy może powinniśmy sami się tym zająć? Kerk wymachiwał pistoletem przed samym nosem Monalocjczyka, ale ten przywykł już do sposobu prowadzenia rozmowy przez Pyrrusan i nie zwracał na to większej uwagi. - Oczywiście, że będziemy ich szukać, to nasz obowiązek - odparł rozdrażnionym tonem. I dodał: - Już szukamy. A wy macie pracować. Po to tu przylecieliście.

Napięcie rosło. Kerk domyślał się, że Krumelur, jak zawsze, wie o wiele więcej niż mówi. Ale tym razem nie chodziło o przestępców-owocowników czy żalonych farmerów; tym razem mowa była o jego przyjaciółach. Żeby poznać prawdę, pyrrusański wódz gotów był wytrząść duszę z podstępного klienta. Przysłuchujący się rozmowie Archie zorientował się błyskawicznie, w czym rzecz. Chcąc stłumić konflikt w zarodku, a może raczej jak najszybciej wyjaśnić sytuację, upewnił się:

- Chce pan przez to powiedzieć, że o zniknięciu Jasona i Mety dowiedzieliście się nie od nas, a wcześniej? Dobrze zrozumiałem? - To oczywiste - burknął Krumelur. - W strefie działań bojowych mamy zainstalowane kamery. Sądziście, że nie będziemy was obserwować?

- Rozumiem. - Archie udał, że kupił tę wersję, chociaż nie wierzył w ani jedno słowo Krumelura. - Wobec tego gdzie są teraz nasi przyjaciele?

Kerk, który również nie ufał przebiegłemu Monalojczykowi, zdenerwował się. A jeśli to Krumelur upozorował ucieczkę Jasona? Metę mogli wziąć na przynętę. W takiej sytuacji Pyrrusanie musieliby walczyć nie z potworami, ale z całą planetą! Cóż, dla nich to chleb powszedni, mogą wojować choćby z całą Galaktyką. Ale, do licha, jak im brakuje Jasona! Bez człowieka, który od paru ładnych lat służył Pyrrusanom za mózg, Kerk nie chciał podejmować żadnej odpowiedzialnej decyzji. Tymczasem Krumelur milczał. Archie cierpliwie czekał na ważną dla wszystkich odpowiedź. Nawet Kerk się nie odzywał. Dlaczego ten chytrus zwleka? - zastanawiał się Archie. Jakby się czemuś przysłuchiwał. Zaraz, zaraz... przecież on ma w uchu odbiornik! Zaraz poznamy najświeższe nowiny. Nowiny rozczarowały wszystkich.

- Niestety, panowie - oświadczył Krumelur. - Nie możemy stwierdzić z całą pewnością, gdzie teraz znajduje się Jason. Meta jeszcze godzinę temu była w rękach osobistych ochroniarzy sułtana Azbaja, ale w czasie, gdy tu leciałem, wyrwała się tym idiotom.

Zamilkł, ale wyczuwając ogólną nieufność, dodał:

- To prawda.

Miał przy tym tak zdezorientowaną minę, że chyba rzeczywiście nie kłamał. Tak czy inaczej, Pyrrusanie zorientowali się, że w grę nie wchodziły żadne kamery. Po prostu Krumelur łączył się ze swoimi ludźmi po tamtej stronie przełęczy. Możliwe, że zrobił to jeszcze wczoraj, gdy się to wszystko zdarzyło.

- Cóż - podsumował surowo Kerk - dopóki nasi przyjaciele nie zostaną odnalezieni, nie kiwniemy palcem. Niech te potwory zeżrą was wszystkich.

- Hej! - oburzył się Krumelur. - Chwileczkę! Nie tak się umawialiśmy. Warunki umowy są święte! My ze swojej strony wszystkiego dokładnie przestrzegamy. To przecież nie moi ludzie porwali Jasona, sam wlaź tam, gdzie go nikt nie prosił. Nie jestem Wszystkowidzącym Duchem Alhinoju, żeby dopatrzeć wszystkiego na świecie! To, co się stało, to typowa siła wyższa! Jasne? My nie zerwaliśmy umowy, więc wy też nie macie prawa! Krumelur mówił właściwie całkiem rozsądne rzeczy, tylko trochę poniosły go nerwy. Niepotrzebnie podnosił głos i wspominał jakieś nikomu nie znane Duchy Alhinoju. Jego argumenty były bardzo przekonujące, ale Kerk już ich nie słuchał. Wpadł w szał. Siwo-włosego olbrzyma, który nie znał smaku przegranej, nie obchodziło, kto ma rację, chciał się tylko na kimś wyładować. - Pluję na umowy, gdy moi przyjaciele są w niebezpieczeństwie! Natychmiast macie przystąpić do poszukiwań! Tak, pan też, Krumelur! Albo ja się tym sam zajmę, a wy włąćcie w gardziel wulkanu!

- Z jakiej racji pan się tu rządzi? Jakim prawem stawia mi pan warunki? - wrzeszczał Krumelur. - Nie będę znosił podobnego traktowania na własnej planecie! Ja tu jestem gospodarzem! A pan...

110

111

pan jest nieuczciwym, niehonorowym, niepoważnym człowiekiem!

Nie pozwolą panu pluć na umowę!...

- Ja jestem niepoważny?! - ryknął Kerk, który nie wiedzieć czemu obraził się akurat za to określenie. - Już ja panu pokażę! Wycelował pistolet prosto w twarz Krumelura, pozostali Pyrrusanie trzymali na muszce innych Monalojczyków. Nietrudno zgad-

nać, jak by się to skończyło, gdyby jednocześnie na wszystkich statkach, a nawet na rękawach i w kieszeniach kombinezonów nie odezwał się nagle sygnał pilnego wywołania. Rozległ się głos Rhesa.

- Słyszycie mnie? Pyrrusańska eskadra bojowa skoncentrowana jest na orbicie Monaloi. Mamy skompletowane uzbrojenie i specjalistyczną aparaturę. Kerk, zgadzasz się na nawiązanie łączności z miejscowym portem kosmicznym?

Słowa Rhesa ostudziły wszystkich. Kerkowi wystarczyły trzy sekundy, żeby się uspokoić i dać lakoniczną odpowiedź. - Tak.

- Ładujcie szybko! Czekamy na was niecierpliwie! - nie wytrzymał Archie.

Ta emocjonalna reakcja dowodziła, że Archie nie jest prawdziwym Pyrrusaninem. Nie umiał się błyskawicznie zapalać i jeszcze szybciej stygnąć. Nie umiał zachować zimnej krwi bez względu na okoliczności. Teraz, gdy wszystko skończyło się szczęśliwie, zwyczajnie się cieszył.

17

Pięć uderzyła prosto w środek łysiny wchodzącego, który osunął się pod nogi Jasona. DinAlt odskoczył przed padającym ciałem i pochodnią. Ze zdumieniem patrzył, jak kolejny Monalojczyk rzuca się do przodu, potyka o leżącego na progu człowieka i wali się na podłogę. Jason musiałby być skończonym idiotą, żeby nie pomóc mu leciutkim kopniakiem w szyję. W ślad za drugim zjawiał się trzeci, a po nim czwarty. Szczerze mówiąc, Jason nie przejąłby się specjalnie, nawet gdyby zobaczył jeszcze dziesięciu. Co za róż-Oica, ilu było kapłanów Alhinoju, skoro te orły i tak nie umiały walczyć?

Na zewnątrz Jason wy dostał się dość szybko i od razu zauważył, że nad więzieniem wznosi się stożkowata konstrukcja z grubych bali i desek, coś w rodzaju szałasu albo wigwamu. Dobiegał stamtąd monotonny śpiew i dziwne szelesty. Widocznie nastąpiła pora modłów. Ci szaleni kapłani oddawali cześć swoim Cieniom i Duchom i nic więcej ich nie obchodziło. Jason nie miał najmniejszej ochoty wchodzić do środka. Wydawało mu się dziwne, że pora na-bożeństwa zbiegała się z porą karmienia więźnia. Cóż, logika szaleńców! Jason szybko wyrzucił to spostrzeżenie z pamięci. Wokół rozpościerał się gęsty, nieprzebyty las, nie było widać żadnych innych budynków. Mało przyjemne miejsce. Jednak z każdego lasu prędzej czy później da się wyjść. Tym bardziej na Monaloi. Drapieżników tu nie ma. Jason pamiętał z opowiadań Krumelura, że dżungla zajmowała niewielką powierzchnię kontynentu Karaeli. Nic strasznego, zdecydował. Trzeba się przedrzeć do jakiejś drogi, do ludzi. Pytanie tylko, do jakich. Chociaż nie będą chyba gorsi od tych tutaj.

Szedł długo, dopóki nie zauważył, że teren cały czas nachyla się w jedną stronę. Znana sztuczka. Idzie się prosto, powiedzmy umownie, że na południe, a tak naprawdę kręci się w kółko. Chyba już trzeci raz Jason wracał w to samo miejsce. Na szczęście nie do świątyni szaleńców, tylko na polankę porośniętą kolorowymi kwiatami, otaczającymi korowodem omszały pień powalonego drzewa. Uniwersalny cyferblat Jasona, na którym był zegar, kompas i mnóstwo najróżniejszych przyrządów, został nieodwracalnie uszkodzony przez prostackich kapłanów. Jason mógł więc liczyć tylko na własny spryt. Oparł się o szeroki pień i zamyślił. Uważnie rozejrzał się wokół, poobserwował przez chwilę skaczące po gałęziach sympatyczne małe zwierzątka przypominające skunksy i wreszcie pojął, w którą stronę musi skręcić, żeby przestać krążyć po tej przeklętej dżungli. Wyliczenie okazało się

słuszne. Półto-rej godziny później Jason wyszedł na brzeg oceanu. Słońce skryło się za chmurami i od razu zrobiło się chłodniej.

Jason szedł wzdłuż pasa przyboju. Nie było widać końca tej drogi

112

- Planeta śmierci 6

113

T

- żadnych zabudowań, ani śladu cywilizacji. Gęsty las po prawej stronie nie miał końca, nie było sensu zagłębiać się w niego znowu. Monotonnej powierzchni morza po lewej stronie również nic nie zakłócało. Jason nie miał zresztą ochoty na pływanie. Gdy zaczął zapadać zmrok, po raz pierwszy pomyślał, że popełnił błąd. Trzeba było wejść do świątyni, wyrzucił sobie. Może wcale by mnie nie wsadzili z powrotem do więzienia, tylko oddali mi cześć za tak śmiały wyczyn? Ostatecznie mogłem ich wszystkich pozabijać. Nie mówiąc już o tym, że w świątyni prawdopodobnie znalazłbym wszystkie moje rzeczy: broń, latarkę, nadajnik... Zwłaszcza nadajnik. Nie ma sensu o tym myśleć. Nocą i tak nie znajdę drogi powrotnej. Nie wiadomo nawet, czy w dzień mi się uda... Jason odpędził ponure myśli i postanowił umościć sobie postać pod niewysokim rozłożystym drzewem o szerokich liściach. Naściągał suchego mchu i trawy, położył się i spróbował zasnąć.

Nie może już dłużej iść bez odpoczynku. Ale sen nie przychodził. Przede wszystkim strasznie zachciało mu się jeść. Zaryzykował i po drodze napił się wody ze strumienia - w smaku była całkiem zwyczajna - ale ze wszystkich sił powstrzymywał się od jedzenia miejscowych owoców. Zbyt duże ryzyko.

Gdy tak leżał i myślał, na niebie pojawił się punkcik. Czyżby go odnaleźli? Czyżby to Meta na jednej z szalup znów miała go wybawić? Punkt rósł, aż przemienił się w wielkiego ptaka z małym miękkim dziobem i pazurkami zamiast szponów. Całkiem niegroźne stworzenie, jak zresztą wszystkie zwierzęta na Monaloi. Wreszcie Jason zdołał zasnąć. We śnie szalupa z Metą co chwila lądowała na brzegu obok niego, ale za każdym razem okazywała się ptakiem. Nie takim monalojskim, przypominała raczej ogromnego żądłopióra. Wielki, ohydny stwór z metalowymi skrzydłami ochrypłym głosem głosił chwałę Wielkich Cieni Alhinoju. Obudziły go pierwsze promienie słońca. Na brzegu nic się nie zmieniło i to było najstraszniejsze. Postanowił wrócić. Tutaj czekała go śmierć głodowa albo otrucie miejscowym świństwem. Cóż by to był za przykry koniec!

Wracając, pokrzepiał się tylko wodą ze strumieni. Wkrótce jednak zabrakło również strumieni, a błotnistych kałuż Jason wolał nie tykać. Zapas stymulatora w medpakiem wyczerpał się podejrzanie szybko. Monaloi była jednak bardzo męczącą planetą. W żadnym innym miejscu tak łatwo nie opadał z sił, nawet wtedy, gdy jeszcze nie był nieśmiertelny. Najwidoczniej powietrze też jest zatrute jakimś oparami, które niweczyły działanie nie tylko pyrrusańskiego superstymulatora, ale i cudownej szczepionki wiecznej młodości, którą mu kiedyś zaaplikowano.

Ledwo powłóczył nogami. Drzewa dwoiły mu się przed oczami, kołysały się, odpyływały w dal albo waliły mu się prosto na głowę. A może to wcale nie drzewa, tylko Cienie Alhinoju? Pod czaszką huczało i wyło jak w przewodzie wentylacyjnym. To pewnie Duchy Alhinoju śpiewają swoje pieśni, wzywając go na tamtą stronę życia. Ale mimo wszystko jeszcze się kontrolował. „Prawa noga, lewa noga, prawa noga, lewa noga - powtarzał sobie raz w myślach, raz głośno. - Teraz przytrzymać się drzewa, naprzód, naprzód, kierunek ten sam”... Pod koniec drugiej doby Jasonowi jakimś cudem udało się dojść do leśnej świątyni. Zapadał zmierzch. Jeszcze chwila i

będzie zupeł-nie ciemno. W świątyni panowała martwa cisza, ale paliło się świa-tło. Jason okrążył ją w poszukiwaniu drzwi. Znalazł otwór w ścianie, zasłonięty matami splecionymi z cien-kich lian. Nie miał nic do stracenia, więc zanurkował - żeby nie powiedzieć wpadł - pod mary.

Zdawało mu się, że świątynia jest zupełnie pusta, ale po chwili zobaczył nieruchomą postać w odległym kącie. Równie dobrze mo-gła to być zresztą sterta szmat przewiązana sznurkiem. Wzdłuż ścian z cichym trzaskiem paliło się co najmniej dziesięć pochodni. Nie zgasili ognia i wyszli? Błąd! Niepotrzebnie myślał o nich jak o nor-malnych ludziach. Kapłani rzadzili się widocznie sobie tylko znany-mi prawami.

Jason, o dziwo, poczuł, że znów może jasno myśleć. Za to fi-zycznie był kompletnie wyczerpany. Z trudem poczołgał się ku ma-jącącemu w kącie nieokreślone-mu obiektowi. Wtedy sterta szmat wreszcie się poruszyła. Więc jednak człowiek! W dodatku całkiem nietypowy jak na tutejsze kryteria -już nie tylko włochaty, ale bro-daty, grzywiasty, wąsaty, zarosnięty jak małpa jasnymi, nie siwymi, ale złocistymi włosami. Skórę miał smagłą, ale od opalenizny, w przeciwieństwie do rdzennych Monalojczyków. Pozostawało się dowiedzieć, w jakim języku mówi ten dziwny typ. Gdy typ się odezwał, Jason nawet nie był zdziwiony, słysząc Płynny międzyjęzyk:

114

115

- Siadaj, Jasonie dinAlt. Zaraz ci wszystko opowiem. Polecenie nie miało sensu. Po pierwsze, Jason nie mógł się na-wet podnieść, a co dopiero usiąść. Po drugie, i tak nie było gdzie siąść. Jason po prostu wyciągnął nogi i oparł łokcie o glinianą pod-łogę, resztkami sił podtrzymując dłońmi opadającą głowę. Powieki same mu się zamykały, ale jakoś to przewalczył. Bardzo mu zależa-ło, żeby się tego „wszystkiego” dowiedzieć. - Wiesz, gdzie teraz jesteśmy? - zapytał z nieoczekiwanym pa-tosem wszystkowiedzący brodac.

- Nie - przyznał uczciwie Jason.

- Ja też nie wiem - powiedział ze smutkiem Brodaty.

Nieprawdopodobne! Czyżby obaj zwariowali? Jason nie zdążył zareagować, gdy brodac podał mu kubek z aromatycznym napojem.

- Pij - zarządził.

Jason miał czerwonawą mgłę przed oczami, a w ustach kom-pletnie sucho, cały czas pamiętał, że nie powinien nic pić. Ale dal-sze eksperymentowanie z własnym organizmem, żeby się przeko-nać, jak długo można wytrzymać bez wody, nie przyniosłoby mu niczego prócz śmierci w męczarniach. Kubek z aromatycznym pły-nem w najgorszym przypadku obiecywał natychmiastową śmierć, w najlepszym - wybawienie od męczarni.

Jason napił się. Efekt był czymś pośrednim. Płyn nie był chyba przeznaczony do ugaszenia pragnienia. Ja-son przypomniał sobie, że kiedyś próbował podobnego wina. To też musiało być wino. Chciwie osuszył półlitrowy kubek i prawie od razu zasnął. Na człowieka, który głodował od trzech dni alkohol nie mógł podziałać inaczej. Ale zasypiając, Jason był przynajmniej prze-konany, że się znowu obudzi. To nie było zwyczajne wino. Nie tylko wywoływało przyjemną euforię; dodawało też sił i budziło niezwy-kłe uczucie realności bytu, zdumiewające przekonanie o własnym bezpieczeństwie...

Zasypiał zupełnie nie czując strachu. Spał mocno i długo, i bez żadnych snów. Gdy się obudził, słońce stało już wysoko, a on czuł się odświeżony i strasznie głodny. Tak właśnie czuje się człowiek wyspany i wypoczęty.

Przez cały czas siedział nad nim ten typ, zarośnięty brodą po same oczy, i uśmiechał się przyjaźnie, spoglądając przez wąskie szpar-ki zmrużonych oczu. Jasne światło wpadało przez malutkie okien-ka, wysoko w górze. I Jason zobaczył, jak mienia się zielono-błękit-ne skrzydełka maleńkich motylków, które urządziły sobie wesoły taniec w promieniach słońca. Zainteresowało go nagle, czy na tej planecie nawet owady nie gryzą. Jakby nie było poważniejszych kwestii do wyjaśnienia. Jason pomyślał, że na początek po prostu usiądzie i rozejrzy się. Pomieszczenie, do którego trafił nocą, oka-zało się mniejsze niż mu się początkowo wydawało. Teraz, gdy ha-lucynacje minęły, zobaczył, że dziwna sala z pochyłym sufitem zaj-muje tylko niewielką część całej budowli. Oprócz pochodni, teraz zgaszonych, posłania w kącie i niewielkiej beczutki na podłodze obok, nie było tu nic. I nikogo. Najwyższy czas, żeby porozmawiać z nieznanym poważnie. Ale wszystkie zdania, jakie przychodziły Jasonowi do głowy, wydawały się zdumiewająco głupie, jak to o owadach. Zastanawiał się właśnie, od czego by tu zacząć, gdy bro-daty uprzejmie oznajmił:

- Nazywam się Trollkar. Czasem nazywaj ą mnie po prostu Trol-lem.

- Rozumiem - powiedział Jason i postanowił błysnąć znajo-mością szwedzkiego. - Więc jesteś również czarownikiem. W ta-kim razie będę do ciebie mówić nie Troll, ale Kar, to znaczy mężczy-zna. Ładniej brzmi, prawda? A w ogóle, co to za imię, Trollkar? Raczej przezwisko...

- Wtedy wszyscy mieliśmy przezwiska - odpowiedział zagad-kowo Trollkar. - Kogo teraz interesuje, że dawno, dawno temu by-łem zwykłym nawigatorem Olafem Yitem? Jason już całkiem pogubił się w imionach i przezwiskach bro-datego cudaka, za to wreszcie wymyślił poważne pytanie. - Będę nazywać cię po prostu Czarownikiem... w międzyj ęzy-ku - powiedział. - A więc, Czarowniku, skoro chcesz mi wszystko wyjaśnić, powiedz najpierw: kim jest Alhinoj. Dlaczego ma tak dużo cieni, duchów, kapłanów i tak dalej?

- Alhinoj to nie ktoś, lecz coś - poprawił Trollkar. - To króle-stwo Cieni i Duchów, miejsce, gdzie rodzą się nasze nieśmiertelne dusze. Tam też odchodzą po śmierci w swojej zwykłej postaci. - Niezbyt oryginalna koncepcja % skrzywił się Jason.

116

117

- Tylko na pozór - sprzeciwił się Trollkar. - Zwróć uwagę, że w religijnej tradycji Monalojczyków nie istnieje pojęcie boga. W Al-hinoju wszystkim rządzą Duchy, będące połączonymi ludzkimi du-szami. Dziesiątki, a nawet setki ludzkich indywidualności zlewają się w jednego Ducha. Najpotężniejsze z nich zdolne są tworzyć na nowo albo niszczyć całe światy w tej czy innej rzeczywistości. Cienie ludzi również łączą się ze sobą, tworząc Cienie Alhinoju... Ta dość mętna filozofia znudziła Jasona. Przestał słuchać. Dopiero gdy dotarło do niego zdanie: „Z Alhinoju można powrócić”, zapytał:

- Chwileczkę. Właściwie mało mnie to interesuje, ale powiedz mi jedno: czy ty uważasz, że Alhinoj to prawda, czy wymysł? - Oczywiście, że prawda! - Trollkar był zdumiony głupotą py-tania. - Byłem w Alhinoju i, jak widzisz, wróciłem. Z punktu widzenia formalnej logiki rozważania Czarownika brzmiały sensownie, ale jednocześnie zbyt abstrakcyjnie, by można je było w jakikolwiek sposób zweryfikować. Trollkar wyglądał na jednego z tamtych szaleńców. Potrzebne było podstawowe pytanie, które rozwiałoby podejrzenia i niepewność. Jason spróbował z nie-oczekiwanej strony:

- Potwory, które wychodzą ze szczelin podczas wybuchu wulkanu, to Duchy czy Cienie Alhinoju?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - odpowiedział Trollkar dziwnym tonem.

Albo nie wiedział, albo miał zakaz udzielania takich informacji, albo Jason palnął takie głupstwo, że nawet nie warto było tego komentować.

- Dobrze, dajmy temu spokój. Jesteś Monalojczykiem? - Od pewnego czasu tak. A przedtem... Mówiłem ci, że nazywałem się Olaf Vit. Byłem nawigatorem na ogromnym liniowcu. Zapewne wcześniej w moim życiu też coś było. Przecież nie od razu zostałem nawigatorem. Ale kto zdolny jest sięgać pamięcią tak daleko wstecz? Na to nie wystarczyłoby ani mięsa, ani zdolności! Trollkar zamilkł. Najwidoczniej próbował przeniknąć niedostępne głębie przeszłości.

- Poza tym - dodał - na utalentowanych, takich jak ja, mięso pitahki nie działa.

Mięso pitahi, poprawił w myśli Jason, przystosowując to słowo do hiszpańskiej wymowy. A więc to o takie mięso chodzi!

T

Przypomniał sobie planetę Tortuga i tamtejszych piratów, polujących na pitahi. Jason nigdy nie był na Tortudze, ale słyszał, że właśnie stamtąd wywodzą się flibustierowie, którzy później urządzili się na Jamajce, a następnie, po historycznej bitwie, znaleźli się pod protektoratem Pyrrusa. Jeśli wierzyć opowieściom starego pirata, wszystkie pitahi zostały w swoim czasie wywiezione z Tortugi przez złych przybyszów, nazywających się Ketczerami. Jason przypomniał sobie również, że bezcenne mięso pitahi miało niebiański smak i mogło obudzić w człowieku nie tylko własną pamięć, ale i pamięć przodków. Nie było wątpliwości - chodziło o to samo mięso. Już miał zapytać, gdzie teraz są te pitahi, gdy nagle zrozumiał, że rozmowa coraz mniej go interesuje, że głód bierze górę nad ciekawością. Chyba przypomnienie o mięsie podziałało na niego tak silnie. Jason gwałtownie zmienił temat.

- Powiedz, czy macie zwyczaj jeść rano śniadanie? - Dobre pytanie. Wiem, że jesteś głodny, Jasonie, więc poczęstuję cię owocami. I przygotuję mięso.

- Mięso pitahi? - zainteresował się Jason.

- Oczywiście. Prawo zabrania nam jeść mięso zwierząt.

- W takim razie wolałbym samo mięso, bez owoców. - Naiwny - uśmiechnął się smutno Trollkar. - Teraz to już nie ma znaczenia. Napiliśmy się czorumu, a przedtem na pewno piłeś miewscową wodę. Mam rację? W takim razie teraz możesz spokojnie jeść wszystko: owoce, warzywa, orzechy, jagody. Nie bój się. - Nie należę do strachliwych - zauważył Jason bez fałszywej skromności. - Ale powiedz mi, czego powinienem się bać na tej planecie?

- W Przeklętym Lesie i na całej Monaloi należy bać się tylko jednego: szaleństwa. Ale myślę, że tobie ono nie grozi. Ważne jest, czego trzeba się bać poza planetą.

Trollkar przez cały czas mówił zagadkami. Jason miał idiotyczne wrażenie, że rozmawia z zawodowcem o jego ulubionej profesji, przy czym sam nie rozumie elementarnych terminów. Z uporem próbuje rozeznaczyć się w tym wszystkim, ale każde kolejne sformułowanie tylko zaciemnia sytuację. Aby wyjaśnić niektóre pojęcia, używa się równie niezrozumiałych określeń...

Przeszli do innego pomieszczenia. Trollkar, nie przestając mówić, uniósł klapę w podłozie. Buchnęła para i powiało chłodem.

118

119

Oczom Jasona ukazały się paczki z zamrożonym, zawiniętym w fo-lię mięsem. Trollkar rozwinął jedną, rzucił na stojący obok węgło-wy ruszt i przykrył pogniecioną folią.

Coś tu nie gra, pomyślał Jason. W podłodze prawdziwa lodów-ka, a jedzenie przygotowują jak ludzie pierwotni. A może to piec atomowy, który udaje palenisko?

Mięso skwierczało i pachniało smakowicie. Na stole znalazły się owoce, które Trollkar wyjmował ze ściiennej szafy. Do kubków nalał zno-wu czorumu z beczułki. Śniadanie zapowiadało się nieźle. Jason, które-mu znacznie poprawił się nastrój, zadał jeszcze jedno poważne pytanie:

- Skąd znasz moje imię?

Trollkar zamyślił się nad odpowiedzią.

- Mamy telepatyczną łączność z Tomhetem i Kombinatem „Ka-raeli brook”. Boją się mnie i nigdy nie pozwolą do nich wrócić, ale wszystko o nich wiem. O trzęsieniu ziemi, o waszych statkach, o to-bie, Jasonie. Jestem wyjątkowy; przechodzę do Alhinoju i z powro-tem, jak z sali do sali w tej świątyni. Rozumiesz? Dlatego Faderzy się mnie boją. Kalhinbajowie i striderzy walczą o mnie, zabijając się na-wzajem, a kapłani starannie mnie chronią.

To był początek poważnej rozmowy. Nareszcie rudobrody Troll powiedział coś istotnego.

Jason zaczął drażyć ten wątek. Trollkar sypał faktami jak z rę-kawa, prawie udało im się dojść do najważniejszej sprawy (jeśli Ja-son się nie mylił i właśnie to było najważniejsze), gdy za ścianą nieoczekiwanie rozległy się strzały.

Trollkar nie przestraszył się, tylko skrzywił zde gustowany, jak od bólu zęba, który mu od dawna dokucza. Uchylił jeszcze jedną klapę i wszedł pod podłogę. Najwidoczniej kalhinbajom i striderom znowu o coś chodziło. Trzeba było przejść do obrony. Trollkar wyciągnął dziwną ciężką konstrukcję, połyskującą metalicznie. Z szerokiej, lekko wygiętej lufy sterczały na wszystkie strony antenki, rurki i sprężynki - albo jakaś straszna broń, albo po prostu dziwaczny przyrząd.

Strzelanina na dworze przybliżała się i wzmagala. Co za szczę-ście, że Jason zdążył coś zjeść.

- A właśnie! Gdzie jest moja broń? - przypomniał sobie nagle. - Nie wiem - odparł Trollkar. - Kapłani znaleźli cię i przynie-śli w takim stanie, bez żadnej broni. Nic ci nie zabrali, kapłani to nie T złodzieje. Ale nie bój się - dodał, żeby go uspokoić. - Broń nie bę-dzie ci potrzebna.

Jason nie uwierzył. Chciał to nawet oznajmić na głos, gdy nagle ścianami drewnianej świątyni targnął potężny wstrząs, a drewniane belki wybuchły płomieniem jednocześnie ze wszystkich stron, ni-czym oblane benzyną.

- Uciekamy! - krzyknął Jason, widząc zakłopotanie na twarzy Trollkara. Czuł, że nadeszła pora, by przejąć dowodzenie. - Na ze-wnątrz, Czarowniku! Za chwilę twoja świątynia będzie popiołem, a mnie jeszcze życie miłe.

Obaj rzucili się do zawieszzonego matami wyjścia.

Wyskoczyli na polanę i od razu padli plackiem na ziemię. Na-pastnicy byli naprawdę nieźle uzbrojeni. Oprócz czegoś w rodzaju napalmu, który okrył piekielnym płomieniem całą Świą-tynię Alhinoju, używali pocisków, żłobiących głębokie wyrwy. W jednym miejscu powstał wielki dół z dymiącymi jeszcze brze-gami. Do niego właśnie wskoczył Jason, ciągnąc za sobą Trollka-ra. Bitwa z nieznanym przeciwnikiem dopiero się zaczynała. Świst, huk, łoskot wybuchów nie milkły nawet na minutę, ale ludzi pra-wie nie było widać. W oddali, pomiędzy drzewami, przemykały wprawdzie niewyraźne postacie, ale nie można było dostrzec ani koloru ich ubrań, ani etnicznej przynależności, to znaczy stopnia owłosienia.

- Kto to jest? - zapytał Jason.

- A niech mnie! - wykrzyknął Trollkar, nie odpowiadając na pytanie. - Czegoś takiego nawet ja sobie nie przypominam. Prawą ręką manipulował przy swoim zagadkowym urządzeniu, a lewą gładził szklisty wałek, który powstał na krawędzi głębokiego okopu. Trollkar z szacunkiem pokręcił głową:

- Takie ślady zostawia opancerzony anihilator trzeciej genera-cji. Istnieją oczywiście specjalne urządzenia pozwalające pociskowi

120

121

energetycznemu na przebicie atmosfery po krzywej balistycznej. Ale raczej łupnęli z góry, może nawet z kosmosu... Ho, ho! - zdziwił się Jason. Ten eksnawigator Olaf Vit w jed-nym ze swoich poprzednich wcieleń musiał być artylerzystą na gwiazdnym krążowniku.

Trollkar tymczasem zakończył niezbędne przygotowania. Nie zwracając uwagi na latające nad jego głową ogniste kule i kawałki drewna, uroczyście oznajmił:

- Dostyc tego. Teraz moja kolej.

Skomplikowana broń okazała się generatorem pola siłowego. Jason nigdy nie widział podobnej konstrukcji. Pole, które powstało wokół nich, też było dziwne. Zielonkawa świecąca półkula nie była sztywnym kloszem, lecz czymś w rodzaju elastycznego opakowa-nia, płynnie zmieniającego kształt na życzenie klienta. Smukłe pal-ce Trollkara biegały po rurkach i sprężynkach niczym palce wirtu-oza. Pole siłowe przemieniało się - a to w gigantyczną pięść, a to w łeb smoka albo w ogromny wir, który chciałby wszystko wchło-nąć. Striderzy (albo kalhibajowie) rozbiegli się na widok znajomego urządzenia. Strzelanina cichła stopniowo. Tymczasem drewniana świątynia kapłanów Alhinoju dopalała się. Wyglądała teraz jak ster-ta czarnych bierwion, które potrzaskiwały, dymiły i cuchnęły. Troll-kar, patrząc przez rzednącą zasłonę pola siłowego na poczerńiałą trawę i szczątki swojego domostwa, miał w oczach łzy. Jason szczerze współczuł Czarownikowi, zwłaszcza jak na czło-wieka, który niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Intuicja podpo-wiadała mu jednak, że właśnie tu i teraz dokonuje się historia Mona-loi. Tak było zawsze: wszędzie tam, gdzie przyleciał, stawał się świadkiem, a jeszcze częściej uczestnikiem albo sprawcą rewolucji, wojny, ekologicznych kataklizmów i innych wstrząsów. - Kto wygrał? - zaryzykował pytanie Jason.

I zaraz, nie dając Trollkarowi czasu na odpowiedź, zadał następne:

- Gdzie są twoi alhinojscy bracia-kapłani, gdzie się podziali obrońcy proroka?

- Nikt nie wygrał - wyjaśnił Trollkar. - A kapłani nie są już moimi obrońcami. Wczoraj rano wysłałem ich na poszukiwanie cie-bie. .. wyłącznie po to, żeby się ich pozbyć. Wiedziałem, że wrócisz sam i nikogo nie chciałem widzieć...

Nie kończąc tematu, nieoczekiwanie zawołał:

T

- Co za szczęście, że nastał koniec tego wiecznego marazmu! Jślie wiem, czyimi jeńcami jesteśmy, ale myślę, że to się wkrótce wyjaśni. Z radością powitam wszelkie zmiany! Zmęczyło mnie od-grywanie proroka idiotów!

Dobrze, że się nie wygłupiłem z wyrazami współczucia, pomy-ślał Jason.

Znowu się pomylił - lzy radości wziął za gorzki płacz z żalu, a kontakt z bardziej cywilizowanym partnerem rza bitwę dwóch dzi-kich plemion.

Trollkar ciągnął:

- Zaraz wyłączymy pole siłowe i spróbujemy dać sygnał.

- Ta maszynka potrafi wysłać sygnał? - zdumiał się Jason.

- Oho! Ta maszynka nie takie rzeczy potrafi. Tym razem jednak nie było okazji, by zaprezentować wszystkie możliwości niezwykłego przyrządu, który długie lata przeleżał w piwnicy alhinojskiej świątyni. Nie zdążyli nawet wyłączyć pola siłowego. Ktoś podczepił to pole za jeden koniec i pociągnął w górę. Powłoka oddzielająca dwóch jeńców od świata zewnętrznego stała się niezwykle szczelna i nie pozwalała nic zobaczyć. Trzeba przy-znać, że Trollkar nie stracił rezonu i niemal natychmiast spróbował przejść do kontrataku, wykorzystując w tym celu swój przyrząd. Daremny trud! Kontrolę nad urządzeniem też przejął ktoś inny. Wznosili się coraz szybciej, zgodnie z prawem Newtona, które-go na Monaloi na razie jeszcze nie odwołano. Nieszczęsnego Trollka-ra wgniotło w jego własny przyrząd. Wszystkie rurki i antenki wbiły mu się w ciało i brodac zawaył z bólu. Jason, dzięki wrodzonej zręcz-ności i pyrrusańskiemu wyszkoleniu, uniknął uderzenia. Wystarczyło mu, że jest zgniatany przyspieszeniem i naciągniętą, stwardniałą „ścian-ką” pola siłowego. W oczach mu co prawda pociemniało, ale nie prze-jmował się specjalnie. Takie uczucie miewał przy starcie z pyrrusań-skiego portu kosmicznego, jeżeli za sterami siedziała Meta. Minęło jakieś dziesięć sekund i przyspieszenie spadło do nor-malnego. „Worek” ze zdobyczą został wrzucony do ciemnego pomieszczenia o twardej podłodze. Pole siłowe wyłączono i Jason poczuł pod dłońmi zimny gładki metal łączony wielkimi próżnio-wymi nitami.

Wszystko jasne, wsadzili nas do ładowni statku kosmicznego.

Możliwe, że międzygwiazdowego. Co tam! - Jason puścił wodze

122

123

fantazji. Po tym, co przeżyłem, to może być nawet statek międzyga-laktyczny! Żegnajcie, przyjaciele! Stamtąd się nie wraca! To pewnie dalej niż Alhinoj.

Dlaczego mu tak wesoło? Czyżby to wpływ czorumu i mona-lojskich owoców? A może znudzony brakiem przygód, zmęczony dreptaniem tam i z powrotem po tej planetce, ucieszył się z nowej awantury? Wreszcie jakaś atrakcja! Nie czuł ani rozpaczy, ani stra-chu - tylko niecierpliwość, przeczucie czegoś interesującego i no-wego.

Nieoczekiwanie zapaliło się światło. Ładownia była pusta. Gładka metalowa podłoga, jeszcze gładsze ściany i sufit tworzyły lśniąca półkulę. Światło płynęło bezpośrednio z wewnętrznego poszycia. Ani śladu drzwi. Zwyczajna ładownia na

nowoczesnym statku. Meta na pewno od razu wiedziałaby, na jakich typach statków bywają takie ładownie. Jason podobnymi głupstwami nie zaśmiecał sobie pamięci. Ale poziom technologii porywaczy raczej go ucieszył. Przynajmniej to nie głupkowaci kapłani z ich prymitywnym podziemiem!

W jasnym świetle Jason od razu spostrzegł, że Trollkar też jest w podniosłym nastroju. Jednak u niego łączyło się to z pewną re-refleksją i czujnością zawodowca.

Zdumiewające, jak otoczenie wpływa na wygląd zewnętrzny człowieka! Trollkar wyglądał teraz raczej na majstra, którego wezwano do naprawy zepsutego urządzenia. Jason nie miał już ochoty nazywać go Czarownikiem. To wszystko zostało na dole, na planecie. A tutaj, w kosmosie, siedział przed Jasonem, ubrany w bezsensowny mnisi habit z kapturem, ale z pewnością prawdziwy gwiazdowy nawigator Olaf Vit, znający się na broni, systemach obronnych i kosmicznych podróżach.

- Olaf, musisz opowiedzieć, jak się dorobiłeś takiego „stano-wiska”.

Tym razem Jason miał stuprocentową pewność, że nikt im nie przeszkodzi i będą mieli dużo czasu, żeby spokojnie porozmawiać. Tak też się stało. Przynajmniej raz udało mu się coś przewidzieć!

Przez ostatnie dni popełniał same pomyłki. Rozmawiali dwie, może nawet trzy godziny. Olaf doskonale pamiętał odległą przeszłość, ale czasem kompletnie zapominał wydarzenia ostatnich dni czy godzin. Jason kilka razy pomagał mu sobie przypomnieć. Olaf też sobie pomagał - wyciągnął z tajnej skrytki w swoim chytrym przyrządzie trzylitrowy bukłak z czorumem, niedużą flaszkę z „czorumówką” i kawał mięsa pitahi, od którego laserowym ostrzem odcinał cieniutkie plasterki.

Wyglądało na to, że Olaf jest alkoholikiem. Na proste pytanie:

Jak mogłeś pozwolić swoim kapłanom, żeby trzymali mnie tak długo w tej ciemnicy?”
- Jason uzyskał równie prostą odpowiedź: „Nie pamiętam, byłem pijany”.

Teraz pił wyłącznie lekkie wino, a „czorumówkę”, czyli siedemdziesięcioprocentowy miejscowy samogon zostawił na czarną godzinę. Chciał zachować jasność umysłu, nawet za cenę drżenia rąk, bólu stawów i łomotania serca. Zgadzał się nawet na mdłości i lekki ból głowy.

Podczas tej rozmowy Jason zdążył się dowiedzieć mnóstwa rzeczy.

Wiele lat temu (jak dawno, dokładnie nie wiadomo) na Monaloi wylądował ogromny liniowiec o pięknej nazwie „Seger” (po szwedzku „zwycięstwo”). Statek skradziono z wysoko rozwiniętej planety Sigtuna, w polarnej części Galaktyki. Informację o tym historycznym fakcie można na pewno bez trudu odnaleźć w komputerze. Olaf nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, czy był nawigatorem „Se-gera” przed kradzieżą, czy też należał do bandy złodziei i został nawigatorem dopiero później, w składzie nowej, bandyckiej załogi. Jason próbował zadawać podchwytliwe pytania, ale ten zakątek pamięci Olafa był zablokowany szczególnie mocno. Natomiast dalszy rozwój wydarzeń udało się całkiem nieźle zrekonstruować. Kryjąc się przed statkami Korpusu Specjalnego, bandyci przyjęli taktykę stopniowego wychodzenia z podprzestrzeni z chaotycznym wyborem punktów lokalizacji. Niezwykle ryzykowny sposób poruszania się w kosmosie. Prawdopodobieństwo anihilacji podczas zderzenia w zwykłej przestrzeni z dużym obiektem materialnym jest bardzo wysokie, ale za to szansa zgubienia dowolnego „ogona” praktycznie stuprocentowa. Tym bardziej na takim statku, jakim był „Se-ger”, zaprojektowanym i zbudowanym połączonymi siłami Cassylli, Sigtuny, Scoglio i kilku innych planet. Oczywiście

Korpusowi Specjal-nemu bardzo zależało na tym, żeby zwrócić galaktycznej społeczności t? drogocenną zabawkę, ale fortuna uśmiechnęła się do bandytów.

Seria szaleńczych skoków, która o mało nie wykończyła załogi,

124

125

wyrzuciła statek na orbitę Monaloi - skromnego, zapomnianego świata na gęsto zasiedlonych obrzeżach centrum Galaktyki, gdzie wynurzanie się z podprzestrzeni nie jest praktykowane z powodu zbyt dużego skupiska gwiazd i innych ciał niebieskich. Gwiazda, wokół której krążyła Monaloi, znajdowała się na granicy tego terytorium. Przy dostatecznie starannym wyliczeniu hiper-przestrzenne skoki były tu teoretycznie możliwe. Na mapach i w galaktycznych informatorach dla kosmicznych nawigatorów ta planeta nie była uwzględniona, więc bandyci mogli żyć tu sobie cicho i spokojnie i nikt by się o tym nie dowiedział. Tak też się stało. Ale bandyci to bandyci. Nie usiedzą na miejscu. Niespokojne dusze rwały się do nowych ryzykownych awantur. Planeta o niewielkim zaludnieniu okazała się wyjątkowo samowystarczalnym światem - wesołym, beztroskim, obfitym. Coś w tym musi być, pomyśleli bandyci, i polecili swojemu głównemu biologowi i lekarzowi Swampowi, by zajął się problemem miejscowych psychopatów. Dlaczego psychopatów? Ich zdaniem wiecznie szczęśliwi ludzie nie mogli być zdrowi psychicznie. Międzygwiazdni złoczyńcy niewiele się pomylili - ekspertyza została przeprowadzona bardzo szybko, a wnioski okazały się wstrząsające. Biolog Swamp, uparcie nie dowierając результатам badań, powtarzał doświadczenia kilkanaście razy. Dodatkowymi królikami doświadczalnymi stali się ci bandyci, którzy zdążyli nieostrożnie spróbować miejscowych owoców o wybornym smaku. Szczególnie zajmująca była obserwacja jednego z nich, który bez pozwolenia wyłopał całą beczkę cudownego monalojskiego wina. Monaloi była planetą-narkotykiem. Wszyscy jej mieszkańcy byli uzależnieni. Substancja zawarta w każdej roślinie, wodzie, a nawet w powietrzu oraz oczywiście w komórkach zwierząt, była niezwykła. Zabijała powoli i bezboleśnie. Nie było potrzeby zwiększania dawki, można ją było nawet zredukować. Życie każdego Monalojczyka było przyjemne i wesołe aż do ostatniej minuty. Śmierć przychodziła błyskawicznie. Według miejscowych wierzeń, Duchy Alhinoju wzywały człowieka do siebie, gdy przychodził jego czas, odcinając mu dopływ życiowej energii.

Monalojczycy nie znali chorób, za to ich życie nie trwało długo - najwyżej czterdzieści lat. Ale z drugiej strony, czy to mało? Może to lepsze niż ciągnące się latami choroby, cierpienia, bóle, stresy i inne paskudztwa? Po co się tak męczyć? Ta filozoficzna myśl zagościła w głowie niejednemu członkowi załogi „Segera”. W efekcie z trzydziestu czterech ludzi ponad połowa została narkomanami. Nawet sienie domyślali wszystkich konsekwencji swojego czynu. Mieszkańcy Monaloi nie znali chorób, nie wiedzieli także, co to wrogość i przemoc. Nawet najbardziej prymitywne zwierzęta żyły ze wszystkimi w idealnej biosferyalnej symbiozie. Fenomen zasługiwał na szczegółowe zbadanie przez najtęższe umysły Galaktyki, a tymczasem zajęli się nim ludzie bez zasad i czci cynicy i oszuści. Ta część załogi, która nie zamieniła niebezpiecznego życia bandyty na słodkie odurzenie monalojskiej wegetacji, od razu zadała sobie praktyczne pytanie: co zrobić, by szybko i bez zbytecznego zachodu wyciągnąć maksymalną korzyść z zaistniałej sytuacji? Że tu rośnie, biega i lata żywa gotówka - nikt nie miał wątpliwości. Swamp bardzo starannie zbadał komponenty otaczającej ich biosfery. Okazało się, że wyodrębnienie głównego narkotycznego związku w czystej postaci jest niemożliwe. Na Monaloi działał na człowieka złożony zestaw czynników. W ich skład wchodziły kombinacje sześciu albo siedmiu

chemicznych substancji o skomplikowanej strukturze, oryginalne magnetyczne pole planety, podwyższony poziom promieniowania kosmicznego, spowodowany cienką warstwą atmosfery, specyficzne spektrum miejscowego słońca, skomplikowane modulowane wibracje, związane z wysoką aktywnością sejsmiczną... W trakcie swoich badań Swamp zebrał wspaniałą miedyczną statystykę. Nawet róża wiatrów i rozłożenie opadów w roku miały wpływ na obraz narkotycznego odurzenia.

Jednym słowem, odtworzenie fenomenu Monaloi na jakiegokolwiek innej planecie było nierealne. Za to udało się wydzielić, jeśli nie najważniejszy, to w każdym razie najsilniejszy niezależny narkotyk. Wydobywano go z owoców ajdyn-czumry, sztucznie wytworzonej kultury, którą według podań (nikt nie wiedział nic pewnego) przywieziono tu dawno temu z innej planety. Obecnie miejscowi fachowcy od rolnictwa mogli naliczyć kilkadziesiąt odmian tego superowocu. Nieproszeni goście początkowo eksportowali ajdyn-czumrę w czystej postaci, ale szybko sobie uświadomili, że znacznie bardziej interesującym towarem będzie czumryt, czyli skoncentrowany sok z ajdyn-czumry. Do produkcji czumrytu wybudowano kombinat „Karaeli brook”, nazywany przeważnie po prostu Kombinatem, doskonale wpisujący się w obraz świata Monalojczyków. Zgodnie

126

127

ze świeżo stworzoną religijną koncepcją, Kombinat wybudowały Duchy Alhinoju, aby zregenerować sokiem z ajdyn-czumry zanikającą energię życiową całej planety, którą bezlitośnie pożerają nie Duchy, a Cienie Alhinoju. Gdy Cienie zaczynają zjadać więcej niż mogą wyprodukować Duchy, wtedy nadchodzi czas odejścia do Alhinoju. Przyjemny schemacik. Wiecznie radośni farmerzy Monaloi uwierzyli w to, tak jak wierzyli we wcześniejsze wymysły kapłanów, i pokornie oddawali ajdyn-czumrę do Kombinat. Czumryt okazał się wspaniałym towarem. Wywoływał niezwykle wrażenia, a uzależniał już od pierwszej dawki. Pozbawienie narkomana kolejnej dawki niemal we wszystkich przypadkach kończyło się jego śmiercią. Natomiast stałe używanie preparatu nie powodowało żadnych przykrych dla zdrowia konsekwencji, jeśli nie liczyć stopniowego, ale nieodwracalnego wypadania włosów. I, rzecz jasna, znacznego skrócenia życia. Dużo później okazało się, że wspaniała ajdyn-czumra odbiera pamięć. Ale to nawet nie było takie złe. W dodatku nieoczekiwanie znalazł się środek, który ją przywracał.

Swoimi bandyckimi kanałami Faderzy, czyli „ojcowie” (ojcami tej planety nazwało się piętnastu byłych członków załogi „Segera”, wolnych od monalojskiego nałogu), nawiązali kontakt z mało znaną w Galaktyce planetą, na której hodowano kopytne gady. Delikatne mięso tych stworzeń miało pewne szczególne cechy. W dużych dawkach wywoływało halucynacje, więc początkowo również uznano je za narkotyk. Jednak inteligentny doktor Swamp szybko się zorientował, o co chodzi: to nie były halucynacje, ale budząca się pamięć przodków. Ajdyn-czumra z mięsem pitahi tworzyły zestaw, za który ludzie gotowi byli płacić fortunę.

Mniej więcej po półtora roku takiej gospodarki niegdysiejsi bandyci byli już milionerami. Udało im się bez zbędnego szumu przeniknąć do międzygwiazdnych sieci informacyjnych, gdzie zmienili swoje dane. Jak żartował jeden z Faderów, Olidig, za pieniądze, które dostawali za czumryt, można było kupić nie tylko sieci, ale i cały Korpus Specjalny z Ligą Planet. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia. Faderzy nie mogli spokojnie patrzeć, jak żałosni farmerzy uprawiają swoich niedużych półkach superowoce, a za przełęczą, w nadmorskiej dolinie o wspaniałym

równikowym klimacie, leżą odłogiem ogromne przestrzenie! Nie można było pozwolić na takie marnotrawstwo; trzeba było obsadzić te ziemie ajdyn-czumra i nająć do pracy tubylców. Jednak tubylcy nie mnożyli się na zawołanie, a uwijania się na polach kategorycznie odmówili. A gdy próbowano podejmować wobec nich bardziej zdecydowane kroki, po prostu umierali. Fade-izy musieli przywozić robotników z innych planet. Kontyngent przy-szłych gastarbeiterów był oczywisty: włóczędzy, drobni przestępcy, poszukiwacze przygód, czyli osobnicy, których nigdy i nigdzie nie brakuje, a których tradycyjnie uważano za szumowiny społeczeń-stwa. Nie było nikogo, kto by ich poszukiwał-po galaktyce. Praco-wali na monalojskich plantacjach do kompletnego wyczerpania, szczerze ciesząc się ze wszystkiego wokół dzięki codziennej polew-ce z ajdyn-czumry i wyciągali nogi nie po czterdziestu, jak rdzenni Monalojczycy, ale po dwóch czy trzech latach. Szczególnie odporni mogli dociągnąć nawet do ośmiu lat. Tym wyjątkowo cennym eg-zemplarzom podawano narkotyk w specjalnie rozcieńczonej posta-ci. Dzięki temu lepiej pracowali - dążyli do lepszego jedzenia i lep-szych rezultatów. Natomiast miejscowi farmerzy, opychający się ajdyn-czumra bez umiaru, chodzili stale na luzie i pracowali od nie-chcienia, jak lubili powtarzać, dla własnej przyjemności. A przecież powinni pracować dla przyjemności Faderów. Skala działalności rosła, brakowało pracowników. Trzeba było wymyślić coś nowego. Cóż, Faderzy byli pod tym względem mato oryginalni. Skąd bierze się w Galaktyce niewolników? Wiadomo - zostają nimi ludzie porwani z dzikich planet. Takich, na których istnieje oficjal-ny handel niewolnikami, albo takich, gdzie łatwo i bez strat można pod-bić całe miasta i ładować na transportery wszystkich jak leci. Flota kosmiczna bandytów na Monaloi od dawna składała się nie tylko z „Segera”. Liczyła sobie oficjalnie prawie trzysta jedno-stek bojowych. Wszystkie miały wygląd statków handlowych lub obronnych, a mogły uczestniczyć w wojnach galaktycznych czy mię-dzygwiezdnych bitwach. Te ostatnie niezbyt interesowały Faderów; mieli wystarczająco dużo problemów na własnej planecie. W ko-smosie bardziej niepokoiły ich problemy ekonomiczne.

W tym ogromnym przedsięwzięciu, wszystko zostało starannie przemyślane i szczegółowo opracowane. Bez specjalnego wysiłku eksbandyci, a obecni gospodarze Monaloi naturalnym sposobem zaczęli kontrolować całą Galaktykę. Przez ich ręce, w ten czy inny sposób, przepływała prawie jedna trzecia strumienia środków finansowych Wszechświata. Jak wiadomo, ten, kto kontroluje więcej niż

128

Planeta śmierci 6

129

połową, kontroluje wszystko. Niewiele im brakowało. Właśnie wtedy nieznane groźne siły wtargnęły na Monaloi i zniszczyły świetlane per-spektywy. Trzęsienie ziemi, wybuchy wulkanów, wysokotemperatu-rowe potwory,.. Załamanie, klęska, prawdziwe nieszczęście. Opowiadając tę historię, Olaf zapomniał opowiedzieć o sobie. Jason, który do tej pory słuchał nie przerywając, wykorzystał pierw-szą okazję i szybko zapytał:

- Jak się znalazłeś w tym lesie?

- W bardzo prosty sposób - westchnął Olaf. Gdy Faderzy zajęli się handlem niewolnikami, nawigator po-wiedział sobie: „Mam tego dosyć!” Każdy człowiek ma granicę, któ-rej nie chce przekraczać. Jeśli nie ma takiej granicy, przestaje być człowiekiem. Handel narkotykami nie wywoływał u Olafa przesad nych wyrzutów sumienia, tym bardziej, że właściwie nie była to tru cizna, a remedium na wszystkie dolegliwości. Wspaniałe usprawie dliwienie! Patrzenie, jacy z nas humaniści, dajemy

ludziom szczęście, a nie męczarnie i śmierć! Ludzie z własnej woli chcą zostać „hono-rowymi Monalojczykami” tutaj i na innych planetach! Argumentując w ten sposób, Olaf wpadał w euforię - wychodziło na to, że Faderzy są uzdrowicielami i zbawcami ludzkości. Udało im się znaleźć drogę wyzwolenia od wielu zbrodniczych pragnień, drogę do szczęścia, do jedności z naturą. Piękne oszustwa! Gdy na Monaloi pój awili się pierwsi niewolnicy, wszystkie iluzje runęły. Krew, brud i smród znów wdarły się w życie Olafa. Okrucieństwo, poniżenie, śmierć na plantacjach - brzemię było zbyt ciężkie. Mniej więcej w tym samym czasie Olaf zaczął zgłębiać miejscową religię- alhinoizm. Pewnej nocy uświadomił sobie swoje powołanie, napił się czorumu i odszedł z rezydencji emir-szacha, gdzie do tej pory zajmował najważniejszy gabinet - dyżurnego namiestnika planety. Odszedł do Przeklętej Dżungli, (albo Przekłętego Lasu - zależy, z jakiego języka się tłumaczyło), gdzie żaden normalny Fader nie zaglądał. Wiedział, że nie będą go tam szukać. Wybudował sobie dom, który stał się w końcu świątynią kapłanów Alhinoju, i mianował się Pierwszym Kapłanem - prorokiem starożytnej monalojskiej religii. Olaf okazał się wyjątkiem. Po pierwsze, mimo regularnego używania ajdyn-czumry i innych świństw, niełysiał. Po drugie, nie tracił pamięci. To znaczy tracił, ale nie tak szybko i w ogóle inaczej niż inni. Dlatego nazwano go dumnym imieniem Trollkar. Skupieni wokół niego szaleńcy naprawdę czcili „owocownika o złocistej sierści” jak świętego i chronili go przed niebezpieczeństwami. Tymczasem zdziczałych od przelewania krwi ludzi było na Monaloi coraz więcej. Niezdolni do przeciwstawienia się Faderom Monalojczycy ochoczo szli do nich na wojskową służbę. Ginęli w nierównych walkach albo skupiali się stada, jak dzikie zwierzęta, by pokonać przeciwnika, jeśli nie umiejętnościami, to przewagą liczebną. Te stada podzieliły się później na dwa podziemne ugrupowania - kalhinbajów i striderów.

Do kalhinbajów, co w tłumaczeniu z języka tafi oznaczało „prawdziwi gospodarze”, należeli wyłącznie rdzenni Monalojczycy. Mieli licznych tajnych agentów wśród dziesiętników, setników, a nawet osobistych ochroniarzy. Podobno nawet jeden z zaufanych ludzi emir-szacha okazał się kiedyś szpiegiem kalhinbajów. Całkiem jednak możliwe, że ten biedak służył wiernie jak pies, a powiesili go głową w dół w celu odstraszenia innych. Ale z drugiej strony nie dało się wykluczyć, że to był prawdziwy szpieg.

Kalhinbajowie żądali obalenia Zulgindoja, marionetkowego władcy, wypędzenia wszystkich sierściuchów z planety i władzy absolutnej dla emira. Zajmowali odległe zakątki Przeklętej Dżungli i od czasu do czasu napadali na osiedla pracownicze Kombinatoru, a nawet na rezydencje sułtanów. Nie udało im się wprawdzie odnieść ani jednego realnego zwycięstwa nad siłami bezpieczeństwa Faderów, ale Faderzy też niewiele mogli zrobić kalhinbajskim buntownikom. Zbyt wiele osób przyciągnęli do swoich szeregów. Rozstrzelanie spiskowców nieodmiennie powodowało zwiększenie się ich liczby.

Striderzy w przekładzie ze zniekształconego szwedzkiego znaczą „wojownicy”. A raczej bojownicy. Bojownicy o sprawiedliwość dla wszystkich. Tak brzmiała ich pełna nazwa. Swoją organizację dumnie ochrzczili partią polityczną. Na czele tej mniej licznej, ale bardziej zdyscyplinowanej grupy stali zbiegli owocownicy. Włochatych wśród striderów było chyba nawet więcej niż łysych. Striderzy kategorycznie potępiali każdy przejaw etnicznej i lingwistycznej nietolerancji, kultywowali zakazany na Monaloi „owocowniczy” język, wykorzystywali bagaż wiedzy zdobytej na swoich odległych planetach. Głównymi metodami walki było dla nich zdobywanie nowoczesnej broni,

transportu i innej technologii od Faderów. Poza tym organizowali różnego rodzaju akcje dywersyjne. Ich celem strategicznym była wolność i sprawiedliwość dla wszystkich, obalenie ustroju totalitarnego, czyli władzy emira i Faderów, demokratyczne wybory i tak dalej, i tak dalej... Olaf osobiście uważał, że w dziewięćdziesięciu procentach to zwykła gadanina, a prawdziwym marzeniem striderów było przebicie się do portu kosmicznego Tomhet, zdobycie najlepszych statków, ucieczka w kosmos i wymazanie z pamięci tej szalonej planety narkomanów.

Ci nieszczęśnicy jeszcze nie rozumieli, że nie mają dokąd uciec. Że są przykuci do Monaloi na zawsze. Przebywanie na tej planecie powodowało syndrom głodu narkotycznego. Człowiek był uzależniony nie tylko od czumrytu, ale i towarzyszących mu czynników, promieniowania, szczególnego składu wody i powietrza, linii magnetycznych, podziemnych wibracji... Nawet wielki Swamp nie zdołałby nazwać wszystkich elementów formujących psychikę i fizjologię Monalojczyka.

Oba wojujące ugrupowania były jednocześnie śmieszne i tragiczne w swoim rozpaczliwym dążeniu do wprowadzenia zmian na tej opętanej planecie. Olaf nieraz próbował wyjaśnić przywódcom obu ugrupowań najważniejsze zagadnienia. W najbardziej przystępnych terminach tłumaczył im ogólną sytuację. Przywódcy przeżywali szok, nie chcieli wierzyć, potem, gdy do nich docierało, wpadali w rozpacz, znowu tracili wiarę... Wszystko kończyło się bezsensownymi rzeźnami. Kalhinbajowie woleli wierzyć, że to włochaci przybysze winni są tragedii rdzennej ludności Monaloi. Striderzy z kolei obwiniali o wszystko tępych i okrutnych ajdynszowinistów, jak nazywali kalhinbajów. I jedni, i drudzy przywódcy zmieniali się często, bo śmiertelność była niezwykle wysoka. Niestety, nie wpływało to na ich stosunki z prorokiem Trollkarem. Po prostu nie chcieli go zrozumieć.

Za to powstała opinia, że wystarczy przeciągnąć Trollkara na swoją stronę, a zwycięstwo ma się zapewnione. Trollkar był bezstronny, nie popierał nikogo. Walki o niego były zażarte. Wtedy właśnie musiał nauczyć swoich kapłanów podstaw walki wręcz. Oczywiście w najgorszych przypadkach używał ukradzionego z „Segera” generatora pola siłowego, ale nie chciał wymachiwać nim zbyt często. Jego współbojownicy mogliby mu tego nie wybaczyć. Przywódcy obu grup z biegiem lat coraz bardziej głupieli, kapłani również. Co raz trudniej było ich uczyć sztuki walki, za to coraz bardziej lubili demagogię. Olaf wpadł w przygnębienie, zaczął więcej pić, zwłaszcza odkąd odkrył nowy sposób destylacji miejscowego samogonu - wynalazł tak zwaną „czorumówkę”. Przedestylowany alkohol dawał więcej przyjemności niż miejscowe świństwo. W każdym razie jemu. Na lepsze życie i tak już stracił nadzieję. Wtedy właśnie pojawił się Jason. Najpierw złapali go ochroniarze sułtana, którzy wszyscy należeli do kalhinbajów. To nie był przypadek, czatowali na niego specjalnie. Natomiast striderzy zdołali podsłuchać przez radio ważną rozmowę między Swampem a sułtanem Azbajem. Fader uprzedził, że wkrótce z gór na dziwnych latających maszynach pojawią się owocownicy, a raczej pewna ich szczególna rasa. Nie należy ich traktować jak nowych pracowników, przylecieli tu sami, z własnej woli, i chcą pomóc Monalojczykom w walce z przerażającymi potworami wychodzącymi spod ziemi. Striderzy z ogromną niecierpliwością wyglądali tak niezwykle gości. Ale wśród nich od dawna byli kalhinbajscy szpiegi. Striderzy też oczywiście mieli swoich szpiegów w obozie wroga, ale tym razem los uśmiechnął się do kalhinbajów. Jason zszedł z gór w pobliżu osiedla,

zamieszkanego przez jedną z najpotężniejszych grup miejscowych patriotów. Striderzy nie dali za wygraną. Przybysz nie zdążył jeszcze odzyskać przytomności, gdy na leśnej drodze w Prze-kłętej Dżungli pomiędzy odwiecznymi wrogami wywiązała się okrutna walka. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w pobliżu znaleźli się kapłani Olafa-Trollkara i w ogólnym zamęcie zdołali wynieść nieprzytomnego Jasona z tej rzezi.

Gdy następnego ranka Olaf ocknął się z długotrwałego ciągu pijackiego i dowiedział się, kto siedzi w ciemnicy... aż mu się w głowie zakręciło z wrażenia! Ale Jasona nie było już w piwnicy. Olaf wysłał głupawych kapłanów na poszukiwania. Tłumaczył im, że uciekinier jest jeszcze większym prorokiem niż on sam. Właściwie powinni byli go znaleźć, ale Jason był szybszy. - Oto cała historia - zakończył Olaf długą opowieść. Jason podejrzewał, że to nie była „cała historia”, ale i tak czuł się przytłoczony ogromem informacji. Nie nadszedł jeszcze czas na nowe pytania.

Postanowił wyjaśnić tylko jeden szczegół:

132

133

- Olaf, czy możesz uczciwie powiedzieć, że lecimy teraz na „Segerze”?

- Mogę z całym przekonaniem odpowiedzieć, że nie na „Segerze”.

- Skąd wiesz? - zainteresował się Jason.

- Długo by wyjaśniać. „Segera” znałem jak własną dłoń. Wca-le sienie zdziwię, jeśli się okaże, że to nawet nie jest faderski statek. - Nieźle! - gwizdnął Jason. Wychodziło na to, że jego na wpół żartobliwe przewidywania sprawdzały się. - A czyj? Olaf tylko wzruszył ramionami. Były nawigator nie lubił spe-kulacji, wołał fakty. I chyba miał rację.

W następnej sekundzie statek rozpoczął manewr. Jason gotów był dać głowę, że podchodzą do lądowania z niewysokiej okołoplane-tarnej orbity. Oczywiście przy założeniu, że nie rzuciło ich na pokład statku spoza Galaktyki, który latał według innych praw fizycznych i na przykład umiał nurkować w podprzestrzeń, nie wywołując u pa-sażerów najmniejszych negatywnych emocji w momencie przejścia. Jason jednak nigdy o czymś takim nie słyszał. A że przez całe życie hołdował starożytnemu prawu „brzytwy Okhama”: „ Nie mnoż bytów ponad niezbędną konieczność”, postanowił za dużo nie kombinować. Poza tym nie było na to czasu. Ostry dźwięk alarmu dobiegł ze środka kulistego sufitu. Powstał w nim niewielki otwór, który zaczął się powoli rozszerzać, niczym przesłona gigantycznego obiektywu.

18

A gdzie jest Jason? - spytała Meta, gdy Action wreszcie doszedł lJLdo siebie i można już było mieć nadzieję na uzyskanie rozsądnej odpowiedzi.

Mleczny brat Jasona nie wyglądał dobrze. Wychudzony, w brudnych łachmanach, z długimi włosami i rzadką bródką, twarz i ręce w szramach i siniakach, wokół oczu czarne kręgi, wzrok zaszczuty i żalony. Złamany człowiek. Jak on tu trafił, po co, dlaczego? Wszystkie te pytania przemknęły przez głowę Mety. Zdumiał ją ten nagły przejaw tak bardzo niepyrrusańskiej pustej ciekawości. Co ją obchodzi jakiś tam myśliwy Action z prowincjonalnego światka o nudnej i przy-długiej nazwie Porgorstorsaaand? Liczyło się tylko jedno - gdzie jest Jason. Nieszczęsny Action na widok Mety rozkleił się zupełnie. Po jego brudnych policzkach płynęły wielkie łzy, ramiona zaczęły dygo-tać, nogi się ugięły. Śmiał się, płakał, plótł coś po monalojsku, jakby zapomniał języka cywilizowanych ludzi.

Furuhu widząc, że na nic się tu nie przyda, zajął się swoimi sprawami. Uważnie zbadał stan wejściowych zapór, po czym zdjął ciężką zasuwę z zewnętrznej strony i umiejętnie podparł nią drzwi od wewnątrz. Na wszelki wypadek. W razie nieoczekiwanego ataku powinni mieć choć niewielką przewagę..

Wreszcie Action uspokoił się, usiadł na podłodze, wyciągnął nogi i podparł się rękami. Uśmiechnął się głupawo i chciał coś po-wiedzieć, ale Meta go uprzedziła:

- Gdzie jest Jason?

- To ja cię chciałem zapytać, gdzie jest Jason - pisał histerycznie. - Od dawna się domyślałem, że mój brat tu przyleci, a kilka dni temu zdobyłem pewność, że Jason jest na planecie. Miałem nadzieję, że sam was odszukam, ale ci dranie mnie złapali... Meta zaczynała coś rozumieć. Wychodzi na to, że Jasona będę musiała poszukać sama, pomyślała. A w dodatku pomóc tej sierocie. Do nagłej śmierci, co za pech! Ale przecież go tu nie zostawię! Do zaprawionej wzdargą litości dla słabego mężczyzny dołączyła irytacja. Skoro ma przez niego marnować czas, siły, może nawet ryzykować, musi być z niego jakiś pożytek. Przypomniała sobie opowiadanie Furuhu.

- Dobrze - oświadczyła. - Znajdziemy Jasona. W ostateczności połączymy się z Kerkiem i on przeczesze całą planetę. Powiedz mi teraz, dlaczego wtedy na plantacji krzychałeś coś o Teodorze Solvitzu? Skąd ci przyszło do głowy, że to, co się tu dzieje, to też jego sprawa? - To zbyt długa opowieść. Najpierw muszę stąd wyjść, najeść się i wypaść w normalnym łóżku. Pomóż mi! Znowu wpadał w histerię. Zaczynał się zachowywać niepoczytalnie.

- Pomogę ci, do licha! - rozłościła się Meta i zażądała surowo:

- Powiedz mi tylko krótko, co ma do tego Solvitz! Muszę to wiedzieć! Action nie zdążył odpowiedzieć. Z góry, przez drzwi, a może przez wąskie szczeliny pod sufitem, przebił się grzmiący głos wzmocniony przez jakieś akustyczne urządzenie:

134

135

T

- Więzienie jest otoczone. Opór nie ma sensu. Wychodźcie pojedynczo, w przeciwnym razie użyjemy gazu. Więzienie, jako budowla dość wiekowa, nie wyglądało raczej na pomieszczenie hermetyczne i kiepsko się nadawało do użycia gazu usypiającego. Faderzy czy może ochroniarze sułtana - Meta nie wiedziała, kto tam teraz woła - najwyraźniej nie byli przygotowani do ataku. Normalni wojownicy puszczają gaz bez uprzedzenia. A oni zwyczajnie bali się reakcji przeciwnika. Muszą wiedzieć, że Meta jest dobrze uzbrojona, skoro nawet nie próbują wyważyć drzwi. Straszą ich, jak jakichś żółtodziobów. Śmieszne! - Poddajemy się? - spytał nieśmiało Action. Meta nie zaszczyciła go odpowiedzią. Furuhu wystąpił z konkretną propozycją:

- Mógłbym rozpocząć pertraktacje.

- Nie ma potrzeby. Powiedz mi lepiej, dokąd wychodzą te okna na górze.

- Donikąd. To zwykłe dziury w murze nad urwiskiem. - Jasne. A jeśli pójść w górę po urwisku, to jak daleko będzie do załomu?

Furuhu zrozumiał, co Meta wymyśliła i odpowiedział ze znajomością rzeczy:

- Przekonnie przejdziemy, ale i rasy samej górze jest szeroki dyńnik. Przedtem wykorzystywano go do kaźni... stamtąd zrzucano skazanych na śmierć. Niezły

sposób, żeby przerazić tych, którzy siedzieli w środku Meta skrzywiła się. Furuhu ciągnął:

- Szczególnie niebezpiecznym przestępcom spuszcza ją przez dymnik na sznurku jedzenie, żeby do nich nie wchodzić. Tamtędy można wydostać się na płaskowyż. Pasowałoby. Tylko nie wiem, jak nam się uda wdrapać na górę...

- O to się nie martw, mam wystarczająco dużo różnych urzą-dzeń. Umiesz chodzić po górach z hakiem i liną? Furuhu wzruszył ramionami.

- Nie trenowałem, ale myślę, że dałbym radę. Ale chodzi o to...

- O co?

- Moja ręka. Jeszcze się nie zagoiła.

- Rzeczywiście - zdenerwowała się Meta. - Zresztą, poczekaj, dam ci silny środek przeciwbólowy, a kości nie powinny się rozejść. W swoim czasie nieźle mnie nauczono zakładać łupki. - Dobrze, puszysta - powiedział Furuhu. - Jak to dobrze, że złamałaś mi lewą rękę. - Będę się starał nie obciążać tej chorej - obiecał.

- Bardzo słusznie - podsumowała Meta.

Nie tracąc więcej czasu, zrobiła mu dwa zastrzyki po obu stro-nach opatrunku, a potem od razu wystrzeliła w górę malutki pająko-waty haczyk z superwytrzymałą nicią. Zaczepił się od razu. - Ty pierwszy - zarządziła, wskazując byłego setnika, teraz również byłego osobistego ochroniarza.

- A co z nim? - zainteresował się Furuhu, zdumiony w głębi duszy jej troską o tego całkiem obcego człowieka. - Wezmę go na plecy jak dziecko - wyjaśniła Meta. Action chlipnął głośno. Nie wiadomo, czy płakał, czy histerycz-nie chichotał. I nie było czasu na wyjaśnianie tej kwestii. Furuhu wspinał się z widocznym wysiłkiem, ale dość zręcznie.

Meta oczywiście nie zostawała w tyle.

Gdy po drugim głośnym ostrzeżeniu strażnicy sułtana Azbaja wyważyli drzwi miotaczami wody, chcąc widocznie złamać spiskow-ców zalewającymi wszystko strugami, w więzieniu nie było już kogo topić. Gdy tępi wodolazi pluskali się w poszukiwaniu ofiar, a sułtan Azbaj ze Swampem próbowali rozwiązać problem na płaszczyźnie teoretycznej, Meta, Furuhu i Action byli już daleko. Jak było do przewidzenia, wycieńczony Action nie tylko nie mógł biec, ale w ogóle z trudem się poruszał. Musieli szybko zna-leźć jakiś transport. Mieli szczęście: ośmiokołowy opancerzony terrenbil - według Furuhu prawidłowa nazwa brzmiała pansarbil - właśnie nadjeżdżał z naprzeciwka. Zauważyli go, jak tylko wyszli na drogę. Ich plan działania nie był zbyt oryginalny. Furuhu zatrzymał białą i zajął kierowcę rozmową. W tym czasie Meta błyskawicznie, ale uważnie, żeby ich zanadto nie uszkodzić, zneutralizowała kierowcę i pasażera. Dwie jednostki broni monalój-skiej produkcji to zdobycz nie do pogardzenia. Meta przede wszystkim chciała się dostać do szalup: własnej i Jasona, ukrytych w krzakach na zboczach góry. Ale już z daleka zo-rientowała się, że nic z tego nie będzie. Miejscowi szpicle wytropili je i zabrali, a w zaroślach na zboczach przygotowali zapewne zasadzkę. Nie było sensu się tam pchać, nawet w pansarbilu. A więc najpierw trzeba się dostać na dół, do morza, a potem się zobaczy.

136

137

Nieopodal miejsca jej wczorajszego lądowania dyżurowali zdu-miewająco tępi Monalójczycy. Nie zwrócili uwagi na opancerzony samochód, który z niewiadomych przyczyn zawrócił tuż przed nimi. Widocznie nie spodziewali się, że zbiegli

przestępcy pojawią się tu tak szybko, albo w ogóle nie dostali sygnału o ich ucieczce. Ale za drugim zakrętem, w wąwozie, zbiegów oczekiwał komitet powitamy. Tam właśnie Mecie skończył się zapas igieł anestetycznych i przy następczej blokadzie musiała użyć prawdziwych reaktywnych pocisków, jakimi Pyrrusanie zabijali wszelkiego rodzaju wrogie istoty. Miejscowych ochroniarzy Meta bez wahania zaliczyła do tej kategorii. Po tym, co zdążył jej opowiedzieć Action, nie miała wyrzutów sumienia. Brat Jasona, ani słowem nie wspominając o Solvitzu mimo usilnych próśb Mety, długo użalał się nad swoim ciężkim życiem na Monaloi. I chociaż ten zgnębiony człowiek nie budził w Mecie współczucia, do jego oprawców czuła wstręt.

Najważniejsze w opowieści Actiona okazało się to, że nie był przestępcą. Nie złamał żadnego prawa, po prostu polował na plane-cie, którą Faderzy uznali za swoją. W ten właśnie sposób ich niewolnikami zostawali bardzo często przypadkowi i niewinni ludzie. Czasem byli to wojownicy, którzy stawiali opór najeźdźcom na nieskończonych planetach. Zdarzało się też, że Faderzy atakowali pierwszy lepszy statek jak piraci i całą załogę zdobytej jednostki wysyłali na plantacje superowoców na strasznej Monaloi. - Nikt tu długo nie żyje - powiedział ponuro Action. - Ja jej* stem szczególnym przypadkiem, ale to inna sprawa. < - Dlaczego nikt się do tej pory nie skarżył? Dlaczego nikt nie opowiedział o tym koszmarze?

- Nakarmić ajdyn-czumrę znaczy to samo, co zabić. Owoce wywołują euforię i zanik pamięci. Niektórym kompletnie niszczą osobowość.

- A tobie? - spytała Meta. - Solvitz ci pomoże?

- Możliwe - odparł Action.

I znowu zamilkł. Potem nagle wyznał:

- Mogę o tym mówić wyłącznie z Jasonem. Meta się nie spierała. I tak już sporo zrozumiała. Po pierwsze, Jasona trzeba szukać z pomocą Kerka. Po drugie, nad najważniejszymi kwestiami niech się zastanawia Jason. I po trzecie, trzeba wreszcie przedrzeć się do swoich. Ci łysi zupełnie zwariowali. Gdy w końcu dotarli nad morze, pojawił się problem, jak znaleźć drogę przez przełęcz. Furuhu poza plantacją, osiedlem i rezydencją sułtana Azbaja niewiele widział. Drogę nad morze i Przeklęty Las znał dobrze, ale góry... Wszystko, co za górami, było dla mieszkańców doliny tabu. Wiedział tylko jedno: po tamtej stronie żyją dzicy, niedobrzy farmerzy. I gdzieś tam znajduje się Kombinat „Karaeli brook”. Do Kombinatoru od zarania dziejów odwożono ajdyn-czumrę, więc musiała być jakaś droga przez przełęcz. Przecież nie wożą tych owoców powietrzem ani morzem. Rozważania Furuhu wydały się Mecie logiczne. Ruszyli wzdłuż brzegu po stosunkowo niezłej szosie. Pogoni nie było. Przy rozwinięciu dróg stał drogowskaz: „Do Karaeli brook”. Droga cały czas się wznosiła, najwyraźniej prowadziła na tamtą stronę gór. Czyżbyśmy mieli takie szczęście? - pomyślała nieufnie Meta.

Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

Na niebie nad skałami pojawił się łańcuch groźnie buczących stalowych ważek. Na Porgorstorasaandzie nazywano je kręciskrzydłami, przypomniała sobie Meta. Wytężyła wzrok i zobaczyła pod brzuchem każdej z nadlatujących machin ciężkie rakietki bojowe, umocowane na konsolach.

- A nie mówiłem, żeby się poddać? - ochryplym szeptem wykrztusił marnotrawny brat Jasona.

- Masz okazję - rzucił pogardliwie Furuhu. - Jestem pewien, że nie strzelą.

Meta zatrzymała bila i zamyśliła się. Wariantów było kilkanaście. Każdy należałoby przeanalizować, gdyby mieli więcej czasu. Z kręciskrzydłów zaczęto strzelać, gęsto, ale niecelnie. Specjalnie? Zresztą co za różnica? Tak czy inaczej to była szansa ratunku.

19

dy dziuraw suficie osiągnęła metr średnicy, do ładowni wsunę-
v_Jła się szeroka, prawie przezroczysta rura, która okazała się
szybem windy. W dół zjechała kabina, której drzwi odwinęły się

138

139

niczym celofan z cukierka. Przed jeńcami stanął wysoki urodziwy blondyn w skafandrze, połączanym jak kaftan średniowiecznego barona.

- Envis! - zdziwił się Olaf, który natychmiast poznał starego przyjaciela.

- Tak, to ja. Witajcie ty i twój nowy przyjaciel, na pokładzie jednego z najlepszych statków Galaktyki, krążownika „Oradd”. - Przepraszam, powiedziałaś „Oratt?”² - Nie dosłyszał albo postanowił zażartować Olaf.

- Twoje żarty sanie na miejscu - obraził się Envis. - Ten statek da mi władzę najpierw nad całą planetą, a potem nad całą galaktyką. Skoro wy nie potrafiliście stawić mu oporu, innym również się to nie ^da. Jason widział w życiu tak wielu przyszłych zdobywców Galaktyki, że ta przemowa szczerze go znużyła. Nie mógł powstrzymać ziewania. Envis widząc to zmarszczył brwi. Zaplanowana szczegółowo operacja nie przebiegała według scenariusza. Reakcja więźniów do niewoli okazała się oświadczenie dyktatora była absolutnie niewłaściwa. Cóż, w końcu to wyjątkowe osobniki, uspokajał sam siebie. Trzeba było wiedzieć, kogo się porywa. - Rozkazy wydaję ja - oświadczył niezbyt pewnie gospodarz nie-pokonanego superstatku. - Wy jesteście moimi zakładnikami. Jasne? Milczenie.

- I nie próbuj chwycić za swoją armatę, Olaf! - wykrzyknął Envis. - Nie mam zamiaru. Nie jestem głupi. Zresztą to nie armata i wiesz o tym nie gorzej ode mnie. Wyjaśnij nam spokojnie, po co to wszystko urządziłeś. Co to ma być, cyrk?

- Cyrk?! - zapłonął oburzeniem Envis. - To wy zwariowaliście, i to dawno temu! „Ojcowie!” Faderzy! Chodzisz do lasu, żeby wyznawać jakieś idiotyzmy, wymyślone przez dzikusów. Olidig przez cały czas przypochlebia się sułtanom, traktując ich jak pełnoprawnych partnerów. Nienormalny Falk urządza serię kradzieży na trasach handlowych. Istny rozbójnik z traktu kosmicznego. Już nie mówię o Swampie, który porzuca biznes, handel, bankierstwo i zaczyna się zajmować idiotyczną nauką, nawet nie medycyną, tylko jakimiś starożytnymi bredniami. Siedzi po uszy w magicznych, mistycznych i okultystycznych głupotach. A najrozsądniejszy z nas oradd - nieustraszony, oratt - niesłuszny (szwedz.). 140 wszystkich stary Krum, podpuszczony przez Swampa, zaprasza na naszą planetę obcych, żeby udzielili wojskowej pomocy. Panowie! fo już nie cyrk, to dom wariatów!

Zrobił pauzę, żeby złapać oddech.

- Jason, wasz przylot był ostatnią kroplą. Od razu odmówiłem udziału w zebraniu w Tomhecie i jeszcze tego samego dnia postanowiłem wyciągnąć swój główny argument, ten oto „Oradd”. Dzięki niemu mogę zniszczyć potwory spod ziemi i konkurentów z kosmosu, oraz oszalałych łysych narkomanów i brottslingów, którzy zapomniaли, gdzie ich miejsce!

Envis przemawiał w międzyjęzyku, by mógł go zrozumieć czci-godny gość, ale słowo „przestępca” powiedział po szwedzku. To było najbardziej obraźliwe określenie owocowników i „tymczasowych” pracowników plantacji.

- Co to za statek? - nie wytrzymał w końcu Olaf. - Nareszcie się zainteresowaliście! - ucieszył się Envis. - Opo-wiem wam, na pewno. Musicie to wiedzieć, zakładnicy mogą wie-dzieć wszystko, bo i tak w razie niepowodzenia zakładników się zabija. A jeśli zwyciężę... Zwycięzców się nie sądzi. Więc czego mam się bać? Co ukrywać?

- Zrobiłeś się bardzo rozmowny, Envis - mruknął Olaf. - Opo-wiesz w końcu o tym krążowniku?

- Milcz! - zdenerwował się nagle Envis. - Jak śmiesz mi prze-rywać? Machnę ręką na to wszystko i po prostu upiekę cię w reaktora atomowym.

Po tej obietnicy od razu się uspokoił i zmiękł. Poglądził szeroką brodę i cicho powiedział:

- Mój krążownik „Oradd” należał do Ketczerów.

- Do kogo? - zapytał osłupiały Jason słysząc znajome słowo.

Envis zrozumiał jego pytanie po swoim.

- Nie wiecie, kim są Ketczerzy? Słuchajcie uważnie! Dawniej w Galaktyce uważano, że Ketczerzy to po prostu zręczni myśliwi, kocujący na różnych planetach, bo ich ojczyzna spłonęła w płomieniu supernowej. Ale to nie jest cała prawda. Ketczerzy to staro-żytna rasa. Bardzo rzadko pokazują się zwykłym ludziom, a na wy-soko rozwinięte planety nie przylatują nigdy. Polują w całej Galaktyce i nie na tylko rzadkie zwierzęta, a raczej nie tylko na zwierzęta. Pró-bują wyłapać i zebrać w jednym miejscu wszystkie anomalie, cuda 141 świata, jak dawniej mówiono. Gdy im się to uda, we Wszechświecie odrodzi się starożytny idealny porządek. Oto prawda. Zamilkł, oceniając efekt. Jason i Olaf słuchali go z uwagą, ale ich twarze nie wyrażały specjalnych emocji. - Poznałem przedstawicieli tej rasy na Giuvansie - opowiadał dalej Envis. - To jedna z tych planet, gdzie Ketezerzy hodują pitakki, pyrrusańskie rogonosy, mahautskie słonie, nie starzejącą się mutację zwierzęcia lu-lu-grycha, kilka rodzajów roślin i zwierząt ze Stovera, pramacierz wszystkich monalojskich owoców, tak zwany trolsk flikt, a nawet bubuzanty. Możecie mi wierzyć lub nie, ale na Giuvansie występują nawet odemirskie zwierzęta, które dawno wymarły. Ale ma fantazję! - pomyślał z szacunkiem Jason. Niby bandyta, a co za niespotykane bogactwo informacji! Musiał się biedak na-uczyć tylu nowych słów! Ketezerzy najwyraźniej zrobili na nim duże wrażenie.

- I to właśnie oni podarowali mi swój statek - oświadczył Envis po krótkiej pauzie.

- Kto, bubuzanty? - zapytał Olaf, najwidoczniej podkpiwając ze swojego byłego towarzysza broni.

-- Sam jesteś bubuzant! Ketczerzy podarowali mi ten statek, że-bym roznosił po Galaktyce ich wspaniałe idee, pomagał rozwiązywać szlachetne zadania, postawione przed człowiekiem przez wyższą rasę, że-bym przybliżył królestwo sprawiedliwości we Wszechświecie! Sądząc po nasilających się patetycznych nutkach w przemowie Envisa, bandyta kłamał jak najęty. Bez względu na to, kim byli Ketczerzy, nie mogli podarować takiego statku takiemu łajdakowi. Wy-glądało na to, że kontynuując najlepsze bandyckie tradycje, monalojski baron narkotykowy zwyczajnie ukradł ten ultranowoczesny statek. Ciekawe, dlaczego ta starożytna i mądra rasa nie zorganizowała pogoni? Albo byli ponad to i uważali, że ludzkie sprawy nie są ich problemem, albo Envis bez namysłu wyciął ich do nogi. W Galaktyce nie takie rzeczy się zdarzały. Byli wysoko rozwiniętą rasą, ale to nie znaczy wcale, że najsilniejszą i

niepokonaną. Tak czy inaczej, z wytworem techniki Ketczerów w ręku ten maniak stanowił poważne zagrożenie. Należało się zastanowić przed kolejnym posunięciem.

- Znamy już możliwości twojego statku - odezwał się spokojnie Olaf. - Ale nie powiedziałaś, co konkretnie chcesz zrobić.

T

- Nie mam obowiązku składać wam raportu o moich planach!

Cóż to była za arogancka odpowiedź!

- Dlaczego zaraz o planach? - skrzywił się Olaf. Głupota jego rozmówcy była porażająca. - Wyjaśnij nam chociaż, jaki masz cel. - Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz, Vit? - obraził się z kolei Envis.

- Przeciwnie - włączył się Jason. - Bardzo uważnie pana słuchamy.

Dlatego chcemy zapytać, jakie są pańskie żądania i do kogo adresowane. Envis patrzył tak baranim wzrokiem, że Jason uznał za konieczne wyjaśnić:

- Gdy jeden człowiek albo grupa ludzi porywa zakładników, żąda zazwyczaj wypełnienia pewnych wyraźnie sprecyzowanych warunków. Ale może tu u was jest inaczej? - Co to za głodne kawałki? - nierozgarnięty bandyta zorientował się w końcu, w czym rzecz. - Sprawa jest bardzo prosta. Zapewne twoja osoba jest bardzo cenna dla Pyrrusan. A szczególne talenty Ola-fa Vita nie są obojętne naszemu plemieniu. Spełnienia konkretnych warunków będę żądał od wszystkich jednocześnie. Są bardzo proste: macie wynieść się stąd do końca tutejszej doby, to znaczy w ciągu dwudziestu dwóch godzin, i zabrać ze sobą wszystkich Faderów. Dokładnie według listy. Chcę zostać jedynym władcą tej planety. Gdy tylko wasz przeklęty krążownik wyjdzie w podprzestrzeń, wypuszczę ciebie i Olafa. To znaczy wyrzucę was na jakimś międzygwiazdym kutrze, też w podprzestrzeń. A potem szukajcie się nawzajem. Co za genialny pomysł! Jason ledwo powstrzymywał śmiech. - Jak on to sobie wyobraża? Jakie ma gwarancje, że nie wrócimy? A jeśli wrócimy z ogromną gwiazdą eskadrą i pododdziałami Korpusu Specjalnego? Jak chce kontrolować tę planetę w pojedynkę, skoro już teraz rozmaite grupy jej mieszkańców mają całkowicie różne cele? Po co mu w ogóle zakładnicy, skoro siedzi w najpotężniejszym statku we Wszechświecie? Do porywania zakładników uciekają się ludzie słabi i zdeterminowani.

Plan Envisa nie trzymał się kupy. Żaloszny terrorysta okazał się kompletnym kretyńcem. Ale to niestety nie stanowiło powodu do radości - kretyni są nieprzewidywalni. W każdej chwili mogą zabić kogo zechcą.

A może zadać uprzedzający cios? - mignęła Jasonowi myśl. Nie!

Ten typ nie jest aż tak tępy, żeby nie przewidzieć tego najbardziej elementarnego wariantu! W każdym razie nie można ryzykować. Ten

142

143

system, bawiący się polem siłowym niczym gumową piłką... To jakaś zagadka. Każdą broń można wykorzystać przeciwko agresorowi, na-wet bez udziału tego idioty. Gdyby chociaż można było przeniknąć do tego drugiego pomieszczenia! Może dałoby się coś wyjaśnić. Niestety. Envis jest wprawdzie wyjątkowo tępy, ale za to konsekwentny w swojej tępcie. Na razie nie sposób go ugryźć z żadnej strony. - Dobrze - powiedział w końcu Jason. - Na wszystko się zgadzam, a w naszej załodze do mnie należy decydujący głos w takich sprawach. Połączę się z Kerkiem i wydam rozkaz. Teraz twoja kolej, Olaf. Olaf jakoś tak oklapł, jakby zaczął zasypiać. Potem nagle po-prosił.

- Envis, nalej mi czorumówki, jest tam, w butelce. Jak sam sięgną, to jeszcze mnie źle zrozumiesz...

Envis skinął głową i spełnił prośbę. Nawet wyjął piękną złoci-stą szklankę o wyszukany kształcie.

Olaf wypił, poweselał i odezwał się:

- No, myślę, że w takim razie powinienem połączyć się z Krumelurem. Okropnie dawno go nie widziałem. A właśnie, ty pewnie lepiej się orientujesz, kto tu teraz decyduje za wszystkich? - Swamp - odparł z nienawiścią Envis.

- Daj spokój, ten pomylenieć nigdy nie był postacią numer jeden. Szukaj Krumelura.

Envis nie spierał się. Długo nie musiał szukać. Wywołany indywidualnym kodem Krumelur odezwał się od razu. Wysłuchał warunków szalonego towarzysza, przez chwilę mamrotał do mikrofonu, udając zakłopotanie, po czym nieoczekiwanie zawołał:

- Envis, spójrz w górę!

Envis dał się złapać na ten prymitywny chwyt. Zadarł głowę i nawet otworzył usta. W chwilę później coś mu wpadło do tych ust. Jason nie zdążył zauważyć, co to było, ale sekundę później w ładowni pojawiły się strumienie gazu. Jason, tracąc przytomność w ciężkich usypiających kłębach, spostrzegł, jak niezbyt mądra głowa zarozumiałego bandyty wybucha i rozlatuje się na mało apetyczne kolorowe strzępy.

Krumelur przechytrył wszystkich.

Jason, który miał doskonale wycucie czasu, wiedział, że zanim się ocknęli w fotelach przytulnej mesy, minęło jakieś dziesięć minut. Prawdopodobnie był to nadal ten sam krążownik, chociaż pomieszczenie wyglądało całkiem zwyczajnie i nie było widać żadnych kietcherskich cudów techniki.

Krumelur patrzył posępnie na ekran. To, co tam widział, chyba go denerwowało. Jason nie mógł tego dojrzeć. - Lecimy gdzieś? - zagadnął.

- Oczywiście - burknął zapytany.

Oho, Monaloczyk chyba się pogniewał na Jasona za te samowolne eskapady, które doprowadziły do tak nieprzyjemnych dla uczestników projektu konsekwencji.

- Przepraszam, o co się boczysz? - oburzył się z kolei Jason. - Czy wasz bałagan to moja wina? No i nie rozumiem, po co wam były te wszystkie kręactwa. Ścisłe tajne! Rzeczywiście! A po co zabiłeś Envisa?

- Nie po co, a dlaczego - poprawił Krumelur. - Stał się zbyt Envis.

„Envis” po szwedzku znaczy „uparty”.

- A ja czemu zawiniłem?

- Niczemu - burknął jeszcze posępnie Krumelur. - Widzę, że źle się dzieje w państwie duńskim - skonstatował Jason.

- Do czego to ma być aluzja? - rzucił się Krumelur. - Do Cassylii? Co za nieuk! - uśmiechnął się do siebie Jason. Językiem urzędowym Cassylii rzeczywiście jest duński, ale żeby nie znać podobnych cytatów...

- Nie, do sztuki Szekspira pod tytułem Hamlet.

Krumelur popatrzył na niego osłupiały i machnął ręką:

- Sztuki będziesz sobie oglądał w domu, a teraz spójrz tutaj. Nie możemy znaleźć twojej Mety. Jest gdzieś tutaj, już prawie dolecieliśmy...

Jason zerwał się, zanim wysłuchał do końca, podbiegł do Krumelura i wpatrzył się w ekran:

- Gdzie „tutaj?!”

Olaf, nieco otępiąły od mieszaniny czumrytu, alkoholu i gazu, też już stał obok nich.

- Gdzie ona jest?! - spytał jeszcze raz Jason. - Była w tym samochodzie - rozłożył ręce Krumelur. - Tak mi zameldowali obserwatorzy.

- Ale już jej tu nie ma - powiedział Jason, powoli uświadamiając sobie straszną dwuznaczność tego zdania.

144

10 - Planeta śmierci 6

145

Dławiła go wściekłość i rozpacz.

To, co Krumelur nazwał samochodem, w rzeczywistości było mo-rzem ognia. Widać było gołym okiem, że samochód pancerny jest do-szczętnie spalony. Są oczywiście specjalne skafandry o podwyższo-nej wytrzymałości albo ubiory do zadań specjalnych, w których można zanurzyć się nawet we wrzącej lawie. Ale Jason był pewien, że Meta odlatywała z pyrrasańskiego obozu w zwykłym kombinezonie lotniczym, takim, jaki on sam miał teraz na sobie. - Kto to zrobił? - Jason nie poznawał własnego głosu. Krumelur nie zdążył odpowiedzieć. Przez głośnik, ustawiony na odbiór sygnałów psi, wdarł się rozdrażniony, ale rzeński głos Mety. - Jason, Kerk, Krumelur, Swamp!... Bodajbyście się wszyscy zapadli w czarną dziurę! Czy ktoś się wreszcie odezwie? Powiedzcie tym idiotom, żeby przestali strzelać. Nie możemy nosa wysunąć z tej jaskini!

Jason roześmiał się z ulgą.

- Meta, to ja! Słyszysz? To ja Jason! O kim mówisz „my?” - O twoim mlecznym bracie Actionie i jednym takim, który będzie nam jeszcze potrzebny. Tak mi się wydaje... Czy oni nie prze-staną strzelać?!

Krumelur już wrzeszczał po monalojsku. W strumieniu prze-kleństw wiele było nieprzetłumaczalnych, ale sens Jason pojął nie-omylnie: główny Fader groził, że spali wszystkie helikoptery i rezy-dencję emir-szacha, jeśli choć jeden idiota nie posłucha jego rozkazu. Nagle - dlaczego właśnie teraz? - Jason zrozumiał, kogo od sa-mego początku przypominał mu Krumelur. Gronszyka! Gronszyka z planety Radom! Autorytet najwyższej rangi i genialny handlarz wszystkim w Galaktyce. Potężny, zarozumiały i jednocześnie prostacki. Wszyscy zabójcy, handlarze narkotykami i paserzy są jednakowi... Wpływ otoczenia i trybu życia. Ciekawe, może Krumelur przyjaźnił się z legendarnym piratem? Jason postanowił o to zapytać. - Znałeś Henry'ego Morgana?

- Nie, tylko Antony'ego Howarda - odpowiedział nie zdziwiony pytaniem Krumelur.

No tak, pomyślał Jason, to pewnie Tony, nasz obecny namiest-nik na Jamajce, dał ci współrzędne Pyrrusa. Zresztą teraz to nieważ-ne. Dobra, spytam jeszcze o Gronszyka. To też barwna osobowość w galerii przestępczych elementów Galaktyki.

- A Gronszyka z Radoma znasz?”

- No jasne! To nasz główny partner handlowy.

Zapadła cisza. Po chwili odezwał się Krumelur:

- Jasonie, mamy tak wielu wspólnych przyjaciół! Nie kłóćmy się.

- Oczywiście - Jason skinął głową w roz targnieniu. ...!»•• Na razie nie chciał wyjaśniać swojego stosunku do ich wspól nych „przyjaciół”. Gorsze typy mieniły się najbliższymi przyjaciół mi Jasona. Na razie niech Krumelur uważa go za swojego. Tak będzie wygodniej. Umowa jest zawarta, a co dalej... Decyzja należy nie tylko do niego. Kiedy się zbiorą wszyscy, to się zastanowią... Superkrażownik „Oradd”, porwany przez nieboszczyka Envisa Keczcerom, lądował już na kamienistej równinie u podnóża skali stych gór, w najbliższym sąsiedztwie spokojnie dopalającego się parsanbila. Helikoptery wylądowały również, zapanowała cisza. Jason zobaczył na ekranie idącą w ich stronę Metę: w podartym kom binezonie, pobrudzoną sadzą, ale uśmiechniętą i piękną jak zawsze.

20

O prawie najbliższych planów rozwiązywano w dwóch etapach. ONajpierw mieszkańcy Planety Śmierci odbyli tradycyjne zamknięte zebranie. W związku ze zmianą sytuacji, Jason nie miał zamiaru słuchać żadnych sprzeciwów Krumelura. Wydał kategoryczne za rządzenie, żeby „Argo” wylądował jak najbliżej obok obozu Pyrru san, to znaczy pośrodku byłych farmerskich poletek. Na zebranie w mesie nie dopuszczono żadnego przedstawiciela miejscowych władz. Na temat szpiegów, śledzących kamer i podsłuchu Jason wypowiedział się jednoznacznie: jeżeli zauważy cokolwiek w tym rodzaju, każe zlikwidować wszystko i wszystkich. Krumelur, widząc wojownicze nastawienie Jasona, nie próbo wał nawet protestować. Przywódca przybyszów poznał już jego zda nie wtedy, na „Segerze” i chociaż nie uznał tych pretensji, to jednak przyjął je do wiadomości. Krumelurowi to wystarczyło. Według nie go w ich stosunkach zostało ustanowione coś na kształt równowagi.

146

147

Z wybuchowym i nieprzewidywalnym Kerkiem Krumelur nie miał najmniejszego zamiaru się spierać, co w praktyce oznaczało, że w ogóle z nim nie rozmawiał. Nie miał również ochoty staczać słow nych pojedynków z kobietami. Charakterek Mety poznał aż nazbyt dobrze.

Dlatego nie skomentował warunków postawionych przez Jasona. - Bra - odpowiedział lakonicznie po szwedzku. - To znaczy okay. W imieniu całej planety Monaloi proszę was tylko o jedno: żebyście jak najszybciej powiadomili administrację Tomhetu o podjętej decyzji. Będziemy czekać.

Po czym odwrócił się na pięcie - rozmowa toczyła się przy otwartych lukach „Argo” - i poszedł w stronę swojego kutra. Jason poczuł pewien podziw dla tego człowieka, jego rozsąd ku, opanowania, umiejętności pracy z innymi. Na wysokie gwiazdy! Dlaczego tak utalentowani, niezwykli ludzie używają swoich zdol ności do takich brudnych celów. Gdyby tej energii użyli w pokojo wej sprawie!...

O dalszym losie Monaloi decydowała niewielka grupka osób. Kwestia była bardzo drażliwa, zarówno dla Jasona, jak i dla Kerka, i nie chcieli, by roztrząsało ją większe zgromadzenie. Do mesy za proszono siedemnaście osób. Przewodniczyli jak zawsze Kerk i Rhes. Na wstępie uprzedzili, że uzgodnili już swoje zdanie, a zatem nie będzie zwykłej polemiki, połączonej z krzykiem i wyskakiwaniem pistoletów, po czym wezwali Pyrrusan do spokojnego rozważenia planów. Najpierw Kerk oddał głos Stanowi, występującemu w cha rakterze głównego wojskowego eksperta.

- To prawda, jestem wojskowym - oświadczył Stan na wstępie - ale proszę nie zapominać, że również uczonym. Jako uczony mam obowiązek oświadczyć, co następuje: bez względu na rodzaj, kolejność użycia i moc broni, wykorzystanej do walki z potworami, prawdopodobieństwo pokonania wroga równa się zeru. Odpowiedzią był zgodny pomruk. Stan wyjaśnił swoją myśl bardziej szczegółowo:

- Nasza broń, zwłaszcza kriogeniczne bomby i ultradźwiękowe niszczyciele, jest bardzo efektywna. Ale rzecz w tym, że tych gorących wojowników rodzą wulkaniczne procesy. Wyłaniają się i lawy w nieograniczonej liczbie. Na miejscu jednego zabitego pojawia się dziesięciu. W tej sytuacji użycie dowolnej broni niszczącej jest absolutnie bez sensu.

- Sprzeciw! - podniósł rękę Archie.

Kerk oddał mu głos.

- Każda nowa generacja potworów znacznie różni się od poprzedniej. Stan nie bierze, a nawet chyba nie chce wziąć pod uwagę tego ważnego aspektu. Jest to niepodważalny fakt: zmienia się kształt tak zwanego dziobu, reakcje mięśni, kolor skóry, widać tendencję do komplikacji pseudobiologicznej struktury tych osobników. Wynika z tego, że wkrótce powinno pojawić się pokolenie potworów zdolne do nawiązania z nami kontaktu.

- Dziękuję, Archie - powiedział Kerk. - Już słyszeliśmy tę paradoksalną teorię. Nie wątpię, że wśród prawdziwych Pyrrusan znajdzie się sporo chętnych, by sprawdzić ją w praktyce. Więc nie martw się, jeszcze nic straconego. Ale nie możemy ignorować wypowiedzi Staną: jest nie tylko doświadczonym żołnierzem, ale i niegłupim czło-wiekiem.

- Przecież nie zatykałem mu ust, nawet mu nie przerwałem - obraził się Archie. - Po prostu chcę, by nad tym problemem każdy zastanowił się sam, zamiast wierzyć innym na słowo. Tym bardziej, że słów usłyszymy tu bardzo dużo, a porozumienia i tak nie będzie. Chciałem wam szczerze pogratulować, panowie weterani, waszej niespodziewanej koalicji. Posłuchajmy następnego mówcy. Wstał Brucco. Wodząc haczykowatym nosem po swoich notatkach, najpierw mamrotał coś niezrozumiale, a wreszcie wyraźnie wygłosił podsumowanie, powtarzając znany Jasonowi wniosek Swampa:

- Monaloi jest planetą-narkotykiem. Zrozumiałem to już dawno, ale bałem się uwierzyć. Ciągle na nowo sprawdzałem rezultaty doświadczeń...

Proszę, proszę! - pomyślał Jason. Tego specjalistę też dręczyły wątpliwości.

- To coś niewyobrażalnego - ciągnął Brucco - dosłownie każda roślinka żyje od działki do działki! Wystarczy zamknąć kanał podawania „lekarstwa”, by przerwać życie: roślin, zwierząt, ludzi. Im wyższy stopień organizacji stworzenia, tym większe uzależnienie od czumrytu i pozostałych czynników. Po przeprowadzeniu analizy chemicznej otrzymałem bardzo ciekawe rezultaty. Otóż w owocach ajdyn-czumry

148

149

i innych miejscowych roślinach zawarty jest nie jakiś egzotyczny związek, ale bardzo dobrze znany każdemu chemikowi dwuetyloamid kwasu lizergowego, niegdyś oznaczany skrótem LSD-25. Brucco zrobił pauzę, pozwalając wszystkim wtajemniczonym uświadomić sobie zabawną stronę tej informacji. - Nie należy jednak lekceważyć twórców nowej substancji - ciągnął. - A że tacy byli, nie mam wątpliwości. Występujący tu związek jest wyłącznie syntetyczny. Nawet najbardziej

elementarny LSD-25 nie występuje w przyrodzie w formie naturalnej, a tym bardziej ta modyfikacja, tak wspaniale zakamuflowana jako nieszkodliwy kwas multimolekularny. Niestety, nie jestem w stanie odtworzyć mechanizmu syntezy tego chemicznego „wilkołaka”. Ale mam wrażenie, że już kiedyś zetknęliśmy się z takim sztucznym psychodelikiem. Przez salę przebiegł szmer. Niektórzy usiłowali sobie przypominąć gdzie i kiedy zawarli znajomość z egzotyczną substancją, inni przestali rozumieć, o czym mówi jajogłowy biolog. - Właściwie mógłbym użyć słowa „narkotyki” - wyjaśnił Bruc-co. - Ale jest zasadnicza różnica pomiędzy tymi dwiema klasami pre-paratów stymulujących. Tragizm naszego przypadku polega na tym, że czumryt... chociaż nie tylko on, ale dla ułatwienia będę mówił wyłącznie o tym preparacie. .. jest bardzo skomplikowanym połączeniem substancji, wywołujących niepowtarzalne wrażenie psychodeliczne-go lotu w innej rzeczywistości. Jednocześnie powoduje niezwykle szybkie uzależnienie, praktycznie od pierwszej minimalnej dawki. Teraz zawrzała już cała sala. Powszechnie wiadomo, jak Pyrrusanie odnoszą się do narkotyków i środków odurzających. Nawet zwykła nikotyna budzi ich wstręt. Alkohol tolerują tylko w aspekcie gastronomicznym. A przecież na skutek smutnego zbiegu okoliczności monalojskiego ziela spróbował Jason dinAlt, prawie Pyrrusa-nin, pierwszy w historii oficjalny mąż pyrrusańskiej kobiety. Trudno się dziwić niepokojowi Pyrrusan, skoro ich współplemieniec znalazł się w poważnych tarapatkach.

Atmosfera robiła się coraz gęstsza. Wtedy Archie wystąpił z przemową, w której spróbował powiązać w całość wszystkie czynniki oddziałujące na człowieka w pasie równikowym Monaloi. Wynikało z tego, że mają one jednakowy wpływ zarówno na miejscowe organizmy, jak i przybyszów. Jason, który już wiedział o tej rewelacji od Olafa, oraz Meta, znająca rezultaty najnowszych miejscowych badań bezpośrednio od Furuhu, byli wstrząśnięci szybkością i wnikliwością Archiego, który w ciągu trzech dni zdołał dostrzec i wyodrębnić główne zasady symbiozy monalojskiej przyrody, których sformułowanie zabrało Swampowi ładnych kilka lat. Następnie Archie zwrócił się do pyrrusańskich weteranów i poprosił, aby udzielili głosu jego żonie Midi. Początkowo nie chcieli jej dopuścić na zebranie, ale przecież tylko ona mogła opowiedzieć o swoich telepatycznych wrażeniach. Zeterminowana Midi podjęła jeszcze jedną próbę nawiązania psychicznego kontaktu z potworami. Tym razem miała więcej szczęścia - przez „telepatyczny szum” dało się słyszeć „telepatyczną mowę”.

Były to następujące po sobie sygnały, bardzo dalekie od każdego ludzkiego języka. Już sama świadomość konieczności rozszyfrowania tej abrakadabry budziła strach. Mimo to można było wyłowić pewien sens z „telepatycznej mowy”. Ani Midi, ani Archie nie mieli wątpliwości co do inteligencji potworów. Pozostawał już tylko drobiazg - rozgryźć ich naturę, cel i znaleźć środki walki, efektywniejsze od pospolitej zagłady. Teki, który właśnie się pojawił, aby rozweselić towarzystwo, zaprezentował świeże spojrzenie na problem. - A nie przyszło wam do głowy, że potwory są po prostu robotami, posłańcami jakiejś rozwiniętej cywilizacji? Przysłano ich, aby wyleczyli miejscowych z narkomanii, a oni sami się uzależnili. Sami wiecie, że Monaloi wywiera na obiekty kompleksowy wpływ. Nie-wykluczone, że nawet tacy twardziele jak potwory z lawy nie oparły się tej planecie. W tej sytuacji trudno wymagać od nich logicznego zachowania. Przecież te stwory są albo w euforii, albo na głodzie. Jedni zachichotali, inni przeciwnie, sponępnili. Żarty żartami, ale z drugiej strony hipoteza była całkiem realna. Uznano, że żartobliwy ton Teki jest nie na miejscu.

Nagle Stan, o którym prawie zapomniano w trakcie tych uczo-nych dysput, wykrzyknął:

- Niech diabli wezmą naukę! Czy wy do tej pory nie zrozumie-liście, że nie walczymy z potworami, ale z całą planetą? Przecież ci tak zwani klienci zwyczajnie nas wystawili: co innego obiecali, a co innego dostaliśmy!

Jason zazwyczaj nie zgadzał się ze Stanem, którego uważał za typowy okaz pyrrusańskiego ekstremisty, ale tym razem musiał po-przeć jego wystąpienie.

150

151

- Stan ma absolutną rację - oświadczył wstając. - Wszyscy, a przede wszystkim ja, zostaliśmy wystawieni. Zastanówcie się: Kru-melur nie uprzedził nas, że na Monaloi nie wolno spożywać żadnych roślin i zwierząt, a nawet pić miejscowej wody. Nawet wdychanie tu-tejszego powietrza należałoby ograniczyć. Wystarczy, że jesteśmy poddawani działaniu pól magnetycznych i radiacji. Niczego takiego nam nie powiedziano. Niedbalstwo? Przypadkowe przeoczenie? Nie sądzą. Raczej świadome działanie. Musimy mieć się na baczności. Nie mówmy Faderom, że przejrzelśmy ich chytry plan. Przyczaimy się, a potem zareagujemy z zaskoczenia, w ich stylu. Myślę, że tak będzie najlepiej. Wy też o tym pomyślcie.

Odpowiedzią była cisza, która zdumiała Jasona. Czyżby rzeczywiście myśleli? - zadał sobie pytanie, spogląda-jąc po twarzach zebranych. - Nieprawdopodobne! Pyrrusanie na-uczyli się myśleć i nie oduczili się przy tym strzelać. - Słuchajcie - odezwał się na koniec Rhes. - Bardzo szanuję Jasona dinAlta. Jest wiernym przyjacielem Pyrrusa i wspaniałym czło-wiekiem. Ale tu i teraz jego autorytet... wybaczone staremu cynizm... wydaje się bardzo wątpliwy. Jason jest przykuty do Monaloi. Szcze-rze mu życzę, aby znalazł odtrutkę, która pozwoli mu opuścić ten świat i wrócić do normalnego życia, ale fakt pozostaje faktem: nie może się stąd ruszyć. A to w oczywisty sposób odbija się na jego poglądach. Jason chce walczyć z potworami, z ludźmi, z łysymi, włochatymi, z Monalojczykami i Faderami, a nawet z całą planetą, nie zadając sobie nawet pytania: po co? Wzywam was, żebyście zastanowili się właśnie nad tym. Narkobiznesmeni anonimowo poprosili nas, żebyśmy dla nich pracowali. Podpisując umowę, nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia. Ale teraz wiemy! Pomyślcie, czy warto, nawet w takiej sytuacji, wiązać się z najpodlejszymi i najbardziej bezwzględ-nymi przestępcami we Wszechświecie? Umowa jest podpisana, ale wiecie, że w każdej chwili możemy ją zerwać. Nikt nie będzie śmiał nas powstrzymać, jeśli postanowimy opuścić tę planetę. To czysto moralny problem, przyjaciele. Zastanówcie się i podejmijcie decyzję. Nie chcę wam niczego sugerować. Mam swoje zdanie, które, jak już wiecie, podziela Kerk. Ale chcę, żebyście wszyscy to przemyśleli. W tym solidaryzuję się z Jasonem i Archiem. W mesie zapadła martwa cisza. Jak brakowało im teraz dźwięcz-nego głosu Cliffa! Ten przywódca młodego pokolenia Pyrrusan nigdy się długo nie namyślał. Jeśli trzeba było wybrać między walką a czekaniem, Cliff zawsze był za walką - nieważne, z kim i o co. Teraz tego zapalczywego chłopaka nie było już wśród nich - zginął podczas ostatniej wojny z piratami. Griff, który w pewnym sensie zajął miejsce zmarłego towarzysza, pomimo swojego” młodego wie-tm wyróżniał się rzadkim wśród Pyrrusan opanowaniem i rozsąd-kiem. Lubił wspominać, jak mając osiem lat ochraniał i uczył Jaso-na, będącego wtedy po raz pierwszy na Planecie Śmierci. Dzisiaj Griff również był wspaniałym ochroniarzem i nauczycielem nowi-cjuszy. Ale nigdy nie podejmował pochopnych, emocjonalnych de-cyzji. Nigdy nie spieszył się z wyciąganiem wniosków. Nikt nie śmiał pierwszy zakłócić tej napiętej, posępnej ciszy.

Było jasne, że Pyrrusanie woleliby nie pomagać handlarzom narkotyków. Ratowanie planety, która niosła straszną, powolną śmierć innym światom, było niemoralne. Ale z drugiej strony... porzucenie na łaskę losu niewinnych ludzi, którym tylko Pyrrusanie mogli pomóc, też nie było w ich stylu. Jak można nie podjąć walki, gdy zostało rzucone wyzwanie, gdy walka już właściwie trwa, gdy podzielono role, obliczono rezerwy, oceniono wszystkie możliwości? Czy to w stylu Pyrrusana, złożyć broń w imię moralności? Ale przecież to nie była abstrakcyjna moralność - na monalojskich plantacjach ginęli ludzie! Nieludzkie warunki pracy zbierały większe żniwo niż rozpalona lawa podczas erupcji. Krumelur i jego pobratymcy byli zwykłymi przestępcami, gorszymi od kosmicznych piratów. Więc co mieli robić? Ryzykować życiem, by chronić wyrachowanych zabójców i ich nieludzki system? Czy to słuszne? Nie! Ale... I tak dalej.

Zamknięty krąg. Jeszcze komuś mózg się przegrzeje od tyłu para-doksów. Jeszcze trochę i ktoś nie wytrzyma tej przerażającej ciszy. Na-gle siedząca pośrodku sali Meta wstała i zdecydowanie oświadczyła:

- Posłuchajcie teraz mnie! Uważacie, że pokonując potwory pomagamy baronom narkotykowym? Moim zdaniem nie, po tysiąc-kroć nie! Pomagamy w ten sposób wszystkim mieszkańcom tej planety! Podpisaliśmy kontrakt, siedzimy w tym wszystkim po uszy, zdążyliśmy już nawet znienawidzić nowych wrogów. Czy naprawdę chcecie załadować się na statki i odlecieć stąd, niczego nie doprowadzając do końca? Ja zostaję. Naszym obowiązkiem jest pokonanie tych potworów. Pyrrusanie nigdy się nie wycofują! To wszystko. Jeśli chodzi o narkotyki, proponuję zająć się tym po pokonaniu potworów.

152

153

Kobieca logika tym razem zwyciężyła. Po sali przetoczył się szum poparcia. Gdy okazało się, że Kerk i Rhes również są mniej więcej tego zdania, dalsza dyskusja nie miała już sensu. Niektórzy zaczęli zerkać na Jasona - czekali na tradycyjny przekorny sprzeciw albo przynajmniej na oryginalne uzupełnienie. Ale Jason ich zawiódł. Nie miał zamiaru zostać na Monaloi na zawsze, ale on też chciał walczyć. Jego podsumowanie było bardzo krótkie. - Pamiętajcie - poprosił - że obiecaliśmy Krumelurowi i reszcie Faderów, że utrzymamy w tajemnicy to, co dzieje się na ich planecie. Podpisaliśmy zobowiązanie, że będziemy milczeć. Mam zamiar dotrzymać danego słowa. Nikomu nie będę o tym opowiadał. Poradzimy sobie sami, bez Bendcka, Korpusu Specjalnego i Ligi Planet. Zgadza się ze mną?

- Oczywiście - skinął głową Kerk i natychmiast dodał: - Planu Mety to nie wyklucza. - Problemy należy rozwiązywać etapami. A pierwsze w kolejności są potwory.

21

Jason miał oczywiście własne zdanie na temat tego, co się dzieje na Monaloi. I wcale nie uważał, że zwycięstwo nad potworami jest sprawą najważniejszą. Pewnie, że najlepiej byłoby rozwiązywać problemy po kolei, nie rozpraszając się i nie zajmując innymi sprawami. Ale plany planami, a życie życiem. Chcesz rozplatać prosty węzeł, pociągasz za jeden koniec i okazuje się, że to kłęb bezna-dziejnie splątanych problemów, które trzeba rozwiązywać równole-gle, kompleksowo.

Rozmowa z Actionem jeszcze bardziej wszystko skomplikowała. W końcu nie było nawet mowy o etapowej realizacji zadań i konsekwentnym rozpatrywaniu problemów. Bitwa na Monaloi co-raz bardziej przypominała Jasonowi partię szachów z kilkoma

prze-ciwnikami jednocześnie. W dodatku był to turniej błyskawiczny - robisz ruch i biegniesz do następnej deski. Nie możesz o niczym zapomnieć, pomyłki są niedopuszczalne, a zegar tyka ogłuszająco, przypominając, że czas ucieka. W dodatku wredni gracze zjedno-czyli się przeciwko tobie. Namawiają się za twoimi plecami, coś szepczą i zdradziecko zmieniają zasady w trakcie gry. Przecież to nieprawdopodobne, żeby na jednej niezbyt gęsto zaludnionej planecie w tym samym czasie istniało tyle różnych klas, kast, kategorii, organizacji, różnojęzycznych grup o kompletnie sprzecznych interesach. A cała ta wesoła kompania jest od bardzo dawna uzależniona od silnego narkotyku i śmiertelnie przerażona pojawieniem się dziwnych potworów z wnętrza ziemi. Ba, to wcale nie był koniec przyjemnych niespodzianek! O kolejnej Jason dowiedział się od Actiona. „To wszystko wymyślił Solvitz!” - wykrzykiwał wtedy na plan-tacji jego brat. Nie mogło być przypadkiem, że wypowiedział właśnie to imię. Teraz, z uporem godnym lepszej sprawy, Action żądał poufnej rozmowy. Jason oczywiście się zgodził. I musiał przyznać, że Action miał rację upierając się. Prawdopodobnie każdy Pyrrusa-nin, nawet wykształcony i trzeźwo myślący Brucco uznaliby opowieści skrzywdzonego przez Faderów człowieka za rezultat dotkliwego pobicia i długotrwałego spożywania czumrytu oraz innych świństw. Może tylko jeden Archie Stover umiałby podejść do tej historii filozoficznie. Ale Action znał tego znakomitego uczonego i wolał zwierzyć się swojemu mlecznemu bratu. Przez półtorej godziny spacerowali po polach wokół pyrrusańskiego obozu. Action patologicznie bał się podsłuchu i podglądu, chociaż z jego opowieści wynikało, że przed głównym wrogiem i tak się nie ukryje. Wyglądało na to, że stracił zdolność logicznego myślenia. Możliwe, że na skutek koszmarnych przeżyć w jego mózgu rzeczywiście zaszły pewne nieodwracalne zmiany. Ale tylko on mógł opowiedzieć Jasonowi o wielu najważniejszych rzeczach. Zaczął, jak to się mówi, od Adama i Ewy, ale Jason musiał przyznać, że tak było najlepiej - bez tego wstępu nie mógłby zrozumieć wielu późniejszych wydarzeń.

Gdy kilka lat temu obaj bracia rozstali się na planecie, której od dawna nie uważali za ojczystą, Action uświadomił sobie, że wbrew własnej woli stał się zabawką w czyichś groźnych rękach. Był przynętą, która miała wyciągnąć z odległej planety Pyrrus grubą rybę - Jaso-na diAlta. Z pomocą Actiona, a właściwie przy jego bezpośrednim 154 155udziale, Jason został poddany ryzykownym doświadczeniom, a następnie wysłany w śmiertelnie niebezpieczną podróż. O tym wszystkim Action dowiedział się znacznie później, gdy los zaniósł myśliwego na planetę Ergisi. Tam, na pewnej dzikiej wyspie, występowały rzadkie pasiaste psy, osiągające ponad dwa metry w kłębie. Zgodnie z ergisiańskimi zwyczajami, połowę trofeum należało oddać miejscowemu królowi. Posłuszny miejscowemu prawu Action pojawił się na dworze I.D. Jota z wymaganą liczbą skór i oprawionych tusz. Rytualne gratulacje, składane szczęśliwemu myśliwemu, przemieniły się w długotrwałą ucztę. Action nieźle się bawił dopóty, dopóki nagle w środku tej fety nie pojawił się ojciec Fiodor - Naczelny Kapłan świątyni Dzewieso - i nie poprosił go na stronę. Kapłan nosił dość dziwne imię, ale nie było to niczym wyjątkowym na Ergisi. „Jest sprawa” - oświadczył poufnie ojciec Fiodor, błyskając czarnymi oczami spod nisko nasuniętego kaptura. W tym momencie Action poczuł, że nie tylko słucha tego człowieka, ale musi być mu we wszystkim posłuszny. Zrozumiał, że został przez niego zniewolony, że już dawno spełnia rozkazy okrutnego, tajemniczego ojca Fiodora.

- Moje prawdziwe imię brzmi Teodor Solvitz - poinformował Actiona Naczelny Kapłan.

Action poczuł strach. Nigdy nie słyszał tego imienia, ale samo połączenie głosek wywoływało niesamowite skojarzenia, budząc w mózgu straszne wspomnienia. Wściekłe stwory planety Pyrrus, dziwny lodowaty asteroid, promieniujący

niewyobrażalnym złem, widowiskowe polowanie na gigantycznego snowbirdona w gorącej darkhańskiej pustyni, walka z Gwiezdną Ordą w okolicach Starej Ziemi, krwawa rzeź na pirackiej planecie Jamajka, lecący w nie-skończoność, lśniący złotem starożytny gwiazdolot „Qven”... Wspomnienia przelatywały, zmieniając się jak w kalejdoskopie. W tej mieszaninie swoich i obcych przeblysków pamięci nie było ani przeszłości ani przyszłości - oderwane fragmenty wspomnień istniały jakby poza czasem. Action zastygł z przerażenia.

Solvitz tymczasem mówił dalej:

- Dziękuję ci, Action. Wspaniale dla mnie pracowałeś. Niestety Jason dinAlt nadal żyje. Będziesz musiał wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę.

- Nie chcę - wykrztusił Action, dziwiąc się własnej odwadze. To jasne, że nie chciał być czymś narzędziem, tym bardziej zabójcą własnego mlecznego brata. Chociaż czuł, że przyznanie tego równało się dla niego wyrokowi śmierci, słowa zostały wypowiedziane, zupełnie jakby w głowie Actiona pojawił się jeszcze jeden rozum, dorównujący potęgą SoMtzowi.

Czy to nie za dużo jak na jednego człowieka? Solvitz uśmiechnął się dziwnie, wrzucił ramionami i odpowiedział:

- Jak nie, to nie. To tylko propozycja. Ale pamiętaj: prędzej czy później trafisz do Ketczerów na planetę Giuvans. Nie spodoba ci się tam i będziesz chciał uciec. Pomoże ci wtedy pewien sprytny człowiek, ale nie będziecie mogli się porozumieć i wtedy trafisz do prawdziwego piekła. Możesz uznać, że to małe piekło jest twoją prywatną karą, że stworzyłem go specjalnie dla ciebie. Taki żart geniusza. Ostatnie dwa słowa wymówił ze szczególnym naciskiem.

W końcu machnął niedbale ręką i dorzucił:

- A teraz idź. Możesz sobie odejść, gdzie ci się podoba. Solvitz odwrócił się i z absolutną obojętnością odszedł powoli długim korytarzem królewskiego pałacu. Action chciał go zawołać, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Zabrakło mu tchu, zrobiło mu się ciemno przed oczami, nogi miał jak z waty. Cóż, nigdy się nie uczył polowania na takiego zwierza, jak ten kapłan. Wraz z upływem czasu Action coraz rzadziej wspominał to dziwne spotkanie na Ergisi. Czasem nawet myślał, że to był koszmar, który przyśnił mu się po zbyt obfitej kolacji. Action był człowiekiem pragmatycznym i trzeźwo myślącym, nigdy nie wierzył w tak zwane przeznaczenie, negował samą możliwość przepowiadania przyszłości. Po mniej więcej dwóch latach przestał brać na poważnie tamtą abstrakcyjną groźbę. A potem, na złość różnym czarno-okim kapłanom, postanowił dowiedzieć się, gdzie jest ta słynna planeta Giuvans. W końcu jest myśliwym, prawda? W gwiazdnych atlasach nie było o niej nawet wzmianki. Ale przy kuflu altairskiego piwa, szczerze wzmocnionego fomalhaut-skim spirytusem, Action dowiedział się, w jakim rejonie należy szukać tej planety, jeśli, oczywiście, wierzyć plotkom. O Giuvansie krążyły różne legendy, ale co do jednej rzeczy wszyscy myśliwi i łowcy zwierząt byli zgodni - nie ma się po co tam pchać. Dlaczego? Dziewięciu na dziesięciu nawet nie chciało rozmawiać na ten temat.

156

157

W końcu znalazł się jeden, chyba najbardziej pijany, który szepnął Actionowi w zaufaniu:

- Ketczerzy nie pozwalają nikomu polować na zwierzęta, które hodują.

- Co za Ketczerzy? - drgnął Action, słysząc znajome, prawie zapomniane słowo.

- Tego nie wie nikt, ale na Giuvansie rządzą właśnie oni. Actiona diabli wzięli. Jak to rządzą?! Prawo o polowaniach jest jedno dla wszystkich. On sam jakiś czas temu dostał galaktyczną licencję na odstrzał dowolnego zwierzęcia, nie znajdującego się na oficjalnej liście gatunków chronionych. A mętnymi ostrzeżeniami jakiegoś mitycznego Solvitza nie ma się co przejmować. Action po prostu musiał lecieć na tę planetę! W ten sposób udowodni sobie i wszystkim innym, że nikogo sienie boi, bo prawomyślny mieszka-niec Galaktyki nie powinien się nikogo bać. A ludzkość, czyli Ko-smiczna Flota Ligi Planet, ma obowiązek chronić swoich obywateli. Takim torem biegły myśli Actiona, gdy wziął kurs na planetę Giu-vans. I tylko gdzieś w głębi świadomości słabiutki wewnętrzny głosik dziwił się tego nagłemu zapałowi i uporowi. Ale Action nie miał ochoty się nad tym zastanawiać, ciekawość i żyłka myśliwska wzięły górę. Ketczerzy rzeczywiście nie spodobali się Actionowi. Niby ludzie jak ludzie, ale jacy zarozumiali! A przy tym kompletnie obojętni wo-bec otoczenia. Pozwolili mu wylądować na planecie, pozwolili jeź-dzić i latać gdzie zechce, a nawet łowić i zabijać dowolne zwierzęta. A raczej nie tyle pozwolili, co nie robili żadnych trudności. Właściwie głównie milczeli, podejrzliwie kiwali głowami i bez przerwy coś za-pisywali, wodząc świetlnymi promieniami po niebieskich płytkach, które wyciągali z kieszeni.

Gdy Action wrócił z lasu ze zdobyczą i zrzucił ją przed swoim statkiem w malutkim porcie kosmicznym, przypominającym raczej tymczasowy obiekt wojskowy, jego stateczek był już aresztowany, czyli pozbawiony bloku energetycznego. I dopiero wtedy Ketczerzy się rozgadali. Okazało się, że Action złamał kilkanaście obowiązujących na Giuvansie praw. Więc dlaczego go nie uprzedzili? A dla-czego on sam nie zapytał?

Sprzeciw nie miał sensu. Rozbroili go i wsadzili do więzienia - cudacznego gwiazdolotu, w którym spędził wiele dni. Jak długo tu siedział, nie mógł się zorientować ani po posiłkach ani po zmianach oświetlenia. Spał, gdy czuł się zmęczony, zegara nie było, łączność nie działała. Któregoś dnia jeden z Ketczerów zlitował się nad Ac-tionem, a może po prostu taki był scenariusz, i wyjaśnił mu:

- Będziesz odsiadywać tu karę aż do ogłoszenia wyroku. Interesująca informacja. Zapas optymizmu Actiona w końcu się wyczerpał. Myśliwy poczuł, że zaczyna tracić rozum, I wtedy w jedno-osobowej celi pojawił się towarzysz niedoli. Bardzo możliwe, że był to śledczy prowadzący jego sprawę, wrogi agent albo nawet kat. Już wtedy Action zaczynał tracić rozeznanie, nie umiał rozsądnie ocenić sytuacji. Człowiek nazywał się Envis. Zapewniał, że sam jest Ketcze-rem, chociaż jak na Ketczera był wyjątkowo gadatliwy i bezpośredni. Prawdziwi Ketczerzy nie podawali swoich imion. Envis obiecał Ac-tionowi, że go wywiezie z tej przeklętej planety. Kiedy? Gdy tylko otrzyma rozkaz. Odpowiedź zabrzmiała bardzo po ketczersku i Ac-tion znów wpadł w depresję.

Co najdziwniejsze, Envis spełnił obietnicę. Dostał rozkaz czy nie, tego Action nie wiedział, ale pewnego pięknego dnia gwiazdo-lot o niezrozumiałej zasadzie działania wystartował. Action prosił, żeby wysadzić go na pierwszej zamieszkaną planecie, byle była rze-czywistym członkiem Ligi Planet. Ale Envis miał swoje plany. Łą-dował wyłącznie na dzikich i zacofanych planetach. Po drodze łą-downie gwiazdolotu, przeznaczone chyba do przewozu zwierząt, stopniowo wypełniały się ludźmi. Pasażerowie albo mówili w nie-znanych Actionowi językach, albo z powodu ciężkiego stanu psy-chicznego nie odzywali się w ogóle. Gdy trafiał się ktoś mówiący w

międzyjęzyku, Envis i jego pomocnicy szybko go izolowali. Action nie zdążył się niczego dowiedzieć o tych ludziach. Potem wyładowano ich na Monaloi.

Życie na tej planecie okazało się piekłem.

Wyglądało to tak, jakby napisany przez Solvitza scenariusz realizowano punkt po punkcie, dbając przy tym o najdrobniejsze szczegóły. Action rozumiał to i stracił zainteresowanie życiem. Nie rwał się na wolność, w ogóle nigdzie się nie wybierał. Jego jedyną radością były polewki z ajdyn-czumry. Bardziej doświadczeni owocownicy (tak ich teraz nazywano) opowiedzieli mu, co tu jest grane. Cóż, narkotyk to narkotyk. Action zaczął marzyć o wielkich dawkach czumrytu, próbował nawet w czasie pracy odrywać zębami kawałki superowoców, ale dziesiętnicy zawsze go przyłapywali i bardzo mocno bili.

158

159

Tak płynęło życie. Jeśli to można nazwać życiem. Z wieczornych rozmów powoli układał się ogólny obraz, ale zrozumieć wszystkiego nie było sposobu. Owocownicy (gastarbeiterzy, brottslingi, sierściuchy), najniższa kasta na planecie, mieli zakaz dostępu do jakichkolwiek informacji. To, co wiedzieli i pamiętali z przeszłości, katastroficznie szybko wymazywało się z pamięci. Action ze zdumieniem spostrzegł, że jego pamięć jest dużo bardziej odporna na wpływ czumrytu niż u innych. Podobnie było z włosami. Większości wychodziły całymi garściami, co odbijało się na ogólnym stanie zdrowia. Śmiertelność była bardzo wysoka. Dziesiętnicy woleli wynosić z plantacji czy baraków jeszcze żywych owocowników, ale czasem przegapiali moment i musieli zabierać trupy. Najwidoczniej uważano, że oglądanie nieboszczyków źle wpływa na produktywność. Action okazał się wyjątkowo żywotny. Nie wiedział, jak długo już tu jest, stracił rachubę w tym nie kończącym się koszmarze, ale wiedział jedno: wielu ludzi, których przywieziono tu po nim, już nie było. Umierali na jego oczach albo wycieńczeni wpadali do kanału i topili się. Byli również niektórzy równie żywotni jak on, którzy jednocześnie mieli odporniejszą pamięć. Ci usiłowali się w tym wszystkim zorientować, próbowali nawet stworzyć wspólny front, zorganizować coś w rodzaju podziemnego ruchu, marzyli o ucieczce. Koniec był niezmiennie ten sam - w ich szeregach zakradał się zdrajca, donosiciel, na jego sygnał zjawiali się dziesiętnicy i główni spiskowcy ginęli od ciosów pałek. Wśród „żywotnych” można było wyróżnić szczególny rodzaj owocowników, których miejscowa ochrona nazywała opętanymi. Nagle opanowywało ich przemożne pragnienie, by wszystkim pomóc, nawet własnym dręczycielom. Zaczynali wieszczyć, agitować, wzywać do walki. Niektórzy dla wzmocnienia efektu uczyli się pojedynczych zdań po monalojsku, chociaż ten język był nie do opanowania dla normalnego człowieka. Wystąpienia opętanych kończyły się równie smutno. Jak można było nie rozumieć tak elementarnych rzeczy? Mimo to ciągle się zdarzało, że ludzie nagle zaczynali krzyczeć w środku roboczego dnia. Najwidoczniej był to jeden z rezultatów narkotycznego zatrucia.

Pewnego dnia to straszne doświadczenie spotkało Actiona. Pod koniec nieznośnie długiego, ciężkiego, dusznego, wróżącego burzę dnia usłyszał głos, nakazujący mu natychmiast oznajmić wszystkim bardzo ważną informację. Możliwe, że zawartość czumrytu w organizmie przekroczyła masę krytyczną, a może Solvitz lub ktoś inny zawładnął jego osłabionym rozumem. Action nie potrafił oprzeć się rozkazowi i zaczął się drzeć jak najprawdziwszy opętany owocownik. Było mu obojętne, co stanie się z nim później, teraz liczyło się tylko jedno - uprzedzić ludzi o nadchodzącej erupcji wulkanu i wszystkich związanych z tym nieszczęściami. Krzyczał najpierw w międzyjęzyku, a potem, tak jak umiał, po monalojsku. Krzyczał, bo tak nakazywał mu

wewnętrzny głos. Poznał go - należał do Teo-dora Solvitza. Albo tylko sobie to wmówił, bo tak było wygodniej. Po wygłoszeniu swojego tekstu Action już z własnej woli za-czął wykrzykiwać to, co nagle wydało mu się szczególnie ważne:

- Odszukajcie Jasona dinAlta. Powiedzcie mu, że to wszystko zrobił Teodor Solvitz.

Action starannie ułożył to zdanie po monalojsku i bardzo wy-raźnie wykrzyczał je kilka razy. Teraz był już pewien, że to piekło jest dziełem Solvitza. Sam się do tego przyznał. Trudno wprawdzie sądzić, żeby ten szalenciec specjalnie dla jednego człowieka zatruł całą planetę, ale jego udział nie ulegał wątpliwości. Action przekonał się o tym, gdy połączył swój ą znajomość monalojskiego ze słowami kapłana Fiodora na Ergisi. „Monaloi” w tłumaczeniu z języka tafi oznaczało właśnie „zart geniusza”.

Później okazało się, że żywotność Actiona jest jeszcze bardziej niezwykła, niż można to sobie wyobrazić. Pobity pałkami, przeleżał bez ruchu dziesięć minut, po czym udało mu się odpełznąć od uciekających w panice dziesiętników i owocowników. Lawirując między strugami niemal wrzącej wody i długimi rzędami kolczastych krzewów ajdyn-czumry, tu i ówdzie stojących w płomieniach, Action przedarł się do gęstego lasu. W ogólnej panice nikt tego nie zauważył. Następnego dnia znaleźli go striderzy. Nawet się do nich przyłączył, chociaż ci straceńcy wywarli na nim przynębiające wrażenie - zachowywali się jak kompletni szaleńcy. Prawdziwi opętani owocownicy, w dodatku na wolności. Istny dom wariatów. Ale dali mu życie. Tu, w lesie, było prawdziwe życie, nie wegetacja niewolnika w narkotycznych oparach zapomnienia. W lesie było mnóstwo jedzenia i żadnych okrutnych nadzorców - prawdziwe szczęście dla byłego brottslinga.

Pewnej nocy Action wyraźnie poczuł, że Jason dinAlt jest na Monaloi. Halucynacje? Możliwe, ale po tylu spełnionych przepowiedniach

160

11 - Planeta śmierci 6

161

Action zaczął wierzyć w intuicję, wewnętrzne głosy i inne niejasne przecucia. Zaryzykował i opowiedział o Jasonie striderom. Na walnym zebraniu uchwalono, by wysłać Actiona na spotkanie ze słynnym bra-tem. W tym celu Action miał się zakraść do rezydencji sułtana i porwać szybki kręciskrzydeł. Zadanie było niewykonalne, ale Action zgodził się. Nocą pokonał ogrodzenie i znalazł się na terenie rezydencji sułtana Azbaja. Jak było do przewidzenia, nawet nie zdążył się zorientować, gdzie stój ąkręciskrzydły - niemal natychmiast go złapano i znowu bito. Przychodził włochaty człowiek, przypominający cholernego Envisa (jeśli Action mógł wierzyć pamięci). Włochaty bardzo się ucieszył ze szczęśliwego schwytania opętanego uciekiniera. Bardzo chciał dokładnie przesłuchać Actiona, ale on zbyt szybko stracił przytomność. Zostawili go do rana w spokoju. Potem już zjawiała się Meta. Ta długa historia nie została tak składowo opowiedziana. Action raz po raz tracił watek, opowiadał niestworzone bzdury, mylił imiona, daty, nazwy. Na pytania Jasona odpowiadał niejasno, jakby próbował coś ukryć. Swoim zachowaniem zaczął przypominać Krumelura. Może to miejscowe powietrze tak na nich działa? - zastanawiał się Jason. Chciał zadać bratu wiele ważnych pytań, ale na razie był zbyt zmęczony rozmową. Jedno nie ulegało wątpliwości: nieszczęsny Action potrzebował natychmiastowej pomocy medycznej. Na początek trzeba będzie wykorzystać wszystko, czym dysponował Brucco na „Konkwistadorze”, a Tekka na „Argo”. W razie czego odeśle się bieda-ka na jakąś rozwiniętą planetę. W tym momencie Jason ze

smutkiem przypomniał sobie, że przecież nie można go nigdzie odesłać. Ba, nawet Jason chwilowo nie mógł się stąd ruszyć. Chwilowo - uśmiechnął się Jason do własnych myśli. Ale z ciebie, bracie, optymista! Skoro jesteś taki nieśmiertelny, to sobie teraz pożyjesz wiecznie na Monaloi, żując ajdyn-czumrę i zapijając czymrytem.

Te niewesołe rozważania przypomniały Jasonowi, że trzeba jak najszybciej zorganizować jeszcze jedno zebranie. Tym razem otwarte, a raczej „zamknięte” dla Pyrrusan. Nie warto wszystkich zapraszać na rozmowę z miejscowymi władzami. Możliwe, że powinien pojechać do Tomhet sam, ale przecież Meta go samego nie puści, Kerk też pewnie będzie chciał się przyłączyć. A dla równowagi warto by zabrać rozważnego Rhesa. I Archiego.

Kerk nie miał nic przeciwko temu. Ostatnimi czasy przejawiał wyjątkową cierpliwość. Tym bardziej teraz nie widział powodu do sporu. Połączyli się z Krumelurem, który uprzejmie zaproponował im swój kuter do przelotu. Jason nie mniej uprzejmie odmówił. Bał się - i nie bez podstaw - podstępu ze strony przebiegłych Faderów. Pyrrusanie polecili własnym superbodem, z Metą za sterami. Kerk oprócz zwykłego pistoletu, z którym nie rozstawał się nigdy i ni-gdzie, obwiesił się licznymi miniaturowymi bombami o wielkiej mocy; uzbroił się również w najnowszy promiennik-paralizator, wynaleziony przez Staną. Archie oczywiście wziął ze sobą Midi, która na pozór nadawała całej kompanii pokojowy i cywilizowany charakter, a w rzeczywistości była jeszcze jedną tajną bronią Pyrru-san. Jason liczył, że uda się jej odczytać myśli Faderów, chociaż ostatnia próba przeniknięcia do mózgu Krumelura zakończyła się fiaskiem. Najwidoczniej talent Midi ustępował zdolnościom Doiły z planety Zunbar, albo też Krumelur nie był zwykłym człowiekiem. Jason miał cichą nadzieję, że uda mu się zaprosić na Monaloi Doiły. Ta zdumiewająca dziewczyna już im kiedyś pomogła, gdy wszyscy już stracili nadzieję. Może i tym razem by się udało?... Na razie trzeba spróbować dogadać się z Faderami.

22

Ojców Monaloi było oczywiście więcej niż pięciu. Nie było sensu udawać - Jason i tak doskonale się orientował w strukturach lokalnych władz. W pertraktacjach, odbywających się w sali luksusowego bunkra w pobliżu portu Tomhet, brało więc udział znacznie więcej osobistości. Czterech tak zwanych właścicieli planety zasiadało obok Krumelura, podobnie jak wtedy, gdy Pyrrusanie wylądowali na Monaloi: Olig i Falk, wysocy blondyni, podobni do siebie jak bracia, Paolo Fermo - czarny i wąsaty, i wreszcie mały suchy staruszek, który przedstawił się jednym krótkim słowem: Re. Dzięki przedśmiertnym wyznaniom upartego Envisa imiona pierwszych dwóch nie były dla Jasona pustymi dźwiękami. Nazwisko Fermo wydawało mu się niejasno znajome, ale Jason mógłby przysiąc, że na pierwszym zebraniu Krumelur nie wymieniał go w ogóle. Krótkie Re,

162

163

przypominające nazwę dźwięku, albo imię psa, oznaczało „król”. Jason doszedł do tego, gdy na zasadzie skojarzenia z Paolo Fermo sięgnął do języka włoskiego, którym władał podczas nauki w Scoglio. Przypomniał sobie pewną zabawną rzecz - jedna jedyna głoska mogła niezwykle efektywnie zmienić sens imienia czcigodnego Fadera:

„re” znaczyło król, a „reo” przestępca.

Oprócz pięciu wymienionych, zaproszono również Olafa Vita, Swampa (nie sposób było się bez niego obejść), emir-szacha Zul-gindoja-al-Sahheta, który, jak się okazało, nie był wcale władcą-mionetkowym, oraz pewnego nieznanego Pyrrusanom młodzieńca, Kunglig Brorsona³. Jason nie wiedział, czy to było imię, czy chłopa jest rzeczywiście kuzynem „króla” Re. Ze strony Pyrrusan wzięli także udział: były więzień Action i były osobisty ochroniarz Azbaja, Furuhu. Jason nie miał pojęcia, co Pyrrusanie zrobią z tym łysym, ciemnoskórym Monalojczykiem, gdy rozwiążą problemy tej planety. Ale z drugiej strony nie miał zamiaru oddać w ręce bezlitosnego Swampa tego wyjątkowego czło-wieka. Fenomen Furuhu Pyrrusanie chcieli zbadać sami. Było jasne, że w tak zróżnicowanym gronie trudno będzie osiągnąć jakiegokolwiek porozumienie, ale w końcu zebrali się tu, by spróbować. Usiedli, napili się płynu nie zawierającego ani alkoholu, ani czumrytu (Pyrrusanie na wszelki wypadek wzięli ze statków własne napoje) i Krumelur zaczął:

- Pozwólcie panowie, że za punkt wyjścia weźmiemy podpisa-ne przez nas dokumenty.

- Dobrze - zgodził się Jason. - Ciekawe, że żaden z punktów umowy nie został przez strony naruszony, a wzajemnych pretensji nabierało się dość dużo. Skonkretyzujmy to. - Proszę bardzo! - ucieszył się Krumelur.

Widać było, że aż rwie się do walki.

- Oto zasadnicza pretensja: zajęliście się nie tymi sprawami, którymi powinniście byli się zająć.

- Sprzeciw! - błyskawicznie zareagował Jason. - Zajęliśmy się tym, czym należało, to znaczy potworami. Ale wybór środków rozwiązania tego problemu to nasza sprawa.

Krumelur już otwierał usta, ale zdał sobie sprawę, że kłótnia nic tu nie da. Lepiej przejść do kolejnej pretensji. Uprzedził go Swamp:

Kunglig brorson - królewski kuzyn (szwedz.).

164

- Pretensja druga. Porwaliście z rezydencji sultana Azbaja oby-watela Furuhu, trzymanego tam zgodnie z naszym prawem... - ... zgodnie z którym poddawaliście biedaka nieludzkim eks-perymentom - nieoczekiwanie ostro wtrącił Kerk. Prawdziwy wódz! - zachwyił się Jason. Najwyższa pora wy-brać go do Komisji Praw Człowieka przy Lidze Planet. - To nie całkiem tak wygląda - sprzeciwił się miękko Swamp.

Falk, nie chcąc tracić tempa, wygłosił trzecią pretensję:

- Strzelaliście do naszych ludzi, zamiast chronić ich przed po-tworami.

- Coś podobnego! - Metę zatkało z oburzenia. - Wojna to woj-na. Ciężko się zorientować, gdzie nasi, a gdzie obcy. Żołnierz nie powinien się dziwić, że czasem kule lecą w jego stronę. Nie mówiąc już o tym, że ja na przykład osobiście do ostatniej chwili strzelałam igłami usypiającymi...

- Kochani - dodał Jason -jeśli już przekomarzamy się jak dzie-ci, kto zaczął, to przypominam, że najpierw mnie uderzono w gło-wę, a dopiero potem nastąpiła cała reszta.

- Na pana napadli nie podporządkowani władzom ochronia-rze, szaleni kalhinbajowie - wyjaśnił Olidig. - Przyjaciele! - roześmiał się Jason. - Skoro wasi wojownicy odmawiają wam posłuszeństwa, to już nie nasza wina! Najpierw wystrzelajcie swoich kalhinbajów, a dopiero potem my spokojnie zajmiemy się potworami.

- Nie pozwolę mówić w ten sposób o kalhibajach! - oświadczył nieoczekiwanie Zulgindoj.

A młody Brorson wykrzyknął:

- Niech żyją striderzy!

- Spokój!

Zza stołu uniósł się potężny siwowłosy Rhes, uniósł ręce i zażądał ciszy.

- Jestem tu prawdopodobnie najstarszy, więc pozwolę sobie powiedzieć wam, że tak się nie prowadzi negocjacji. Jeśli zaczniemy wyjaśniać szczegóły sytuacji politycznej na waszej niezupełnie szczęśliwej planecie, to nawet po trzech dniach nie będziemy bliżej rozwiązania. Jestem tu człowiekiem nowym, dopiero wczoraj przyleciałem. Zapewne nie zdążyłem się jeszcze we wszystkim rozeznać, ale doskonale widzę zasadniczy punkt sporny. Wy jesteście klientami, 165 a więc płacicie i macie prawo żądać wykonania zlecenia. Jason jednak ma absolutną rację, mówiąc, że my jako wykonawcy mamy prawo wybrać środki wykonania tego zlecenia. Nie podpowiada się specjalistom, jak ma pracować. On sam wie to najlepiej. By jednak mógł pracować efektywnie, należy udzielić mu jak najwięcej informacji. W przeciwnym razie wykonanie zadania będzie niemożliwe. A wy nie tylko nie przekazaliście nam niezbędnych wiadomości, ale i nie uprzedziliście o śmiertelnym niebezpieczeństwie, czyhającym na ludzi na waszej planecie.

- Czumryt nie stanowi śmiertelnego niebezpieczeństwa, tym bardziej dla takiego człowieka jak Jason dinAlt, To były pierwsze słowa starego Re. Bandycki król miał bez wątpienia rację, ale w końcu nie o to chodziło. Pojęcie śmiertelnego niebezpieczeństwa można rozumieć bardzo szeroko. Zostać na zawsze przykutym do planety narkomanów to nawet gorsze niż śmierć. - Poza tym... - Krumelur zawahał się. - Poza tym, między nami mówiąc... istnieje odtrutka, swoiste antidotum na czumryt... To znaczy, sprawa nie jest taka prosta, ale jednak... Wszyscy słuchali go z zapartym tchem, ale Krumelur zamilkł, przechwytyjąc wściekłe spojrzenie Swampy. Donośny głos bandyckiego medyka przeciął głęboką i pełną napięcia ciszę:

- Kogo próbujesz oszukać, idioto?! Nie ma żadnej odtrutki!

Jason jest teraz przywiązany do naszej planety na zawsze.

- Taak? - zainteresował się groźnie Kerk. - Taki był wasz plan? - Nie. To czysty przypadek - skrzywił się Krumelur. - Kto go prosił, żeby włóczył się sam po lesie? Byliśmy przekonani, że Pyrusanie to ostrożni, doświadczeni i umiętni wojownicy, nie grzeszący wścibstwem.

Zabrzmiało to bardzo gładko, przez co jeszcze bardziej podejrzanie.

- Nie wierzę ci, Krum - odezwał się głucho Jason.

- Twój e prawo - mruknął Krumelur.

- Tobie, Swamp, też nie wierzę. Będziemy szukać odtrutki.

- Szukajcie - odparł Re z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Jason nie skomentował i ciągnął:

- Z potworami również będziemy walczyć. Po pierwsze, obiecaliśmy. Po drugie, jesteśmy profesjonalistami i chcemy dostać nasze pieniądze, wszystko, do ostatniej kredyty. Po trzecie, sami jesteśmy 166 I ciekawi, skąd wzięły się tu te istoty. Czyli pod tym względem wszystko jest w porządku. Ale pamiętajcie, że prędzej czy później odpójecie za to, co się tu dzieje. Musicie ponieść karę. - Znowu nam grożą! - wykrzyknął Falk. - Nie po to się tu (, zebraliśmy.

- Rozpatrzmy wszystkie sprawy po kolei - dodał szybko mil-czący do tej pory Paolo Fermo.

Interesujące, pomyślał Jason. Jeszcze jeden miłośnik porząd-ku! Coś czuję, że kiedy my tu będziemy się rozprawiać z potwora-mi, Faderzy spokojnie się ulotnią. Nie zmylicie mnie! Nagle Jason przypomniał sobie, gdzie słyszał nazwisko Fermo - na planecie Ergisi, bardzo dawno temu, gdy zajmował się ważnym pro-blemem, związanym z gwiazdolotem „Oven”. Zdaniem portiera luksu-sowego hotelu Lido tak brzmiało nazwisko pierwszego właściciela tej-że instytucji, który podobno przyleciał ze Scoglio. Konstruktorzy ze Scoglio brali udział w tworzeniu gwiazdolotu „Seger”, porwanego przez Faderów. Na Ergisi był niedawno Action i rozmawiał tam z mitycznym Teodorem SoMtzem. Jak to wszystko jest ze sobą poplątane! - Dobrze - rzekł Jason ugodowo. - Rozwiążemy wszystkie pro-blemy po kolei. Nie ma sprzeciwów. Obiecuję wam, że wybawimy Monaloi od potworów. Ale i wy musicie obiecać, że nie będziecie nam przeszkadzać. Actiona i Furuhu zabieramy jako rekompensatę za straty moralne. Umowa stoi?

- Stoi - uśmiechnął się Re i wyciągnął do Jasona małą su-chą rączkę. • Jason ucisnął ją lekkim obrzydzeniem. Nie podobał mu się I grymas staruszka: jakby drapieżny gad uśmiechał się tuż przed ata-f kiem. Jason nie mógł się powstrzymać i powiedział cicho:

- A więc dogadaliśmy się, Reo.

Bandycki król albo nie usłyszał, albo udał, że nie słyszy. W każ-dym razie nie zareagował.

Za to nad stołem uniosła się sylwetka siwowłosego Kerka. Jak zwykle postanowił postawić kropkę nad i.

- Nasi uczeni sprawdzą te informacje - oświadczył. - Nie wąt-pię, że uratujemy Jasona. Ale jeśli z jakiegoś powodu nam się to nie uda, długo będziecie żałować, że związa-liście się z Planetą Śmierci! - Znowu groźby! - warknął kosmiczny rozbójnik Falk. - Zanim czniecie chwalić się swojaniezwyciężonością, lepiej nas poznajcie!

167

Takiej obrazy Kerk nie mógł ścierpieć.

Negocjacje można było uznać za zakończone. Każda lufa - a jak się okazało, w sali wszyscy byli uzbrojeni - była w kogoś wycelowa-na. Wystarczyłby jeden strzał, by wszyscy uczestnicy zebrania padli trupem na miejscu. Jason gorączkowo zastanawiał się, jakby tu zare-agować. Zgasić światło? Nie wiedział, jak. Użyć gazu usypiającego? Zanim zadziała, będzie po wszystkim. Udać atak nerwowy? Zawyc niehumanym głosem? W końcu cała ta sytuacja wynikała z jego powo-du. Poza tym skoro jest chory, to żadne zachowanie nie powinno dzi-wić. Ale jaki będzie efekt? A gdyby tak wrzasnąć coś wyjątkowo głu-piego? Nagle doznał olśnienia.

Przypomniał sobie, jak w szkole lotników w Scoglio brał czasem udział w bójkach. Wtedy każdy zwycięski cios komentowano pewnym dyżurnym zdaniem, które Jason teraz dokładnie sobie przypominał. Złośliwemu tekstowi zawsze towarzyszyła demonstracja banknotu o niskim nominale. Skąd teraz wziąć coś takiego? Jason od dawna nie zarabiał pieniędzy w kasynach, jednak starym zwyczajem nosił ze sobą wszędzie plik banknotów - w galaktycznych kredytkach oczywiście. Dobra jest, pomyślał i wyciągnął z kieszeni pogniecioną setkę. Prawie wszystkie pistolety zwróciły się w jego stronę. Jason uśmiechnął się i wykrzyknął z przesadną ekspresją:

- E, millelireperilgelato!4

Nie pomylił się. Najwidoczniej dowcip krążył nie tylko w szkole lotniczej, ale i na całej planecie Scoglio.

Nie zabrzmiał ani jeden wystrzał. Nikt nie zaklął. A czcigodny Re zaczął się głośno śmiać - docenił żart. Pozostali, może z wyjątkiem Fermo, nie zrozumieli ani słowa, ale już po kilku sekundach chichotali wszyscy. Sytuacja się rozładowała. Operacja o pięknej nazwie „Zanurzenie w piekło”, została wyznaczona na najbliższe dni, ale przygotowania postanowiono rozpocząć dopiero następnego dnia rano. Wieczór załoga „Argo” i „Konkwistadora” postanowiła poświęcić na odpoczynek. Liniowiec, który przybył na planetę pierwszy, wylądował w farmerskiej dolinie Kara-eli - tak było najwygodniej. Pozostałe statki zostały na orbicie. Nie wiadomo przecież, jak się rozwine sytuacja. Masz tu tysiąc lirów na lody (włoski).

Pyrrusanie, relaksując się po minionych wydarzeniach, cały czas rozmawiali. Mieli o czym. Nieczęsto zdarzały im się minuty odpoczynku, najwyżej podczas lotów. Ale na statkach nie może być mowy o relaksie: siedzisz w ciasnej kajucie, a za ścianą czerń i chłód i w każdej chwili może się zdarzyć coś nieprzewidzianego albo na statku, albo na zewnątrz. A na Monaloi wieczory były cudowne - niezbyt gorąco, bezwietrznie, trawy i kwiaty roztaczały cudowny aromat, ptaki śpiewały, na wysokim błękitnym niebie majaczyły delikatne obłoczki. Do tego fascynujące wschody i zachody dwóch słońc i żadnego zagrożenia ze strony fauny i flory. Z drugiej strony, wszystko wokół było przesiąknięte zdradzieczą trucizną, a pod nogami znajdowała się prawdziwa beczka prochu - pod cienką warstwą skorupy ziemskiej kryła się wrząca magma, gotowa w każdej chwili wyrwać się na zewnątrz razem z zagadkowymi potworami, niosącymi zagładę tutejszemu życiu. Ale o tych nieprzyjemnościach Pyrrusanie woleli nie myśleć w ten cichy, ciepły wieczór, jak zwykle na Monaloi szybko przechodzący w noc. Jason i Meta postanowili pospacerować po górach. Wylecieli w dwuosobowej szalupie. Gdy krążyli nad skałami, szukając odpowiedniego miejsca do wylądowania, zauważyli na niewielkim placu takie same zielonkawe światła, jak na ich stateczku. Dziwne! Do tej pory nie zauważyli u miejscowych mieszkańców takich latających machin. Wylądowali obok. W końcu nie było się czego bać. Nawet gdyby to był sam Teodor Solvitz.

Ale to nie był on. Nad urwiskiem stali objęci Archie i Midi.

Na ramieniu Archiego siedziało malutkie zwierzątko, schwytane kilka dni temu przez Brucco. Pyrrusański biolog miał zamiar poddać przedstawiciela miejscowej fauny różnym eksperymentom, które zapewne zakończyłyby się śmiercią zwierzątka. Wtedy Archie nieoczekiwanie poprosił, by dać mu tego karłowatego papuziego makadryla - tak nazywano na Monaloi tę maleńką małąkę o śmiesznej wielkookiej mordce i barwnej, istic papuziej sierści. Archie zapewniał, że papuzie makadryle, zwłaszcza karłowate, nie są zwykłymi zwierzętami i nie powinno się ich poddawać wiwisekcji. Lepiej je oswoić i obserwować, jak psy i koty. Jason nie był pewien, kto ma rację, ale jako humanista stanął po stronie Archiego. Materiału do doświadczeń i tak mieli pod dostatkiem, a na planecie, na której nawet komary i muchy nie gryzą, jakoś głupio podnosić rękę na bezbronne zwierzę. Kolorowy makadryl

168

169

został u Archiego i po kilku dniach bardzo przywiązał się do uczonego z Uctisa. Arenie nie rozstawał się z nim, traktując go jak maskotkę. Na odgłos kroków najpierw odwrócił się makadryl, a dopiero potem Arenie, który rzucił przez ramię:

- Pewnie sobie pomyśleliście, że striderzy nas porwali i po-spieszyliście na ratunek?
- Nie - odparła uczciwie Meta. - Nie zauważyliśmy nawet, jak odlatywaliście. Po prostu sami mieliśmy ochotę trochę się przewietrzyć. - A właśnie - przypomniał sobie Jason. - Zapomniałem cię za-pytać, Midi. Udało się coś wyczytać w mózgach naszych wrogów? - Niestety, nie - pokręciła głową kobieta. - Ich mózgi są zbyt dobrze chronione. Poza tym weź pod uwagę, że moja specjalność to przekazywanie myśli na odległość oraz przyjmowanie ukierunko-wanych sygnałów. Podsluchiwanie to nie moja działka. Jason pokiwał głową w zadumie, a Midi zmierzyła go długim spojrzeniem, jakby próbując coś wypatrzeć w mroku. Przy zgaszo-nych reflektorach i chwiejnym świetle szmaragdowych latarek widać było tylko jej błyszczące tajemniczo oczy. Zagadkowe oczy kotki. Po chwili milczenia Midi oświadczyła:
- Ja i Archibald czasem po prostu lubimy postać nad urwiskiem i popatrzeć w gwiazdy.

Gwiazdy nad Monaloi były rzeczywiście piękne - niebo usiane miriadami wielkich, jasnych ogników, głównie złotych. Centrum Galaktyki było niedaleko.

Meta uśmiechnęła się do swoich myśli i powiedziała z nutką smutku:

- Przez iluminator, gdy leci się w trybie szczególnym, wygląda to jeszcze piękniej.
- To prawda - przyznał Jason.

Dobrze wiedział, o czym ona myśli, dlatego po chwili milcze-nia dodał:

- Na pewno jeszcze nieraz będziemy lecieć razem w trybie szczególnym. I do domu, na Pyrrusa, i na wiele innych planet. - Ja też w to wierzę - szepnęła Meta, przytulając się do niego.

Część II

Parada fenomenów

\
|

Wydawało się, że wszystko wokół płonie. I tak właśnie było. Rozrzedzony napalm rozpylono na dużym terytorium, a od cienkiego strumienia pistoletu plazmowego jednocześnie zapłonęło wszystko - drzewa, trawa, kamienie, woda, piasek... Czuło się, że nawet powietrze płonie. Termiczne skafandry mogły wytrzymać trzy tysiące stopni, to znaczy dużo więcej niż osiągała rozpalona lawa i wypływająca ze szczelin. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Nikt nie wiedział, jakiej temperatury należy się spodziewać głę-boko pod ziemią. A taka była strategia - zanurzenie w magmę. Ale czy Pyrrusan mogła powstrzymać niepewność? Skafandry zostały sprawdzone, więc przeszli do następnego punktu programu. Stan użył swojego nowego kriogenicznego pulweryzatora z in-jektorem o podwyższonej aktywności. Rezultat przeszedł najśmiel-sze oczekiwania. Ogromny pożar zgasł w mgnieniu oka, jakby to nie był buszujący ogień, tylko święteczna iluminacja, którą wyłącza się jednym wyłącznikiem.

- Ho, ho! - Stan zacierał dłonie, zadowolony z efektu. - Z taką bronią nie zginiemy! Jeszcze trochę, a będziemy gasić wulkany! - Nieźle - przyznał Jason, uwalniając się od niezbyt wygodnego skafandra. - Fajna rzecz. Gaszenie wulkanów, no, no. Tylko nie wiem, po co mielibyśmy to robić. Wydawało mi się, że chodziło nam o coś innego. Najbardziej chciałbym usunąć przyczynę choroby. A ty, jak najprawdziwszy Pyrrusanin, ciągle walczysz z objawami.

Stan przewrócił wściekle oczami, pomachał swoim pistoletem, przetrawiając tę wyszukaną obelgę, ale nic nie powiedział. Jason miał rację. Ale bez tej doskonałej broni też nic by nie J działo. To było właściwie wszystko, co chciał powiedzieć Stan. > Tylko po co powtarzać takie banały? I nie ma co się obrażać na Jaso-? na, bo to tak, jakby się obrażać na dziecko. Stan zrozumiał już daw- f no - ten mądrała nie lubi zabijać, tak prymitywne zajęcie jak walka jest nie dla niego. Jason to gracz, więc będzie grał zawsze i wszę-5 dzie: z ludźmi, z potworami, z losem, ze śmiercią... Niech sobie; gra. Byle tylko po stronie Pyrrusan.

Doświadczenia wypadły pomyślnie. Teraz Pyrrusanie mogli już! wypowiedzieć wojnę. Czuli smak upojenia bitwą, wierzyli, że zwy?-ciężą. Mogli więc sobie pozwolić na wybaczenie obraźliwych uwag przemądrzałym przybyszom z innych planet, w rodzaju Jasona czy Archiego. •;

- To chyba nie najlepszy moment na kłótnię, prawda, Jason? -ś odezwał się Stan, już zupełnie spokojny. \ - Prawda - uśmiechnął się Jason i dodał, parafrazując wyczytan^ gdzieś wypowiedź Buddy, która bardzo mu się podobała: - Gdy ziemia płonie pod nogami, nie czas spierać się o naturę ognia. Czas go gasić.!«' j:

Kolejnej erupcji spodziewano się dopiero po tygodniu - progno-j; zy miejscowego sejsmologa pokrywały się z przewidywaniami Ar-chiego. Nikt nie miał zamiaru sztucznie wywoływać trzęsienia ziemi'. Po pierwsze, straty energetyczne byłyby zbyt duże, po drugie, kontro-la nad dalszymi procesami mogła być bardzo problematyczna -jesz-cze nie umieli gasić wulkanów. Dlatego postanowili, że nie będą cze-kać na aktywność wulkanu, tylko przeprowadząprzygotowanąoperację „Zanurzenie w piekło”, czyli zejście w gardziel wulkanu. Komplek-sowe wyposażenie i skafandry już mieli, wszyscy byli cali i zdrowi, próby wytrzymałości skafandrów poszły nieźle. Na co tu czekać? Nie było to jednak takie proste. Wulkan żył własnym życiem, niczym gigantyczne zwierzę, i nikt nie wiedział, czego można się po nim spodziewać. Poza tym były jeszcze trzy czysto techniczne kwe-stie, które trzeba rozwiązać przed zanurzeniem: obserwacja, łącz-ność i broń. Ciała potworów miały niemal identyczny współczynnik refrakcji, co lawa, to znaczy zanurzone w niej stawały się niewi-174 doczne, jak idealnie czysty soplek lodu w wodzie. Dlatego Archie, Stan oraz Teka długo biedzili się nad stworzeniem systemu, który przekładałby na obrazy sygnały termiczne, wibrację, dźwięki, a na-wet szумы. W końcu im się to udało. Umowny potwór pojawił się na siatkówce oka eksperymentatora, mimo kompletnego bezładu elek-tromagnetycznego promieniowania. Pozostawało mieć nadzieję, że w lawie system nie zawiedzie.

Łączność miała być utrzymywana dzięki psi-nadajnikom, cho-ciaż nie było pewności, czy w tak niezwykłych warunkach będą dzia-łać. Jeszcze nikt nigdy nie wysyłał sygnałów psi z wrzącej lawy. Ale innego wariantu nie było.

Z bronią też sobie poradzili. O kriogenicznej nie mogło być mowy - Pyrrusanie nie planowali zamurowania się w magmie. Można było wykorzystać ultradźwiękowe destruktory Staną, ale miały zbyt małe pole rażenia, nadawały się tylko do strzelania z bardzo bliska. Dla większej pewności Pyrrusanie uzbroili się również w armaty plazmowe. To był pomysł Kerka. Broń genialnie prosta w działaniu - strumień o temperaturze miliona stopni załatwi wszystko. Co za różnica, czy używasz go w kosmicznej próżni, wśród polarnych lo-dów czy we wrzącej magmie? Jednakowo gorąco będzie wszystkim - i białym niedźwiedziami, i mieszkańcom rozpalonych głębin pla-nety. Oczywiście te armaty mogły stać się bronią obosieczną. Ale z drugiej strony, czy istnieje bezpieczna broń? Ryzyko było bardzo duże. Ale nie urodził się jeszcze Pyrrusa-nin, który nie lubiłby ryzykować. A Jason, Archie i Midi prawie nie

różnili się od rdzennych mieszkańców Planety Śmierci. Oni również przygotowywali się do zanurzenia.

Jasona pchała przemożna ciekawość i żyłka do hazardu. Wielokrotnie udało mu się uniknąć pewnej śmierci, a to napawało go przekonaniem o własnej wyjątkowości. Nie znał swojego prawdziwego pochodzenia i wszystkich przyczyn, dla których jego osoba budziła tak niezwykle zainteresowanie w najróżniejszych zakątkach Galaktyki. Ale miał kilka talentów, których był świadom, a w dodatku nieraz słyszał aluzje, jakoby był przedstawicielem innej rasy. Może to rzeczywiście prawda? Cóż, w takim razie strach przed śmiercią byłby niewybaczalnym grzechem.

Archie również był człowiekiem wyjątkowym. Z pozoru zwykły, niewysoki facecik, wąski w ramionach, niepozorny szatyn o bardzo

175

w

jasnej karnacji i niezbyt regularnych rysach twarzy. Tylko uśmiech zwracał uwagę - szeroki, otwarty, trochę łobuzerski. Zresztą, Archie zawsze wyglądał na młodszego niż był. Jednak drugiego uczonego o takim potencjale intelektualnym Galaktyka nie znała. Archibalda Stovera z planety Uctis można było spokojnie nazwać geniuszem, ba, w pewnych sytuacjach to słowo jakby nie wystarczało. Jason już dawno zrozumiał, że przyciąga do siebie ludzi wybitnych. Na przykład Midi. Gdy poznali się na Ergisi, Revered Bervick i wybitni biofizycy z Korpusu Specjalnego zatroszczyli się o płomienią miłość młodej królowy do Jasona. Ale sztuczna namiętność szybko wygasła, a przyjaźń z utalentowaną dziewczyną przetrwała. Telepatyczny emocjonalny kontakt został zachowany. Ale to wszystko nie było takie proste, jak sądzono.

Przypominając sobie spotkanych przez siebie wyjątkowych ludzi, Jason znowu pomyślał o Doiły z Zunbara, której telepatyczne zdolności były, zdaniem Midi, jeszcze silniejsze niż jej własne... Na wysokie gwiazdy! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Do zaplanowanej operacji pozostawała niecała doba. Gdyby to zależało od niego, Jason za nic nie pozwoliłby Midi pchać się w gardziel wulkanu, pomimo jej dwuletniego stażu na Pyrrusie. A gdyby jednak dało się tego uniknąć? Natychmiast poszedł z tym do Midi. - Posłuchaj - zaczął. - Nie sądzisz, że warto byłoby ściągnąć tu do nawiązania kontaktu z potworami naszą wspólną znajomą. Doiły Sane, młody talent z Zunbara?

- Nie musisz mi przedstawiać mojej najlepszej przyjaciółki od łączności telepatycznej - uśmiechnęła się smutno Midi. - Już się z nią konsultowałam. Doiły próbowała odebrać od tych stworów ja-kiś psychiczne sygnały.

- Ładne rzeczy! - oburzył się Jason. - To dlaczego ja nicotym nie wiem?

- Dlatego, że nic z tego nie wyszło. Z tym zjawiskiem... - za-uważ, że Doiły nie chce nazywać ich istotami... bardzo trudno nawiązać kontakt. Obiecała, że jeśli będzie to konieczne, przyleci. Jej zdaniem potrzebny jest ktoś o jeszcze potężniejszym talencie telepatycznym.

- A są tacy? - zainteresował się nieśmiało Jason. - Widocznie są - wzruszyła ramionami Midi. - Właśnie tym się teraz zajmuje, szukaniem telepatów. Ale to nie takie proste. - Domyślam się - powiedział tylko Jason, chociaż tak naprawdę niczego się nie domyślał.

Te dziewczęce pogaduszki poprzez miliony parseków nigdy nie mieściły mu się w głowie. Teraz zaś mowa była o niewiarygodnych rzeczach: wielokanałowych

telepatycznych poszukiwaniach, nawiązaniu kontaktu z nieludzką inteligencją... Albo, jak wyraziła się Doi-ty, zjawiskiem.

Cóż, Jason był nastawiony optymistycznie. 'Damy sobie radę, zdecydował.

Czyli na razie musieli zaryzykować i wysłać we wrzącą lawę czar-nooką ergisiańską piękność. Ostatnie słowo należało w tej kwestii do Archiego, a on wyraził zgodę. Co Jason mógł jeszcze zrobić? Tym bardziej, że tylko Midi mogła poprzeć jego pokojową koncepcję. - Rozumiem, że idziesz z nami?

- Oczywiście-skinęła głową Midi.

- I myślisz, że to naprawdę ma sens? - Jason próbował przekonać nie tyle ją, co samego siebie.

- Bez dwóch zdań. Jeśli oni przejawią wzmożoną aktywność, być może uda mi się coś poczuć...

- A jeśli... - zaczął Jason, ale Midi mu przerwała:

- .. nic z tego wszystkiego nie wyjdzie? Czy Pyrrusanie mają w ogóle prawo tak mówić?

Oho, już i ona uważa się za Pyrrusankę!

- Poddaję się! - Jason żartobliwie uniośł obie ręce. - Powiedz mi jeszcze, gdzie jest twój Archie.

- Siedzi w kajucie i obcuje z waszą ulubioną zabawką, biblioteką „Mark-9-03”.

- Aha! Zjrę do niego. Mam pewną sprawę.

Okazało się, że ta sprawa była dużo poważniejsza niż sądził. - Dobrze, że wpadłeś - ucieszył się Archie. - Właśnie miałem cię szukać.

Malutki papuzi makadryl wpatrywał się w Jasona swoimi zielonymi oczyskami ze zdumieniem, ale bez strachu. Po chwili Archie oderwał się od ekranu.

- Pomaga w pracy? - zażartował Jason, wyciągając dłoń do makadryla.

176

12 - Planeta śmierci 6

177

- Jakbyś zgadł - skinął głową Arenie. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale on wydziela pozytywne biopole. Teraz nie mam czasu, żeby się tym zająć poważnie. Na niektórych planetach od dawna uważa się, że domowy kot, który położy się na rękopisie czy robót-ce, wróży powodzenie w pracy. ;

Makadryl całkiem po ludzku wyciągnął do Jasona malutką put; szystąłapkę, a mężczyzna delikatnie jąścisnął. Zwierzątko napraw-* de było bardzo miłe.

- Znalazłeś coś ciekawego w archiwach? - Jason przeszedł do rzeczy.

- Siadaj i słuchaj. Zacznijmy od najprostszego odkrycia. Prze-słuchując nagranie zwierzeń Envisa, które uprzejmie udostępnił nam Krumelur, zwróciłem uwagę na pewien ciekawy termin. Według słów tego dziwaka, praprzodkiem wszystkich superowoców jest niezna-na roślina, przywieziona z daleka i do dziś dnia hodowana przez Ketczerów, o dziwnej nazwie „trolsk flikt”. W odróżnieniu od nie-których nie władam szwedzkim, ale zajrzałem do słowników. Po-dejrzewani, że ty

przetłumaczyłeś sobie tę nazwę bezpośrednio na międzyjęzyk, otrzymałeś niezbyt oryginalne połączenie - „magicz-na ucieczka” i uspokoiłeś się. Nazwa w sam raz dla narkotyku, praw-da? A ja przetłumaczyłem nazwę superowocu na esperanto... Jason już wiedział.

- Curo magia! - wykrzyknął. - Boski owoc kuromago z plane-ty Elesdos!

- Otóż to - skinął głową Archie. - Ktoś albo coś nachalnie podsu-wa nam ciągle to samo świństwo. Brucco był bliski rozwiązania tej za-gadki, gdy dokopał się do biochemicznej natury czumrytu, ale j ak wiesz, Pyrmsanie mają idiotyczny zwyczaj zapominania wszystkiego, co nie ma bezpośredniego związku z ich ojczystą Planetą Śmierci. Brucco nie skojarzył LSD z Elesdosem, na którym byliśmy w drodze na Ergisi. Ja przypomniałem sobie od razu, tylko szukałem potwierdzenia. - Archie! - Jason był olśniony. - Jak mówiąpiraci na Jamajce, kapelusze z głów! Ograłeś mnie w mojej własnej dziedzinie, w lin-gwistyce.

Archie uśmiechnął się skromnie. Makadryl, jakby rozumiejąc każde słowo, wesoło, po ptasiemu zaświergotał. - Chwileczkę. - Jason postanowił nie dać za wygraną. - Spieszę przypomnieć nowo upieczonemu filologowi, że dziewczęta na 178 Elesdosie mówiły nie tylko w esperanto, ale również w międzyjęzy-ku. A więc nie wiemy, który z języków był językiem ojczystym tu-byłców, a raczej tubylek.

- Przyznaję - powiedział Archie. - No i co? - A to, że curo magia to jeszcze nie kuromago. Z czym wiąże się to zniekształcenie? Na przykład po włosku curo mago to do-słownie „troskliwy czarodziej”. Jeszcze bardziej interesujący byłby wariant hiszpański: cura magno, „wielki ksiądz” albo „wielki uzdro-wiciel”...

- Nie przytłaczaj mnie intelektem, bo zaraz ci powiem, że to oznacza kuricu iż magazina, albo, powiedzmy, kuriewo w bumagie5. Jasona zatkało.

- Rosyjski też znasz? Kiedy zdążyłeś się nauczyć?

- Nie! - uspokoił go Archie. - Rosyjskiego się nie uczyłem.

Po prostu poszperałem w bibliotece. Bardzo interesujące zajęcie.

Szalenie wciąga.

- Archie... - sposępniał nagle Jason. - Czy mamy czas na ta-kie głupstwa?

- To nie są głupstwa - zaprotestował Archie. - Pamiętasz, że wtedy jedliśmy owoce kuromago? I nikt nie został narkomanem. Nie było żadnego szybkiego uzależnienia. Muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi. To nawet ważniejsze niż te podziemne potwory. Przecież żadna planeta nie powinna być więzieniem. - Dziękuję, Archie - odpowiedział obecny więzień Monaloi. - Ale i tak szkoda twojego czasu.

- Będę miał teraz bardzo dużo czasu - mruknął zagadkowo Archie. - Akurat dosyć, żeby rozwiązać ten problem. - Co chcesz przez to powiedzieć? - Jason miał złe przeczucia. - Śmiało, przecież już się domyśliłeś - uśmiechnął się ze smut-kiem Archie. - Karmiłem wczoraj Chłopczyka kaszką z aj dyn-czumry i sam dla towarzystwa spróbowałem...

- Jakiego chłopczyka? - spytał tępo Jason.

- Aa, nie wiesz? To imię mojego makadryla.

- Po co to zrobiłeś, Archie?

- Sympatyczne zwierzątko powinno mieć ładne imię.

- Przestań się wygłupiać - skrzywił się Jason. - Co na to Midi? 5 Kurica iż magazina, kuriewo w bumagie - kura ze sklepu, tytoń w papierze (roś.).

- Nic jeszcze nie wie. Ale ty powinienes mnie zrozumieć. Jeśli nie doświadczę tego na sobie, nigdy nie rozwiążę problemu.

Jason zamilkł na dłużej, w końcu się odezwał:

- Czy nie powinniśmy pójść spać? Jutro czeka nas ważny dzień. - Zapewne masz rację - zgodził się Archie. - Ale boli mnie głowa. Boję się, że nie zasnę.

Zabrzmiało to idiotycznie: problem bólów głowy ludzkość roz-wiązała kilka tysięcy lat temu. Poza tym Pyrrusanie zawsze mieli ze sobą swoje medpakiety, podobnie zresztą jak broń. Jason zrozumiał. Makadryl Chłopczyk zeskoczył z ramienia swojego pana, pod-biegł do miski i zaczął łapczywie chleptać. Zapewne była to miej-scowa trucizna. j Jason przez chwilę przyglądał się zwierzątku, które sprytnie l wysysało ciecz zwiniętym w trąbkę języczkiem. Wreszcie powie* dział:

- W takim razie nalej i mnie szklaneczkę czorumu. Wypijmy za ratunek skazańców. Bez tego chyba i ja nie usnę.

2

HT^ego ranka największy wulkan na kontynencie Karaeli, ośnieżo-

-L ny Grugugużu-faj, rozpaczliwie dymił. Dym był dziwny, pasia-sty - czarno-szaro-biały. Przypominał trójkolorową pastę do zębów, wyciskaną z tubki. Grugugużu wznosił się niemal na cztery i pół tysiąca metrów nad poziomem oceanu i jego lodowa czapka, która stopiła się podczas kolejnej erupcji, odnawiała się bardzo szybko. Gęste kłęby wydostające się z krateru w znacznej części składały się z pary wodnej. Dym, spełzając w dół z podniebnego mroźnego szczytu, intensywnie wytrącał wodę na zboczach. Starannie zaplanowana pyrrusańska operacja „Zanurzenie w piekle” została podzielona na kilka etapów. Najpierw nad gar-dzielą wulkanu zawisł „Konkwistador” jako ewentualne zabezpieczenie energetyczne. Przez jego dolny luk wleciał do krateru uni-wersalny superbot. Lustro magmy było jednak dużo niżej niż 180 poprzednio. Lawa wycofywała się! Dla Pyrrusan mogło to oznaczać nie wiadomo jak długą przymusową bezczynność, jeśli dzisiejsza operacja się nie powiedzie. Do poziomu magmy superbot nie mógł dolecieć - krater miał kształt zwężającego się na dole stożka. Dalej miał zanieść Pyrrusan tak zwany tektoskaf, czyli „tektoniczny baty-skał”. Termin niezbyt precyzyjny, ale wygodny. Tektoskaf mógł wytrzymać temperaturę do piętnastu tysięcy stopni i ciśnienie miliona atmosfer, a więc byle wulkan nie stanowił dla mego wyzwania - w tektoskafie można byłoby nawet zanurkować w jakąś skromnych rozmiarów ostygłą gwiazdę.

Niestety, siedząc wewnątrz tej ciasnej skorupy, wypełnionej setką skomplikowanych przyrządów, dziewięcioosobowa załoga niewiele zdołałaby zobaczyć. Wojownicy liczyli, że gdy zejda na wystarczającą głębokość albo spotkają wroga, opuszczą stateczek. W razie wypadku przewidziano włączenie do akcji rezerw bojowych - dwóch identycznych tektoskafów.

Jednak na pierwszych dziesięciu kilometrach zanurzenia nawet ten jeden stateczek nie miał nic do roboty. Temperatura i ciśnienie rosły zgodnie z prawami geofizyki. Wskaźniki zewnętrzne informowały, że Monaloi jest młodym ciałem niebieskim, w którego centrum nie powstało jeszcze twarde jądro. Ale to były standardowe wiadomości z zakresu paleogeologii, interesujące najwyżej dla teo-retyków. Nic innego nie udało się zarejestrować. Potworów jak na lekarstwo. Ani śladu przejawów sejsmicznej aktywności. Prędkość zanurzenia zwiększono do maksimum. Bojowa część grupy powstrzymywała się od ziewania. Ciężkie, krępujące ruchy skafandry wydawały się idiotycznym pomysłem w tym martwym spokoju monalojskich głębin. Natomiast Jason i Archie przeciwnie - byli bardzo spięci i skoncentrowani. Wiedzieli z

doświadczenia, że taka cisza może wróżyć wyłącznie burzę. Już teraz niektóre geofizyczne parametry przestały się podobać uctisańskiemu uczonemu. Anomalie, które zaczęły się pojawiać, mogły być groźniejsze od potworów.

Archie szeptał coś Stanowi w fizycznym żargonie. Nawet Jason nie mógł nic zrozumieć z tej płątaniny fachowych terminów (sinkli-nale, tensory, planetesimale, kwazikompresja). Ale Stan widocznie wiedział, o co chodzi, bo oczy mu się rozszerzyły, twarz wyciągnęła, a na czole pojawiły się krople potu. Wszystko to Jason widział 181 dzięki specjalnym małym ekranom, wmontowanym w hełm każdego z desantowców, pozwalającym nawiązać łączność z trzema osobami jednocześnie. Jason obserwował teraz Metę, Archiego i Stanę. Pyrrusański uczonec nie zareagował w żaden sposób, więc Jason po paru sekundach wahania wysłał na powierzchnię kolejny meldunek:

- Wszystko w porządku, idziemy poprzednim kursem. Psi-łączność, na przekór obawom, działała idealnie. Odpowiedź Rhesa przyszła natychmiast. Zanurzenie miało być kontynuowane. Pierwsza podniosła alarm Midi.

- Oni gdzieś tu są - zadźwięczał nagle we wszystkich nauszni-kach jej przestraszony głos.

Tektoskaf zszedł już na głębokość osiemdziesięciu dwóch kilo-metrów. Według danych gdzieś tutaj powinno zaczynać się stwardnienie planetarnego płaszczka, ale przyrządy niczego takiego nie rejestrowały. Jediną reakcją było oświadczenie Midi.

- Kto? - zapytał Jason. - Potwory?...

- Może one, a może ktoś zupełnie inny. Nie umiem tego wyjaśnić. Tylko czuję - dodała, jakby się usprawiedliwiając.

Wtedy odezwał się Stan:

- Dalszej drogi nie ma.

Tektoskaf płynnie zahamował i zawisł w magmie. Możliwe, że usiadł na czymś twardym, chociaż w sensie dosłownym urządzenie nigdzie usiąść nie mogło, ponieważ otaczała je warstwa płynnej plazmy, utrzymywana pomiędzy dwiema sferami elektromagnetycznej osłony.

- Co się stało? - zapytał Jason - Dotarliśmy do jądra? - Żeby! - odparł nie wiedząc czemu ze złością Stan. - Po prostu trafiliśmy na ścianę pola siłowego, dużo silniejszego niż nasze. - To jest właśnie to, o czym mówiłem - z zadowoleniem skomentował Archie.

- Skoro jesteś taki wszystkowiedzący - rozżłościł się jeszcze bardziej Stan - to powiedz, co mamy teraz zrobić. - Wyjść na zewnątrz i obejrzeć wszystko z bliska - odparł bez zastanowienia Archie.

Pomysł był wystarczająco wariacki, by spodobać się Pyrrusa-nom.

Zaczęli przygotowywać się wyjścia.

Midi powtórzyła z naciskiem, akcentując pierwsze słowo:

182

- Oni gdzieś tu są.

Dziesięć sekund później można się było o tym przekonać bez żadnych telepatycznych zdolności. Stan ustawił aparaturę na maksymalną rozdzielczość i każdy z desantowców mógł zobaczyć na swoim ekranie, jak przez ścianę pola siłowego przebijają się dzioba-te stwory. Nie wyglądało, żeby się gdzieś specjalnie

spieszyły czy żeby bardzo im zależało, żeby znaleźć się po tej stronie - przedzie-rały się w dosłownym znaczeniu tego słowa. Pole'siłowe pękało jak żywa membrana, by po kilku sekundach zrosnąć się za plecami ko-lejnego potwora. Stwory pływały w rozpalonej lawie jak ryby w oce-anie. Kończyny nie były im potrzebne - dzioby pruty wrzącą lawę, ciała falowały. Stworzenia szybko poruszały się w górę - dużo szyb-ciej niż pyrrusański tektoskaf schodził na dół. Co najciekawsze, nie zwracały najmniejszej uwagi na obecność ludzi. Tam, na górze, na powierzchni, wszystko było ich wrogiem, tutaj widocznie rządziły inne prawa. Albo może zwyczajnie nie zauważały obcego elementu, mimo że przepływały tuż obok niego.

Pyrrusanie wytrzymali bierną obserwację równo dwie minuty. Tektoskaf nie był machiną bojową, więc żeby cokolwiek zrobić, trze-ba było wyjść na zewnątrz. Kerk wydał rozkaz opuszczenia tekto-skafu. Nie konsultowali się z bazą na górze, powiadomili ich tylko o swojej decyzji. Co mogliby im poradzić ludzie, nie czujący naporu milionów ton wrzącej lawy? Jeśli nie zobaczysz piekła na własne oczy, nie dowiesz się, jak pokonać diabły w ich królestwie. Wyjście z tektoskafu przez na przemian zamykającą się i otwiera-jącąpotrójną śluzę zajęło im około dziesięciu minut. Pierwszy wyszedł Kerk i... nie poczuł nic szczególnego. Skafander spokojnie wytrzymał wszelkie obciążenia, a przepływające obok potwory nie zareagowały na jego obecność. Kerk postanowił powstrzymać się od strzelania i in-nych działań do chwili, gdy wszyscy opuszczą tektoskaf. Na pokładzie pozostał Griff. Stacjonarna łączność pozwalała nu kontaktować się ze wszystkimi jednocześnie. Według instrukcji, fedyby choć jeden z desantowców ogłosił alarm, Griffmiał przygo-jować się do awaryjnej ewakuacji oraz otworzyć wszystkie śluzy na pierwsze żądanie.

Jak na złość, nic się nie działo. Potwory monotonna, usypiająco lprzepływały przez ekran ochronny. Nikomu, nawet Kerkowi czy Me-licie, nawet Ronusowi nie przyszłoby do głowy, by w takiej sytuacji 183 strzelać do ewentualnych wrogów. A Ronus od dawna sływał z tego, że strzelał do każdego ruchomego celu, zanim zdążył ustalić, co to właściwie jest. Ale na razie, korzystając z tego, że nikt im nie prze-szkadza (przynajmniej tak im się wydawało), chcieli tylko przeniknąć do obozu wroga.

- Spróbujmy się tam przedostać - Archie wypowiedział na głos ogólne pragnienie. - Podkradniemy się do ściany pola siłowego i przeskoczmy, zanim membrana zarośnie. Wydaje mi się, że to realny plan.

Pierwsza zaryzykowała Meta, a zaraz za nią przez otwór prze-niknął Jason. Los zbyt często ich rozłączał, w dodatku za każdym razem wiązało się to z poważnym, niemal śmiertelnym niebezpie-czeństwem. Nie chciał więcej ryzykować.

Zdążył. /'(f

Nieźle, nawet butów nie zgubiłem, jak kiedyś, zażartował w dof chu. •' l;

Gdyby zgubił buty, ba, gdyby w najłżejszy sposób uszkodził skafander, już by nie żył. j Po tamtej stronie ekranu rzeczywiście było bardziej interesująco'. Przynajmniej wszystko wyglądało na oryginalne i nowe. Znaleźli się jakby w gigantycznym bąblu przegrzanego gazu. Wskaźniki wskazy-wały nadal tę samą temperaturę - około dwóch tysięcy stopni Celsju-sza. Ciśnienie zwiększyło się nieznacznie, ale kolory stały się zupełnie inne. Męczącą monotonię czerwieni lawy zastąpiła nieoczekiwana pa-leta barw. Wewnętrzna powierzchnia ekranu ochronnego wydzielala różowopomarańczowe światło, w dole kłębiła się żółta mgła, przez którą majaczył jakiś ruch. Stąd właśnie wynurzały się potwory. Teraz już następowało to coraz rzadziej, najwidoczniej proces miał się ku końcowi. Pyrrusanie mieli szczęście: zdążyli przeniknąć do środka. Chyba żeby okazało się, że nie ma drogi powrotnej...

Tlenu w skafan-drach wystarczyłoby najwyżej na osiem godzin. Zresztą i tak wcześniej wyczerpałby się zapas systemu chłodzenia. Nie wolno teraz o tym myśleć, przerwał sam sobie Jason i zapytał Kerka:

- Schodzimy na dół?

Kerk mruknął coś niezrozumiałego, miało to chyba oznaczać, że jest za. Stan, z właściwym sobie cynizmem zainteresował się, jak Jason chce to przeprowadzić i co właściwie rozumie pod pojęciem „dół”. Dobrze pytanie. Byli przecież w stanie nieważkości wokół świecącej powierzchni niczym baloniki pod sufitem. Żółta mgła z ciemno-szarymi kropkami była wszędzie. Archie sprecyzował:

- Nasz cel znajduje się nie na dole czy na górze, ale przed

nami... jeśli oczywiście nie planujecie poruszać się tyłem. Żeby po-

1 dążąc do przodu możemy wykorzystać ciąg reaktywny lub grawito-
l nowy. Proponuję zacząć od tego drugiego. Jednocześnie dowiemy się, czy ktoś nie trzyma nas tu specjalnie, przybierając do ekranu ochronnego jak doświadczalne owady do szyby.

Niepotrzebnie wymówił ostatnie słowa. Wywarły zbyt silne wrażenie na głównej sile uderzeniowej Pyrrusan - zdecydowanym, nie znającym wątpliwości Ronusie.

Nie miał zamiaru bawić się w ryzykowne eksperymenty z ciągiem, wymagające, jak wiadomo, dużej ilości energii - po prostu wystrzelił w pomarańczową ścianę z reaktywnego pistoletu. Plazmowy pocisk przeszył ekran ochronny i rozpląnął się w magmie. Ronusa, zgodnie z prawem Newtona, odrzuciło w żółtoszarą mgłę. Na szczęście oprócz mechaniki newtonowskiej działała tu również inna, dzięki temu Ronus nie znikł w gęstych kłębach, tylko w nich zawisł. I chyba nie odniósł żadnych obrażeń, przynajmniej nic takiego nie sygnalizował.

W tym samym momencie pozostali Pyrrusanie jednocześnie, bez porozumienia przełączyli się na jego wskaźniki zewnętrzne i zobaczyli, co kryło się pod mgłą w dole - w dole, bo tak było łatwiej myśleć. A więc w dole rozpościerały się plantacje, na których rosły czarnorude, poskręcane drzewa, pomiędzy nimi zaś pluskała dymiąca purpurowa ciecz. W tej cieczy brodziły po kolana doskonale znane Pyrrusanom potwory, zrywały z czarnych gałęzi żółte, błyszczące wielościanny, po czym wrzucały je do wielkich, jakby przerdzewiałych kontenerów. Wyglądało to na nieprzyzwoitą karykaturę tego, co działo się na powierzchni Monaloi i stwarzało wrażenie irracjonalności, jak w koszmarnym śnie.

Pyrrusanie poszli za przykładem Ronusa. Nie tracąc czasu, kaptułowali się w dół. Archie, obserwując przechodzące przez ekran potwory i pociski, zapewniał, że nie będzie problemów z powrotem. Strzelali praktycznie w ten sam punkt; po pierwsze dlatego, że nie chcieli rozlecieć się w różne strony, a po drugie bali się uszkodzić własny statek. Zapalczywy Ronus pomimo pośpiechu zdążył się zorientować, o co chodzi i wycelować we właściwy punkt.

184

185

m

Gdy wszyscy byli już na dole, bez żadnych specjalnych urządzeń można było dojrzeć pewne bardzo istotne szczegóły.

Na tej podziemnej plantacji nadzorcy nie rzucali się tak w oczy, jak setnicy i dziesiętnicy na górze, ale byli. Pierwsza znowu zareagowała Midi:

- Hej, patrzcie, to właśnie oni! To ich poczułam jeszcze stamtąd. Początkowo nikt nie zrozumiał, o czym ona mówi. Ale po chwili wiedzieli już wszyscy.

Nad rzędami drzew latały czarne kule wielkości piłki do siatkówki. Poruszały się albo powoli, albo bardzo gwałtownie, od czasu do czasu uderzając w głowy niezbyt rozgarniętych potworów. Nie wiadomo, czy piłki uderzały bezpośrednio, czy wystrzeliwały jakieś pociski, ale cel ciosów był zawsze ten sam.

Zauważyli jeszcze jedną interesującą rzecz. Tutejsi pracownicy nie mieli dziobów. Wyglądali jak zwykli ludzie, tylko stworzeni z innych „materiałów”. Były wśród nich również kobiety. To wydało się Jasonowi szczególnie obrzydliwe. O ile mężczyźni mimo swojej potworności mogli zachwycić siłą i potęgą, o tyle kobiety były wykonane kiepsko - bez smaku, bez natchnienia, bez fantazji... O czym ja myślę? - zdumiał się Jason. Skąd mi przyszło do głowy, że ktoś je wykonał? A jednak gdzieś to słyszałem... Poza tym to logiczne; w tych nieludzkich warunkach nie mógł ukształtować się organizm, przypominający do złudzenia homo sapiens. To by było niemożliwe!

Jego rozmyślenia przerwał okrzyk Staną:

- Uwaga! Obiekt leci w naszą stronę! Cel nieznany.

Jedna z czarnych kul, zapomniawszy o obowiązkach nadzorcy, zaczęła płynąć w ich stronę. Niespiesznie, ale konsekwentnie. To oczywiście mógł być przypadek. Niewykluczone, że kula chciała się przemienić w dziobatego potwora i nikogo nie zaczepiając po drodze, przemieścić się za żółte obłoki i pomarańczową sferę.

Jason pomyślał, że najwyższa pora połączyć się z Rhesem. Udało się. To już coś, bo znaczyło, że ekran przepuszcza sygnały psi.

- Czy potwory wyszły z krateru na zewnątrz? - To było najważniejsze.

- Nie - odpowiedział Rhes. - Nie pojawiły się nawet pod powierzchnią lawy. Kompletny spokój.

W tym momencie Archie drgnął.

- Patrzcie! Ona się nie tylko przybliżyła, ale i powiększa! Jakby się nadymała!

Nie musiał krzyczeć. I tak nikt nie spuszczał wzroku z kuli.

- Typ broni? - Pytanie Kerka było szybkie i konkretne.

- Myślę, że najlepszy będzie ultradźwiękowy destruktor molekularny - zasugerował Stan.

- Poczekajcie chwilę! - poprosiła niespodziewanie Meta. -

Przecież nie zdążyliśmy się niczego dowiedzieć

- I co z tego? - zdumiał się Stan. - Jak się dowiemy, będzie za późno.

- Ale Archie twierdzi, że nie wolno.

- Dlaczego? - Tym razem odezwał się Kerk. - Niech Archie sam powie.

- I powiem! Nie potrzebuję adwokata.

Meta chciała jak najlepiej, ale Archie chyba się obraził. A może raczej zdenerwował, czując beznadziejność sytuacji.

- Nie szkoda mi żadnego z nich - zaczął wyjaśniać. - Przecież wiecie. Ale nie jesteśmy na swoim terytorium. Musimy zrozumieć choćby zasady ich budowy. Ani plazma, ani destruktor się nie nadają. Jest ich dużo, ale wysłano do nas tylko jedną. To bardziej przypomina próbę kontaktu niż atak. Rozumiecie?

To dziwne, ale Pyrrusanie go słuchali.

- Okażcie trochę cierpliwości - ciągnął Archie. - Niech Midi spróbuje się z nią porozumieć.

Czarna kula, nadymając się, podpłynęła bliżej.

- Midi, odezwij się - poprosił Jason. - Co teraz czujesz? Czekamy wszyscy na twoją odpowiedź. To bardzo ważne.

- Czekamy jeszcze tylko pięć sekund! - uściślił Stan.

Po gwałtownych ruchach Ronusa, który przyjął dość bezsensowną w stanie nieważkości bojową pozycję, Jason pojął, że Pyrrusanie nie wytrzymają nawet tych pięciu sekund.

W tym momencie Midi krzyknęła:

- Jest wypełniony nienawiścią! Nienawiścią do nas! A ja...

Nikt już nie słuchał. To było równoznaczne z komendą „pal”.

pięć luf wystrzeliło jednocześnie, dwa destruktory i trzy plazmowe strumienie. Kula błyskawicznie wybuchła, rozlewając się po pięć razy większej powierzchni, niczym oślepiający kleks, i szybko zgasła, pozostawiając obserwatorom na pamiętkę czerwone migotanie na oparzonej zbyt jasnym światłem siatkówce oka.

186

187

Jason natychmiast poczuł ostry ból głowy, który pamiętał jeszcze z telepatycznych ciosów na Pyrrusie. O mało nie stracił przytomności. Od razu obejrzał się na Midi - jak ona to odebrała?

Z Midi było bardzo źle. Zwinęła się w kłębek jak dziecko

w swoim łóżeczku. Pozycja embrionalna. W nieważkości ludzkie ciało, nie kontrolowane przez mózg, często zwija się w ten sposób.

Jason, wykorzystując ciąg grawitacyjny, skoczył do Midi pierwszy. Archie był tuż za nim, ujął ją pod drugą rękę. To był odruch.

Świadomość tego, co się stało, przyszła po chwili.

- Midi! - krzyknął Archie.

Wszelka łączność psi została przerwana. A jeśli wokół panuje temperatura i ciśnienie jak w tyglu sztucznych diamentów, nie można inaczej stwierdzić, czy człowiek żyje.

Jason poczuł rozpacz. Zakomenderował, nie tracąc czasu na wyjaśnienia: ‘

- Wycofujemy się!

Jakim prawem wydawał rozkazy? W czasie operacji bojowycft

zawsze dowodził Kerk. To on oburzył się pierwszy. i

- Jak to wycofujemy się? ‘

- Midi... - Jason się zawahał. - Z Midi jest źle. Natychmiast się wycofujemy.

Kerk albo zrozumiał, albo poczuł. W każdym razie nie sprzeciwiał się już, tylko przekazał rozkaz pozostałym. Daleko w dole leniwie unosiło się w ich kierunku kilka czar-nych kuł. Dwie albo trzy chyba już zaczęły puchnąć, ale woleli się o tym nie przekonywać. Pierwszy etap szturmowali już za sobą, na oceny przyjdzie czas, gdy przedrą się do swoich. Żóhoszarą mgłą pokonali bez przygód. Ekran ochronny rów-

niez nie nastroczał problemów. Albo był półprzenikalny, albo... nie było czasu na rozmyślanie. A tym bardziej na eksperymenty. Griff przyjął ich spokojnie. Szybko przeprowadził załadunek tektoskafu. - Ranna? - spytał, wskazując Midi.

- Nie wiadomo - odpowiedział lakonicznie Archie. Griff nie pytał o szczegóły. Po chwili zastanowienia poradził poważnie:

- Nie zdejmujemy na razie jej skafandra. Medpakiet już na pewno zrobił co się dało, a nadal jest zbyt duże ryzyko. Jeszcze się stąd nie wydostaliśmy. Poczekajmy, aż będziemy na „Konkwistadorze”. Wszyscy przyznali mu rację. Jason połączył się z Rhesem i po-prosił o przygotowanie zestawu reanimacyjnego. Wynurzenie przebiegało w kompletnej ciszy. Zanim znaleźli się na powierzchni minęło zaledwie dwadzieścia minut, a wydawało się, że to cała wieczność. Pyrrusanie umieli przyjmować śmierć z godnością, ale wcale nie byli pozbawienie uczuć. Znali cenę śmierci i walczyli o każde ludzkie życie do ostatka. Najbardziej przy-gnębiała ich świadomość, że piękna, utalentowana Midi może już nie żyć.

Jason bez przerwy myślał o swojej ostatniej rozmowie z Midi. Tak bardzo nie chciał zabierać jej na tę ekspedycję. Przeklinał się za to, że nie umiał nikogo przekonać o słuszności swojej decyzji. Meta po raz dziesiąty rozważała sposób jak najbezpieczniejsze-go i najszybszego przetransportowania Midi na superbota, a potem na krążownik.

Archie Stover nie myślał o niczym. Gdy potem wspominał te koszarne dwadzieścia minut, miał wrażenie, że opuścił zamiesz-kaną część Wszechświata, a zastąpił go bezmyślny kretyn. Ten kre-tyn modlił się nieumiejętnie jednocześnie do wszystkich bogów, w których nie wierzył i wierzyć nie umiał. Gdy zdjął na superbocie skafander, okazało się, że jego włosy, przedtem popielatoszare, te-raz są śnieżnobiałe, niczym lodowa czapka Grugugużu-faj. Pyrrusańscy medycy powitali ekipę głośnym krzykiem: „Nie rozpakowywać ciała!” - po czym położyli Midi na pneumowózku i zawieźli do Brucco, któremu już spieszył na pomoc Teka z, Argo”.

3

T\ Λ idi przeżyła, ale nie odzyskała przytomności - pomimo zasto--L V JLsowania wszelkich środków dostępnych pyrrusańskiej medy-cynie. Teka, uważany za najlepszego specjalistę w tej dziedzinie, stwierdził poważne i głębokie uszkodzenie mózgu, które wywołało śpiączkę. Najdziwniejsze, że nie było widać żadnych zmian fizycz-nych, a stan Midi był tak poważny, jakby przeszła rozległy zawał.

188

189

- Niestety - oświadczył Teka, kiedy rozmawiali z Jasonem w cztery oczy. - Nie jestem zbyt mocny w telepatii i zdolnościach nadprzyrodzonych, ale to niepodważalny fakt: Midi została ofiarą mental-nego wybuchu, a może nawet mentalnie ukierunkowanego ciosu. - Chcesz chyba przez to powiedzieć, że te czarne kule pod zie-mią są agresywne i przez to stanowią zagrożenie - uściślił Jason. - Gdybyśmy oznajmili to reszcie, decyzję podjęto by w trybie natych-miastowym. Wiadomo, jaką.

- Nie mówiłem o agresji - zaproponował ostrożnie Teka. - Nie-wiele wiemy o istotach czy mechanizmach, nazywanych przez nas potworami. Jeszcze mniej o czarnych kulach. Zbyt wcześnie na wnio-ski. Uwierz mi, jestem Pyrrusaninem i nie żałowałbym jakichś tam fenomenów natury, gdyby w najmniejszym stopniu zagrażały życiu moich przyjaciół.

Teka westchnął i w zadumie podrapał się po gładko ogolonym podbródku.

- Poza tym - ciągnął - totalna zagłada, która ponad wszelką wątpliwość zostałaaby przegłosowana, jest raczej niemożliwa. Kon-sultowałem się w tej sprawie z Brucco i Kerkiem. Słynny powietrz-ny bąbel w magmie zbyt przypomina mi Epicentrum Planety Śmier-ci. Chyba wszyscy pamiętają, do czego doprowadziło użycie bomby jądrowej w tamtej jaskini.

- Bardzo to zabawne - uśmiechnął się Jason - że w trakcie naszego wieloletniego sporu teraz jakby zamieniliśmy się stanowi-skami. Ale tylko jakby. Nigdy nie wzywałem i nadal nie wzywam do zabijania kogokolwiek czy czegokolwiek niewiedomego i nowego. Po prostu z wieloletniego doświadczenia wiem, że historia niczego nas nie uczy. Ludzi mają to do siebie, że potrafią kilkanaście razy wleźć na jedne i te same grabie.

Teka spojrział na niego dziwnie i Jason zrozumiał, że pyrrusań-ski lekarz nigdy nie widział grabi. No tak, przecież to mieszczech. - Zapytaj Rhesa, on ci powie, co to takiego.

- Zapytam - obiecał Teka. - Proszę cię, Jason, idź teraz do Midi.

Zawsze miałeś z niąkontakt telepatyczny. Może uda ci się jej pomóc. Jason jeszcze nigdy w życiu nie usiłował kontaktować się z czło-wiekiem w śpiączce. Ale nie zaszkodziło spróbować. Jeśli nie zdoła pomóc, to może chociaż uda mu się postawić bardziej precyzyjną diagnozę...

190

Midi wyglądała tak jak zwykle, może tylko była trochę bledsza. Oczy zamknięte, cichy oddech... Normalny, spokojny sen. Gdyby tylko mogła się z niego obudzić! Jason zamknął powieki i spróbo-wał się skoncentrować.

Może to głupie, że w takiej chwili myślał o kasynie, ale starał się przywołać te momenty, gdy jego mózg, w stanie absolutnej kon-centracji podporządkowywał sobie metalową kulkę albo małe kost-ki z przezroczystego plastiku. Udało się...

Zachwiał się i kurczowo ścisnął palcami poręcz łóżka. Świat się zakołysał i Jason zobaczył niedawny epizod we wnętrzu planety oczami Midi.

W tamtej chwili Midi była nieskończenie otwarta na wszelkie sygnały. Czowała niebezpieczeństwo i ten strach jej przeszkadzał, ale przecucie ważnego odkrycia było silniejsze. Czarne kule były o stopień inteligentniejsze od potworów i trzy razy bardziej aktywne telepatycznie. Nawiazanie z nimi kontaktu mogło być bardzo interesujące. Ale kula lecąca im na spotkanie koncentrowała w sobie co-raz więcej złości i rozdrażnienia. Midi wysyłała w jej stronę impulsy serdeczności i przyjaźni, ale ona ich nie odbierała! Jakby była nastawiona na inną falę. To było strasznie przykre. Midi otwierała się coraz bardziej, rozszerzając diapazon translacji i przyjmowania sygnałów. I chyba udało jej się zahaczyć rosnącą ciągle strefę odbioru obcego. Ale przyjaciele żądali od niej natychmiastowej odpowiedzi. Midi nie mogła w takim momencie skłamać, z trudem udawało się jej logicznie myśleć, była kłębką emocji. Dlatego powiedziała iin o nienawiści, a nie zdążyła powiedzieć o odbiorze dobra... Potem Jason jeszcze raz poczuł ból, nawet większy niż wtedy pod ziemią. Ponownie przeżył straszny wybuch, gdy cała skoncen-trowana przeciw Pyrrusanom złość uderzyła w jedyne odsłonięte miej sce - w mózg Midi. Nawyk błyskawicznego stawiania psychicz-nej blokady nieraz ratował Jasona przed potężnym telepatycznym ciosem. Midi albo nie umiała, albo nie zdążyła tego zrobić. Jason otarł pot z czoła i pokrótce zrelacjonował Tece to, co zdo-łał zrozumieć.

- Teraz mógłby jej pomóc jedynie bardzo silny telepata - stwierdził Jason.

- Doiły Sane?

- Na przykład. Albo jeszcze lepiej ten, którego Doiły teraz szuka. 191- Wobec tego taebajaknajszybciej skontaktować się z tą dziewczyną!

- Dlaczego jak najszybciej? - zdenerwował się Jason. - Po-wiedz mi uczciwie, jako lekarz: tracimy ją? - O ile mogę sądzić po jej aktualnym stanie, nie. - Teka ważył każde słowo. - Nie stwierdzam nekrozy tkanek ani żadnych innych postępujących negatywnych procesów.

- W takim razie daj mi czas przynajmniej do rana. Muszę po-myśleć, z kim nawiązać łączność i w jaki sposób. Nie jesteśmy u siebie i przede wszystkim muszę się połączyć z Krumelurem. Zbyt długo go nie ma.

- Dobrze - zgodził się Teka. - Ogólne zebranie ogłosimy jutro?

- Myślą, że tak.

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł na korytarz. Pod drzwiami stał Archie z niemym pytaniem w oczach.

- Uratujemy ją. Obiecuję ci. Na razie nie masz po co tam wchodzić. Archie z roztargnieniem pokiwał głową i bez słowa wrócił do swojej kajuty.

Oj, nie będzie z niego teraz pożytku w pracy, pomyślał ze smutkiem Jason.

Krumelur przyleciał w nocy i nawet przyciągnął ze sobą Swam-pa w charakterze lekarza. Jason uprzejmie podziękował za jego usługi, nie opowiadając o szczegółach ciężkiego stanu Midi. Musiał, rzecz jasna, zdać Faderom szczegółowe sprawozdanie z przebiegu żywo interesującej ich operacji „Zanurzenie w piekło”. Obaj współwłaściciele planety Monaloi głęboko się zamyślili. - Co wy na to, panowie? - Jasona znużyło to wieloznaczne milczenie. - Czy nie sądzicie, że wasi podziemni bracia zbierają na swoich rozpalonych plantacjach narkotyki? A kiedy brakuje im to-war, wychodzą na górę i zachowują się nieco agresywnie. Jak wam się podoba taka koncepcja?

To nie było całkiem na serio, ale warto było zastanowić się nad taką wersją. Faderzy znowu się zamyślili, przetrawiając to, co usłyszeli. W końcu odezwał się Swamp:

- Dacie nam taśmę, żebyśmy mogli lepiej się temu przyjrzeć?

Jason skinął głową.

- Dziękuję- powiedział Swamp. - A co do wniosków, na razie bym się nie spieszył.

192

Jason przywykł już do monalojskiej ociężałości umysłowej i nie spodziewał się ani interesujących hipotez, ani poważnej pomocy w badaniach. Na polu nauki Archie przerastał miejscowych mę-drców o głowę. No, może z wyjątkiem takich wąskich specjalizacji, jak wulkanologia. Teraz, podczas rozmowy z Faderami, Jason miał tylko nadzieję, że przyłapie ich na kłamstwie i zmusi, żeby się wy-gadali. Liczył, że uda mu się wyciągnąć z nich choć szczątkowe informacje. Ale na razie to Swamp przejął inicjatywę. - Nie dowiedzieliście się, co zbierali ci nieszczęśnicy? - Cóż, nie mamy materiału do badań, ale według danych anali-zy spektralnej jest to siarka w czystej postaci, zapewne jakaś niezna-na nam alotropowa odmiana siarki. Przy tak wysokich temperatu-rach i ciśnieniu powstają kryształy najwyższej trwałości. Jak na przykład diament z grafitu.

- Siarkowe diamenty - powiedział w zadumie Swamp. - My wymyśliliśmy termin „diamentowa siarka” - odparł Ja-son. - Myślę, że ładniej brzmi.

Krumelur dorzucił:

- Rozumiem, że w atmosferze jest tam sama siarka? - Tak - uśmiechnął się Jason. - W starożytnej mitologii uważa-no, że zapach siarki to nieodłączny atrybut piekła i jego władcy, szata-na. Czyli że właśnie wybraliśmy się do niego z wizytą. Nie mam racji? Swamp westchnął.

- Coś mi się zdaje, że jest pan dzisiaj w nastroju do wysuwania ekstrawaganckich, żeby nie powiedzieć żartobliwych hipotez. Jason wzruszył ramionami.

- To pewnie nerwowe. Tak naprawdę sprawa jest dużo poważ-niejsza niż możecie sobie wyobrazić.

Sposępniał i podsumował:

- Dzisiejsza wyprawa przyniosła pewne sukcesy. Tajemnica słynnych potworów prawie została rozwiązana. Chociaż z drugiej strony... Przejdę do najważniejszej kwestii - Jason uniósł palec, kła-dąc nacisk na następnym zdaniu. - Pyrrusanie zaczynają ponosić straty. A życie i zdrowie każdego mieszkańca Planety Śmierci jest dla nas bardzo cenne. Dlatego chciałem was prosić o bardziej ak-tywny udział w dalszych operacjach.

- Chcesz, żebyśmy ci dali naszych ludzi? - zdumiał się Kru-melur.

13 - Planeta śmierci 6

193

- Nie - pokręcił głową Jason. - Wasi wojownicy absolutnie nas nie interesują. Po pierwsze, tego nie było w umowie i nie wypada, by wykonawca w ten sposób eksploatował klienta. Po drugie, biorąc pod uwagę fakt, że potwory w specyficzny sposób odbierająróżnych ludzi na poziomie telepatycznym, nie chciałbym dodatkowo komplikować ; sytuacji, wprowadzając do akcji osoby, których zachowanie ma inne zabarwienie emocjonalne. Czy wyrażam się jasno? - Tak - odparł tym razem Swamp.

Jason miał nieprzyjemne wrażenie, że rozmawia z aktorami, którzy doskonale przygotowali się do występu. - Wobec tego - kontynuował - mam do was dwie prośby. Po pierwsze, chciałbym was zapytać, czy zdradzicie nam sekret techni-ki zmiany skali czasu. Taka umiejętność mogłaby się przydać. I dru- ' ga sprawa. Co wy na to, żeby wykorzystać przeciwko potworom gwiazdolit „Oradd?”

- Odpowiadam w kolejności - zaczął spokojnie Krumelur. - Umiejętność przemieszczania się w innej skali czasu jest naszym dobrem narodowym.

Jaki konkretnie naród miał na myśli Krumelur, Jason nie zapy-tał. Pokiwał ugodowo głową.

- Chętnie w to wierzę. Ale nie będziecie mnie chyba przeko-nywać, że tylko Monalojczycy zdolni sąjąopanować. - Zgrzeszyłbym przeciwko prawdzie, mówiąc coś takiego - oznajmił patetycznie Krumelur. - Może się tego nauczyć każdy lub prawie każdy człowiek, odpowiednio przygotowany fizycznie i in-telektualnie. Pytanie brzmi, ile czasu by mu to zajęło. - Nie o to chodzi, Krumelur - sprzeciwił się Jason. - Pytanie brzmi: dacie instruktora, który nas tego nauczy, czy nie? Krumelur wykrzywił wargi, doceniając stanowczość rozmów-cy, i wskazał Swampa.

- Oto instruktor. Miłej pracy.

- Możemy zacząć od razu? - Jason kuł żelazo, póki gorące. Swamp wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Ale była jeszcze jedna kwestia. Mogę odpowiedzieć pytaniem na pytanie?

- Oczywiście.

- Co was tak pociąga w „Oraddzie?” Może na początek wystarczyłby „Sege?” Nie chcecie spróbować? - Nie - uśmiechnął się przebiegle Jason. - „Sege” jest wspaniałym statkiem naukowym i można go wykorzystać w walkach między-gwiezdnych. Ale wykonali go ludzie. Specjaliści najlepsi w Galaktyce, ale jednak ludzie. A „Oradd” to gwiazdolot Ketczerów. Dlatego. Ketczerzy, jak rozumiem, są wyższą rasą. Obawiam się, że nasze potwory również. A, jak to się mówi, klin należy wybijać klinem. - Nie można odmówić ci logiki - burknął Krumelur. - Jeszcze ; jedno pytanie. Jaki wpływ będzie miał nasz poważny techniczny udział na rozliczenia finansowe?

- Minus dziesięć procent - zaproponował Jason.

- Dwadzieścia - sparował Krumelur.

- Piętnaście - odbił Jason.

- Wobec tego bez gwiazdolotu. - Krumelur był niewzruszony. - Stop! Nie jesteśmy na bazarze! Przecież mamy wojnę! Gdybym kupował od was „Oradd”, to co innego! Proponuję wariant kom-promisowy: minus piętnaście procent za udostępnienie nam statku. Minus dwadzieścia, jeśli uda się go wykorzystać. - Chyba się zgodzimy - powiedział w zadumie Swamp, po czym z idiotyczną szczerością dodał: - Problem polega na tym, że ludzie nie mogą korzystać z tego statku.

- AEnvis?

- Noo, to był wyjątek - powiedział Krumelur przeciągle i znacząco.

- A ty bez namysłu zlikwidowałaś ten wyjątek? - Po pierwsze, stary Krum długo się nad tym zastanawiał - odparł spokojnie Swamp. - A po drugie, to było słuszne posunięcie. Nie potrzebujemy w naszych szeregach agenta Ketczerów.

- Aha! - powiedział tylko Jason.

Miał sporo do przemyślenia, ale na razie nie chciał o tym mówić. Zmienił temat.

- Cóż, szczerść za szczerść. Muszę się wam przyznać, że wśród Pyrrusan są tacy, którzy mieli kontakt z niezwykłymi gwiazdolotami. - Spróbujcie - odpowiedział obojętnie Krumelur. - Jutro rano wyląduję, a raczej opuszczę „Oradd” obok waszego „Argo”. A wy pospieszcie się z rozwiązaniem naszego wspólnego problemu. Dobrze? Bez względu na straty.

- Brd - odparł Jason, który zdążył przyswoić sobie miejscowe słownictwo. - Umowa stoi.

195

194

Wszyscy trzej wstali jednocześnie. Krumelur wyszedł. Swamp spytał:

- Gdzie będziemy się uczyć?

- W sali gimnastycznej.

- Chodźmy. Zaraz zobaczymy, co tak naprawdę umieją słynni Pyrrusanie...

Jason nie wspominał, że zna technikę spowolniania czasu, bo chciał poznać tutaj szą metodykę nauczania od podstaw. Strona medytacyjna systemu starożytnej ziemskiej sztuki walki łączyła się z nowoczesną hipnoteką i... no jasne! - z chemią. Gdyby zaproponowali mu słynny psiocylin, Jason byłby bardzo rozczarowany. Ale ze strategicznych zasobów Faderów Swamp wyciągnął przechowywane w specjalnym płynie nieprzyjemnie wyglądające włochate kulki o jeszcze mniej przyjemnej nazwie. Jason postanowił przechować w pamięci chemiczny wzór tego świństwa, by potem

mądrzejszych od siebie spytać o skład. Ale nawet bez konsultacji było jasne: bez Kecerów się tu nie obeszło. Jason postanowił zaprosić na naukę Metę. Pozostałych Pyrrusan miał zamiar uczyć już sam, jako świeżo upieczony instruktor.

Swamp szczerze się zachwycił zdolnościami Jasona i musiał przyznać, że ma on wszelkie dane, by zostać nauczycielem. Gorzej było z Metą. Ona też miała predyspozycje, ale włochatą kulkę zgodziła się połączyć dopiero wtedy, gdy nie tylko Jason, zatruty miejscowym nar-kotykiem, ale i Swamp własnym przykładem potwierdził nieszkodliwość skomplikowanego preparatu.

Nauka szła nieźle, ale skończyli dopiero o świcie. Swamp poleciał do Tomhet, żeby się trochę przespać, a Meta i Jason, którzy już i tak wcześniej nastawili się na bezsenność, szykowali się do nowego pracowitego - a może nawet bojowego - dnia. Studiowanie obcego gwiazdolotu to pasjonujące zadanie. Ale musieli jeszcze pomyśleć, jak pomóc Midi. - Dlaczego nie połączysz się z Zunbarem? - spytała Meta. - Dlatego, że wszelkie połączenia są natychmiast przechwytywane przez Faderów.

- I co z tego? Przecież wiedzą, że szukamy telepaty, żeby nawiązać kontakt z potworami.

- Zgadza się. Ale nie mają pojęcia, gdzie i z czyją pomocą go szukamy. O Pyrrusie wiedzą od początku, ale po co mieliby się dowiadywać o istnieniu Zunbara? Co takiego zrobił nam Ronald Sane lub jego córka, żeby teraz naprowadzać na tę bogatą i szczęśliwą planetę opętanych bandytów?

- Masz rację - westchnęła Meta. - Z kim będziesz się kontaktował na Pyrrusie?

- Pewnie z Naksą. To już tradycja. Za każdym razem, gdy wydarzy się nieszczęście, łączę się z nim z najdalszych stron. Poza tym Naxa to świetny mówca, a to prawie to samo, co telepata. Najlepiej zrozumie moje subtelne aluzje. Naxa odzyska Doiły bez potrzeby podawania adresów przez otwarte kanały.

Jednak Jason nie zdążył połączyć się z Planetą Śmierci. Uprzedził go Naxa, zupełnie jakby usłyszał myśli Jasona przez kosmiczne otchłanie. A może... może na Pyrrusie coś się stało, może był jakiś bardzo poważny powód... Akurat teraz!

- Co się stało? - zapytał przestraszony Jason. Już sam fakt, że Naxa wzywał nie Rhesa czy Kerka, tylko jego, Jasona, budził niepokój.

- Nic strasznego - uspokoił go mówca. - U nas sytuacja bez większych zmian. Tylko Doiły Sane prosiła, żeby ci przekazać, że znalazła tę osobę, której rozmawiała z Midi. Pozostała wyłącznie kwestia transportu.

4

Naxa miał córkę o imieniu Wiena. Pyrrusanie z dżungli traktowali swoje potomstwo inaczej niż ci z miasta, gdzie, zgodnie z tradycją, wszystkie dzieci uważano za wspólne. Synowie i córki „miastowych” albo szybko zapominali, albo w ogóle nie wiedzieli, kim są ich rodzice. Wychowywali się w specjalnych szkołach, w wieku ośmiu lat osiągnęli pełnoletność i szli na wojnę, nie kończąc się wojnę z przyrodą Planety Śmierci. W dżungli, przy spokojnym farmerskim trybie życia, wszystko układało się inaczej. Dzieci były przy rodzicach i pomagały im, jak mogły. Gdy Naksie urodziła się córka, nie był to długo oczekiwany dar losu, lecz nieszczęście. A że co innego dzielić się radością z innymi 197 ludźmi, a co innego obciążać ich swoim bólem, niewiele osób wiedziało o tych narodzinach. Mimo upływu lat Naxa nadal niechętnie opowiadał o swojej rodzinie nowym znajomym. A starych przyjaciół

było coraz mniej: Rhes, Kornik, Chanas i j jeszcze dwóch, któ-rzy zginęli w tym strasznym roku, gdy na Pyrrusie prawie nie zosta-ło ludzi.

Matka Wiena umarła w czasie porodu, co często się zdarzało w rodzinach tak zwanych karczowników, czyli mieszkańców lasów, pozbawionych podstawowych lekarstw i cywilizowanej opieki me-dycznej. Wiena była śliczną, niezwykle sympatyczną i ruchliwą; dziewczynką, ale niestety niewidomą i głuchoniemą. Niektórzy su-gerowali, żeby noworodka od razu utopić, oszczędzając mu cier-r pień. Życie w dżungli jest ciężkie i podobna decyzja była dla Pyrru-san normalną sprawą. Każdy człowiek powinien pracować, a nie być pasożytem - tak uważano od zawsze. Jednak Naxa nie pozwolił zabić dziecka, a wtedy miał już poważny autorytet. Rhes poparł mło-dego wówczas mówcę i dziewczynka przeżyła. W ciągu najbliższych dwóch lat okazało się, że pomimo całko-witego braku kontaktu z otoczeniem, Wiena rozwija się normalnie, a nawet szybciej niż jej rówieśnicy. Jakimś nieprawdopodobnym sposobem przyswajała w lot każdą informację, znacznie lepiej niż inne dzieci. Słyszała nie słysząc, widziała nie patrząc. W wieku trzech lat umiała pisać. Najpierw litery, potem całe słowa. Zwierzęta ko-chały ją jak własne dziecko. Słuchały się jej absolutnie wszystkie zwierzęta, i to bardziej niż Naksy - ptaki, gady i ryby, nie wyłącza-jąc najbardziej tępych i złośliwych. Na pewnym etapie Wiena na-uczyła się nawet kontaktować z owadami. Pszczoły w pasiece Na-kisy dawały trzy razy więcej miodu niż gdzie indziej, ale nie to było najdziwniejsze. Na prośbę Wiena termity budowały piękne, bajko-we zamki z wieżami, szpicami, bramami i okienkami strzelniczymi, pająki plotły cudne koronki na jej mankietach, a zwykłe niebieskie muchy siadały na szkle jedna za drugą, tworząc litery i słowa. To był nowy sposób Wiena na kontaktowanie się z ojcem. Mijały lata. Życie płynęło spokojnie, aż do dnia, gdy późnym wieczorem na Wienę napadł wściekły pancerny wilk. Stało się to na skraju lasu, nieopodal ojcowskiej farmy. Dla Wiena był to ogromny wstrząs. Nie przypuszczała, że jakiegokolwiek zwierzę może jej wyrzą-dzić krzywdę. Ponieważjednak nauczono jąwszystkiego, co niezbędne, zdołała ochłonać i sięgnąć po rohatynę. Zabiła wilka, ale wściekły zwierz zdołał ją pokąsać. To było nie tylko przerażające, ale i bardzj bolesne. Dziewczyna straciła dużo krwi i dość dhigo -jeśli Naxa do* brze pamiętał, pół roku - dochodziła do siebie. Przez te miesiące nii kontaktowała się z nikim - ani z ukochanym psem, ani z rodzonyni ojcem.

Potem nagle okazało się, że Wiena słyszy, a nawet próbuje mó-wić. Opowiadała później, że w momencie największego strachu usły-szała krzyki nocnych ptaków i straszny ryk krwiożerczego drapież-nika. To dodało jej sił i pomogło zwyciężyć. Ale sam fakt zabójstwa zwierzęcia tak nią wstrząsnął, że nie miała ochoty dzielić się z ludź-mi swoją nadzwyczajną radością. Bo czy to w ogóle była radość? Z początku tylko dodatkowy szok.

Naxa już wcześniej domyślał się, że Wiena potrafi czytać myśli ludzi i dzięki temu tak szybko się uczy. Teraz przyznała się do tego ojcu. - Skoro już mówię i słyszę, nie muszę czytać myśli innych.

- A zwierząt? - spytał Naxa.

- Zwierzęta to co innego. One nie umieją rozmawiać, to jedy-ny sposób kontaktu z nimi.

Wiena miała wtedy dziewięć lat. Nadal nie widziała, ale pomaga-ła ojcu lepiej, niż gdyby miała sokoli wzrok. On jednak ciągle ukry-wał ją prawie przed wszystkimi. Pyrrusanie byli zbyt nietolerancyjni. Naxa bał się o swoją córkę. Nie chciał, żeby wiedziała o istnieniu „blaszaków”, czyli miastowych. Uważał, że nie jest jej to

potrzebne. Potem na planecie pojawił się Jason i doszło do strasznej konfrontacji pomiędzy „blaszakami” i „karczownikami”, która zakończyła się w sposób niezrozumiały. Jakby nie było już ani jednych, ani drugich, tak jak kiedyś. Niby wszyscy się pogodzili, zaprzyjaźnili, ale dziwny, narzucony przez Jasona świat okazał się nieprawdziwy, wymuszony, a wspólny język, który jakoby odnaleźli ludzie i stworzenia Pyrrusa, stał się szybko iluzją. Po kilku latach doszło do nieuniknionej wojny na ogromną skalę, która zniszczyła jedyne miasto na planecie. Wtedy zginęli również prawie wszyscy mieszkańcy lasów. Naxa i jego córka cudem ocalili i wraz z niewieloma pozostałymi wycofali się w najbardziej niedostępne zakątki dżungli, gdzie nie dotarły fale wszechplanetamej nienawiści.

Naxa w głębi duszy miał nadzieję, że po tak ogromnym szoku dziewczynka odzyska także wzrok. Ale cud się nie wydarzył. Wiena

198

199

stała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie, i coraz rzadziej bawiła się ze swoimi zwierzętami. Może po prostu zaczęła dorastać. Naxa domyślił się w końcu, że dziewczyna potrzebuje męża. No, może nie od razu męża, ale chłopca, przyjaciela. Mieszkające w dżungli Pyrrusanki zgodnie z zapożyczonymi z miasta zwyczajami znajdowały sobie partnera bardzo wcześnie, w wieku dwunastu, trzynastu lat. Wiena wkrótce miała skończyć osiemnaście. Kto by ją zechciał? - wzdychał w myślach Naxa. Ślepa, zamknięta w sobie, nieprzewidywalna i niepokorna! Czasem przychodziło mu do głowy, że powinien poradzić się Jasona albo Mety, jak postępować ze swoją niezwykłą córką. Ale nie mógł się przełamać, wstydził się. A poza tym ten narwaniec Jason i jego Meta nieczęsto gościli na Pyrrusie. Latali to do jednego systemu gwiazdowego, to do drugiego; całą Galaktykę już oblecieli w poszukiwaniu przygód. A z nikim innym Naxa nie chciał rozmawiać. Czekał, aż coś się wydarzy. Wiena przyznała się kiedyś ojcu, że jeśli wyjdzie za mąż, to tylko za przybysza z innej planety. Na pierwszy rzut oka zdawało się to pozbawione sensu. Jeżeli Pyrrusanin mógłby znieść obok siebie dziką dziewczynę, wyrosłą wśród drapieżnych zwierząt, jadowitych owadów, w warunkach podwójnego ciężenia i surowej zmiennej pogody, to jakiś poważny młody człowiek z cywilizowanego świata... Szkoda gadać! Ale z drugiej strony, Naxa przywykł wierzyć swojej córce. Wiedział, że jeśli Wiena coś mówi, tym bardziej głośno, to nie po próżnicy. Ostatnio w ogóle rzadko się odzywała, a za każdym razem brzmiało to jak proroctwo. Naxa nie zawsze rozumiał sens jej słów, ale czuł nieomylnie, że to bardzo ważne. Dlatego teraz całkiem serio czekał na przybycie, jak to się niegdyś mówiło, księcia z innej planety.

I doczekał się, ale czegoś zupełnie innego.

Swawolna Doiły z dalekiego Zunbara nawiązała telepatyczny kontakt z jego Wienną i nieoczekiwanie oświadczyła, że silniejszego telepaty nie znała nigdy i nigdzie w całym Wszechświecie. Wiena, która przez osiemnaście lat nie opuszczała nie tylko planety, ale i własnej farmy w dżungli, miała teraz lecieć do centrum Galaktyki, na dziwną planetę Monaloi, gdzie z nieznanym wrogiem walczą najlepší przedstawiciele Planety Śmierci. Naxa nie wierzył własnym uszom. Czuł i radość, i strach. Nie chciał nigdzie wysłać swojej dziewczynki, ale po jakimś czasie pogodził się z tą niewiarygodną sytuacją. W nocy, gdy był pewien, że nikt go nie widzi, by nie był pyrrusańskim mówcą, tylko rozhisteryzowaną z innej planety. Gdyby któryś z jego przyjaciół się o rym dowiedział, Wyśmialiby go albo zaprowadzili do lekarza. Rano w Naksie dojrzała ostateczna decyzja. Połączył się 3 nalo. Ale nie wzywał Rhesa, Kerka czy całej załogi „Argo”, połączył się osobistym kodem z Jasonem. Może to była

poufru domość dla wtajemniczonych telepatów? Przecież Jason te mówcą. Może nie tak silnym jak Naxa czy Komik, ale jednak, pamiętał, że kiedy Jason pojawił się na Pyrrusie po raz pierwszy pies sam do niego podszedł. A jak sobie żądłopić ręce posadził!...

To były czasy! - westchnął w myśli. Dlaczego przeszłość ci wydaje się nam lepsza od teraźniejszości? Przecież tak naprawdę właśnie teraz nadchodzi złoty wiek Pyrrusa! Ja się starzeję, nie A czy uda mi się zobaczyć normalny świat na ojczystej planecie Wiena ma wszystko przed sobą. Ona musi być szczęśliwa, mus Naxa włączył zasilanie wielkiego nadajnika i wystukał n wiaturze doskonale znany kod.

- Jason! Słyszysz mnie? Tu Naxa!

- Coś się stało? - odezwał się przestraszony głos Jasona 5 Problem transportu rozwiązywali dość szybko. Meta od razu z ponowała, że udostępni Wienie swój superbot „Niewidkę” szybszy i najbardziej zwrotny ze wszystkich dostępnych sta Teraz, gdy telepatyczna moc młodej Pyrrusanki potrzebna by tyle do walki z potworami, co do ratowania ludzkiego życia, < była każda minuta. Wszyscy doskonale to rozumieli i przyjął pozycję Mety. Ale nie mogli się zgodzić, żeby osobiście prows statek. Najbardziej zdecydowanie sprzeciwił się Jason. Nie n towarzyszyć żonie, kategorycznie sprzeciwiał się kolejnej ro: długiej i związanej z ryzykownym przelotem.

200

- Przecież nikt nie polecą tak szybko jak ja! - zdenerwowała się Meta.

- Masz manię wielkości! - krzyczał Jason. - Już od dawna Liza równie dobrze radzi sobie z pilotażem.

- No wiesz! - oburzyła się Meta i już wymachiwała pistoletem.

-Jeszcze słowo i polecą bez niczyjej zgody, jak wtedy przez przełęcz! - Uspokój się - włączył się Kerk. - Weź pod uwagę, że tym razem nie pójdzie ci tak łatwo. Osobiście będę cię pilnował. Stan wysunął poważniejszy argument.

- Gdzie cię niesie, przyjaciółko? Nie rozumiesz, że bardziej potrzebujemy cię tutaj? Nie tylko Jason, ale i my wszyscy. Klótnia była już prawie zażegnana, kiedy odezwał się Archie, dolewając oliwy do ognia:

- Czy ktoś sprawdził, że Jason nie może opuszczać planety? Może to zwykły blef miejscowych cwaniaków? Nie chcecie skorzy-stać z okazji i przeprowadzić eksperymentu? Zaciekły spór trwał piętnaście minut i zakończył się posępnym oświadczeniem Jasona:

- Nie czas na eksperymenty. Poza tym wierzę Furuhu. A on mówił, że pozbawieni czumrytu narkomani umierają praktycznie natychmiast. A ja mam ochotę jeszcze pożyć. Pyrrusanie pojęli, że o losie Midi zadecyduje nie czas, ale cały łańcuch złożonych i nieprzewidywalnych okoliczności. Na Planetę Śmierci poleciała Liza z dwoma młodymi pyrrusański-mi wojownikami. Według obliczeń, powinni wrócić po trzech dniach. Po upływie czterech nadal ich nie było. Żadnego kontaktu. Po-łączono się z Naksą, który oznajmił, że start z kosmoportu Welfa odbył się zgodnie z planem. Napięcie i niepokój rosły, gdy z Jaso-nem połączył się Krumelur.

Jason siedział właśnie z Metą w sterowni „Oradda”, jeśli oczy-wiście dobrze odgadli przeznaczenie tego dziwnego pomieszczenia. Ketczerski gwiazdolot udostępniono Pyrrusanom następnego dnia rano - spuszczone go na linach z ładowni gigantycznego trans-portowca. Grupa pyrrusańskich specjalistów natychmiast

rozpoczęła okupację tego zdumiewającego statku. Zajmowali się nim cztery dni, robiąc przerwy wyłącznie na jedzenie i sen.

202

Powtórne zanurzenie w głąb Monaloi na razie odłożono, zapewniał, że jeśli uda im się uruchomić i wykorzystać „Ora dalej wszystko pójdzie jak z płatka i będą żałować, że marnie czas na przebijanie muru głową. Pyrrusanie zaufali mu i wsiadli zajęli się rozgryzaniem tego cudu techniki. Równolegle jednak czołowano plan rezerwowego - desantu w wysokotemperaturowy potwórów dzielnej załogi pyrrusańskich robotów imitacyjnych zwane imity z dużą dokładnością odtwarzały reakcje swoich pilotów i przekazywały szczegółowe informacje o badanym obiekcie. O takcie za ich pośrednictwem rzecz jasna nie mogło być mowy o schwytaniu jeńców albo zebraniu próbek wydobywanej siarki (to w ogóle siarka) było możliwe. Może nawet udałoby się wziąć niewoli kilka czarnych kul... Teraz nazywano je po szwedzki tym słowem - swartkula.

Płynęły dni wypełnione oczekiwaniem. Nie można było wiedzieć, co stanie się najpierw - czy wybuchnie wulkan, czy po ciebie Liza z Wianą, czy zadziała ten przeklęty ketczerski „Orad” To ostatnie stawało się coraz mniej realne. System tajemniczego gwiazdłotu nie kojarzył się z niczym ani Mecie, ani Stanów Jasonowi. Nawet jego kształt, przypominający wapienną mi oceanicznego mięczaka, wydawał się w najwyższym stopniu niebezpieczny. Nie wiadomo było nawet, gdzie tu jest sterownia, czy ją, a gdzie sprzęt nawigacyjny. Ale Pyrrusanie nie poddawali i właśnie gdy zabłysła nieśmiała iskierka nadziei na przeniknięcie do najważniejszej części obcego statku, Meta, zdenerwowana przez łuzający się brakiem wiadomości od Lizy, oświadczyła, że nie zamierza dłużej zajmować się głupią muszlą. - Lepiej poleć pomóc naszym dziewczętom! Jason wołał nie ryzykować pytania, dokąd ona właściwie lecieć - groziło to ciosem rękojeści pistoletu w głowę. Meta, w;

„j... chując bronią, krzyczała:

f - Mówiłam, że sama powinnam lecieć?! Mówiłam, czy nie

l Jason już miał odpowiedzieć, że wtedy to ona by zaginęła

w niczym nie poprawiłoby sytuacji, ale nie zdążył. Zapiszczą gwałtownie i w słuchawkach rozległ się głos Krumelura, i zamiast powitania ryknął:

- Do diabła! »

- Potwory wyszły?

rusa.

- Jeszcze gorzej! Znalazłem waszą zaginioną „Niewidkę” z Pyr-- Dlaczego gorzej? - wychrypiął Jason, pełen najgorszych prze-czuć.

- Dlatego, że oni znowu ugrzęźli na Mahaucie!

- Gdzie? - nie uwierzył Jason.

Nawet nie przytrzymał się do wyjątkowo bezsensownie użytego słowa „znowu”. Zresztą to pytanie było wyłącznie objawem zdumienia. Natychmiast poruszył najważniejszą kwestię:

- Żyją?

- Żyją - uspokoił go Krumelur. - Na Mahaucie tak od razu nie zabijają. Poza tym złapał ich Richie Dżach Krwawy. Krumelur widocznie spodziewał się, że Jason słyszał o słynnym na całą Galaktykę Richiem Dżachu. Ale Jason nic o nim nie wiedział. - I co z tego? - zapytał tępo.

- A to, że nie będzie łatwo ich stamtąd wyciągnąć. - Ach tak?! - rozłościł się Jason. - A nie pomyślałeś, że jeśli powiem o tym Kerkowi, to z twojego partnera na Mahaucie zostanie chmurka rozgrzanego gazu?

- To nie jest mój partner - mruknął Krumelur - tylko konkurent. Nie gorączkuj się. Lećcie do Tomhetu. Pogadamy. Potraktuj to jak polecenie.

I nie czekając na odpowiedź, przerwał rozmowę. Nie trudno sobie wyobrazić stan Mety po tej wymianie uprzejmości. Nawet Jason wściekł się niczym prawdziwy Pyrrusanin. Nie myślał w tym momencie o własnym bezpieczeństwie. Chciał tylko jednego - uspokoić nerwy. Głośno oświadczył:

- Tym razem to już naprawdę muszę zapalić! Nie palił już prawie pół roku, ale paczkę papierosów starym zwyczajem nosił zawsze przy sobie.

Nie udało mu się. To samolubne oświadczenie było dla Mety kroplą, która przełała czarę.

W ostatnich latach Meta nauczyła się panować nad sobą i bardzo się zmieniła. Ale jeszcze nikt nigdy tak jej nie potraktował. Potwory, Ketczerzy, Faderzy, bezczelny Krumelur, nawet jej przyjaciele i uko-chany mężczyzna- wszyscy robili wszystko, żeby jąrazić i skrzywdzić! Oczy Pyrrusanki zapłonęły wściekłością, a ręka z pistoletem poderwała się do góry. Jason nie zdążył się zorientować, w którą właściwie stronę celowała Meta, bo.. .wystrzał nie nastąpił. Zamiast tego na pustej ścianie jak zorza polarna zapłonął kolorami szeroki ekran i rozległo się buczenie.

Gwiazdolot Ketczerów ożył. igotanie kolorowych plam na wielkim ekranie szybko ustało.

J. V -ISpokojne zielone tło przeciął biały napis w międzyjęzyku:

„Jestem dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden. Uaktywniliście główny energetyczny obwód statku”.

Gwiazdolot dał ludziom czas na przyswojenie tej informacji, po czym wystosował szybko następną, bardziej rozwiniętą wiadomość:

„Otrzymacie dostęp do wszystkich systemów statku, pod warunkiem, że nie zostały zablokowane specjalnym rozporządzeniem wyższej władzy”.

Właśnie tym statkiem polecimy na Mahautę! - oświadczyła zdecydowanie Meta, ignorując sens przeczytanych słów. -1 niech te bezczelne typy z Tomhetu spróbują nam przeszkodzić. Jason nie zdążył zareagować na to zarozumiałe oświadczenie. Ekran wypełniła pstra siatka. Każda klateczka oznaczała jeden system, a na górze płonął napis: WYBÓR SYSTEMU. Cóż, wyglądało to na całkiem zwyczajny komputer. Jason pomachał przed sobąnie-sioną prawą ręką, zręcznie chwycił kursor i po chwili zastanowienia wybrał system informacyjny.

„Wprowadź hasło” - padła natychmiastowa odpowiedź. - Na wysokie gwiazdy! -jęknął Jason. - Jeszcze jeden „Nie-zniszczalny”. Pamiętasz starą nazwę naszego „Argo”? Co za znajomy problem!

- Wtedy jednak go rozwiązaliśmy. - Meta była niewzruszona.

| - Mam rację?

- Oczywiście, trzy sekundy przed tym, jak ja i Kerk mieliśmy zginąć...

- Myślisz, że ten też może wybuchnąć?

204

205

Pistolet Mety instynktownie wskoczył w dłoń, jakby Pyrrusan-ka miała zamiar strzelać do agresywnego gwiazdolotu Ketczerów. - Nie - uspokoił ją Jason. - Nie wygląda na to. Zostawmy ten rebus naszemu przyjacielowi Archiemu, a sami spróbujmy uruchomić jakiś system.

- Proponuję przygotowanie do startu. - Meta przebiegła oczami górne kwadraciki siatki informacyjnej. Obudził się w niej instynkt zawodowca.

- Dobra - zgodził się Jason.

Tym razem odpowiedź komputera była znacznie ciekawsza:

„Statek może przystąpić do przygotowania do startu tylko wtedy, gdy zostanie odwołana specjalna instrukcja wyższej władzy numer 38/506 - 0008. Wprowadzić tekst instrukcji?” - Tak - odpowiedział natychmiast Jason.

„Wprowadzam tekst instrukcji”.

- Słuchaj, to już jest coś - ożywił się Jason. Meta sceptycznie wzruszyła ramionami. Miała rację, radość Jasona była przedwczesna. Komputer oznajmił:

„Tekst instrukcji numer 38/506 - 0008 został wprowadzony do pamięci operacyjnej. W celu przeczytania wprowadź nowe hasło”. - Jason westchnął.

- Zakłute koło. Tak pewnie będzie z każdym systemem. Nic nie zrobimy bez deszyfracji...

- Poczekaj - przerwała mu Meta. - Przecież on powiedział „nowe hasło”. Czyli możemy je wymyślić i wprowadzić. Pomysł był zbyt prosty i zbyt kuszący, by od razu w niego uwierzyć. Ale co innego mogło oznaczać to „nowy?” - Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden, słyszysz mnie? - zwrócił się Jason do komputera, sprawdzając istnienie zwrotnej łączności w systemie dźwiękowym. Poprzednia reakcja maszyny na jego króciutkie „tak” mogła być przypadkowa.

„Czekam na polecenia” - odpowiedział ekran.

- Jestem kapitan statku Jason dinAlt.

Zrobił krótką przerwę. Komputer odparł:

„Nie zrozumiałem. Jaki jest twój numer?”

Jason nigdy w życiu nie miał numeru, jeśli nie liczyć numeru konta w Banku Międzygwiazdowym i kodów identyfikacyjnych, wprowadzanych w jego liczne paszporty na planetach, na których tego 206 wymagano. Zresztą i tak ich nie pamiętał. Intuicja podpowiadała mu, że numer powinien być czterocyfrowy, taki jak u pokładowego komputera. Ale jaki? A zresztą, co za różnica?

Pierwsze, co przyszło mu do głowy to oznaczenie jego ulubionej biblioteki elektronicznej. Jason przedstawił się:

- Jestem zero dziewięć zero trzy. Oto tekst nowego hasła. „Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden gotów do przyjęcia nowego hasła” - odezwał się komputer.

- Karłowaty papuzi makadryl o imieniu Chłopczyk.

Dlaczego akurat takie długie? Jason nie potrafiłby tego wyjaśnić. Znowu intuicja podpowiedziała mu, że każde pojedyncze słowo mogło się okazać zbyt mało nowe. Wolał nie myśleć, co by się wtedy stało. „Hasło zostało przyjęte” - oznajmił komputer. Ekran nieoczekiwanie zgasł.

- Ale numer! - wykrzyknął Jason. - Ktoś nas chyba nabiera. - Poczekaj - sprzeciwiła się Meta - on ma jakąś własną logikę. Czuję, że statek dalej nas słucha.

Krzyknęła:

- Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden!

„Wprowadź hasło” - zapłonęło na ekranie.

- Karłowaty papuzi makadryl o imieniu Chłopczyk. Meta zdążyła wypowiedzieć ostatnią sylabę, gdy ekran zaala czerwone światło, na którym w chwilę później pojawił się ogień napis:

„Instrukcja wyższej władzy Ketczerów 38/506 - 0008”.

I niżej, mniejszą czcionką:

„Włączenie systemu głośno mówiącego. Tak/Nie”. Jason wybrał „tak”. Chciał posłuchać głosu prawdziwego Ket-czera, niechby nawet z taśmy.

Głos był całkiem zwyczajny, nieco niższy niż u normalnego człowieka, spokojny, nawet profesjonalny, niczym głos spikera na zebraniu międzygwiazdowym. Mówił w klasycznym międzyjęzyku, bez najmniejszego akcentu. A treść instrukcji... Słuchali przez dziesięć minut, z każdą chwilą coraz bardziej zdumieni. To nie była instrukcja, tylko szczegółowa, barwna opowieść o jednej z ostatnich walk Czwartej Wojny Galaktycznej. Ket-czerzy brali w niej udział po stronie powstańców, którzy, jak wiadomo z historii, zwyciężyli... Jednak ten konkretny statek, którego imię 207 brzmiało „Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden” został pokonany w starciu z niezwykle technologią, użytą przez Imperium pod sam koniec operacji wojskowych.

Rezerwowy statek wroga pojawił się właściwie znikąd. Ominął skok? Ze względu na swoje miniaturowe gabaryty, nie wydał się Ketczerom poważnym przeciwnikiem. Jaką potęgę mogła zawierać taka łupinka?! „Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden” stracił czujność. Komputer przegapił mentalny atak wojowników Imperium na subjądrowym poziomie. Mniej więcej w sekundę później gwiazdo-lot Ketczerów przestał być groźny. Ale nie dlatego, że zagadkowy wrogi obiekt próbował podporządkować statek swojej woli. Na taką okoliczność w „Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden” było przygotowanych kilka automatycznych obwodów, zaprogramowanych na natychmiastową autodestrukcję, która mogła spalić wszystkie ciała niebieskie w promieniu dziesięciu parseków, albo zwinąć przestrzeń w tym samym zakresie.

Wróg przewidział i to - nie miał zamiaru przeprogramowywać ani niszczyć mózgu statku. Główny komputer gwiazdolotu działał bez zakłóceń, ale jego elektroniczny umysł nie pracował już tak samo. Coś podobnego stało się z załogą. Ci z Imperium nie musieli kłócić ludzi fizycznie. Ketczerzy po prostu nie byli już tacy sami. Z rasy wojowników przemieniono ich w rasę nieszkodliwie stukniętych osobników, o dziwnych pragnieniach i jeszcze dziwniejszych możliwościach. Gwiazdolotowi „Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden” została wydana instrukcja - jej sens mógł ocenić wyłącznie szaleniec:

Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden, od tej pory może tobą dowodzić tylko człowiek wyjątkowo nieszczęśliwy, którego stale prześladował pech. Zasada włączenia głównego energetycznego obwodu pozostaje bez zmian. Życzymy ci szczęścia i powodzenia w międzygwiazdowych lotach! Życzymy wielu nowych, interesujących spotkań!! Tak skończyło się przesłanie, bardziej przypominające kpinię niż prawdziwe wytyczne. Podpis też był interesujący. Cóż, zwycięż! | ca nie musi ukrywać swojego imienia przed zwyciężonym: Załogą: gwiazdolotu „Oven”

imperatorskiej floty Ziemi. t Koniec. Chociaż nie, nie koniec: po zasadniczym tekście instruk* 'f. cji nastąpił komentarz wygłoszony przez przyjemny kobiecy głos | Odwołanie instrukcji możliwe jest wyłącznie przy użyciu specjalnego' : i;'. deszyfrującego systemu ziemskiego gwiazdolotu typu „Oven”. Ale zawsze możecie spróbować znaleźć inny sposób. Do dzieła! Ostatnie zdanie przebiegło po ekranie w esperanto. Póki żył ję-zyk Imperium, żyła też starożytna wiara w jego niezwykłość, której symbolem był „Oven”. Jason nagle pojął, skąd zna ten kobiecy głos. Słyszał go tylko raz, ale nie mógłby pomylić z żadnym in-nym. To była królowa Orhomena Nivella, ta sama, która w czasie dawnego spotkania na „Arg” twierdziła, że jest matką Jasona. Ekran zgasł. Meta i Jason ocknęli się. Przypomnieli sobie, gdzie są i po co. Słuchanie opowieści o Czwartej Galaktycznej Wojnie, a nawet wrażenie, że jest się jej bohaterem miało swój urok i roman-tyzm, ale teraz trzeba było zająć się problemami dnia dzisiejszego. Midi nadal jest w stanie śpiączki, Wiena i Liza w niewoli, potworów nie udało się pokonać ani nawet zrozumieć, interes baronów narko-tykowych kwitnie, a on sam, Jason dinAlt, jest przykuty straszonym narkotykiem do tej toksycznej, zwariowanej planety. A oni tu sobie grają w gry komputerowe jak małe dzieci!

„Oradd” nie pokona potworów i nie pomoże Pyrrusanom. To wspaniały statek i warto się nim zająć, ale nie teraz, nie teraz... Jason odwrócił się gwałtownie i o mało nie wpadł na Archiego t i Kerka. Okazało się, że od dawna są sterowni ketczerskiego gwiaz-„, dolotu.

- Jason -odezwał sięKerk.—Rzuć to wszystko. Zajmą się tym H Archie i Stan, poradzą sobie. My musimy jak najszybciej lecieć do ITomhet.

- Krumelur chce nam pomóc uratować Wienę? - Nie do końca - odpowiedział zagadkowo Kerk. - Ale musi-ny lecieć.

Po drodze wyjaśniło się tyle, że Krumelur nie może im nic wię-:ej wyjaśnić. W rozmowie z Kerkiem cały czas jękał się, wzdychał (i chrząkał. Oczy miał rozbiegane, drżące ręce bez potrzeby latały nad pulpitem sterowniczym. Bali się, że za chwilę naciśnie niewła-ściwy klawisz. Wyglądało na to, że Krumelurowi w każdej chwili grozi załamanie nerwowe. Kerk zrozumiał to, na swój sposób mu I Współczuł i nie upierał się.

- Gdzie i kiedy dowiemy się wszystkiego? - dopytywał się Jason.

- Wkrótce - oznajmił Kerk. - Ale nie tutaj. Na Radomie.

- Gdzie?!

-208

14 ~ Planeta śmierci 6

209

- Na planecie Radom.

Jason nagle poczuł się źle. Bardzo źle. Jakby kilku potężnych telepatów przebiło jego mentalną ochronę i zaczęło atakować jego umysł negatywnymi emocjami. Kuter dolatywał do stolicy pomoc-nego kontynentu.

- Meta, zwariowałaś?! - krzyknął Kerk. - Jak mogłaś wybrać taką trajektorię podejścia do lądowania! Przecież Jason nie powi-nien oddalać się od planety bardziej niż na sto kilometrów. Kuter ostro poszedł w dół. Ból, mdłości i głęboka depresja Ja-sona szybko ustępowały, pozostawiając po sobie jedynie nieprzy-jemny ślad w pamięci.

No to sprawdziliśmy! - pomyślał Jason z trudem dochodząc do siebie. Nie kłamali. Rzeczywiście nie mogą się stąd ruszyć. Jason był wstrząśnięty zmianą, jaka zaszła w Kerku. Okrutny, zapalczywy Kerk nagle stał się pokorny i ustępliwy. Co prawda Ja-

son widywał go przeważnie w walce lub zaciekłych sporach z innymi Pyrrusanami, a pyrrusański wódz bardzo dobrze znał się na sztuce dyplomacji. To przecież on nadzorował wszystkie zewnętrzne kontakty Pyrrusa. Siwowłosy olbrzym umiał nie tylko walczyć; w ciągu swojego życia uregulował wiele poważnych konfliktów w Galaktyce. Potrafił w razie potrzeby zachować spokój i opanowanie. Co prawda opanowanie Kerka przypominało opanowanie ściśniętej do granic wytrzymałości sprężyny. I jeśli na Mahaucie lub Radomie ta sprężyna w końcu się wyprostuje... W Tomhecie nawet nie dotarli do bunkra. Krótką rozmowę odbyli już w porcie.

- Dlaczego właśnie Radom? - spytał Jason Krumelura. - Dlatego, że Richie na prawach dojrzałego owocu wyznaczył spotkanie właśnie tam. A pielenie poprowadzi osobiście Gronszyk, autorytet pierwszej rangi.

Cały ten żargon przypominał Jasonowi bandyckie życie na Cas-sylii. Powiało romantyką tamtych czasów. Teraz w pośpiechu spróbowował wyszukać odpowiednie do tonu rozmowy zwroty. - Niech tylko twój dojrzały Richie nie próbuje przycinać nam pędów. Z Pyrrusanami takie numery nie przechodzą. Ja ze zrozumiałych względów zostaję tutaj. Naszych ludzi reprezentować będą Kerk i Meta. - Kobieta nie może brać udziału w pieleniu - odpowiedział twardo Krumelur.

210

- Pyrrusańska może. - W głosie Jasona zadźwięczała stal.

Krumelur poddał się.

- Dobra, spróbuję im wyjaśnić. Ale będzie was to drogo kosztować.

- Przedstawisz rachunek - rzucił niedbale Jason. Nie chciał ustalać teraz konkretnych sum, poza tym wcale nie był pewien, czy mowa o pieniądzach. Zwycięstwo było niewielkie, ale miało zasadnicze znaczenie, a przy tym Jason był pewien, że ma rację. Musiał rozstać się z Metą, ale czuł, że ona bardziej się przyda podczas tej twardej męskiej rozmowy. A on w tym czasie pomoże Archiemu i Stanowi rozwiązać tajemnicę „Oradda”, która tak nieoczekiwanie splotła się z zagadką „Ovena”. Superszybki, ale dość ciężki wojskowy kuter, nie wiadomo dla czego nazywany „karka”, wystartował pięć minut później i wziął kurs na Radom. Po Jasona przyleciał Stan. I tak musiał się tu zjawić - Paolo Fermo, tutejszy naczelny technik, obiecał zapoznać pyrrusańskiego specjalistę z pewną unikatową faderską bronią. Jason z ciekawości poszedł z nimi do arsenału.

7 f[~] zworo Pyrrusan na nowoczesnym i doskonale wyposażonym stat-V-ku wojskowym nie poddałoby się bez walki, nie mówiąc już o tym, że na pewno zdołałoby się wycofać i poprosić o wsparcie. Sęk w tym, że użyto wobec nich niezwyklej technologii. Najpierw stateczek „Niewidkę” o imieniu „Jaskółka” wyszarpanął z podprzestrzeni rozpaczliwy sygnał alarmowy, przesyłany na wszystkich częstotliwościach. Pośpiech pośpiechem, ale nie udzielić pomocy w kosmosie to hańba dla każdego pilota. Pyrrusańską załogą wstrząsnął i zdeorientował wygląd uszkodzonego statku. Przez czerń międzygwiazdnej pustki płynął prawdziwy bojowy słoń. Dosłownie. Dryfował w przestrzeni, wyciągając długą trąbę i rozkładając wielkie jak skrzydła uszy. Lekko ugięte łapy wisały bezwolnie, jakby to naprawdę było zranione zwierzę. „Jaskółka” umie 211 zdecydowała się na połączenie, jednocześnie pytając załogę statku o szczegóły wypadku. „Słoń” stał już tylko niezrozumiałe sygnały, co mogło świadczyć o pogorszeniu się sytuacji na pokładzie.

Do połączenia nie doszło - z „trąby” na spotkanie „Jaskółce” wyfrunął migotliwy obłoczek. Gazu? Pyłu? Skoncentrowane pole siłowe? To ostatnie było najbliższe prawdy - Pyrrusanie dowiedzieli się o tym dopiero, gdy błyszcząca chmurka otuliła stateczek, unieszkodli-

wiając go i unieruchamiając. Liza pomyślała, że prawdopodobnie jest to najnowsze pole blokujące, udoskonalony wariant powszechnie znanego „paraliżującego promiennika”. Postanowiła więc nie sprawdzać, czy systemy statku działają. Nieostrożny wystrzał czy przypadkowy rezonans niekompatybilnych pól mógł zakończyć się anihilacją. Rozsądniej podjąć dialog. Tym bardziej, że z takiej odległości Wiena doskonale „słyszała” myśli wroga. Właściwie powinna była wcześniej wyczuć niebezpieczeństwo, ale to w końcu jej pierwszy raz w kosmosie się... Manewrowe przeciążenia i hiperprzestrzenny skok były dla niej i; zrozumiałym szokiem i jeszcze nie całkiem ochłonęła. I tak szybko się zaadaptowała - głównie dzięki temu, że była niewidoma. W końcu nic takiego się nie działo, tamci wrogowie wydawali się jej nawet | mniej groźni od zwierząt w dżungli. *

- Czego od nas chcecie? - spytała Liza, rozpoczynając per»j traktacje. [

Zwycięska załoga „słonia” ochoczo podjęła rozmowę. • ?

- Mamy rozkaz połączyć się z waszym stateczkiem i dostarczyć go na naszą planetę. Nie jesteśmy upoważnieni do jakichkol-‘ wiek wyjaśnień.

- Mówi niemal prawdę - skomentowała Wiena. - Schwytali nas wykonawcy. Ich „panowie” czekają w innym miejscu. Ale ten czło-wiek nie mówi wszystkiego. Interesuje ich przede wszystkim nasz sta-tek. Nie wiedzą, kim jesteśmy, i nie obchodzi ich to. Liza, odmów spełnienia ich żądań, wtedy może dowiem się o nich czegoś jeszcze. - Nie zgadzamy się! - oświadczyła Liza. - Słyszycie? Nie zgadzamy się lecieć nie wiadomo dokąd z nie wiadomo kim. Powiedzcie, kim jesteście.

- Już powiedziałem - odpowiedź nastąpiła po krótkiej pauzie.

- Nie jesteśmy upoważnieni do mówienia czegokolwiek.

- A my nie jesteśmy upoważnieni do poddawania się byle komu.

Spróbujemy przebić wasz ekran ochronny.

- Nie macie wyboru - ciągnął ze znużeniem wrogi głos. - Pró-by przebicia ekranu są zagrożeniem przede wszystkim dla was, człon-ków załogi. Wasz statek nie ulegnie uszkodzeniu. Tak zaprogramo-wano nasz system blokujący.

- Ostatnie twierdzenie to bief- wyjaśniła Wiena. - Ale nie-bezpieczeństwo wybuchu istnieje. Dla obu statków. - Jasne - skinęła głowa Liza.

Natychmiast powtórzyła pytanie:

- Więc z jakiej jesteście planety?

- Co za upierdliwa baba! - rozżłościł się człowiek ze „słonia”.

- Przejdźmy raczej do działania!

Ale cel został osiągnięty. Drugi członek „słoniowej” załogi w my-śli odpowiedział na uparcie powtarzane pytanie. - Są z Mahauty - przetłumaczyła Wiena. - Coś ci to mówi, Liza? - Tak. Kiedyś Jason opowiadał mi o tej planecie. Wysoki poziom uprzemysłowienia. Członek Ligi Planet. Myślę, że warto na niej wylądować. Na pewno znajdziemy tam kogoś prócz bandytów. - Jeśli dotrzemy tam żywi - pozwolił sobie wtrącić jeden z Pyr-rusan.

Do tej pory obaj milczeli; decyzję powinien podjąć dowódca. - Dotrzemy - odpowiedziała mu Wiena. - Ten drugi bandyta uważa nas za cenny towar. Ich interesuje tylko statek, który im obie-cano w nagrodę za udane porwanie, ale komuś innemu jesteśmy potrzebni właśnie my. Na razie chcą tylko zmienić kurs naszego statku, o innych celach zapewne dowiemy się później. Mimo to uważam, że wylądowanie na planecie to nasza jedyna szansa. - Przyjaciele, wpadliśmy w

pułapkę, podsumowała Liza - ale trzeba umieć z każdego położenia wychodzić z twarzą. Zgodzimy się na ich warunki, ale pozostaniemy w gotowości bojowej. Mogą spróbować nas unieszkodliwić. Jeśli nie, od razu po wylądowaniu przechodzimy do ataku.

Wszyscy w milczeniu skinęli głowami.

- Hej tam, na „słoniu!” Nasze systemy obronne są wyłączone.

Przyjmujemy wasze warunki.

Połączenie przebiegło normalnie. Nikt nawet nie próbował przeniknąć do śluzy. Przynajmniej na razie. „Słoń” szczęśliwie wszedł w hiperprzestrzeń i wyskoczył nieopodal planety Mahauta. Potem uprzemie uprzedzono ich o przeciążeniach i dziwny tandem - ogromny „słoń”

212

213

z malutką „Jaskółką” na grzbiecie wylądował na powierzchni planety.

Liza musiała przyznać, że pilot manewrował po mistrzowsku. Ekran ochronny nie pozwalał pyrrusańskim przyrządom nic zobaczyć. Ale było jasne, że wylądowali na planecie ziemskiego typu, o grawitacji nieco powyżej jednego g, z atmosferą tlenową. Sądząc po odgłosach nastąpiło rozłączenie, śluza wypełniała się powietrzem. Załodze „Jaskółki” zaproponowano otwarcie luku zewnętrznego. Pyrrusanie otworzyli z trzaskiem klapę i wystrzelili jednocześnie z trzech luf, gotowi w każdej chwili skoczyć na wrogów. Wiena nie strzelała, wiedziała, że nie ma tu żywych celów. Wróg znowu ich przechytrzył - Pyrrusanie zobaczyli przed sobą potężną ścianę z półprzeźroczystej szkłostali, w której teraz widniały cztery wypalone dziury.

- Nie tak się umawialiśmy, kochani! - oznajmił jakiś głos, upajając się własną ironią. - Zrozumcie, sprzeciw nie ma sensu. Jesteście na naszym terytorium. Pan wcale nie ma zamiaru was zabić. Ale z każdym zabitym lub okaleczonym człowiekiem - nieważne po czyjej stronie - wasza wartość będzie konsekwentnie spadać. Pan gotów jest omówić z wami zaistniałą sytuację. Rozmowa jest sprawą poważną, strzelanina to zajęcie dla nieposłusznych dzieci. Bądźcie rozsądni. Po wysłuchaniu tego przydługiego, aroganckiego oświadczenia Pyrrusanie nie wytrzymali i wypalili w ścianę jeszcze trzy razy. Nie spodziewali się żadnego efektu - po prostu byli Pyrrusanami i kierował nimi instynkt. Bandydzi odnieśli się do tego ze zrozumieniem i w milczeniu czekali.

W końcu Liza, podobnie jak pozostali kompletnie przybita własną bezsilnością, cicho spytała:

- Co mamy robić?

- No, to już inna rozmowa. - Głos zabrzmiał teraz miło i ciepło. - Najpierw dajcie na zewnętrzne połączenie obraz waszej sterowni czy gdzie tam jesteście. Chcemy was wszystkich zobaczyć. Następnie rzućcie na podłogę broń i wyjdźcie pojedynczo. Szczelka na pomiędzy lukiem a ścianą będzie wystarczająco szeroka. Przy wyjściu na nich czekali. Bandydzi oglądali ich uważnie, całe szczęście, że nie zaczęli obmacywać. Następnie zatrzasnęli na ich nadgarstkach kajdanki. Liza uśmiechnęła się na widok tego na-ivnego urządzenia. Gdy kajdanki założono mężczyznom, śmieli się już wszyscy czworo. Jeden z Pyrrusan powiedział:

- To raczej zbędne, przyjacielu!

- Co takiego? - Bandydzi popatrzyli na siebie nic nie rozumiejąc.

- Nic, nic - odpowiedziała Liza uspokajając się. Niedbałym gestem rozłożyła ręce, rozrywając łańcuszek kajdanki.

Sztuczka wywarła -jak zwykle - silne wrażenie. Przez krótką chwilę Pyrrusanie byli panami sytuacji. Mogliby nawet roznieść cały ten kordon ochroniarzy, odebrać im broń i rozpocząć prawdziwą walkę. Ale nie zrobili tego. I tak nic więcej nie udało im się zdziałać: hangar miał automatyczne drzwi, pod sufitem czekali snajperzy, bandyci mogli użyć gazu usypiającego i nie wiadomo czego jeszcze. Pyrrusanie zadowolili się kompletną dezorientacją na twarzach wrogów. Niech wiedzą, z kim mają do czynienia, przynajmniej zaczną ich traktować z szacunkiem. Wiena wprawdzie nie widziała niczego, ale udzielił jej się ogólny nastrój. Wszyscy czworo jeszcze raz głośno się roześmieli, rozładowując napięcie. Pan wszystkich tych ludzi - malutki czarnoskóry człowieczek w śnieżnobiałym garniturze - przedstawił się zwyczajnie: Richie. Od jeńców odgradzała go cała brygada ochroniarzy. Bał się... i nic dziwnego. Wystarczyłoby zacisnąć palce na szyi tego konusa, by cała jego banda zaczęła pracować dla Pyrrusa. Znany schemat. Richie na pewno dobrze wiedział, jak to się odbywa i nie miał ochoty przysparzać sobie kłopotów.

- A więc tak, moi drodzy - zaczął przywódca mahautskich bandytów. - Kim są „zakładnicy”, chyba nie muszę wam wyjaśniać. Osobiście nic do was nie mam, ale „Jaskółka” leciała z Pyrrusa na Monaloi. Nie próbujcie zaprzeczać.

; Nikt nie miał zamiaru. Zdziwili się tylko, że drań jest tak do-li brze poinformowany. i - A poprzedni statek, lecący z Pyrrusa na Monaloi - ciągnął, Richie - bardzo obraził moich przyjaciół. Na tym polega problem. I' Zaraz połączymy się z władzami Monaloi i spokojnie wszystko im wyjaśnimy. Jeśli nasze żądania zostaną spełnione, polecicie sobie dalej. A jeśli nie... Wtedy dam wam możliwość osobistego wpły-nięcia na waszych przyjaciół. Wszystko jasne? Czytanie myśli tego człowieka było bardzo trudne. Wiena mu-siała się szalenie koncentrować, by pokonać blokadę, nie ujawnia-jąc przy tym swojej obecności.

214

215

Richie był skomplikowanym człowiekiem, ale mimo wszystko udało jej się coś nie coś wyciągnąć z mózgu przywódcy bandytów. Najbardziej na świecie kochał pieniądze i władzę. Lubił używać pełnego imienia: Richie Dżach Krwawy. Ostatnie słowo, najwidoczniej przydomek, było w międzyjęzyku. Richie nieoficjalnie kontrolował większą część gospodarki Mahauty, przede wszystkim jednak zajmował się narkotykami.

O narkotykach i ich handlarzach Wiena słyszała kiedyś od Na-ksy. Opowiadał jej wtedy, jacy źli potrafią być ludzie. Dziewczyna nie mogła uwierzyć w coś takiego, a teraz oto żywy baron narkoty-kowy stał przed nią i dyktował Pyrrusanom swoje warunki. Pierw-szy kosmiczny lot Wienen zapowiadał się nader interesująco. - Wszystko jasne? - spytał jeszcze raz Richie.

- Ale my lecimy ratować życie człowieka! - Liza prawie płakała. Umiiała wspaniale prowadzić statki kosmiczne, doskonale strze-lała i była wytrzymała na ból, jak zresztą wszyscy Pyrrusanie. Ale z poniżeniem i podłością zetknęła się po raz pierwszy. Była na gra-nicy załamania.

- To bardzo wzruszające, panienko - uśmiechnął się słodko Richie. - Ja na przykład przez całe moje życie zajmuję się takimi sprawami. Jednych ratuję, innych muszę zabijać. Tak to już jest. I wiem, że pośpiech w tak poważnych sprawach jest absolutnie niedopuszczalny.

Zanim jej przerwał, Liza chciała dodać, że lecą pomóc Mona-lojczykom, ale po tak cynicznej odpowiedzi wolała porzucić ten te-mat. Zapytała:

- Z kim będziecie rozmawiać na Monaloi?

Richie zastanawiał się przez chwilę, oceniając stopień wtajemniczenia Lizy, po czym oświadczył:

- Najprawdopodobniej z panem Krumelurem.

- A ja mogę z nim porozmawiać? - Liza przeszła do ataku.

- Możesz. Ale po mnie.

- W takim razie połączcie się z nim natychmiast! - Aleś ty w gorącej wodzie kąpana, panienko! - Richie zaczynał tracić cierpliwość. - Takich spraw się w ten sposób nie rozwiązuje! Odbędzie się spotkanie, a wy zostaniecie poinformowani o jego rezultatach. Jasne? Dla zabicia czasu mógłbym zaproponować ci przejażdżkę na słońiach, ale niestety, panienko, zbyt jesteś niegrzeczna...

216

Propozycja przejażdżki na słońiach i namolnie powtarzany zwrot „panienko”, były ostatnią kroplą. Liza rzuciła się na Richiego z gołymi rękami. Pozostali Pyrrusanie oczywiście poszli w jej ślady. Na-wet niewidomej Wienie udało się uderzyć jednego ochroniarza w szczękę. Ale bandytów było zbyt wielu, poza tym mieli paralizatory. Na szczęście wystarczająco nowoczesne - nikt z Pyrrusan nie do-znał poważnych obrażeń. Dowiedzieli się o tym nieco później, gdy ocknęli się w metalowym boksie o lekko świecących ścianach, bez widocznych śladów okien i drzwi. To była bardzo nowoczesna cela. 8 I roń, którą zademonstrował Pyrrusanom Paolo Fermo, robiła spore -Dwrażenie. Była to malutka biochemiczna bomba o wyszukanej nazwie - katalizator rozpadu. Załadowanie pistoletu takimi „poci-skami” równało się rzecz jasna samobójstwu, ale w końcu można było użyć dział dalekiego zasięgu albo bombardować w sposób tra-dycyjny, z powietrza.

Ciekawa była sama zasada działania. Gdy aktywny związek wyrwał się z kapsuły i dosięgał żywego celu, cel sam stawał się bombą. Protoplazma rozdymała się niczym ogromny pęcherz i pę-kała rozrzucając w promieniu setek metrów tysiące bombek. Prę-d-kość rozprysku pozwalała pociskom przebić zwykły skafander czy średniej grubości pancierz nieszczęsnego zwierzęcia. Fermo zademonstrował im działanie katalizatora w laboratorium. Pod bardzo grubym szklanym kloszem kręciły się wyjątkowo nie-przyjemnie wyglądające zębate stworzonka o pomarszczonej skórze i długich ogonach - do złudzenia przypominały ogolone szczury. Nie wyglądały na zwierzęta monalojskie. Co prawda ciemna, bez-włosa skóra czyniła z nich karykaturę tubylców, ale zęby... takich zębów się tutaj nie spotykało. Malutka kulka wielkości łebka od szpil-ki w ciągu kilku minut przemieniła „szczury” w stertę gnijących resztek. Klosz był od wewnątrz zachlapany krwią i zielonym świństwem o niewiadomym składzie.

217

Ohydna broń, pomyślał Jason.

Stanowi zapłonęły oczy. Jason nie miał wątpliwości, o czym może myśleć prawdziwy Pyrrusanin. Fermo dorzucił od niechcenia:

- A tak na marginesie, to wspaniały środek, j eśli chce się oczy-ścić planetę z agresywnych form życia biologicznego. - A jak potem żyć na takiej planecie? - zainteresował się zło-śliwie Jason.

- Hmm, pewne problemy są nieuniknione. Ale wiadomo z do-świadczenia, że po roku roślinność się odradza. Zwierzęta trzeba importować.

- Ludzi też poddawaliście tym doświadczeniom? - spytał jesz-cze Jason.

Fermo zawahał się i odpowiedział zagadkowo:

- My? Nie.

Jason wolał się nie dopytywać, kto tak. Odwrócił się do Pyrru-sanina:

- Nawet o tym nie myśl, Stan. Na Planecie Śmierci ta broń nie będzie przydatna. Nasze mutanty dostosują się do niej po dwóch tygo-dniach albo jeszcze szybciej, a populacja ludzi w tym czasie zaniknie. - Ależ skąd, przyjaciele! - wykrzyknął pospiesznie Fermo. - Do katalizatora dołączony jest doskonały system zabezpieczeń. Jason miał wrażenie, że słucha sprzedawcy kosiarek do trawy, wyjaśniającego ograniczonemu klientowi, jak uchronić dzieci przed tą rzekomo piekielną maszynką.

- To oczywiste - Jason był coraz bardziej rozdrażniony. - Ale co ma wspólnego katalizator z rozwiązaniem naszego problemu? Potwory nie są obiektem biologicznym.

- Kto to może wiedzieć... - Fermo uśmiechnął się chytrze. - Chce pan przez to powiedzieć - zdumiał się szczerze Jason - że złożony organiczny związek będący katalizatorem procesów wę-glowej protoplazmy w temperaturze pokojowej, zadziała tak samo w temperaturze dwóch tysięcy stopni na tkanki złożone ze zwią-zków siarki? Gdzie się pan uczył chemii?

- Na uniwersytecie Haribeja.

- Wysoki poziom - pochwalił Jason. Jeżeli to prawda, pomy-ślał. - No i co pan na to?

- Elementarne, przyjacielu. To jasne, że byłby potrzebny inny związek, ale zgodzicie się, że sama zasada... Według mnie, to jest 218 właśnie to, czego potrzebujemy. Już nad tym pracujemy. Proponuję, żebyście i wy się tym zajęli.

- Zasadę zrozumiałem - powiedział Stan. - Dacie nam jedną bombę na wzór? Wziąłbym od razu.

- Od razu nie da rady - sprzeciwił się Fermo. - Każda broń kosztuje. Nie wątpię, że już wkrótce staniemy się waszymi dłużni-kami, ale finansami zajmuje się u nas Krumelur. Poczekajmy do jego powrotu.

- Poczekajmy - zgodził się Jason. - Znajomość zasady to już dużo. Stan jeszcze dzisiaj zacznie nad tym pracować. - Życzę powodzenia - powiedział Fermo uprzejmie. Już mieli wychodzić, gdy Jason nagle rzucił niedbale po wło-sku:

- A co robił pan na Ergisi, Paolo?

- Prowadziłem hotel - odpowiedział również po włosku zu-pelnie nie zbity z tropu Fermo. I dodał: - To były piękne czasy! Czyżby wyczytał pan o tym w informatorze międzygwiazdny? - Nie - przyznał się Jason. - Dowiedziałem się od tamtejszego portiera. Gościłem wtedy u króla Suleli. Doszło między mną a wład ca do pewnej różnicy zdań...

Fermo chyba puścił tę wiadomość mimo uszu. Jason postanowił zadać jeszcze jedno pytanie:

- A na Scoglio?...

- A na Scoglio, przyjacielu - nie pozwolił mu dokończyć Pa-olo - urodziłem się, dorosłem, uczyłem i pracowałem. Między inny-mi budowałem statki...

- .. żeby potem je kraść - dokończył złośliwie Jason. - Ukradłem tylko jeden statek - przyznał się otwarcie Fermo, przechodząc na międzyjęzyk, żeby Stan, który nie znał

włoskiego i już zaczynał się nudzić, też mógł zrozumieć. - A pan, szanowny Jasonie dinAlt, Bohelu czy jak tam pana jeszcze zwą, też nie jest amatorem pracy byle gdzie za marne grosze czy tyrania w pocie czoła na farmie. Mam rację?

- Przyznaję - skinął głową Jason - że przywykłem otrzymywać za swoją pracę godziwe honoraria.

- No właśnie! - wykrzyknął radośnie Fermo. - To się teraz tak j nazywa! A moim zdaniem kradzież statku i oskubanie kasyna to z punktu widzenia prawa jedno i to samo.

219

- Przyjacielu - Jason specjalnie użył ulubionego zwrotu Fer-mo - ma pan nieaktualne informacje. Jason dinAlt od lat nie zajmuje się podobnymi drobiazgami. Arrivederci! Idziemy, Stan. Niedawno posiwałe włosy Archiego stały dęba od przepelniających jego głowę nowych informacji. Uctisanin biegał z „Oradda” na „Argo”, z „Argo” na „Konkwistadora”, ganiał po polach i górach, wyszukując wśród traw i krzewów niezbędny do doświadczeń materiał. Co jakiś czas, ratując się przed upałem, wchodził pod prysznic, gdzie, jak twierdził, szczególnie dobrze mu się myślało. A po prysznicu rzadko kiedy pamiętał, żeby się wytrzeć, nie mówiąc już o użyciu grzebienia.

Jason nie docenił swojego przyjaciela, przypuszczając, że nie będzie z niego teraz żadnego pożytku. Przeciwnie. Każdy zagłusza smutek po swojemu; jeden upija się do nieprzytomności, drugi daje sobie taki wycisk, że leje się z niego pot, a jeszcze inny medytuje, patrząc w dal. Natomiast Archie, jak typowy pracocholik, zagłębił się po uszy w robocie, intensywnej jak nigdy dotąd. Chyba w ogóle przestał sypiać, jadł niewiele i zawsze w biegu, a pił... Wiadomo, co mógł pić człowiek, który dobrowolnie przystał do monalojskich nar-komanów. Chociaż czorumu akurat przestał używać, wolał soki i owoce. Nie zapominał też o mięsie pitahi. Obaj z Jasonem postanowili nie naruszać strategicznych zapasów Urizbaja, po prostu zwy* czajnie zamówili cały kontener bezpośrednio u Krumelura. Mięso rzeczywiście wspaniale pomagało. Archie, który i bez niego miał niezwykłą pamięć, w ogóle przestał zaglądać do słowników i informatorów. Zaczęły go nawiedzać zdumiewające pomysły, chyba wyrzające się z głębi wieków i należące do jego przodków. ; i Ze wszystkich stron zalewały go nowe informacje. Wycieńczony naukowiec musiał pośpiesznie je systematyzować i tworzyć nowe programy, pozwalające chociaż częściowo ogarnąć ten chaos. Najdogłębne przemyślenia i analizę nie starczało już czasu. j. Ledwie zajął się mechanizmem fizjologicznego uzależnienia od! czumrytu w warunkach Monaloi, gdy pojawił się problem czarnych kui ?-z ich niezwykłymi podziemnymi plantacjami, a Midi uległa ciężkiemu I atakowi. Wkrótce potem rezultat analizy chemicznej dowiódł, że właśnie odkryli nową formę życia, opartą nie na związkach węgla, tylko pochodnych siarki. Nie zdążył zastanowić się nad tym, skąd biorą się między ludźmi obdarzeni wyjątkową mocą telepaci, gdy Jason i Meta nawiązali zdumiewający kontakt z gwiazdolotem Ketczerów, który okazał się rówieśnikiem „Ovena” i niósł ze sobą taki ogrom informacji, że nie tylko jeden Archie Stover, ale cały sztab uczonych straciłby rozum.

- Jason - odezwał się Archie, ciężko dysząc. - Chcesz mnie wykończyć? Jeszcze mi tylko brakowało do szczęścia chemicznych bomb, wynalezionych przez właściciela hotelu na Ergisi i słonio-wych woltyżerów!

- Nie woltyżerów, tylko poganiaczy - poprawił cierpliwie Jason. - Słowo „mahaut”, a właściwie „mahout”, pochodzi z Ziemi, ze starożytnego kraju Indii. Tak właśnie

nazywano tam poganiaczy słoń. Hindusi mieli najbardziej rozwiniętą kulturę oswojania i tresowania tych wspaniałych zwierząt. Uważa się, że w epoce Wielkiej Ekspan-sji Hindusi zasiedlili planetę Mahauta razem ze swoimi słońmi. A teraz, oprócz nowoczesnych technologii, Mahautianie przekazują z pokolenia na pokolenie sztukę tresury słoń. Nie mówiąc już o tym, że słoń to symbol...

- Jason, miej litość! -jęknął Archie. - Jeżeli zechcę, poczytam sobie o tym w odpowiednim informatorze.

- Nie byłbym taki pewien. Nie zapominaj, że byłem na Ma-haucie i mogę ci opowiedzieć takie rzeczy, jakich w żadnej bibliote-ce nie znajdziesz.

- Dziękuję, będę o tym pamiętał. Ale teraz lepiej mi powiedz, jak przebiegają pertraktacje na Radomie.

- Proszę bardzo. W tej chwili wiadomo tylko, że słoniowy boss przybył i zaczął się targować. Czekam na rezultaty. - Żeby tylko w rezultacie tych rezultatów na Mahautę nie wyru-szyła cała pyrrusańską eskadra - westchnął Archie. - Albo na Radom. - Sam się tego obawiam - przyznał Jason. - Miejmy jednak nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Archie w zadumie pokiwał głową.

- A jak tam twoja teoria? - zainteresował się Jason. - Połączy-cie wszystkich fenomenów na podstawie wspólnych cech czy coś w tym rodzaju.

- Prawie gotowa - zameldował rażno Archie.

- Słyszę to od roku.

220

221

- Nie przesadzaj. I nie naciskaj mnie. Porozmawiaj lepiej z Ac-tionem. Brakuje mi pewnych informacji... Problem polega na tym, że kompletnie nie wiem, jakie pytania mu zadawać. Poza tym twój brat jest nieźle stuknięty. Nie umiem z nim ani serdecznie pogadać, ani go przesłuchać, a już tym bardziej przeprowadzić naukową dys-kusję. Jestem pewien, że ty sobie lepiej poradzisz. Idź teraz z nim pogadać, dobrze? A potem podzielisz się ze mną wrażeniami. - W porządku - zgodził się Jason.

Znalazł Actiona w specjalnym rehabilitacyjnym przedziale „Argo”. Siedział przed ogromnym monitorem i grał w skompliko-waną grę „Stereo-bum”, wymagającą od człowieka sporych wiado-mości matematycznych, nietuzinkowej wyobraźni przestrzennej i oczywiście błyskawicznego refleksu. Z tym ostatnim Action nigdy nie miał najmniejszych problemów, a dwie pierwsze umiejętności najwyraźniej obudziły się w nim niedawno po psychicznym przeło-mie. Jason obserwował go przez chwilę, po czym zaproponował:

- Nie wolisz postrzelać sobie do niezwykłych zwierząt? Mam taką grę.

- Nie znoszę tego! - wzdrygnął się Action. - Widziałeś kiedyś pilota, który lubi prowadzić statki w wirtualnej rzeczywistości? - Widziałem - odpowiedział Jason. - Niejednego. Trenują ich na komputerze i chłopaki się wciągają. Sam przez to przechodziłem... - Nie wiem, nie wiem - burknął Action. - Lubię polowania, ale na żywo. Strzelanie na monitorze jest jak bezalkoholowy alko-hol, smak ten sam, a przyjemności żadnej. Komu to potrzebne? - Pseudoalkohol? Nikomu. A gdzie dają takie świństwo? Ni-gdy w życiu nie piłem.

- Jest taka jedna planetka - powiedział z roztargnieniem Ac-tion. - Zapomniałem nazwę...

- Wiele rzeczy ostatnio zapominasz, nie wydaje ci się? - zapytał Jason.

- Możliwe.

Action przez cały czas wpatrywał się w ekran, gdzie teraz ośmiościan owinął się wokół pięciokątnej piramidy, a wylatująca z boku kula wpadła na płataninę powstałych linii i przemieniła się w sześciokąt. Następnie wszystko zamarło i rozbłysnął napis: „Gry over”. - Znowu przegrałem. Przez ciebie.

Jason czekał w milczeniu, aż Action rozpocznie nową grę.

- Dlaczego tak stoisz? Siadaj, chciałem z tobą pogadać. Wspaniale! Stan Actiona bardzo się poprawił, ale w dalszym ciągu z jego głową nie wszystko było w porządku. Nawet Jasonowi nie zawsze udawało się wyciągnąć z nieszczęsnego myśliwego potrzebne informacje. Ale skoro sam wystąpił z propozycją rozmowy, to już było coś.

- Pamiętasz, jak opowiedziałeś mi o asteroidzie Solvitz?

- Pamiętam - skinął głową Jason.

- Przedwczoraj dowiedziałem się o potworach z piekła. Twoja opowieść o tych plantacjach na dole pomogła mi wyciągnąć ostentacyjny wniosek.

Wszystkie wnioski Actiona zawsze były „ostateczne”. Mleczny brat Jasona zrobił dłuższą przerwę - albo dawał Jasonowi czas na pytania, albo chciał zwiększyć napięcie. Jason cierpliwie milczał, bał się zniechęcić rozmówcę.

- Monaloi też jest sztuczną planetą. Nie wątpisz chyba, że nazwę nadał jej właśnie Solvitz? Żart geniusza! A ten pas wewnątrz? Z punktu widzenia planetologii to nonsens. Z punktu widzenia Solvitz-a idealna konstrukcja dla wysoko rozwiniętego życia. Wasze potwory to nie kosmicy, to kolejny szalony twór naszego wspólnego przyjaciela. Przecież wiesz, że na świecie nie ma kosmitów, tylko ludzie z różnymi patologiami i ich żalosne wytwory, od prymitywnych środków transportu po androidy i cyborgi. Solvitz stworzył je, by, jak zwykle, zakpić z ludzi. Na przykład te sympatyczne kulki... Jak wy je nazywacie? Swartkulele! To właśnie one są prawdziwymi gospodarzami planety. Faderzy to tylko ich marionetki. To one zmusiły tępych bandytów, żeby stworzyli na powierzchni planety plantacje, na wzór i podobieństwo tych pod ziemią. Faderzy popełnili jakiś błąd i kule karzą ich teraz, wysyłając na pola potwory. Niepotrzebnie się w to wplątaliście. Nie ma tu komu i po co pomagać. Solvitz to bydlę, a Faderzy dranie, w dodatku niepokonani. Solvitz jest jednym z wcielonych diabła, niezniszczalnego Zła. Faderzy to mafia, czyli zorganizowana przestępczość. Odrąbiesz jedną głowę, wyrosną dwie nowe. Mafia jest nieśmiertelna! Tak mówiono wiele wieków temu, i tak mówi się dzisiaj. Zrozum, niepotrzebnie tu przylatywaliście. Sami by sobie poradzili. Ale Krumelur i Swamp to psychopaci. Zaprosić Pyrrusan na Monaloi! Co za pomysł!...

- Coś podobnego słyszałem już od niejakiego Envisa - zauważył Jason.

222

223

- Envis? Co za Eiwis? A, tak... Ten, którego zabili. Szkoda, porządny byt z niego chłop.

- Action, co ty pleciesz? Jak to porządny chłop, skoro przez niego zostałeś owocownikiem? Może mi powiesz, że i ciebie niepotrzebnie ratowaliśmy?

- Nie wiem - odparł Action poważnie. - Może i niepotrzebnie. Jaki pożytek z tego ratowania, skoro i tak do końca życia będę mu-siał tu siedzieć? Do Faderów mnie nie wezmą, u striderów już by-łem. Może ogolić głowę i zapisać się do kalhinbajów? - Dobrze, że nie opuściło cię poczucie humoru! - uśmiechnął się Jason. - Znaczy, że nie wszystko jeszcze stracone. Więc twoim zdaniem, jesteśmy na sztucznej planecie?

Jason wyodrębnił najważniejszą informację z potoku fantazji Actiona i spróbował skierować rozmowę na ten tor. - Oczywiście - skinął głową Action. - Jestem o tym przekonany. Teodor SoMtz wymyślił na tej planecie wszystko, począwszy od jej wnętrza, gdzie zamiast twardego jądra jest pęcherz powietrza, do ostat-niej trawki, przesiąkniętej narkotykiem. Rozejrzyj się, Jason. Czy to normalny świat, czy coś takiego mogło się zdarzyć? Solvitz to wariat. Wyobraź sobie coś takiego: idiota w szpitalu psychiatrycznym zanurza palec w atramencie i wodzi nim po papierze. A wy wszyscy zbieracie się nad tymi obrazkami, robicie mądre miny, cmokacie i mówicie: „Po-patrzcie, kolego, na tę krzywą! Co za elegancka zależność wielkości A od wielkości B! Zwróćcie uwagę na tę parabolę!” Nie ma tu żadnych zależności i żadnych zasad. Tylko bredzenie szaleńca. - Więc co robić? - spytał spokojnie Jason.

- Chcesz wiedzieć? Najlepiej zniszczyć całąplanetę i zapomnieć o niej na zawsze. To przynajmniej zrobiłoby wrażenie na Solvitzu. - Dziękuję, bracie, za dobrą radę. Konstruktywną i taką ludzką. - No tak! - klasnął w dłonie Action. - Humanieści! Wobec tego zostawcie w spokoju monalojską cywilizację. Dla bezpieczeństwa otoczcie ją pierścieniem patroli Ligi Planet. Niech nikogo więcej nie wpuszczają do tego zadżumionego świata. Było więzienie, bę-dzie leprozorium.

- Jakie leprozorium, Action? Obudź się! Co wtedy z mafią? - Mafię trzeba wypalić rozżarzoną żelazką - z nieoczekiwa-ną furią wycedził przez zęby Action. Jego obojętność w mgnieniu oka zastąpiła złość.

- Przecież mafia jest nieśmiertelna. - Jason nie mógł powstrzy-mać się od zjadliwej uwagi.

Niepotrzebnie. Action zamachał rękami jak wariat i zaczął krzy-czeć. W oczach miał łzy:

- Idź stąd! Czego ty ode mnie chcesz? Idź! Odczep się! Przez ciebie przegrałem partię w „Stereo bum!”... - Teka, Teka - wyszeptał Jason w bransoletę łączności. - Zaj-rzyj do Actiona, znowu z nim niedobrze...

Jason też nie czuł się najlepiej. Wprawdzie Action nie był zu-pełnie normalny, ale w tym, co mówił, było sporo logiki. I ta logika budziła smutek.

Jason nie miał ochoty iść teraz do Archiego. Nalał sobie szkla-neczkę czorumówki, wydestylowanej według własnej receptury i zmieszanej z wyborną słodową whisky. Gdy już rozjaśniło mu się w głowie, wyszedł nad dwór i zapalił. Znowu była noc, ptaki na-woływały się cicho, nad głową miał rozgwieżdżone niebo. Ale teraz Midi leżała w śpiączce, a Meta była bardzo daleko. Został wprawdzie Archie, ale prawie tak samo szurnięty jak Action. Jason nie miał ochoty I zanurzać się w odmęty naukowych hipotez. Chciał pogadać od serca, ale nie miał z kim. Nie miał z kim podzielić się swoim smutkiem. W milczeniu wypuszczał dym w niebo, patrzył na złote gwiaz-dy i czuł się strasznie samotny, opuszczony przez wszystkich na świecie.

Mmalojski statek wyskoczył z podprzestrzeni zbyt blisko pla-ety. Oszczędzało to czas, jaki zwykle traciło się na manew-ry, ale było bardzo niebezpieczne. Nawet Kerk był zdumiony taką

brawurą, a Meta jako pilot profesjonalista pomyślała, że Faderom szwankuje generator skoku. Przecież zmaterializowali się nie obok planety, lecz w jej atmosferze. Co prawda w górnej, rozrzedzonej warstwie, ale i tak na powierzchni statku pojawił się błękitny płomień, czujniki temperatury wysiadły, a obiektywy zewnętrznych

224

15 - Planeta śmierci 6

225 wideonadajników stopiły się. Mało brakowało, a zamknąłby się obwód głównego systemu kierowniczego, co kończy się automatycznym ogłoszeniem alarmu, po czym następuje katapultowanie załogi na szalupach.

Nic takiego się nie stało. Monalojczycy przeprowadzili operację gaszenia ognia na powierzchni kadłuba tak sprawnie i spokojnie, jakby to była zwykła procedura. Następnie szturman wyznaczył trajektorię i statek podszedł do lądowania.

Meta nie wytrzymała i spytała Swampa, kiedy pojawił się obok:

- Co się stało?

- Nic - odpowiedział Fader ze stoickim spokojem. - Wyszliśmy na orbitę planety Radom.

- Na orbitę? - zainteresowała się jadownicie Meta. - No, może nie całkiem na orbitę. Może troszkę niżej niż powinniśmy. ..

- Ładne mi troszkę! - Meta nie mogła się uspokoić. - A gdyby tak jeszcze odrobinę niżej?

- Sama pani doskonale wie, że dwadzieścia kilometrów niżej skończyłoby się anihilacją.

- Więc dlaczego? Gdzieś się spieszymy?

- Oczywiście, że tak - zgodził się Swamp. - Zawsze. Ale nie w tym rzecz. To kwestia przyzwyczajenia. Stylu życia.

Meta wzruszyła ramionami. Kerk zauważył:

- Obserwowałem coś podobnego na Cassylii. Tamtejsi właściciele najdroższych i najbardziej eleganckich aut nigdy nie przestrzegali zasad ruchu drogowego. Na przykład wjeżdżając do garażu rozpędzali się maksymalnie na pięćdziesięciu metrach. Następnie hamowali, zostawiając między zderzakiem a ścianą przerwę grubości palca. Oni też nie umieli wyjaśnić, dlaczego tak robią. Przyzwyczajenie, styl życia to tylko puste słowa. Ale, przyznaję, że wtedy wielu rzeczy się od nich nauczyłem. Gdy uciekliśmy z Jasonem do portu Digo, te umiejętności bardzo nam się przydały... - Statki i auta to nie to samo - warknęła Meta. Zewnętrzne wideonadajniki Monalojczycy zdążyli już wymieścić i teraz nocna strona planety mrugała do nich miriadami różnokolorowych świateł.

Meta spodziewała się, że zobaczy dobrze znany radomski port, jedyny na planecie i jeden z największych w Galaktyce. Gwiazdne

226

\

wrota wszechświatowego centrum handlowego na wszystkich robiły wielkie wrażenie. Ogromną przestrzeń, rozciągającą się aż do horyzontu, wypełniały statki wszelkich rodzajów i rozmiarów. Na niektórych przeprowadzano załadunek, inne przechodziły drobne naprawy lub były już gotowe do startu. Dziesiątki flag, herbów i znaków roz-

poznawczych, wielojęzyczny gwar głosów dyspozytorów, ładowaczy, handlarzy, wojskowych, mnogość mundurów, bloków energetycznych, broni i wyposażenia. Meta jako profesjonalistka zawsze bardzo lubiła przyglądać się gwiazdolotom innych planet. Tym razem jednak nie miała ku temu okazji.

Okazało się, że radomski port handlowy nie jest jedynym miejscem przyjmującym międzygwiazdne statki. Szczególnie ważnym gościom udostępniano niewielkie, ale doskonale wyposażone, ultra-nowoczesne lądowisko Gronszyka. Okazało się również, że celem tej podróży były nie tylko pertraktacje. Faderzy uznali lot na Radom bez ładunku za niewybaczalne marnotrawstwo. Dlatego wzięli nie byle krążownik, ale pojemną i jednocześnie zwrotną karakę. Meta widziała coś podobnego u piratów. Karaka to specyficzny statek z potężnymi silnikami, nowoczesnym wyposażeniem i licznymi ładownikami, wypełnionymi teraz, rzecz jasna, czumrytem. Biały sód-ki proszek, nie różniący się pod względem smaku i zapachu od cukru pudru, został zapakowany w niewielkie hermetyczne woreczki, które z kolei umieszczono w trzytonowych plastikowych kontenerach. Z takim właśnie ładunkiem sąsiadowali Pyrusanie. Do wyładunku przystąpiono bardzo energicznie - obserwowanie śmigających w stalowych dłoniach robotów ciężkich, połyskujących matowo pudeł było czystą przyjemnością. Ładunek zrzucano na platformy na kołach. Magazyn musiał być gdzieś w pobliżu. Pyrusanom nie pozwolono jednak zobaczyć dalszego ciągu operacji. Przedstawiciele służby bezpieczeństwa Gronszyka powitali ich przy trapie, wsadzili do komfortowego samochodu pancernego na poduszce magnetycznej (port i przylegające do niego trasy były wyłożone metalem) i szybko dostarczyli do pałacu.

Trudno było inaczej nazwać główny budynek rezydencji Gronszyka: wieżyczki, wykusze, wysokie okienka strzelnicze, masywnie rzeźbione drzwi, posągi we wnękach. Wewnątrz pokryte miękkim dywanem schody, lśniące poręcze, kolumny, balustrady, neozyrandole - przepych, luksus i bezguście. Gronszyk bardzo pasował do własnych wnętrz. Łańcuchów, pierścieni i bransolet z barnardskiego zielonego złota, najdroższego ze znanych w Galaktyce odmian, którymi był obwieszony, mogła mu pozazdrościć każda księżniczka czy córka milionera. Jego spinki, pierścienie i szpilki do krawata ozdabiała yirungejskie kamienie wielkości laskowego orzecha. Sam Gronszyk zbyt nie zmienił, tylko jego morda buldoga stała się jeszcze bardziej rozlana. Wyglądało to tak, jakby głowa z niskim czołem wyrastała wprost z ramion. Gronszyk siedział przy stole wielkości lądowiska dla helikopterów. Gabinet pod względem rozmiaru dałoby się porównać ze średniej wielkości hangarem.

Na międzygwiazdne pielęgnię, prócz Mety, Kerka, Krumelura i Swampa, przybyło ośmiu mężczyzn, różniących się od siebie stylem ubioru, kolorem włosów i skóry. Łączyło ich jedno - spokojny i surowy, nieprzenikniony wzrok. Żaden z nich nie okazał emocji z powodu pojawienia się nowych osób w gabinecie, nikt nie uniósł się z fotela, nie wyciągnął ręki ani się nie odezwał. Jediną reakcją było ledwie dostrzegalne pochycenie głów. Musiano już ich powiadomić, że zjawi się kobieta. Albo może należeli do ludzi, których niewiele może zdziwić. Gronszyk mimo wszystko wyjaśnił:

- Dzisiaj do naszego nadzwyczajnego zebrania została dopuszczona kobieta. Nazywa się Meta. To moja dawna znajoma, którą proszę uważać nie tylko za przyjaciółkę, ale i za gospodynię. Pamiętajcie, że na Casylii wybierano gospodynie nadziałów? Nawet sam Gammal Paperoty rozmawiał z nimi jak równy z równym. Możecie uważać Metę za kogoś takiego i sto bolidów mi w dyszę, jeśli nie mam racji. Yersteherf! Nazwanie Mety dawną znajomą było poważną przesadą, ale Pyrusanka przemilczała to, pamiętając, kto tu jest gospodarzem. Poza tym pochlebilo jej, że i ją

nazwano gospodynią. Bandyci czy nie bandyci, ale na pewno poważni ludzie, którzy znali się na wojnie i galaktycznej polityce. Cóż, Meta została tak wychowana, że czuła szacunek do siły. Bez względu na kwestie moralności. W odpowiedzi na tę prezentację wszyscy zebrani jeszcze raz w milczeniu skinęli głowami. Następnie wąskooki, niski, ale nie-zwykle barczysty mężczyzna zapytał:

- Jak długo będziemy jeszcze czekać?

- Zależy na kogo - odparł Gronszyk. - Hrundos już przyleciał, będzie tu za minutę. Na niedojrzałych nie czekamy, podciągną się w trakcie. A Richiemu daję jeszcze... - Gronszyk spojrział na cyfer-błat swojego ogromnego zegarka, ozdobionego znanymi jubilerom całej zamieszkałej Galaktyki kamieniami- ...osiem minut. Potem będziemy rozmawiać bez niego. I tak już nazbyt przeciągnął parasol Ogródu. Na ostatni złot w ogóle się nie zjawił, przysłał kukłę za-miast siebie. Doczeka się.

Wszyscy zebrani sposepnili i utkwili wzrok w ziemi. Po chwili autorytety nieoczekiwanie uniosły głowy i na krótką chwilę zwróciły oczy w stronę wchodzącego człowieka. To musiał być wspomniany Hrundos - rozlany, spocony grubas z trzema włosami na łysinie, szedł, usiadł i zastygł.

Gronszyk przesunął dłonią po obciętych najeża włosach i prze-izył z miejsca na miejsce porzucane na stole kartki. Napięcie rosnęło. Minuty płynęły. W końcu pierwszy autorytet, który otrzymał pełnomocnictwo prowadzenia pielenia, uśmiechnął się rozluźniony. Widocznie dostał jakąś wiadomość.

Minutę później, potykając się na progu o dywan i o mało nie przewracając na podłogę, wpadł do gabinetu malutki, ciemnoskóry człowieczek. Meta i Kerk od razu przypomnieli sobie ważnego go-ścia, który odwiedził „Konkwistadora” podczas postoju na orbicie Mahauty. To właśnie był Richie.

Po co on to robi? - nie zrozumiała Meta. Naprawdę nie mógł przylecieć na czas?

Nie nastąpiły żadne usprawiedliwienia, najwidoczniej nie było to w zwyczaju. Zasapanego Richiego po prostu ukarano za spóźnienie - nie pozwolono mu złapać oddechu, miał przemawiać jako pierwszy. Meta przypomniła sobie, jak wiele lat temu weseli ekolodzy z planety Lada przylecieli na Pyrrusa z ekspedycją i uczyli Pyrrusan pić swoją ulubioną wódkę - ohydny barbarzyński napój, etylowy spirytus pół na pół z wodą źródlaną. Obchodzono urodziny przy-wódcy grupy i Pyrrusanie z grzeczności wypili po małym kieliszeczku. Gdy któryś z zaproszonych przyszedł spóźniony, ladyjscy ekolo-dzy zaczęli wołać: „Karniak! Karniak!” Karniakiem okazał się ogromny, prawie półlitrowy kufel, wypełniony po brzegi wódką. Gdy nieszczęśnik wychylił go jednym haustem, twarz zrobiła mu się purpurowa, a z oczu popłynęły łzy.

Mniej więcej tak wyglądał teraz Richie Dżach Krwawy. Płacząc daty, myląc nazwy i cyfry, mętnie wyjaśniał, kto, kiedy i z jakiego powodu obraził jego ludzi. Wyszła z tego dość wzruszająca opowieść o tym, jak interesy „uczciwego i porządnego” handlarza tradycyjnymi „lekarstwami”, wśród których została wymieniona heroina, kokaina, am-fetamina i inne popularne środki z podręcznej apteczki, wchodziły w kolizję z interesami wytwórców i handlarzy przekłętą czumrytu. Bez-czelni Monalojczycy naruszyli umowę o ograniczeniu stref wpływów. Doszło do tego, że czumrytem zaczęto handlować nawet na Mahaucie! Richie nie mógł spokojnie patrzeć na ten proceder i wysłał w stronę Krumelura swojego przedstawiciela w celu pertraktacji. A Krumelur przy udziale nikomu nie znanych Pyrrusan, nie mających żadnego autorytetu w galaktycznym Ogródku, zlikwidował mahautskiego przedstawiciela; po czym bezczelnie wcisnął starsze-mu zaopatrzeniowcowi

królewskiej floty Mahauty partię swojego towaru pod postacią cukru pudru. Przy okazji cynicznie sfabrykowano oficjalne dokumenty, podpisane i zatwierdzone osobiście przez Jego Królewską Wysokość.

- Nie będziemy znosić takiego no limit! - oświadczył Richie. - Zostałem zmuszony do podjęcia ostatecznych środków. Ponieważ Krumelur nadal utrzymuje kontakty z tymi nie dosolonymi Pyrrusa-nami, porwałem załogę ich podejrzanego statku, kursującego między Pyrrusem a Monaloi. Uwolnijcie planetę Mahauta od czumrytu, a ja uwolnię te głowiaste patisony. Oto moja krzywda. - Rozumiem - skinął głową Gronszyk. - Kto jeszcze chce po-ruszyć płatkami?

Kerk nie był pewien, czy dobrze zrozumiał sens pytania i zastał się, czy powinien się teraz odezwać. Meta była jeszcze bardziej zdezorientowana, a najbardziej doświadczeni Krumelur i Swamp nie spieszyli się z wystąpieniem. Nieoczekiwanie uprzedził ich Hrundos. Otarł chusteczką łysinę i oznajmił:

- Każde no limit to lekceważenie Statutu Ogrodu, co jest największą podłością, jakiej można się dopuścić w świecie warzyw, gorszą nawet od przegniłej podpórki. Ale nie można odpowiadać podłością na podłość. Tak głosi Statut. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, czy doszło do no limit ze strony Monaloi, czy też nie. Brać jako zakładników gwiazdne przyjaciółki może tylko skisły no limiter. Oto moja krzywda. Meta nie zrozumiała nawet połowy wariackiej mowy Hrundo-sa, ale sens nietrudno było uchwycić - ten autorytet wziął ich stronę. Ośmielona, podniosła rękę do góry, niczym grzeczna uczennica.

230

- Mogę coś powiedzieć?

- Niech mówi gospodyni nadziału - zarządził Gronszyk. - Richie Dżach Krwawy bezwstydnie kłamie na temat swoje-go przedstawiciela, wysłanego w celu pertraktacji. To ja stałam za sterami pyrrusańskiego krążownika, gdy bojowy kuter „Niewidka”, należący do Richiego, zaczął do nas strzelać. Próbowaliśmy nawiązać kontakt, ale kuter nie odpowiadał. Możliwe, że był pusty. Jako specjalista twierdzą, że pełnił funkcję skazańca. Ledwie zdążyliśmy zniszczyć go w bezpiecznej odległości. Oto moja krzywda - dodała na wszelki wypadek. Skoro taka tu jest tradycja... Gronszyk uśmiechnął się, po raz pierwszy okazując jakieś ludzkie emocje. Metę to ucieszyło. Oznaczało, że mimo wszystko byli to ludzie, a nie stuknięte androidy.

- Posłuchaj, bakłażanie - zwrócił się do Richiego długi i chudy typ z kudłatą głową. - Czy ty próbowałaś wieszać botwinę braciszkom na anteny?

- Nie! - Richie pokręcił głową. - Nie! To zwykła krzywda.

^Dawniej Ogród rozumiał takie rzeczy!

- Dawniej rozumiał - mruknął ponuro Gronszyk. - A teraz może mu się już znudziło. Ogród trzeba podlewać, braciszku Richie! Będziesz mówił, Krumelur?

- Inni dojrzałym wystarczająco poszumowali płatkami. Pozostaje mi tylko uderzyć słupkiem po przeciku.

Wyszedł z tego niezły żart, ale zebrani zamiast się roześmiać, \ jeszcze bardziej spochmumieli. Gronszyk spoglądał ponuro spode łba. Richie skulił się, jakby chciał się przemienić w małą szarą myszkę i wcisnąć do jakiejś norki. Prowadzący nie bawił się w delikatność.

- To co, warzywa, zbieramy urodzaj? Patisony uwolnisz na-tychmiast. Przepraszam braciszków. Nawet niedojrzałych. Za cukrem, który dostarczono flocie,

niech węższą twoi fenchelowie. Monalojski cukier Mahaucie nie zaszkodzi. Z mojej strony to wszystko. Krzyw-dy skończone?

- Chwileczkę - wtrącił się Kerk. - Moim zdaniem, na Mahau-cie nie powinno być czumrytu.

Po co się mieszał? Uznał, że powinien coś powiedzieć, skoro I już tu jest? A może pyrrusański wódz uważał problem rozpowszechniania czumrytu za zasadniczy?

231

Twarze zebranych wyciągnęły się. Najwidoczniej oświadczenie Kerka było czymś niesłychanym. Ale skoro dopuszczono go na zlot Ogrodu, musieli go wysłuchać. Gronszyk zastanawiał się przez chwilę, po czym nagle oświadczył:

- Pyrrusanin ma rację. Mahaucie czumryt jest niepotrzebny.

Mają dość własnego gówna.

Po gabinecie przetoczył się szum i dał się słyszeć wdzięczny szept Richiego Krwawego:

- Dziękuję, braciszku!

- Barnardską cebulę nazywaj braciszkiem! - warknął długi i kudłaty.

W tym momencie rozległ się jękliwy głos Krumelura:

- Co wy mówicie! - Fader ledwie radził sobie z nieposłusznym językiem. - Czyście się w marynacie ugotowali? Za co? - Za darmo, Krum. Sprawiedliwość. Nie rób takiej miny, szpi-naku, znajdziemy ci inną planetę. Żeby tak w plazmie spłonął, je-śli kłamię!

- Naprawdę? - ożywił się natychmiast Krumelur. I zaczęli zastanawiać się, jaką nową planetę uszczęśliwić monalojską zarazą.

Meta z przerażeniem uświadomiła sobie, że oni zapomnieli nie tylko o Richiem, ale i o zakładnikach. Podzielił sobie planety i rozej-dą się zadowoleni, a problem zostanie nie rozwiązany. - Posłuchajcie! - krzyknęła. - A kto nam broni urwać głowę temu Krwawemu Dżachowi?

W gabinecie Gronszyka zapadła martwa cisza. Zaiste, ciekawe pytanie.

- To, droga gospodyni, że jego kiszone owoce natychmiast urwą cztery głowy waszym czterem ziomkom.

- Słusznie - zrozumiała od razu Meta. - Wobec tego niech ich po prostu uwolnią i to wszystko.

Zależało jej przecież tylko na uwolnieniu przyjaciół, z tym ury-waniem głowy wyskoczyła ot tak, żeby zwrócić na siebie uwagę. Gronszyk z pogardą rzucił Richiemu kulkę mobilnego nadajni-ka i krótko polecił:

- Łącz się, bakłazanie!

Co Richie mamrotał w tym swoim hindi, nie wiadomo, ale po dwóch minutach w słuchawkach Mety i Kerka zabrzmiał głos Lizy:

- Meta, Kerk, to my! Słyszycie? Za czterdzieści sekund startujemy. - Słyszemy! To świetnie! Powtórne połączenie za dziesięć mi-l nut, gdy wyjdziecie w podprzestrzeń. Potwierdźcie odbiór. - Potwierdzamy. Połączenie za dziesięć minut. Zwycięstwo, błysnęło w głowie Mety. Z tej radości zachciało jej się zrobić komuś kawał. Zapomniała, w jakim towarzystwie się znajduje i palnęła:

- Najwyższa pora urwać głowę temu bakłażanowi. W świecie warzyw tak się nie żartuje. Przecież uznali ją za go-Ispodynię nadziei, czyli autorytet co najmniej drugiej rangi. Wszyscy zamilkli, zastanawiając się nad jej propozycją. Gronszyk zabębnił palcami po stole, ciężko westchnął i zapytał:

- Co wy na to, braciszkanie-ogóreczki?

Richie wolał nie czekać na decyzję ogóreczków czy innej jarzyny. Podjął własną. Błyskawiczną, straszną, ale jedyną słuszną w tej sytuacji. Tak mu się przynajmniej wydawało. Czarna rączka narkotycznego barona skoczyła do przodu i w górę, a z palców wyleciało płaskie zębate kółeczko. Malutka, lśniąca śmierć leciała w stronę Mety po krzywej, ale dokładnej trajektorii. Nawet u starożytnych japońskich ninjaszoriukeny latały bardzo szybko. A grawimagnetyczne szoriukeny osiągają prawie prędkość pocisku. Ale tylko prawie.

Reaktywny pocisk pyrrusańskiego pistoletu zbił miniaturową śmierć w locie. Drugiego kółeczka Richie nie zdążył już cisnąć, bo w jego głowie wybuchł drugi pocisk, wystrzelony przez Kerka. Ani feta, ani Kerk nigdy nie byli zwolennikami kary śmierci, ale to był uczciwy pojedynek. Tym bardziej, że Richie użył wyjątkowo odrażającej broni: grawimagnetycznego szorikena typu wibracyjnego. Oznaczało to, że trafiając w dowolną część ciała śmiercionośny pocisk nie zatrzymywał się w tkankach, ale szybko i efektywnie ciął wszystko, nawet kości. Nie na darmo nazywano Richiego Krwawym. - Sprzątnijcie to - zarządził Gronszyk, machając ręką w stronę upa. - Zaraz moje dziewczęta-androidy wszystko umyją. Was na-, tomiast zapraszam na szklaneczkę wyśmienitego aldebarańskiego koktajlu...

Nie wykręcimy się od tego, westchnęła w myśli Meta. Razem przylecieliśmy, razem musimy odlecieć. Albo, jak mówi Jason... Nie pamiętam, jak to szło. Powiedzmy tak: jak wszedłeś pomiędzy warzywa,

232

233

bądź taki, jak i one. Jak wytłumaczyć tym łajdakom, że gdy człowiek spieszy na pomoc przyjacielowi, to nie czas na libacje? Meta stała w urzędzonej z przepychem sali, obracała w palcach wysoki kielich i uprzejmie maczała wargi w aromatycznym koktajlu, gdy rozległ się sygnał wezwania, a zaraz potem dziarski głos zadowolonej z siebie Lizy:

- Jesteśmy w podprzestrzeni. Kurs Monaloi. Jak mnie zrozumieliście? Odbiór!

10

W następnego ranka Jason przypomniał sobie o niesprawiedliwie zapomnianym w zamęcie ostatnich dni człowieku - Olafie Vi-cie. A przecież właśnie on mógł rzucić nieco światła na niektóre sprawy. Olaf sam stanowił zagadkę i trzeba było mieć się z nim na baczności, ale Jason zawsze cieszył się jego sympatią. Nie ma co, ten był szturman, był bandyta, był Fader, był Trollkar i był Wielki Kapłan umiał przypodobać się każdemu. Zresztą Faderem był nadal - przyjęto go z powrotem do tego przestępczego towarzystwa, pozwolono mu żyć w Tomhecie i swobodnie się przemieszczać. Swojego byłego towarzysza niedoli Jason odszukał w sali przyjęć starego Re. Miał zamiar natychmiast go stamtąd wyciągnąć. - Słuchaj, przyjacielu, przyleć zaraz do naszego obozu. Musimy pogadać.

- Dopiero wieczorem - odparł Olaf.

- Zgoda - ucieszył się Jason.

W końcu Olaf mógł go przecież postać do diabła. A skoro przyle-ci, to albo po to, żeby szpiegować, albo rzeczywiście spróbuje pomóc. Jasona urządzary oba warianty - z obcego agenta czasem łatwiej wy-ciągnąć informacje niż z usłużnego głupca. Olaf był co najwyżej pija-kciem. Na szczęście jego libacje to zjawisko przejściowe. Archie też się rwał, żeby pogadać z monalojskim fenomenem, ale Jason postanowił, że na razie porozmawia z nim sam. W dodatku, żeby nie męczyć Olafa, zrobi to na świeżym powietrzu. Od czasów 234 rozmowy z Urizbajem Jason nie zapominał o miejscowej szpiego-manii.

Olaf przyleciał punktualnie, świeżutki i trzeźwy. Wypił może jedną szklaneczkę czorumu, ale nie więcej. Obaj z Jasonem od razu poszli się przejść wzdłuż wypalonych wulkanem i gwiazdolotami pól, w stronę śnieżnej czapy Grugugużu-faj i żalonych resztek zie-leni w dole na zboczach. Był pogodny bezwietrzny wieczór. Do zmroku zostały dwie godziny.

- Zapalisz? - spytał Jason.

- Daj - zgodził się Olaf. - Ze sto lat już nie paliłem. A niech mnie! Co za rozkosz!

Tym razem Jason w swoim niezbędniku miał ciężką jak mina artyleryjska, cylindryczną paczkę „Galaktycznego Wichru” - praw-dopodobnie najdroższych aromatyzowanych papierosów, produkowa-nych na Lussuozo. Na tej planecie, gdzie samo powietrze uzdra-wiało i odmładzało, palenie było surowo wzbronione. Więc gdzie indziej we Wszechświecie mogli robić lepsze papierosy dla ekstra-waganckich bogaczy?

Zapalili, pozachwycali się boskim aromatem i subtelnymi od-cieniami smaku. Potem Jason zapytał wprost:

- Olaf, dlaczego przyjęli cię z powrotem? Przecież zdradziłeś ich ideały i zasady?

Olaf stanął i popatrzył na Jasona ze współczuciem. - Czyje ideały? Czyje zasady? Faderów? Bredzisz, Jason. Ci ludzie nigdy nie mieli czegoś takiego, jak zasady i ideały. Dla nich istniejątylko dwa pojęcia: pieniądze i siła. Kto ma choć jedną z tych rzeczy, ten ma autorytet. A jeśli ma obie -jest królem Wszechświa-ta. Ja swoje pieniądze roztrwonilem dawno temu, za to zdobyłem nową siłę. Oni to poczuli i znowu przyciągnęli mnie do siebie. - Dobrze - skinął głową Jason. - Połowę waszych stosunków już rozumiem. Teraz drugie pytanie. Na co ci Faderzy? Przecież, jeśli dobrze pamiętam, nie chciałeś być handlarzem niewolników. - Dobrze pamiętasz. Ale nie bierzesz pod uwagę, że byłem wte-dy młody i naiwny. Bardzo naiwny. Śmieszny. - A teraz?

- Teraz wiem, że nie mam wyboru. Nie zapominaj o tym, Ja-son. Obaj jesteśmy Monalojczykami, powinienes mnie zrozumieć. Jest takie pojęcie „czumrynista”. Rzadko się go używa. Tubylcy są 235 narkomanami, wszyscy jak jeden mąż, więc nie mają potrzeby na^ wzajem się obrażać. Dla sułtanów to tabu, nigdy o tym nie mówią. Żaden z łysych tubylców nie powinien wiedzieć, że istniejaciemno-skórzy, którzy jednocześnie nie są narkomanami. A wśród sułtanów tacy są. Emir-szach, jak się pewnie domyślasz, też nie jest uzależniony. Wyłysiał na własne życzenie. Żaden cud, są takie preparaty, od których nawet rzęsy wypadają. A wśród Faderów już czumryni-stów nie ma. Tylko ja zostałem, reszta nie żyje. Olaf zamilkł i zamyślił się niewesoło.

- Faderów teraz można policzyć na palcach jednej ręki. Rozu-> miesz sytuację? Dlatego potrzebują pewnych ludzi. - I to ty jesteś tym pewnym człowiekiem? - zdumiał się Jason.;

- Oczywiście. Nie mam gdzie się podziać. Osądź sam - spróbowałem wyjaśnić Olafowi. - Z planety odlecieć nie mogę, a na Monaloi! wybór jest niewielki. Przecież nie wysłał mnie, żebym się garbił z owocownikami, bo wiedzą, że znajdę sposób, żeby umrzeć wcześniej i jeszcze kogoś ze sobą pociągnę. To co, mam znowu uciekać do lasu? Czy było coś, czego tam nie widziałem? Szalonych stride-rów? Stukniętych kalhinbajów? Popaprzanych kapłanów? Wszystko > już przerabiałem. Co mi zostaje? Być kuratorem przy sułtanie? Zo-4 stać farmerem? Śmieszne i smutne zarazem. Byłem bardzo bogatym i bardzo wpływowym człowiekiem i już nie potrafię żyć inaczej. Tym bardziej teraz, gdy mam...

- Przez cały czas mówisz nie na temat. Spodobało mi się wtedy, że nie chciałeś handlować ludźmi. Lekarstwem, chociaż straszonym, handlowałeś, ale ludźmi nie. To było piękne. A teraz mnie rozczarowujesz.

Olaf zatrzymał się i gwałtownie odwrócił w stronę Jasona.

- Nigdy bym nie pomyślał, że czumryt ma taki skutek uboczny.

- Jaki? - nie rozumiał Jason.

- Że robi ludzi naiwnymi aż do infantylizmu. Tylko dzieci mają pięknych ideałów. Dorosłe życie jest prostsze i brutalniejsze. Po jakimś czasie odmówiłem handlowania niewolnikami, skoro już wtedy od roku handlowałem „białą śmiercią”, a przedtem kradłem i zabijałem? Dlaczego? Naprawdę sądzisz, że uzależnianie ludzi od czumrytu jest lepsze niż gnojenie ich na plantacjach? Nie ma różnicy. Gdybym nie zajął się handlem narkotykami, wcześniej czy później zacząłbym sprzedawać dzieci pieczone w cieście. Tak to już jest 236 w życiu, wybierasz mniejsze zło, a potem się okazuje, że wybrałeś coś trzeciego, w dodatku najgorszego. Nie ma innego wyjścia.

- Mam coraz większe wątpliwości, któremu z nas czumryt uszkodził mózg - zauważył Jason. - Co ty pleciesz? Przecież są na świecie ludzie, którzy nie zabijają, nie kradną, zajmują się uczciwą pracą i żyją całkiem nieźle.

- Dobrze powiedziane - złapał go za słowo Olaf. - Żyją całkiem nieźle. Takich ludzi jest sporo. Ale nie mówimy o nich, tylko o takich jak ja. Przywykłem do tego, żeby mieć władzę i pieniądze. A wielkie, naprawdę wielkie pieniądze zawsze są we krwi. - Jesteś absolutnie pewien tego, co mówisz? - spytał Jason, wstrząśnięty cynizmem Olafa.

- Absolutnie. - Olaf nagle zwiądnął, jego oczy zasnuła mgiełka smutku. Dodał: - Zwłaszcza po tym, jak zabili Envisa. - Kogo? - zdziwił się Jason.

Ktoś niedawno nazwał Envisa porządnym gościem. Kto? Co za kasza w głowie, nic nie można sobie przypomnieć! - Co się tak dziwisz? Mówię o Envisie, o naszym uparciuchu. Z niego był dopiero romantyk! Tak jak ty uważałeś, że można zarobić ogromne pieniądze na szlachetnych czynach. Opowiedzieć ci jego historię? A może już ją znasz?”

To był prawdziwy sukces. Jason chciał pogadać z Olafem właśnie o Envisie. Przecież to Envis znał najwięcej tajemnic Ketcze-rów, to jemu zagadkowa załoga „Ovena” powierzyła gwiazdolot „Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden”. Jason postawił sobie za zadanie jak najwięcej dowiedzieć się o tym człowieku. Dlatego zaczął podchodzić od liryki, filozofii i morałów. I udało się! Olaf sam skierował rozmowę na właściwy tor.

- Nic nie wiem o Envisie - powiedział szczerze Jason - oprócz tego, co on sam opowiedział przed śmiercią. Wtedy, na ketczerskim gwiazdolocie.

- W takim razie słuchaj.

Gdy Envis był małym chłopcem oczywiście nazywał się inaczej. Na imię miał Thomas: było to bardzo popularne imię na szczęśliwej, bogatej planecie Sigtuna. Thomas skończył szkołę, a potem Między-gwiezdny Uniwersytet w jednym z centrów galaktycznej nauki, na 237 Ronthobie. Zdobył najbardziej prestiżową specj alność - budowa stat-ków i techniczna obsługa ciężkich kosmicznych maszyn. Ale wszyst-ko to robił na wyraźne życzenie rodziców, szanowanych inżynierów z solidnej firmy. A on sam marzył o czymś zupełnie innym - o wiel-kim biznesie.

Thomas Krongird wyrósł w zamożnej rodzinie, dzieciństwo miał beztroskie i radosne. Ale wśród jego przyjaciół trafiali się tacy, którym żyło się bez porównania lepiej tylko dlatego, że mieli bogatszych rodzi-ców. Gdy Thomas był bardzo młody, nie wydawało mu się to przykre. Ale gdy zaczął dorastać, zorientował się, że jego bogaci przyjaciele do-stajaw spadku banki, fabryki i całe finansowe imperia. Młody Krongird poczuł paskudną zawiść. Własny interes stał się jego obsesją. Siłą inercji posuwał się powytyczonej przez rodziców drodze. O tym, żeby mieć choćby malutki, ale własny sklepik, rodzice nie chcie-li nawet słyszeć. „Bzdury! Czy ty masz dobrze w głowie? Pochodzisz z rodziny Krongirdów i nie możesz zajmować się handlem. To niegod-ne naszego rodu!” Też mi ród! - myślał urażony Thomas. Nawet na żalсны międzyplanetarny kuter nas nie stać. Uniwersytet ukończył łatwo, ale psychicznie z każdym dniem było mu ciężej. Na pewnym etapie podporą była dla niego ukochana kobieta. Lara wierzyła w sukces Thomasa i to nie tylko w dziedzinie nauki i pracy. Dzielila z nim wszystkie jego nierealne idee, teraz związane już nie ze sklepem spożywczym czy butikiem z modną odzieżą, jak za szkolnych czasów, ale z ogromnymi kosmicznymi projektami ł dalekimi ekspedycjami.

Na miesiąc przed obroną dyplomu Lara zginęła w katastrofie samochodowej. Thomas próbował popełnić samobójstwo. Odrato-wano go. Jego matka miała potem atak serca i umarła, co zaskoczy-ło samych lekarzy. Ojciec chyba sądził, że syn specjalnie wpędził matkę do grobu, albo uwierzył w złą siłę, która nagle wcieliła się w Thomasa - tak przynajmniej zaczęli mówić sąsiedzi z ich ulicy. Tak czy inaczej, staremu Krongirdowi wyraźnie zaczął szwankować rozum. Zwolnił się z firmy i najął się do ciężkiej pracy robotnika w dalekich rejsach. Śmierć szybko go znalazła - przy najbliższej gwież-dzie, podczas bezsensownego zderzenia z wielkim meteorytem. Thomas na wieść o tym nawet się nie zdziwił. Wtedy miał już do wszystkiego stosunek filozoficzny. W jakiś czas później w przy-padkowej pijackiej burdzie zastrzelono jego najlepszego przyjaciela.

238

Ten wypadek również Thomasa nie zaskoczył, za to skłonił do szu-kania odpowiedzi. Nie zwrócił się jednak na policję czy do leka-rzy, tylko do znanego na Ronthobie maga Trunskabieja. Dawniej uważał Trunskabieja za szarlatana, teraz za swoją jedyną szansę. Brodaty mag o dziwnej zielonej skórze (czyżby specjalnie ją far-bował?) wysłuchał młodzieńca uważnie i zadał tylko jedno pyta-nie: „Czego pragniesz w życiu?” - „Chcę uczciwą pracą zarobić mnóstwo pieniędzy, więcej niż ktokolwiek we Wszechświecie. I uszczęśliwić ludzkość”. - „Wiesz, jak?” - Zdumiał się Trunskabiej. „Wiem - odparł Thomas bez cienia wątpliwości. - Trzeba zjed-noczyć wszystkie planety, zbudować supergwiazdolit i polecieć nim w inny Wszechświat. To właśnie będzie szczęście”. Mag docenił jego koncepcję i dał mu pewną radę. By zminimalizować wpływ ciemnych mocy, Thomas musi zapomnieć o swoim zawodzie, prze-nieść się na jakąś odległą planetę i tam zacząć nowe życie. Wtedy jego bliscy przestaną umierać, a gigantyczny projekt zrealizuje się niejako sam.

Thomas wysłuchał, przemyślał... i zrobił wszystko na odwrót. Tym bardziej, że trafiła mu się interesująca praca w najlepszej ko-smicznej stoczni Sigtuny. Szybko został głównym inżynierem, a na-stępnie współtwórcą nowego projektu.

Ale nadal nad jego bliskimi ciążyło fatum. Kąpiąc się w stawie, utonęła jeszcze jedna jego dziewczyna. W kosmosie przepadł bez wieści jego bliski przyjaciel z czasów szkolnych, a główny partner w interesach zmarł na nieznaną chorobę. Trzy epizody w ciągu pię-ciu lat można by uznać za statystyczną średnią nieszczęśliwych przypadków, gdyby nie poprzednie wydarzenia... Thomas nauczył się nie zakochiwać i nie mieć przyjaciół. To był jego własny sposób osiągnięcia celu, bardzo różny od podpowiedzianego przez Trun-skabieja.

Ostatecznie przestał wierzyć w prorocstwo maga, gdy stanął na czele projektu „Segera”. Supergwiazdolit budowali wspólnie ludzie z ośmiu planet. To był niezwykły, pierwszy po niemal 1000-letniej przerwie projekt zjednoczonej ludzkości, którego celem było bada-nie innych Galaktyk. Marzenie Thomasa spełniało się na jego oczach. Nikt już nie mógł mu przeszkodzić.

Nikt z jego bliskich nie umierał. Znowu miał przyjaciół, a nawet dziewczynę - córkę uranowego magnata, multimilionera. Nie było 239 między nimi miłości, lecz spokojna pewność, oparta na obopólnym porozumieniu: Thomas zrealizuje projekt i wtedy się pobiorą. Na trzy dni przed startem „Segera” wybuchł skandal. Okazało się, że część środków, które Cassylia wyłożyła na sfinansowanie pro-jektu, to brudne pieniądze. Szpicle z Korpusu Specjalnego przetrzą-sali wszystko i wszystkich: projektantów i pilotów ze Scoglio, drob-nych i poważnych sponsorów z Cassylii, nawet dobrowolnych ofiarodawców z innych planet, cały główny skład sigtuńskiej załogi i nie kończąca się kolejkę rezerwowych z najdalszych zakątków Ga-laktyki. W tej sytuacji start „Segera” musiał zostać odłożony. Dla Thomasa oznaczało to katastrofę.

Wtedy stary szturman Re, wilk kosmiczny ze Scoglio zapropono-wał Thomasowi, żeby nie czekać na decyzję zjednoczonego rządu sied-miu planet, tylko bez zgody Ligi Planet wystartować w wyznaczonym terminie. Politycy, funkcjonariusze, biurokraci... co oni mogli wiedzieć o prawdziwej nauce i kosmicznej romantyce? Przecież galaktyki poru-szają się względem siebie tak samo jak ciała niebieskie. Jeśli start się opóźni, nie zdążą. W ten sposób największy gwiazdny eksperyment w historii ludzkości zakończy się fiaskiem. Thomas rozumiał to lepiej niż ktokolwiek inny. W końcu stary Re go przekonał. Cóż, wejdą w poważny konflikt z władzami, krótko mówiąc po-rwą najnowszy gwiazdolit. Skład załogi zostanie bardzo okrojony - nie sposób wtajemniczać wszystkich w tak drażliwą sprawę. Thomas wierzył, że jego najlepsi specjaliści poradzą sobie z każdym ewentu-alnym problemem. A gdy wróca... Zwycięzców się nie sądzi. Thomas był tak pochłonięty samą ideą wylotu w wyznaczonym terminie, że nawet nie wnikał, jakim cudem stary Re chce uspić czuj-ność pracowników Korpusu Specjalnego, którzy dniem i nocą pil-no wali „Segera”. Zrozumiał to znacznie później. Nadszedł wyznaczony dzień. Wystartowali. Czterdziestu ludzi zamiast stu czterdziestu. Gdy wyszli w podprzestrzeń i odwrotu już nie było, od razu wyjaśniło się mnóstwo interesujących szczegółów. Okazało się na przykład, że ludzie słuchaj ą nie Thomasa czy kapita-na Zonnera, tylko - nie wiadomo dlaczego - szturmana Re, jego najbliższego przyjaciela ze Scoglio Paola Fermo i, co najdziwniej-sze, lekarza ekspedycji, Swampa. A głównodowodzącym został nie-oczekiwanie niejaki Krumelur, stojący na czele służby bezpieczeń-stwa. Thomas spróbował się zorientować, na ile ich obecny kurs 240 odpowiada wcześniej wyznaczonemu i zrozumiał, że statek leci w trybie przypadkowego przeszukiwania z przewidywanym stop-niowym wychodzeniem z podprzestrzeni; innymi słowy, gubi

„ogon”. O Obcych i innym wszechświecie nie było nawet mowy. Zmiana tego programu była zwyczajnie niemożliwa. Cały koszmar tego, co się stało, runął na Thomasa niczym 20-krotne przeciążenie.

Przepowiednia maga Trunskabieja spełniała się. Oszukano go.

Oszukano w najokrutniejszy sposób.

Brudne pieniądze z Cassylii włożono w ten projekt nie przy-padkiem. Ojcem chrestnym międzyplanetarnej mafii okazał się skromny szturman ze Scoglio, stary dobry Re. Bandydzi nie mieli jeszcze konkretnych planów. Stopniowe wychodzenie z podprzestrzeni trochę trwa, więc na wyjaśnienie wzajemnych stosunków i wytyczenie dalszych celów załoga miała co najmniej dwa tygodnie. Za-częli oczywiście od strzelaniny - dwóch rannych, trzech zabitych; potem zrobiło się spokojniej. Zwłaszcza po tym, jak zastrzelono zde-konspirowanego przypadkiem agenta Korpusu Specjalnego, który próbował łączyć się ze wszystkimi planetami po kolei. Thomas boczył się najdłużej i jeden ze starszych baronów narkoty-kowych Sigtuny otwarcie groził, że go zabije. Potem sam umarł bez wyraźnych przyczyn. Taki sam los spotkał dwóch innych, którzy próbo-wali wyrównać rachunki z Thomasem. Słuchy o niewesołym życiu Kron-girda od dawna krążyły po całym północnym pasie Galaktyki. Bandydzi stali się czujni, można nawet powiedzieć, że żyli w napięciu. Przeszty-czy światek zawsze był zabobonny. Gdy Thomas wygłosił swoje histo-ryczne zdanie: „Wszystkich was zabiję, żeby uszczęśliwić ludzkość” - przewali go Envisem, za nieustępliwość w dążeniu do szalonego celu.

Przedstawiciele ludzkości, których Thomas Krongird i jego nowi towarzysze zobaczyli na Monaloi, wyraźnie nie zasługiwali nie tyl-ko na szczęście, ale nawet na umiarkowanie cywilizowane warunki życia. Ubodzy narkomani, żyjący od działki do działki i cieszący się z tego codziennie, tak jak normalni ludzie cieszą się ze słońca, deszczu czy wiosennych listków na drzewach, wpędzili Thomasa, a ra-czej Envisa w głębokie przygnębienie. Przestał marzyć o innych ga-laktykach i innym wszechświecie. Po co to wszystko? Ludzie zawsze i wszędzie będą tylko ludźmi. To najbardziej niereformowalny gatunek zwierząt. A wtedy jeszcze zaczęło się masowe wstępowanie bandytów

16 - Planeta śmierci 6

241 w szeregi narkomanów i wkrótce potem kilka tragicznych śmierci pod rząd...

- Dalszą historię znasz - podsumował Olaf. Nie do końca. Jason intensywnie myślał, o co zapytać w pierw-szej kolejności.

- Ludzie wokół niego rzeczywiście umierali z niezrozumiałych przyczyn? - zaryzykował.

- Nie wiem tego na pewno, ale Swamp na przykład uważa, że Envis musiał być czarownikiem. Chociaż Swamp ostatnio zaczął zwracać się w stronę mistyki. Ale nawet taki racjonalista jak Kru-melur zawsze bał się Envisa. Nie wiem... Fakt pozostaje faktem: z czterdziestu ludzi dziś pozostało ośmiu. Z jednej strony to daje do myślenia, a z drugiej... cóż, ryzyko zawodowe. Przecież gdy już kupiliśmy statki, zajęliśmy się zwykłym piractwem. j - Poczekaj - nie dawał za wygraną Jason. - Za dużo niejasno*?-ści. Przecież Envis rzeczywiście trafił do Ketczerów. Czyżby przed*; stawiciele wyższej rasy nie umieli rozgryźć jego zagadki? j' - O, oni na pewno umieli - westchnął Olaf. - Ale kto nam o tyra;

opowie? Ketczerzy to w ogóle odrębna historia. -j

- Wiesz coś o nich? - spytał ostrożnie Jason. I

- Niewiele. Dużo mniej niż bym chciał i głównie od Envisa. A.

Jason wyczuł, że Olaf kłamie, ale nie dał tego po sobie poznać

Spytał: Ł?|

- Jak Envisowi udało się trafić do Ketczerów? t f

- Bardzo prosto. Mieliśmy taką zasadę: nigdy nie latać na „Se>| gerze” pojedynczo. „Se>| ger” to wspólny statek, przeznaczony do wspólnych celów. Ale im dalej, tym trudniej o wspólne cele. Każdy latał w inne rejony Galaktyki na czym innym. Falk z grupą szalonych chłopaków na ogromnych krążownikach i liniowcach, Olidig na gigantycznych frachtowcach, w których wypełniał towarem nie tylko ładownie, ale i kajuty. Krumelur do celów dyplomatycznych używał najszybszych na świecie Niewidek, Swamp, choć rzadko, latał na badawczych statkach opracowanych jeszcze przez Fermo na Scoglio i udoskonalonych przez Envisa. Sam Envis nigdzie nie latał. Ciągle czekał na odpowiedni moment. Aż któregoś dnia, bez uprzedzenia, w tajemnicy zniknął razem z „Se>| gerem”. Wszyscy byli przekonani, że w końcu zrealizował swoje marzenie. Złitował się nad nami i nie zabił nas, tylko odleciał do innego 242 wszechświata... jeśli oczywiście „Se>| ger” był zdolny dolecieć tam z jednym człowiekiem na pokładzie. W każdym razie nikt się nie spodziewał, że Envis wróci. Wielu nawet się cieszyło, że go nie ma. Flotę mieliśmy już wtedy ogromną, dalibyśmy sobie radę i bez „Se>| gera”. To przecież był nie tyle statek roboczy, co pewnego rodzaju talizman.

No i Bóg z nim, nie byliśmy dziećmi, żeby wierzyć w bajki.

Ale Envis niespodziewanie wrócił.

Nawet dość szybko. Zresztą kto może wiedzieć, ile potrzeba czasu, żeby polecieć do drugiego wszechświata? Może bardzo mało? Może tam czas biegnie wstecz? Envis nie opowiadał nam, gdzie był, co i kogo widział. Już wcześniej miał opinię cudaka, a teraz całkiem zdziwaczał, zamknął się w sobie. Ale przestał odmawiać latania frachtowcami do najbliższych systemów gwiazdnych. Okazało się, że jest gotów nie tylko prowadzić statki i handlować. Envis stał się nagle okrutny. Chętnie uczestniczył w pieleniu, osobiście rozstrzeliwał niepokornych, torturował kłamców, wyduszał z nich prawdę o schowanych pieniądzach. Jego autorytet w świecie warzyw rósł błyskawicznie, tym bardziej, że wszyscy uważali, że tkwiące w nim zło ma znaczenie mistyczne.

Mieliśmy taką zasadę, że gdy Faderzy wylatywali gdzieś w swoich sprawach, zawsze zostawiali jednego na planecie. Envisowi nie od razu powierzyli rolę dyżurnego, bali się. I słusznie. To chyba była trzecia z kolei wachta Envisa po jego powrocie na Monaloi nie wiadomo skąd. Został sam na niecałą dobę, na dwadzieścia godzin, ale wystarczyło... Nad planetą przeszedł straszny huragan: maszyny połamane, drzewa powyrywane z korzeniami, ofiary w ludziach... Envis dowodził załogami ratunkowymi, ale ja-koś tak obojętnie, jakby zasypiał w locie. Chłopcy potem oglądali taśmy, widzieli, jak się zachowywał i obcesowo pytali... oni wszyscy byli prości jak reaktor jądrowy: „Sam urządziłeś ten huragan?” Envis nic nie odpowiedział, zabrał się i odleciał. Ale nie na „Se>| gerze”. Na zwykłym kutrze ze skromnym silnikiem i mizernym wyposażeniem. Tym razem wszyscy byli pewni, że już go nie zobaczą. Ale ten nieszczęśnik znowu wrócił, w dodatku na dziwnym statku w kształcie muszli, o ładowniach zapchanych niewolnikami z różnych planet. Wylądował w Tomhecie, wjechał do wolnego hangaru remontowego, niewolników wylądował według instrukcji Olidiga, który wtedy zarządzał siłą roboczą, a potem wyszedł i oświadczył:

„To będzie tylko mój statek, braciszku! Nigdy go nie dostaniecie. «Segerem» możecie się udławić, a ja wkrótce stanę się niepokonany. Nikt mi nie dorówna w całym Wszechświecie. Dajcie mi tylko czas”. Olaf zamilkł, dając do zrozumienia, że doszedł do bardzo ważnego momentu w historii Envisa. Po chwili wyjaśnił:

- Wtedy już odszedłem od Faderów. Nie zajmowałem się handlem niewolnikami i o tym wszystkim dowiedziałem się, siedząc w lesie. A chłopcy reagowali różnie.

To, że braciszek Envis ostatecznie zawiował, było jasne, ale gwiazdolit-muszla wszystkich intrygował. Czyżby naprawdę należał do Ketczerów? Męczenie Envisa pytaniami nie miało sensu. Jeśli opowie, to z własnej woli. Niektórzy nie chcieli tego zrozumieć i aż gotowali się ze złości. Wielu próbowało dostać się do muszli. Swampowi i Krumelurowi to się udało, lecz co z tego! Gwiazdolit był odporny na wszelkie próby uruchomienia i naprawdę straszny w swojej tajemności. Niewzruszony, przywykły do wszystkiego Swamp przeżył silny szok. Przez dwa tygodnie nie mógł pracować, chodził jak błędny, wypijał morze whisky i czasami zaczynał mamrotać w nikomu nie znanych językach. Krumelur zareagował spokojnie, ale wszystkim innym zabronił wchodzenia do tego cudu. Na nieposłusznych rzucał się jak dzikie zwierzę. Potem obydwu te wariacje minęły. Tylko Envisowi nie przeszło. Cóż, od dzieciństwa był stuknięty. Teraz badał po kryjomu gwiazdolit i szykował się do realizacji swojego marzenia. Strasznie był uparty, przez całe życie ani razu nie zmienił głównego celu. Tylko drogę wybrał bardzo krętą. Kiedyś Envis przyleciał do mnie do Przeklętej Dżungli. Czego chciał, nigdy się właściwie nie dowiedziałem, ale wyciągnąłem go na zwierzenia. Ile było w jego opowieści prawdy, nie wiem, ale według słów Envisa, sprawa wyglądała tak...

Jeśli Jason dobrze rozumiał, teraz zaczynał się drugi „odcinek” historii Envisa. Olaf opowiadał mętnie, powtarzał się, plątał, ale Jason wolał mu nie przerywać.

- Podczas swojej pierwszej ucieczki na „Segerze” Envis trafił do Ketczerów. Okazało się, że oni od dawna na niego polowali. Nie, 244 nie na „Segera”, tylko właśnie na niego. Poszukiwali go jeszcze, gdy był Thomasem Krongirdem, ale nigdy im się nie udało. Aż do tamtego momentu. Myślę, że oni chcieli tylko Envisa, nie życzyli sobie, żeby ktokolwiek był świadkiem ich kontaktu. W końcu im się udało. Ketczerzy zbierali na swojej ulubionej planecie Giuvans wszystkie fenomeny, wszystkie niezwykle zjawiska zamieszkanego Wszechświata. Po co? Tego nie wyjaśnili, ale Envis był im potrzebny. Nalegali, żeby został. Envis nie miał nic przeciwko temu, ale tłumaczył, że powinien zwrócić „Segera” przyjaciółom na Monaloi. Czyżby przebudziło się w nim sumienie? A może to był tylko podstęp? Przecież on wcale nie porwał „Segera”. Gwiazdolit właściwie należał do niego, poza tym nigdy nie uważał nas za przyjaciół. A może wtedy zmienił zdanie? Po tylu wspólnych interesach, wspólnie zgubionych duszach, morzu przelanej krwi... Chłopak marzący o bogactwie i szczęściu całej ludzkości czy bandyta, który budził strach w całych systemach gwiazdnych? Fenomen, którym zainteresowali się sami Ketczerzy? Envis poczuł, że po prostu musi wrócić na Monaloi. Ale nikt tam na niego nie czekał. Nawet najbardziej podli ludzie we Wszechświecie odwrócili się od niego i nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Czekali na niego tylko Ketczerzy. A Ketczerzy nie byli ludźmi, przynajmniej nie do końca. I on to czuł. Życie udzieliło Envisowi jeszcze jednej bolesnej lekcji. Stąd zapewne ten huragan... bezpośrednia reakcja na ból i rozczarowanie. Potem Envis znowu poleciał na Giuvans. To najciemniejsza karta w jego życiu. O tym ostatnim spotkaniu z Ketczerami mówił bardzo niechętnie. Podobno się od nich uczył i sam też ich uczył, podobno się zbratali. Ketczerzy postanowili zaufać mu i powierzyć swoją starożytną świątynię - od dawna nie

działający gwiazdolot w kształcie muszli, dysponujący, jak głosi legenda, nieprawdopodobnymi moż-1 liwościami. Wystarczyło, żeby Envis wszedł do tej świątyni, by ona ożyła. Nazwał statek dumnym imieniem „Oradd”...

Olaf nagle zamilkł i wymamrotał pod nosem:

- Dziwna sprawa z tą pamięcią! Przecież nic nie mogłem sobie przypomnieć, a teraz...

Jason nie wiedział, czy to wyznanie było szczere, czy to tylko kolejny wybieg. Olaf tymczasem kontynuował opowieść:

245

- Envis nas nie oszukiwał, gdy mówił, że Ketczerzy podarowali mu ten statek. Nie mogli mu go nie podarować. Przecież Envis okazał się... nawet nie wiem, kim. Może jednym z nich. Może czło-wiekiem jeszcze bardziej starożytnej rasy niż Ketczerzy, a może po prostu „Jduczykiem” od muszli, który dopiero teraz się znalazł. Envis pewnie też nie umiałby odpowiedzieć. Gdy miał już „Oradda”, po raz kolejny poczuł, że jest innym człowiekiem. Nie chciał zostać u Ketczerów. A przecież to był najlepszy moment, żeby dowiedzieć się wszystkiego o tej zagadkowej rasie, wykorzystać ich wiedzę i polecieć do innego wszechświata. Ale Emisa przestało to intere-sować. Co go obchodzający tam Ketczerzy i inna galaktyka? Teraz mógł spełnić swoje marzenie i ta świadomość mu wystarczyła. Miał cudowny statek, który pozwoli mu zapanować nad Wszechświatem. Envis posłu-chał intuicji i postanowił jeszcze raz wrócić na Monaloi. Najpierw jednak chciał poznać ketczerską kolekcję fenomenów. Poświęcił na to miesiąc. Gdy już miał odlatywać, okazało się, że w jego gwiazdlocie trzymająjakiegoś więźnia. Envis rozzłościł się nie na żar-ty, ale nie na Ketczerów, tylko na samego więźnia. Wtedy coś jeszcze raz przeskoczyło w głowie Envisa. Nagle pomyślał: „Ech, jeszcze nie wszystkiego w życiu spróbowałem!” Tak się dziwnie złożyło, że będąc jednym z Faderów, ani razu nie dostarczał na Monaloi niewolników. A przecież to takie zajmujące! Niech więc ten więzień stanie się jego pierwszym niewolnikiem. A po drodze zbierze ich więcej, tyłu, ilu pomieszczą ładownie „Oradda”. Ładownie pomieściły niezbyt dużo, ale zawsze trochę. Envis nawet zdobył wdzięczność przyjaciół. Chociaż w dalszym ciągu trzy-mał się na uboczu i bezwstydnie chwalił się swoim nowym gwiazdo-lotem, Faderzy po raz pierwszy przestali się go bać. Paradoks, praw-da? Przecież właśnie stając się właścicielem „Oradda” wyszedł na ostatnią prostą do osiągnięcia swojego celu. Faderzy nie byli już dla niego wrogami, tylko zwykłymi śmieciami, okruchami, które trzeba zmieść, zanim nakryje się stół w oczekiwaniu drogich gości. Jakich właściwie Envis gości oczekiwał, nigdy się nie dowiemy. Nie wiem, czy wiesz, ale to właśnie ty poplątałeś mu szyki. Twoje pojawienie się na planecie spowodowało ostatnią i największą zmia-nę w głowie Thomasa Krongirda. Envis znowu stał się Thomasem w tym sensie, że całe jego faderskie doświadczenie, cały rozum i prze-biegłość gdzieś znikły. Nie umiał wykorzystać wiadomości zdobytych 246 u Ketczerów, zachowywał się idiotycznie. Stracił rozsądek, pamięć, ostrożność - wszystko! Pozostał mu tylko odwieczny upór, niezwy-kła zdolność sterowania obcym gwiazdolotem i szalone marzenie: wydusić wszystkich drani i zająć się w końcu dobrymi uczynkami, uszczęśliwić ludzkość i tym samym odkupić swoje grzechy. Ale za bardzo mu zależało. Wiadomo, jak to się kończy. - Tak - zgodził się Jason. - Jednego tylko nie mogę zrozu-mieć: jak Krumelur przedostał się na ten superstatek i zabił Envisa? - Żadnych cudów w tym nie było - wyjaśnił Olaf. - Wcale się tam nie pchał. Po prostu wcześniej naszpikował „Oradda” różnymi śmiertelnymi pułapkami. Na wszelki wypadek. Gdy tylko ze Swam-pem odkryli metodę przenikania do wnętrza,

Krumelur zamino-wał na statku wszystko, co się dało. Dlatego pewnie nie chciał tam nikogo wpuszczać. „Oradd” jest skomplikowaną jednostką, ale wykonano go ze znanych materiałów. Szczeliny, rowków i otworów było w nim pod dostatkiem. Swamp nie zaryzykowałby czegoś takiego, ale Krumelur jest pozbawiony wszelkich irracjonalnych i mistycznych lęków. Racjonalizm i trzeźwość myśli zwyciężyła. Dlaczego korpus gwiazdolotu nie ekranował sygnałów, wysyłanych do bomby, o to trzeba by spytać Ketczerów. Podobnych interesujących pytań można ‘wymyślić bez liku. Po śmierci Envisa „Oradd” przez nikogo nie pro-wadzony płynnie zszedł na ziemię, otworzył luki i wypuścił nas. Trzymając się za ręce wyszliśmy na zewnątrz niczym lunatycy. W takim stanie Krumelur załadował nas na swój osobisty kuter, ale dopiero gdy już miał pewność, że Envis nie żyje. Tak, bracie. A ty się dziwisz, dlaczego ja raz pamiętam swój a przeszłość, drugi raz zapominam, to mówię jedno, to drugie...

- Przestałem się już czemukolwiek dziwić - westchnął Jason. - Tylko nie chcę żyć w świecie absurdu. Dlatego próbuję się do czegoś dokopać...

- Uważasz, że ci pomogłem? - Zapytał Olaf. - Tak - Jason skinął głową ze szczerą wdzięcznością. - Ciekawa historia. Chociaż stara jak świat. Niepoprawni marzyciele, pragnący uszczęśliwić ludzkość zawsze przynosili światu same nieszczęścia. Ale nie nad tym powinniśmy się zastanowić. Widzisz, historia Envisa wiele wyjaśnia, ale nie wszystko.

Jasonowi ciągle brakowało jakiegoś ważnego szczegółu, ciągle nie mógł ułożyć takiego obrazu zdobycia Monaloi i rozwoju biznesu 247 narkotykowego, który nie zawierałby sprzeczności. O potworach i Solvitzu na razie nie myślał - kompletna abrakadabra. Żeby przynajmniej rozwiązać pierwszą serię zagadek!

- Wróćmy do początku - zaproponował.

- Do jakiego początku? - nie zrozumiał Olaf. - Do początku naszej rozmowy. Im dłużej cię słucham, tym silniej czuję, że nie jesteś prawdziwym bandytą. Wśród Faderów znalazłeś się przypadkiem, tak jak Envis. Więc na co oni są ci dzisiaj potrzebni? Do tego początku chcę wrócić. Opowiedz mi uczciwie, nie kłam, że nic nie pamiętasz, bo czuję, że w Tomhecie zdrowo cię odkarmili mięsem pitahi.

- Męczący z ciebie człowiek, Jasonie - uśmiechnął się Olaf. - No dobra, trudno. Opowiem, ale krótko. W gardle mi zaschło i zaraz się ściemni. Wracajmy.

- Wracajmy - zgodził się Jason. - A skoro ci w gardle zaschło, to się napijmy. Teraz już można, najważniejsze rzeczy omówiliśmy. Olafowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Od razu wyciągnął z za pazuchy butelkę z czorumówką. Miał nawet w kieszeni kieliszki. - Za nasze zwycięstwo!

- Nad kim? - zainteresował się Jason.

- Nad wszystkimi - odparł chytrze Olaf. - No to słuchaj, póki jeszcze jestem trzeźwy, Jak wypiję jeszcze ze dwie szklanki, to Faderów, Ketczerów i ciebie będę miał w nosie. - Tak jest! - Jason wyprężył się nabcznością jakoby przyjęte u oficerów kosmicznej floty Ligi.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że Thomasowi zaginął przyjaciel z dzieciństwa? To byłem ja. Mała międzyplanetarna barka wybuchła podczas podchodzenia do nie zamieszkanego asteroidu. Byłem w niej tylko ja i dlatego nawet nie szukano szczątków. Bo i czego mieli szukać? Wybuch zarejestrowały przyrządy. Sam wiesz, że jeśli nie znaleziono ciała, to człowiek nie zginął, lecz zaginął bez wieści. Dobrze mówię? Powinienem być zginąć. Ale w ostatniej chwili przed wybuchem ekran

czołowy przemienił się nagle w wielki czarny kleks i tam mnie pocią-gnęło. Zdażyłem jeszcze usłyszeć łoskot wybuchu, ale przejście w hi-perprzestrzeń, które nie wiadomo skąd się wzięło, uratowało mi życie. - Rwanaur ~ wyszeptał Jason.

- No, później się dowiedziałem, że to się właśnie tak nazywa...

Ej! A ty skąd wiesz?...

248

- Wybacz, ale moje zwierzenia następnym razem. I gdzie cię zaniósł? Na Monaloi?

- Nie od razu - powiedział Olaf. - Na początku trafiłem na średnio rozwiniętą planetę. Na niej, jako uwolnieni chłopci pańszczyźniani, żyli przedstawiciele pewnej starożytnej rasy. Myślę, że to mogli być Ketcze-rzy. Wprawdzie nazywali się jakoś inaczej, ale Ketczerzy, jeśli wierzyć Envisowi, sami sobie w ogóle nie nadali nazwy. Nawet imiona nie są im potrzebne. Wracać na Sigtunę nie chciałem, trochę się bałem Envisa, poza tym skoro już umarłem... Nadarzała się okazja, żeby zacząć nowe życie w nowym miejscu. Z mojąplanetą właściwie niewiele mnie wiązało. Więc Mędrzy wystali mnie przez rwanaur na Monaloi... - Stop! Jak ich nazwałeś? Mędrzy? A czy ta planeta nie nosiła przypadkiem długiej nazwy Porgorstorsaand? - Tak! - Olaf był szczerze zdumiony. - Skąd wiesz?

- Nie powiem - uśmiechnął się Jason. - Najpierw się napijmy.

Tylko teraz z mojej butelki. Specjalny skład. Oceń to.

Napić się jeszcze zdążyli, ale porozmawiać już im się nie udało. Na ciemnym niebie rozbłysła nowa błękitna gwiazdka. Szybko urosła i okazała się faderskim kutrem kosmicznym. Tym samym, który kilka dni temu Jason odprowadzał z Tomhetu. Kuter dymił, gwałtownie scho-dząc do lądowania; w niektórych miejscach widać było płomienie. - Co oni, poszaleli? - warknął Jason.

Wyciągnął z kieszeni nadajnik, wcześniej nastawiony na pry-watną falę Mety, włączył i ryknął do mikrofonu. - Hej, kto tam u was urządza wyjście z hiperprzestrzeni w atmosferę?! Życie się wam znudziło?

- Właśnie się tego nauczyłam! - rozległ się dumny głos świeżo upieczonej gospodyni nadziału. - Prawda, że ładnie?

11

T Twolniona „Jaskółka” przyleciała jakieś dziesięć minut po fa-^J derskim statku, którym tak brawurowo sterowała Meta, uskrzydłona radomskim sukcesem. O pojawieniu się superbota Niewidki 249 na niebie Monaloi oznajmiła sama Liza, łącząc się już w zwykłej radiowej częstotliwości.

Pyrrusanie byli wreszcie w komplecie. Noc zapowiadała się we-soło. Nikt nie miał zamiaru kłaść się spać. Nie milkły rozmowy i gra-tulacje, nie było końca pytaniom, raz po raz rozlegały się okrzyki zdu-mienia i wybuchy śmiechu, a wszystko to tonęło w ogólnym harmidrze. Któryś z młodych zaczął nawet strzelać w niebo, twierdząc, że to salut zwycięstwa. Już prawie biegli po szampana. Od czasów Jamajki wśród Pyrrusan dużą popularnością cieszył się piracki zwyczaj obchodzenia świąt przy szampanie. Nie uznając żadnych środków zmieniających świadomość, polubili smaczny i lekki szampan, traktując go jako na-pój bezalkoholowy. Szczególnie cieszył ich melodyjny dźwięk zde-rzających się kryształowych kielichów i musujące bąbelki. Tym razem mieli ważny powód do świętowania. Niewiele bra-kowało, a zaczęłaby się prawdziwa zabawa. Ale właśnie wtedy wy-lądowała Liza; górny luk otworzył się, tworząc trap i pierwsza zbie-gła po nim, prawie nikomu nie znana i długo oczekiwana Wiena. Wszyscy uświadomili sobie, że sukcesy sukcesami, ale do prawdziwego zwycięstwa jeszcze daleko. Przypomnieli sobie o Midi. Wiena

pamiętała o niej przez cały czas i prosto z superbota skierowała się do medycznego przedziału „Argo”, w biegu wypytując o szczegóły. Pyrrusanie rozstąpili się przed dziewczyną, dziwiąc się, jak niewidomej udaje się tak szybko chodzić. Wiena prawie biegła w stronę liniowca „Argo”, z pewnością człowieka, który nie tylko widzi, ale i zna te tereny. A ona po prostu wiedziała, gdzie leży Midi. Liza ledwie za nią nadążyła, ale przed samym wejściem na statek dogoniła Wienę i wzięła ją za rękę- po wewnętrznych korytarzach ogromnego liniowca nie sposób biegać po omacku i żadne superzdolności tego nie zmienią. W przedziale medycznym, obok specjalnego łóżka, w przestronnej chirurgicznej sali już czekali na Wienę Teka i Brucco. Więcej ni-kogo nie wpuszczono. Po uważnym wysłuchaniu wszystkich wywo-dów i opinii lekarzy Wiena poprosiła obu, żeby wyszli. Wchodząc w telepatyczny kontakt z Midi, ledwie rozróżniała odcienie konkret-nych uczuć i myśli w porwanym na strzępy i barbarzyńsko pomieszana-nym biopolu nieszczęsnej dziewczyny. Wyciągać z tej papki oddziel-ne kawałki i składać je na nowo w jedną całość było bardzo trudno. Obec- szumy, a tym bardziej nakierowane bezpośrednio na Wienę alar-mowe impulsy mentalne dodatkowo komplikowały sprawę.

250

Z tak trudnym zadaniem młodziotka Wiena stykała się po raz pierwszy. Możliwe, że to w ogóle był pierwszy taki problem w hi-storii ludzkości. W każdym razie ani Pyrrusanie, ani Monalojczycy nie znali takiego precedensu i nikt niczego nie potrafił jej doradzić. A przecież nie mogła popełnić błędu.

Kiedy Wiena postawiła wstępną diagnozę, poprosiła wszystkich Pyrrusan o opuszczenie nie tylko przedziału, ale i statku. - Najlepiej byłoby - powiedziała - osłonić liniowiec czymś izo-lującym psi-energię.

- Nie ma sprawy, osłonimy - opowiedziała Meta. - Absolutnej ochrony przed promieniami psi, jak sama wiesz, nie ma, ale posta-wię najmocniejszy wielowarstwowy ekran, jaki mamy w arsenale. - I wybaczcie mi, jeśli to wszystko okaże się niepotrzebne - powiedziała nieśmiało niewinna dziewczyna. - W jakim sensie? - nie zrozumiał Jason. Czy chciała przez to ‘. powiedzieć, że Midi nie da się wyleczyć? - Jeszcze sama nie wiem, w jakim. -Wiena wzruszyła ramiona-mi. Było coś dziecięcego w tym geście. - Zrobię wszystko, co w mo-jej mocy. I dlatego proszę, żeby mi nikt nie przeszkadzał. Pójdę już. i Po kilku krokach odwróciła się i dodała:

- Tylko proszę was, nie stójcie przed luką wejściowym. To może potrwać.

Przeszła w głąb opustoszałego liniowca, w którego ogromnym metalowym wnętrzu leżała samotnie Midi.

Midi? - pomyślał Jason. Można by cynicznie powiedzieć, że to nie Midi, tylko to, co z niej zostało.

Pierwszy sygnał z prośbą o wyłączenie pola siłowego Wiena wysłała dopiero po czterech godzinach. Ale wielu Pyrrusan, pomi-mo jej prośby, i tak siedziało przed „Argo”. Co innego mogli robić nocą? Pracować? Bzdury. Spać? Sumienie nie pozwalało. Archie gotów był siedzieć na trawie w nieskończoność. Był prze-konany, że jego pomoc będzie niezbędna. Ale płynęły sekundy, zle-wając się w minuty i godziny, i nic się nie zmieniało. Jedyną osobą na świecie, która mogła pomóc Midi, była Wiena. Dziewczyna pojawiła się w końcu w otworze luku, zachwiała się i schwyciła ściany. Potem zeskoczyła na ziemię i powoli weszła w krąg światła pod potężną wysoką latarnią, orientując się najwi-doczniej po zmianie temperatury.

Uklęła, ostrożnie dotknęła 251 uschniętych monalojskich krzaczków i przykurzonej trawy, wdeptanej przez Pyrrusan w ziemię. Odezwała się cichutko, jakby mówiła do siebie:

- Cała ta planeta jęczy i błaga o pomoc. Nie rozumiem, jak oni mogą tu żyć.

Zwróciła się do zebranych wokół ludzi:

- Jestem zmęczona. Muszę odpocząć przynajmniej do rana.

Jeszcze trzy albo cztery seanse i przekazę Midi lekarzom. Wiena mówiła cicho, z dużymi przerwami. Każde słowo przychodziło jej z trudem, ale bardzo chciała wszystko opisać ze szczegółami.

- Odtworzyłam podstawowe, najgłębsze warstwy pamięci Midi. Te, które rządzą odruchami i funkcjami życiowymi organizmu. Przepraszam, jeśli mówię głupstwa, nie uczyłam się na lekarza, nie znam odpowiednich terminów. Ale udaje mi się! Naprawdę. Wszystko będzie w porządku, przyjaciele! Wszystko... będzie... dobrze. Ostatnie słowa wyszeptala, zasypiając.

Pyrrusanie zrozumieli, że Wienie rzeczywiście udaje się pomóc Midi. Teraz mogli się odprężyć, pomyśleć o czym innym, zacząć pracować. Jedni poszli spać, inni machnęli ręką na sen - i tak za pół godziny świt - i wzięli się do roboty. Ktoś poszedł zjeść śniadanie. U Pyrrusan głód był normalną reakcją na stres. Jasonowi czy Kerkowi nawet do głowy nie przyszło, że można by spać w taką noc. Zbyt wiele problemów wymagało natychmiastowego rozwiązania.

Po zapewnieniu Wienie maksymalnie wygodnego odpoczynku i umieszczeniu dyżurnych przy łóżku Midi, całe dowództwo zebrało się w mesie „Konkwistadora” na błyskawiczną naradę. Oprócz Jasona i Kerka przyszli Archie, Meta, Stan, Rhes i Liza. Każdy króciutko streścił ostatnie nowiny i wypowiedział się na temat najbliższych planów.

Kerk wyznaczył nowe zanurzenie z uczestnictwem Wienie na pojutrze i polecił, by zacząć przygotowywać się do niego natychmiast. Stan powiedział, że praktycznie zakończyli opracowanie nowego typu broni. Umownie nazwano ją „grawimagnetyczny żywogłot”, był to generator pola siłowego, typu osłaniającego. Chodziło o to, żeby w podziemnym pęcherzu nie strzelać do czarnych kul, ale schwytać kilka do niewoli. Oczywiście generatorowi Staną daleko 252 było do tego wynalazku Ketczerów, za pomocą którego Envis ściągnął Jasona i Olafa, ale mechanizm działania był podobny i powinien zadziałać. W każdym razie temperatura dwóch tysięcy stopni nie mogła go przestraszyć.

- Bardzo żałuję - powiedział Jason - ale gwiazdolotu „Oradd” nie uda się wykorzystać w tej operacji. Jego główny obwód energetyczny aktywizuje się bardzo łatwo, wystarczają silne emocje: gniew i wściekłość. Z tym by nie było problemu, bo system został wielokrotnie sprawdzony. Ale statkiem nie da się sterować, na razie nie udało się nawet dostać do listy jego głównych funkcji, tym bardziej... - Za dużo słów, Jason - przerwał mu Kerk. - A konkluzja? - „Oradd” należy koniecznie zabrać na Pyrrusa. Tam bez pośpiechu wszystko rozgryziemy.

- Dogadaliście się już z Krumelurem? - zainteresował się Rhes.

- Na jaką sumę wycenia tę zepsutą ketczerską zabawkę? - Nie dogadywaliśmy się - odparł Jason. - Ale podejrzewam, przyjaciele, że nie musimy się w tym względnie radzić Krumelura. - Nie całkiem rozumiem - przyznał się Kerk.

- Ja też - poparł go Rhes.

- A ja rozumiem doskonale! - Meta wstała ze swojego miej-sca, kpiąc wściekłością. - Po tym przeklętym pieleniu nie chcę mieć nic wspólnego z Faderami. Nie brałabym nawet od nich pieniędzy. Już lepiej porwać ich statki i zdobyć w uczciwej walce wszystko, co się nam może przydać. A potem wysłać uderzeniowe pododdziały Korpusu Specjalnego prosto na to gniazdo żmij na Radomie. - Dajesz się ponosić emocjom, Meta - ostro zareagował Kerk.

- Nie możemy tak postępować. Oni mają swoje życie, my swoje. Korpus Specjalny nie ma tu nic do rzeczy. Faderzy nas wynajęli i już prawie wykonaliśmy powierzone nam zadanie. Głupio byłoby rezy-gnować z uczciwie zarobionych pieniędzy. Co się ryczy gwiazdolo-tu, będziemy się targować.

Jason z uśmiechem pokiwał głową i mrugnął do Mery: jestem z tobą, kochana, dał jej do zrozumienia, ale kłótnia z Kerkiem nie ma w tej chwili sensu, z czasem on sam wszystko zrozumie. - Poza tym, jeśli dobrze zrozumiałem - odezwał się nagle Rhes - na Radomie nie ma żadnego gniazda żmij. To tylko miejsce spotkań bandytów, jedno z wielu. Następnym razem spotkają się cał-kiem gdzie indziej.

253

- Dobrze zrozumiałeś - powiedział Jason. - Trochę znam ten system.

Meta wybuchła:

- Ale ja chcę, żeby oni nie spotykali się nigdy i nigdzie!

Kerk ryknął:

- Dosyć tego! Nie po to nie śpimy po nocach, żeby gadać o ja-kichś tam bandytach!

Potem głęboko odetchnął, zamknął na sekundę oczy i spytał już spokojnie:

- Brucco, co u ciebie?

- W końcu wydzieliłem kluczową grupę atomów. W makro-molekule czumrytu jest taki zabawny odrost, jakby przyszyty do za-sadniczej struktury. Nie będę was zamęczał szczegółami, ale chodzi o to, że przywiązanie człowieka do tej planety wynika właśnie z tego ogonka. Wchodzi on w rezonans z głębinowymi wibracjami planety. Oto cała zależność.

- Mogę coś dodać? - wyrwał się Archie. - Głębinowe wibra-cje, o których mówi Brucco, zachodzą wyłącznie dlatego, że planeta nie ma jądra. Gdyby dać jej normalnie płynne albo twarde jądro, wibracje znikną i czumryt przemieni się z, że tak powiem, geoma-gnetycznego w zwykły narkotyk.

- Niezłe zadanie przed nami stawiasz - uśmiechnął się smutno Stan. - Czyżby Jason chciał do domu? Zamieńcie jądro planecie! Żarty żartami, ale Jason już wiedział, że na jego oczach rodzi się niezwykle odkrycie. Przecież w końcu udało im się połączyć czumryt i potwory! Zwycięstwo albo nawiązanie kontaktu pozwoli ingerować w strukturę geologiczną tego świata. Czyżby znaleźli rozwiązanie? Kerk podszedł do problemu od innej strony. - A może tak oderwać ten ogonek od molekuly? Wtedy z tutaj - szej narkomanii będzie można się wyleczyć, tak samo jak ze zwy-klęgo uzależnienia od LSD.

- Niestety, ogonka nie da się oderwać - rozczarował go Bruc-co. -Jeśli ta część molekuly ulegnie zniszczeniu w zwykły chemiczny sposób, powstaną bardzo silne toksyny. Nie LSD, lecz błyskawicz-nie zabijająca trucizna. Ktoś to przewidział. - Ktoś? - spytał Rhes.

- Oczywiście - powtórzył ze zmęczeniem Brucco. - Już wam to wyjaśniałem. Czumryt to typowy syntetyk.

254

F

- A więc tak - podsumował Kerk. - Wróćmy do zasadniczej sprawy. Pojutrze zanurzamy się w magmę. Dopóki Wiena będzie się zajmować kulami, weźmiemy jeńców, z których wyciągniemy wszystkie informacje.

Plan był prosty, ale właśnie dlatego mógł okazać się realny. Jason postanowił podsumować zebranie. Wstał i oświadczył:

- Proszę, słońko już wstało! Nie sądzicie, że pora się położyć? Meta nawet się nie uśmiechnęła, tylko westchnęła ze znużeniem i uparcie powtórzyła:

- Wyduszę tych Faderów własnymi rękami. Drugi leczniczy seans trwał prawie sześć godzin. Wszystko przebiegało normalnie, ale po zakończeniu Wiena idąc do wyjścia przytrzymywała się ściany. Ale nie poprosiła, żeby jej pomogli, żeby czekali na nią pod drzwiami sali chirurgicznej, tylko snuła się ledwie żywa przez cały gigantyczny statek aż do luku. A Pyrrusanie czekali jak dumie. Zaczęli się już niepokoić, ale nie chcieli wchodzić na statek. Telepatyczna medycyna to bardzo delikatna materia - jeśli sam nie jesteś telepatą, nie możesz wiedzieć, co wolno, a czego nie... Wiena podeszła do krawędzi, a trapu nie było. Dziewczyna tak doskonale orientowała się w przestrzeni dzięki swojemu szóstemu zmysłowi, że zapomnieli, że nie widzi. Pyrrusanie wszyscy jednocześnie zaczęli krzyczeć, ale trudno było cokolwiek wyłowić z ogólnego hałasu. Poza tym Wiena i tak nic nie słyszała, w uszach miała jedno-stajny szum, zagłuszający wszelkie dźwięki. Przemęczony mózg nie zdążył przestroić się z wewnętrznego słuchu na zewnętrzny. Wiena zrobiła krok w pustkę. Do ziemi było najwyżej dwa metry, ale to wystarczyłoby, żeby połamać kości. Pyrrusanie, naród, jak wiadomo, szybki, rzucili się na ratunek. Ale wyprzedził ich były zaufany setnik sułtana Azbaja, władający spowolnieniem czasu dużo lepiej niż Jason. Bohaterowie Planety Śmierci jeszcze biegli, gdy Furuhu już trzymał Wienę na rękach. To, że Monalojczycy umieli wyrastać dosłownie spod ziemi, nie było dla Pyrrusan zaskoczeniem. Dziwiło ich tylko, skąd się w ogóle wziął ten miejscowy fenomen. Oni czekali na Wienę, bo wiedzieli, że wyjdzie. Ale Monalojczyk? Zresztą co za różnica, zuch chłopak! Kto wie, przed czym uchronił Wienę, a więc i Midi, a więc (być może) także własną planetę...

255

Furuhu też chyba myślał o czymś podobnym. Niósł Wienę delikatnie, jak kapłan naczynie z rytualnym bezcennym płynem, jak troskliwy ojciec malutkie dziecko. Nie, to nie tak. Jasonowi w końcu przyszło do głowy właściwe porównanie - jak młody chłopak ukochaną dziewczyną. Bardzo do siebie pasowali. Wysoki, ciemnoskóry, umięśniony młodzieniec, szeroki w barach... Oczy mu płoną, białe zęby lśnią w uśmiechu. I malutka wróżka ze złotymi kędziorkami - pyrrusańską muskulaturę skrywały szerokie fałdy luźnej sukni. Harmonii delikatnych rysów ślicznej twarzyczki nie zakłócały teraz nieruchome, szklane oczy - Wiena spała i niczego nie czuła. Gdy już się obudziła, Pyrrusanie dowiedzieli się mnóstwa nowych rzeczy. Po pierwsze, trzeci seans, do którego Wiena przystąpi niezwłocznie, będzie na pewno ostatni. Wiena miała nadzieję, że uda jej się zakończyć na drugim seansie i dlatego doprowadziła się prawie do psychicznego wycieńczenia - żal jej było przerywać. Po drugie, udało jej się dowiedzieć od Midi, czy raczej wyciągnąć z jej pamięci, bardzo istotnych rzeczy o czarnych kulach. Jason, kontaktując się z nieprzytomną Midi,

czytał informację powierzchownie i doszedł tylko do momentu, gdy Midi osiągnęła telepatyczny cios. Wiena umiała wejść w sam proces zniszczenia biopola Midi przez impuls obcego. Okazało się, że na sekundę przed utratą świadomości Midi zdołała dowiedzieć się i zrozumieć wiele rzeczy z życia potworów.

- Nawet przy najbardziej optymalnym przebiegu leczenia zdołała porozmawiać z wami dopiero za dwa dni - uprzedziła Wiena. Teka skinął głową.

- W łóżku będzie musiała leżeć jeszcze przynajmniej przez tydzień.

Teka znowu kiwnął.

- A skoro zanurzenie planujemy na jutro, posłuchajcie mnie teraz bardzo uważnie. Strzelać do czarnych kul nie wolno. One nie są obiektami materialnymi, nie można ich wziąć do niewoli. Gdybyśmy koniecznie chcieli wykorzystać wynalazek Stana, to na potwory. Ale najlepiej nikogo nie atakować. Przecież oni proszą o pomoc. Midi też o to prosiła, tylko zbyt... „głośno”. Jej biopole nie wytrzymało ich psychicznego krzyku. Mam nadzieję, że ja wytrzymam. Będzie musiała jeszcze tylko zrozumieć, co oni krzyczą, o jaką pomoc proszą. Jeżeli chcecie mi pomóc, to nie wykazujcie agresji, chyba że 256 będzie to absolutnie konieczne. To wszystko. Pójdę zakończyć leczenie. Macie coś przeciwko?

Nie mieli. I nie mogli mieć. W tych dniach młoda Pyrrusanka była ważniejsza nawet od Kerka. Jej decyzje były prawem. Liza, szczególnie przywiązana do Wieny, bardzo się niepokoiła o przyjaciółkę.

Chciała zaproponować, żeby przesunąć wszystko o jeden dzień:

i seans leczniczy, i bojową operację. Nie zdecydowała się jednak wystąpić sama przeciwko wszystkim. Ale skoro już nabrała powietrza w płuca, musiała coś powiedzieć:

- Tylko nie przemęczaj się tak znowu, Wiena! Proszę cię. - Nie będę - obiecała dziewczyna. - Tym razem powinno pójść szybciej i łatwiej.

Rzeczywiście tak się stało. Trzeci seans zajął jej tylko półtorej godziny. Po tym w sumie niewielkim wysiłku nie musiała nawet odpoczywać. Ale Wiena i tak położyła się wcześniej niż inni, pa-miętając, jaki trudny - szczególnie dla niej! - będzie jutrzejszy dzień.

Do Midi już można było wejść. Jeszcze nie do końca wyszła ze śpiączki i Teka uprzedził, że nie tylko o rozmowie, ale i o kontakcie wzrokowym nie może być jeszcze mowy. Mimo to Archie uparcie rwał się do ukochanej. Był pewien, że jest jej potrzebny. I właściwie niewiele się pomylił. Midi nie poznawała ani Teki ani Brucco, nie zawsze reagowała na pojawienie się ludzi w sali. Wystarczyło jednak, by młody uctisjański uczoney pochylał się nad jej łóżkiem, a Midi nie otwierając oczu wyszeptwała wyraźnie:

- Archie, ukochany!

To był prawie cud. Archie pobiegł do Jasona jak na skrzydłach i zachłystując się z zachwytem, podzielił się swoim szczęściem. Jason popatrzył na niego niczym lekarz stawiający diagnozę i oświadczył:

- Na Monaloi, na naszej północnej półkuli, jest teraz wiosna, czas miłości. Miłość jest silniejsza od śmierci, ludzie zawsze w to wierzyli. Więc, jak widzisz, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. - Co proponujesz? - zainteresował się Archie. - Mam na myśli jutrzejszy dzień.

- Było kiedyś, bardzo dawno temu, takie hasło - uśmiechnął się Jason. - Mąkę love, not war!

- Czy to ma zastosowanie również do czarnych kul? - spytał

retorycznie Archie. - Posłuchaj, Jason, kiedy teraz do ciebie biegłem,

17 - Planeta Śmierci 6

257 zastanawiałem się nad czarnymi kulami Wiena ma rację. Polowanie nie ma sensu. Ale dziobate potwory trzeba zabijać, bez względu na to, co mówi nasza dobra dziewczynka o szkodliwości agresji. Pomyśl sam, przecież te człekolubne stwory są wysyłane na powierzchnię nie po zwycięstwo, lecz na zgubę!

Myśl była tak paradoksalna, że Jason nawet nie od razu wiedział, o co zapytać. Gdy się zastanawiał, do drzwi kajuty ktoś zastukał. - Proszę! - zawołał Jason.

Na progu stał Furu. Przez cały czas mieszkał z Pyrrusanami na „Konkwistadorze”. Jason nie wiedział jednak, po co Monalojczyk do niego przyszedł. Wszystko, co wiedział, już przekazał. Archie czasem wykorzystywał intelekt byłego setnika do własnych celów - wystarczyło, by Furu przez dwa dni zgłębiał jakieś zagadnienie i już można było mu powierzyć obróbkę danych. W ten sposób Archie zyskiwał czas na tworzenie nowego programu komputerowego. Do celów informacyjnych Monalojczyk zazwyczaj wykorzystywał bibliotekę elektroniczną. Szperanie po archiwach było bardziej logiczne niż zawracanie głowy tak zajętemu człowiekowi jak Jason. Ale, jak się okazało, to był wyjątkowy przypadek.

- Można? - spytał Furu, przestępując z nogi na nogę. - Wchodź. Może podsuniesz nam dobrą radę odnośnie jutrzej - szego szturm.

- Nie sądzę - odpowiedział poważnie Furu i na wszelki wypadek uprzejmie się uśmiechnął.

A nuż naczelnik żartuje? Furu uważał Jasona za swojego głównego przełożonego i był szczęśliwy, że może go czcić. Cóż, posiadanie wyjątkowych szarych komórek nie oznacza, że kształtowany latami charakter niewolnika ulegnie natychmiastowej zmianie. - Chciałem o coś zapytać - powiedział Furu przeproszającym tonem. - Można, naczelniku?

Po monalojsku powiedziała by „huhunie”, ale teraz język owo-cowników Furu znał prawie równie dobrze jak ojczysty i lubił czasem błysnąć wiedzą. Niekiedy brzmiało to komicznie. - Można, stary, pytaj.

Jason był w dobrodusznym nastroju i Furu to wyczuł. Rozluźnił się i powiedział:

- Słyszałem, że pracujecie nad środkiem, który pomoże nam wszystkim uniezależnić się od ajdyn-czumry, a nawet stać się wolnymi się? obywatelami Wszechświata. Czy to prawda? Czy każdy z nas będzie mógł odlecieć, dokąd zechce?

- Takiego środka jeszcze nie ma - powiedział pouczającym tonem Archie. - Stworzenie antidotum dla waszej ajdyn-czumry to bardzo skomplikowana sprawa. Ale rzeczywiście, pracujemy nad tym. - Bardzo was proszę, pospieszcie się - poprosił żałośnie Furu. - Bez tego środka nie będę mógł żyć.

Jason był zaskoczony.

- Myślisz, że my ten środek wynajdziemy specjalnie dla cie-5? Wiem, że chciałbyś polecieć na inne planety, Meta mi opowiadała, ale chyba wiesz także, że i ja, i Archie

jesteśmy twoimi towa-yszami w tym nieszczęściu. A nam bardziej zależy, żeby się stąd /rwać!

- Nie! - sprzeciwił się Furuhu z niespodziewaną gwałtownością. - Mnie bardziej.

- A to dlaczego? - osłupiał Jason.

- Powiedzieć? - Furuhu rozplynął się w ciepłym uśmiechu. - Pokochałem waszą dziewczynę, Wienę. I teraz nie mogę bez niej żyć. I - Jak to? Przecież nawet jej nie znasz.

- Czy żeby kogoś pokochać, trzeba koniecznie go znać? - odparował Furuhu.

- Właściwie racja - zgodził się Jason. - Ale czy przynajmniej wiesz, że Wiena jest absolutnie ślepa?

- To wy jesteście ślepi, jeśli nie widzicie, jaka ona piękna - Ibrazł się Furuhu.

- Chciałem tylko powiedzieć, że życie z nią nie będzie łatwe - ycofał się Jason.

- Będzie cudowne - odparł marzycielsko Furuhu. - Poza tym, we Wszechświecie nie ma rzeczy beznadziejnych. To wymysł pesymistów.

Gdy Jason przetrwał tę oryginalną myśl, Furuhu nagle zapytał:

- Jak sądzicie, spodobał się jej?

Dobre pytanie! Jason zawahał się i zerknął na Archiego. Po-siedzieć? Nie powiedzieć? Archie wzruszył ramionami. - Już się jej spodobałeś.

- Naprawdę?!

Furuhu ze szczęścia zapomniał o szacunku do swojej naczel-tika i uściśnął Jasona, aż zatrzeszczały kości. - Ej, chłopie, zwolnij! Zwłaszcza jak będziesz obejmował Wienę.

258

259T

- Ale słuchajcie! Przecież ona mnie nie widziała! - Głuptasie - uśmiechnął się Jason.

- Ona widzi inaczej. Le-piej niż my wszyscy. Posłuchaj - zmienił temat - chcesz się z nami jutro wybrać do gardzieli wulkanu?

- Pewnie, że chcę!

No tak! - zorientował się Jason. Za Wieną wszedłbyś nawet goły w rozpaloną lawę.

A głośno dodał:

- W takim razie idź do Staną, niech cię nauczy poruszać się w żaroodpornym skafandrze.

- Bra! - krzyknął Furuhu już zza drzwi.

Jason odwrócił się do Archiego.

- A nie mówiłem? Wiosna!

12

Jak nazwiemy drugą operację? - spytał w przeddzień zanurzenia Stan.

Jason bez namysłu odpowiedział:

- „Zanurzenie w piekło dwa”.

I tak właśnie nazwali. Zupełnie serio. Pyrrusanie nigdy nie grzeszyli poczuciem humoru.

W dniu „Zanurzenia w piekło dwa” pogoda była fatalna. Niebo zasnuło się czarnymi chmurami, podniósł się wiatr, raz po raz przelały błyskawice przy akompaniamencie dalekich jeszcze grzmotów. Gdy pyrrusański liniowiec ponownie zawisł nad kraterem, z nieba chlusnęły strumienie równikowej ulewy. „Argo” osłonił gardziel wulkanu niczym parasol. I całe szczęście, bo kipiąca nad powierzchnią lawy woda pogorszyłaby widoczność i utrudniła sytuację. Podobne szaleństwo żywiołów wielu ludzi uznałoby za zły znak, ale dla Pyrrusan to była normalna pogoda. Wielkie rzeczy, burza! Zdarza się, że huragan albo sztorm wręcz ułatwiają walkę. Zwierzęta wpadają w panikę, a pyrrusański wojownik jest zawsze czujny, zwarty i gotowy.

260

Krumelur powiedział cicho do Jasona:

- Druga burza w tym miesiącu! To niezwykle zjawisko na Ka-raeli. Coś się poważnie zmienia w naszym klimacie. - Dlaczego? - zainteresował się Jason.
- Szczerze mówiąc, nie wiem. Zanurzymy się w magmę i mam nadzieję, że coś się wyjaśni.

Jason obrzucił Krumelura długim spojrzeniem. Niegłupi człowiek, pomyślał. Przenikliwy. Widzi różne rzeczy cztery posunięcia naprzód. Po co on się zgłosił do tego zanurzenia? Na co liczy? Dlaczego się nie boi? Nie, ostatnie pytanie nie ma sensu. Faderzy są przyzwyczajeni do igrania ze śmiercią nie gorzej od Pyrrusan.

Schodzili od razu dwoma tektoskafami. Nie żeby planowali zakrojoną na szeroką skalę operację militarną: po prostu po pierwszym udanym zanurzeniu było znacznie więcej chętnych. Oprócz Midi nikt nie ucierpiał i ucierpieć nie mógł. Mentalny cios groził tylko otwartym na oścież umysłem telepatów. Zwykli ludzie niczym nie ryzykowali. Jediną osobą, której nie pozwolono wziąć udziału w akcji, był Ronus. Do tak delikatnego przedsięwzięcia, jak kontakt, kandydatura Ronusa i podobnych mu niezłomnych wojowników nie pasowała. Kerk osobiście rozmawiał z tym zasłużonym wojownikiem, prosząc go, żeby nie obrażał się na tę jednomyślną decyzję.

Wiena przygotowywała się bardzo starannie. Nauczona cudzym gorzkim doświadczeniem nie miała zamiaru ryzykować. Po głębokim telepatycznym kontakcie z Midi całe doświadczenie Pyrrusan-ki, zdobyte podczas pierwszego zanurzenia, stało się jej doświadczeniem i powtórzenie jej błędów było mało prawdopodobne. Nie będzie odslaniać się przed wrogami, nie będzie iść przebojem, nie zostawi „nieosłoniętych pleców”. Wiena przemyślała wszystko do najdrobniejszych szczegółów i zanurzała się w świat potworów ostrożnie, uważnie i bardzo powoli. Tak wchodzi do zimnej wody ci, którzy nie lubią gwałtownych wrażeń. Równoległe do mechanicznego zanurzenia Wiena przeżywała swoje własne zanurzenie psychiczne, dużo bardziej złożone.

Już na głębokości dziesięciu kilometrów dziewczyna wyczuła obecność obcych.

261

- Przecież z nimi nie sposób się porozumieć! - wyrwało się jej. - Oni są niesamowicie głupi!
- Kto? - nie zrozumiał Jason.
- Nie wiem dokładnie, ale strasznie są głupi. Ci, którzy płyną z naprzeciwka.
- Przygotować się do walki? - zapytał Stan. - Do walki i tak zawsze jesteśmy gotowi - odparła rezolutnie Wiena.

- Stan chciał wiedzieć, czy można do nich strzelać - wyj aśniła Meta. - Można strzelać, a można nie strzelać, jak sobie chcecie - od-powiedziała zagadkowo dziewczyna.

- Co to znaczy, jak chcecie?" - zdenerwował się Kerk. - To, co mówię. Ze strzelania nic nikomu nie przyjdzie. Strasz-nie są głupi - powtórzyła dziewczyna.

Ale się uparła! - pomyślał Jason.

Potem przywołał na ekranie stojącego obok Archiego i zoba-czył, że Uctisanin uśmiecha się zagadkowo. On już wyciągnął ja-kieś wnioski z obserwacji Wienen, ale na razie nie spieszył się z ich ogłaszaniem.

- W takim razie spróbuj ę wziąć j ednego do niewoli - zapropo-nował Stan.

- Spróbuj - odezwała się Wiena z roztargnieniem i bardzo cicho. Albo stawiała właśnie jakąś chytrą blokadę, albo zapadała w trans, by móc jak najlepiej odbierać obcych. Potwory wypływały z energetycznego pęcherza przebijając dzio-bem otoczkę. Było ich dużo mniej, ale zachowywały się identycznie j ak za pierwszym razem. Nie płynęły na spotkanie pyrrusańskim tek-toskafom, po prostu przemieszczały się w górę. Zarzucenie na nie sieci zapowiadało się na interesujący ekspe-ryment.

Pyrrusanie szybko się przekonali, że właściciele dziobów, jeśli nawet nie grzeszą mądrością, to sprytu mają pod dostatkiem. Zręcz-nie manewrując omijały zasadzkę niczym zwinne rybki. Po trwają-cej dłuższy czas zabawie w kotka i myszkę Stanowi w końcu udało się zatrzasnąć nad jednym z nich kopułę siłową. Zaczął powoli cią-gnąć jeńca w stronę tektoskafu.

- O czym on teraz myśli? - spytał główny pyrrusański technik Wienenę.

262

- O niczym - wyjaśniła dziewczyna. - O czym może myśleć odcięty człowiekowi palec?

- Czy czuje ból albo jakiś dyskomfort? - zadał Jason bardziej precyzyjne pytanie.

- Myślę, że nie. I nie będziemy mieli żadnego pożytku z tego egzemplarza. W jego organizmie przebiegają teraz procesy rozkła-du. Wszystkie systemy planowo, jeden po drugim odłączają się od centralnego układu.

Wienie bardzo podobało się używanie tych naukowych termi-nów. Widać było, że każde sformułowanie starannie przemyślała. - Czyli po prostu nie dowieziemy go do... - Meta nie zdążyła dokończyć, bo potwór dosłownie rozsypał się w proch na oczach zachwyconej publiczności.

Obraz był transmitowany każdemu na jego osobisty ekran przez skomplikowany system nadajników i transformatorów, przez co wyglądał nienaturalnie, niczym głupawa gra komputerowa. Ale Pyr-rusanie nie mieli wątpliwości, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ta nowa zagadka wcale ich nie cieszyła.

Absolutnie nie stropiona Wiena zaproponowała, żeby wlecieć do ich świata w tektoskafie. Nie wiadomo było tylko, jak ona zamierza to zrobić. Tymczasem Wiena „poprosiła” głupie potwory, by przerwały osłonę siłową i pyrrusański aparat lekko przeskoczył przez powstałą przerwę. Drugi tektoskaf na wszelki wypadek pozostawiono na ze-wnątrz. Członkowie jego załogi, którzy chcieli na własne oczy obej-rzeć podziemne cuda i wziąć udział w triumfalnym odkryciu tajem-nic, przemieszczali się dalej w skafandrach. Starali się trzymać jak najbliżej potężnych

ścian żaroodpornego statku. Tak w zwykłej na-ziemnej walce piechota ciśnie się do pancerza czołgów, jakby to mo-gło ich uratować przed falą wybuchu czy zbłąkanym odłamkiem. Na razie jednak o wojnie nie było nawet mowy. Schodzili szybciej i pewniej niż poprzednim razem. Plantacje żyły własnym życiem, monotonnym i niezmiennym. Czarne kule roiły się jak pszczoły nad kwiatami. Wyglądało na to, że jest ich teraz więcej. Uprowadzając reakcję obcych, Meta poprowadziła tektoskaf prosto na spotkanie kuł. - Na razie nie ma się czego obawiać - oznajmiła Wiena. - Zejdźmy niżej. Śmiało!

Sterowanie jakimkolwiek statkiem śmielej niż Meta wydawało się niemożliwe. Tektoskaf wisiał pięć metrów nad podziemną plantacją, 263 gdy czarne kule zorientowały się, co się dzieje. Zaczęły się nadym • ale chyba nie miały zamiaru płynąć w stronę Pyrrusan. Wkrótce stał się jasne, że po prostu wybrały nową taktykę. Ustawiły się w regui^0 pierścień, najwyraźniej planując oskrzydlić obcy statek.^ - Zdążymy się wycofać, j jeśli będą chciały nas otoczyć? - Spv tał Stan Metę. y~ - Zdążymy - odparła z przekonaniem.

Jason w myśli pozazdrościł jej optymizmu: skąd mogli wiedzieć z jaką prędkością poruszają się czarne kule i co chcą zrobić? Cała nadzieja w Wienie.

Wienie zaczęło być ciężko. Napięty grymas na twarzy, zwolnione reakcje, głuchy głos, mówienie z dużymi przerwami - to wszystko świadczyło, że jest jej bardzo trudno. - Nie musimy nigdzie uciekać. Wybrały... już... figurę... naj-bardziej dogodną do komunikacji.

- Wiesz już, o czym mówią? - próbował uściślić Kerk. - Prawie - powiedziała Wiena. - Tylko proszę was... nie strze-lajcie! I nie uciekajcie... nigdzie.

- Przyjąłem - zgodził się posępnie Kerk, bardzo niezadowolony. Czarne kule połączyły się w ogromny obwarzanek i wirowary wokół pyrrusańskiego tektoskafu niczym pas asteroid wokół planety. - Jesteś gotowa tłumaczyć im pytania? - spytał Jason. - Mamy mało czasu.

- Spróbuję - odparła skromnie Wiena.

Sądząc po jej głosie, najtrudniejszy moment, związany z prze-strojeniem się na obcy system myślenia, miała już za sobą. - Dowiedz się na początek, skąd pochodzą i kim są - brzmiało pierwsze pytanie.

Otrzymali bardzo ogólną i nie do końca zrozumiałą odpowiedź. - Jesteśmy zupełnie nową formą życia. Trafiliśmy tu z odległego świata o wysokiej temperaturze nie tylko w środku, ale i na ze-wnątrz. Dostaliśmy się pozaprzestrzenną drogą, nasz cel był prze-mysłowy.

Tekst wymagał oczywiście obróbki i przekładu na zwykły ludz-ki język. Na szczęście wszystko, co mówiła Wiena, było nagrywane, więc będą mogli potem to odszyfrować. Na razie chodziło o uchwy-cenie sensu. I chyba się udawało. Pytania sypały się jedno po dru-gim. Żeby tylko nie zadawać niepotrzebnych! Czasu jest tak mało.. • 264 Kto albo co zacznie pierwsze sygnalizować konieczność wy-nu-ia? Wiena, której teraz na pewno jest równie ciężko jak podczas czniczych seansów? Termiczna ochrona skafandrow, gdy wyczer-. się zapas energii? Czujniki tlenu? A może coś nieprzewidywal-ego? Pymisanie wprawdzie nie walczyli z konkretnym wrogiem, ale same warunki podziemnego życia były wrogię człowiekowi. Zwykła walka byłaby łatwiejsza od tego niespotykanego zadania - troszczyć się nie tylko o swoje życie, lecz i o życie tych, których do tej pory uważał za wrogów. Nieco później, gdy wszyscy już zrozu-mieli, że porozumienie jest możliwe, Pyrrusanie przestali

korzystać z pośrednictwa Wławy i zwracali się wprost do czarnych kul. Okazało się, że nie są one istotami, ale nie można ich było równieź nazwać urządzeniami. Były to niewielkie, spakowane w energetyczne kapsuły fragmenty hiperprzestrzennych przejść, to znaczy swego rodzaju nadajniki, przez które kontaktował się teraz z Pyrrusami ktoś, kto znajdował się na swojej odległej, gorącej planecie. Tutaj, na Monaloi, obecna jest tylko jedna rozumna istota, ale jej rozum nie jest przystosowany do kontaktu. Istota ta przebywa w samym środku Monaloi, gdzie wyryła sobie norę w odpowiedniej dla siebie temperaturze piętnastu tysięcy stopni. W niższej było jej po prostu za zimno. Tak zwane potwory służą jej jako swego rodzaju ręce, palce, macki. Te człekopodobne kukły pełnią rolę mechanizmów wykonawczych. O żadnym systemie nerwowym, a tym bardziej psychice nie ma mowy. Jason pomyślał, że analogia Wławy do palców nie była najlepsza, bardziej pasowałoby porównanie do włosów, które zbyt szybko rosną i trzeba je co jakiś czas podcinać. Bez przerwy rodzące się potwory po prostu musiały ginąć, a jeśli nie atakowały ich jakieś zewnętrzne siły, ulegały autodestrukcji, co źle się odbijało na działaniu pozostałych. Dlatego zaczęły sobie szukać wrogów. Bardzo mętna logika, pomyślał Jason. Tym bardziej, że w dalszym ciągu nie wiadomo, kiedy się to wszystko zaczęło. I przede wszystkim - po co?

To również zostało wyjaśnione. Na Monaloi czarne kule pojawiały się wiele obrotów temu. Co to znaczy wiele i o jakich obrotach mowa, nie udało się wyjaśnić: czy chodziło o lata, miesiące, czy może dni? Te stwory nie umiały wyrażać się konkretnie, albo Wława nie mogła znaleźć dobrego odpowiednika. Cel ich przybycia okazał się bardzo prozaiczny - w gorącym wnętrzu planety były ogromne 265 ilości twardej krystalicznej siarki, która tej formie życia służyła do wszystkiego: do rozmnażania, jako pożywienie, rozrywka, droga do poznania i jeszcze coś bardzo ważnego, ale absolutnie nieprzełmaczalnego nawet na poziomie odczuć. Siarka była niezbędną dla każdego.

Żeby nie mówić za każdym razem „inna forma życia”, Wława używała terminu „swartkule”, mimo że nazywanie czarnymi kulami tych, którzy znajdowali się po drugiej stronie telepatycznego i hiperprzestrzennego korytarza, nie było zbyt trafne. To tak jakby nazywać radio człowiekiem. Z drugiej jednak strony, nazwa pasowała bo słowo „kule” po szwedzku oznaczało nie tylko kulę, lecz i norę, otwór. Czyli w skrócie - czarna dziura.

Swartkule były istotami nie mającymi stałej formy, mogły jednak w pewnych konkretnych przypadkach przyjmować określony kształt. Gdy zaczęły eksploatować te bogate złoża siarki, stworzyły potwory na podobieństwo istot, które podpatrzyły na powierzchni. Wulkany na Monaloi budziły się nieraz, i to pozwalało im „wyjrzeć” na zewnątrz. Skopiowały nie tylko wygląd zewnętrzny człowieka, ale i pola, na których ludzie zdobywali pożywienie. Małpowanie było chyba ulubionym zajęciem przybyszów. Gdy więc podczas ostatniej erupcji zobaczyli plantacje z nadzorcami, natychmiast skopiowali je u siebie.

Diamentowej siarki było coraz mniej. Wysyłano ją na Monaloi na Gorącą (innej nazwy planety nie zaproponowano) przez hiperprzejście, które ostatnio bardzo się zwężało i zaczęło szwankować. A najgorsze, że przebywająca na Monaloi rozumna istota nie może przejść przez tak wąski rwanur do swojego świata. Są też kłopoty z transportem siarki, którą można posyłać tylko w kawałeczkach. Istnieje podejrzenie, że to z winy chciwości swartkul. Eksploatując złoża rzadkiego minerału bez umiaru, po prostu wydrążyły planetę. Z tego powodu zaczęły się niezrozumiałe wibracje, aktywizowały się wulkany, rwanur praktycznie się zamknął, a potwory zaczęły się

rozmnażać w niebywalej ilości. Dlatego swartkule wysłały je na powierzchnię z prośbą o pomoc.

Dobre sobie! Kto by pomyślał, że te ataki wrzących potworów, niszczenie plantacji i zabijanie ludzi ma oznaczać prośbę? Teraz jed-nak czarne kule mają nadzieję, że zostały zrozumiane. Chcą w to wierzyć. Jason też chciał.

266

Jeśli chodzi o wymianę informacji, to było chyba wszystko, co ogoty przekaz[^] Pyrrusanom swartkule. Nie można jednak było ostawić na pastwę losu rozumnej istoty, w dodatku o tak wysokim oziomi6 rozwoju. Nie mówiąc już o tym, że śmierć zagadkowego nrzybysza we wnętrzu Monaloi groziła ludziom globalną katastrofą. - Czego chcecie od nas? - spytał Jason.

- Teraz, gdy widzimy, że wśród waszej rasy również są istoty rozumne, prosimy, żebyście pomogli nam się stąd wydostać. Nie-wjele od was oczekujemy. Przyślemy statek i przeprowadzimy ewa-kuację- Ale bardzo ważne jest wasze emocjonalne nastawienie i fakt, że będziecie rozumieli, co się dzieje. Możliwe, że będziemy potrzebować pomocy technicznej. To się okaże w trakcie działań. Brzmiało to wszystko bardzo mgliście i Jason postanowił spre-cyzować.

- Jak to ma wyglądać? Przebijecie wyłom w skorupie planety?

- Oczywiście.

- A później?

- Załatamy go.

- W takim razie może przy okazji załatacie środek planety? - spytał półzartem Jason.

Bezkształtne istoty nie miały poczucia humoru. - Oczywiście - padła odpowiedź. - Przywrócimy planecie jej poprzedni wygląd. W przeciwnym razie doszłoby tutaj do katastrofy. - No, to zupełnie inna rozmowa! - ucieszył się Jason.

Sukces sam wchodził im do rąk.

Do pełnej jasności brakowało jeszcze tylko drobiazgu. Jason miał pytanie na końcu języka, ale nagle zapomniał, o co mu chodzi-ło. Strasznie go to męczyło. W dodatku pozostali zadawali przez cały czas własne idiotyczne pytania.

Stan dopytywał się, jakiej broni używają na Gorącej. Nie uży-wali żadnej. Rhes chciał wiedzieć, czy swartkule nie mają zamiaru przyłączyć się do Ligi Planet. Nie, nie mają, nie jest im to potrzebne. Meta wyraziła zainteresowanie, czy istnieje u nich podział na kobie-ty i mężczyzn, jak się rozmnażają i czy znają takie pojęcia, jak mi-łość i piękno. Odpowiedź okazała się niestety nieprzetłumaczalna. Jednym słowem odgrywano scenkę ze starego, telewizyjnego, w dodatku niskonakładowego filmu pod tytułem Pierwszy kontakt z obcą niehwnanoidalną cywilizacją.

267

Jason nie wierzył w takie przypadkowe kontakty po 1000-1 ciach od wyjścia człowieka w kosmos. Te wysokotemperaturowe istoty, zjadające diamentową siarkę i upodabiające się do lud,6 przypominały mu teatr absurdu. Jaki mógł być sens życia na góra' cych planetach? Każda taka planeta stygnie, czyli jest zjawiskiem tymczasowym. I co dalej? Koczować po Galaktyce w otoczonych azbestem rozgrzanych żelazkach, wdzierając się do wnętrza planet ziemskiego typu i rujnując życie ludzkim cywilizacjom? Wykorzy. stywać do podróży kapryśny rwanaur! Czy to nie absurd? Czy natu-ra mogła w sposób naturalny stworzyć taką formę życia? Jason był zdania, że nie mogła. Był pewien, że...

Oto zapomniane pytanie! Czy to nie kolejny twór szalonego doktora Teodora Solvitza?

Nie było sensu pytać o Solvitza te bezkształtne stwory z drugiego końca Galaktyki. I tak było wiadomo, że takie pojęcia jak imiona, nazwy, cyfry i inne symbole są im obce. Trzeba było postawić pytanie w sposób przemyślany.

W końcu Jason coś wykombinował:

- Od czego zaczęła się wasza cywilizacja? - zapytał.

Odpowiedź była co najmniej dziwna:

- Nie mogę dłużej. Przepraszam.

Jason i pozostali nie od razu pojęli, że to już nie tłumaczenie, tylko słowa Wienen. Zmęczone westchnienie przed ostatecznym wyłączeniem się.

Nic strasznego się nie stało - Wiena po prostu zasnęła. Wykonała zadanie. Za coś takiego na innych planetach stawia się pomniki. Na Pyrrusie mówi się: „Zuch z ciebie! Dziękujemy! Wspaniały z ciebie bojownik! Ale to jeszcze nie zwycięstwo, więc bądź czujna”. Jason też był czujny. Musieli przecież jeszcze wrócić, a bez Wienen, w samym centrum obcego świata, było dużo bardziej niebezpiecznie.

Kerk najwyraźniej czekał na to, co powie Jason, ale on nie był jeszcze gotów do stawiania kropki nad i. Jego główne pytanie pozostało bez odpowiedzi. W dodatku nie uzgodnili niczego konkretnego ze swartkulami.

Obiecali im pomóc. Mają czekać na słynny gorący gwiazdolot, a nawet nie wiedzą, jak on wygląda: czy będzie wielkości niedużej asteroidy, czy domowego kota. Na co się przygotować? A przede wszystkim - kiedy? Powiedzieli, że „wkrótce”. Ale to może oznaczać równie dobrze jutro, jak i 1000 lat. Jakie oni tam mają pojęcie czasu? Pyrrusanie nie mogą tak po prostu się wynurzyć. Poza tym, pierścień wokół tektoskafu nadal wiruje...

Jason skoncentrował się, wyczerpał swoje telepatyczne zdolności i zapytał a raczej przesłał czarnemu pierścieniowi jedno jedyne słowo:

„Kiedy?!”

Na całe zdanie i tak nie wystarczyłoby mu talentu. Pierścień nagle rozpadł się, czarne kule poleciały w dół niczym deszcz. Potem chwilę podskakiwały, kręciły się i krążyły jak wesołe szczeniaki, aż wreszcie ustawiły się w linię, zwracając się w stronę tektoskafu, żeby załodze było wygodnie patrzeć. Okazało się, że to jząd cyfr, normalnych arabskich cyfr, które mogły oznaczać tylko dzień, miesiąc i rok według standardowej galaktycznej rachuby czasu. No proszę! I kto twierdził, że swartkule nie wiedzą, czym są konkretne informacje?

Jason uspokoił się. Zdaży teraz zadać swoje najważniejsze pytanie. Statek przybyszów ma się tu zjawić dokładnie za dwa dni. - A teraz na górę! - szepnął radośnie.

Kerk jako dowódca wydał oficjalny rozkaz:

- Wynurzamy się.

13

A więc - odezwał się Krumelur, zegnając się z Jasonem przed trawami swojego osobistego kutra - wyszło na to, że potrzebowałem nie wojowników, tylko czarowników i magów. Stało przy nim dwóch osobistych ochroniarzy, Fuh i Wuk, któ-

rych pełne imiona, jak dowiedział się niedawno Jason, brzmiały Fu-wuhu i Wufuku. Po prostu Krumelur przy pierwszym spotkaniu złito-wał się nad słuchem nieprzywykłych do monalojskiego Pyrrusan. Doprawdy zastanawiające, jak udało mu się wsiąść do tektoskafu bez tych bodygardów! Ale chyba Krumelur nie żałował tego zwiadu. Wreszcie zobaczył wszystko na własne oczy - musiał się przecież 269 dowiedzieć, za co płaci. Poza tym poznał perspektywy, ale te perspe[^]s, wy wcale mu się nie spodobały. Nie ma co, naprawdę był przenikliwv - Ciemny z ciebie człowiek - skarcił go Jason. - Telepato nazywasz magami? Chciałbym wiedzieć, po co mi to powiedziałaś? Czy mam przez to rozumieć, że nie macie zamiaru nam zapłacić? - Ależ skąd, Jason! Niech mnie Cienie Alhinoju pochłoną, jeśli chcesz zrobić coś takiego! Obrażasz mnie. Wiena to wasz człowiek, i wv dostaniecie nagrodę. Martwi mnie coś innego. Nie wiadomo, jak skoń-czy się ta ewakuacja gorących zwierząt. Jeszcze mi całą planetę rozwa-lą, dranie. Co ich obchodzą ludzie? Tyle co nas mrówki. - Po pierwsze, mrówki wcale nie są nam obojętne - nie zgo-dził się Jason. - Po drugie, obiecali odnieść się do sytuacji ze zrozu-mieniem. W razie czego cała nasza eskadra będzie w gotowości bo-jowej. Radziłbym i wam zrobić to samo.

- Nasza eskadra, wasza eskadra... Dużo nam z tego przyjdzie! Jeśli oni jednocześnie wyskoczą spod ziemi i z kosmosu, nasze eska-dry wylądują w podprzestrzeni. Co my właściwie wiemy o ich tech-nologiach? Na razie są mili, bo nas potrzebują. Chociaż nie wiado-mo nawet, po co. A kiedy przestaniemy im być potrzebni, będzie po wszystkim.

- Zastanawiająca refleksja. Gotów jestem pomyśleć nad nią w wolnej chwili. A teraz co proponujesz?

- Właśnie to: pomyśleć. Mamy mało czasu. Dwa dni. Moim zdaniem, trzeba użyć pod ziemią broni Fermo, póki czas. - Jakiej znowu broni Fermo? Katalizatora rozpadu? Przecież on spłonie w magmie w ciągu sekundy.

- Jason, nie udawaj głupiego. Nie opracowaliście jeszcze ter-mowytrzymałej modyfikacji katalizatora?

- Nie. Nawet nad tym nie pracowaliśmy. Pomyśleliśmy i od-rzuciliśmy pomysł.

Jason mijał się z prawdą. Jeszcze tego samego dnia Stan i Bruc-co wyszukali w komputerze odpowiedni związek chemiczny. Około doby zajęła im synteza i tyleż samo dopracowanie struktury na dro-dze eksperymentów. Broń istniała, ale zdaniem Jasona użyć jej było można tylko w ostateczności. Likwidacja potworów nie była wpraw-dzie zabójstwem, tak samo jak nie jest zabójstwem strzyżenie wło-sów. Ale zamurować żywcem istotę rozumną, razem z jej tajemnicą, byłoby zwyczajnym okrucieństwem.

270

- Szkoda - powiedział Krumelur. - Myślałem, że jesteście po-ważniejsi. W takim razie będziemy musieli przyspieszyć nasze eks-perymenty.

Oczywisty blef. Faderzy nigdy nie mieli dobrych naukowców. Oprócz Swampa, który teraz przeszedł na mistykę i ezoterykę, oraz amatora chemicznych sztuczek Fermo, żaden z Faderów nie był ty-netn uczonego. Techniczne nowinki zawsze kupowali, nie umieli two-rzyć ich sami. A jeśli nie mogli kupić, brali bez pytania, często gęsto jazem z wynalazcą, z którego robili niewolnika. Jason podejrzewał, że również pomysł katalitycznej bomby Fermo komuś ukradł. W prze-ciwnym razie już dawno doszedłby do wariantu termicznego. A jeśli naprawdę mają tę broń? - zaniepokoił się nagle Jason. przecież nie można tego wykluczyć. Cóż, wtedy na pewno jej użyją. Może

Krumelur tylko chce przerzucić odpowiedzialność na barki wykonawców? Ej, przydałaby się pogawędka z Olafem... Najlepiej w tajemnicy...

- Mimo wszystko pomyśl - powtórzył Krumelur ściskając dłoń Jasona.

- Ty również - odparł Jason. - Dokładnie za dwa dni, w samo południe chciałbym zobaczyć cię tutaj znowu. A w niebo nad Monaloi niech wzniosą się wszystkie twoje statki. Olaf przyleciał sam, zupełnie jakby między nim a Jasonem był teraz stały kontakt telepatyczny. W rzeczywistości stary doświadczony intrygant dokładnie wyliczył czas, żeby nie wpaść na Krume-lura, i pojawił się w obozie Pyrrusan kwadrans po tym, jak Jason rozstał się ze swoim cwany pracodawcą. Olaf nie krył, że prowadzi podwójną grę. Od razu wyciągnął Jasona na pola i kontynuował przerwana rozmowę, jakby nigdy nic.

- A więc bywałeś na planecie Porgorstorsaand? - spytał płonąc z niecierpliwości.

- Bywałem? - uśmiechnął się Jason. - Ja się tam urodziłem i wychowałem! Ale jeśli chcesz wyciągnąć mnie na zwierzenia, to wybacź, ale jako cyniczny pragmatyk muszę wiedzieć, w imię czego. Historię Envisa opowiedziałeś mi z własnej woli, a w moim życiu było sporo interesujących przygód, o których nigdy nie rozpowiadałem na prawo i lewo. Tak się złożyło, że ani jedna z nich nie została zakończona, a wszystkie ściśle się ze sobą łączą i mają duży wpływ na losy innych ludzi. Najpierw muszę się dowiedzieć, czy

271

|

gotów jesteś grać po mojej stronie, a dopiero potem udzielę ci nQ\$ tecznych informacji.

Olaf oczywiście nie wytrzymał takiej presji i sięgnął po butelkę - Ja nie będę pił - uprzedził go Jason. - I tobie też nie radzę. Czeka nas poważna rozmowa. Chcę cię poprosić, żebyś dowiedział się czegoś o Krumelurze. Krótko mówiąc, żebyś go śledził. Jesteś gotów?

- Widzisz, Jason... -sprytny pijaczyna nie miał zamiaru odpowiadać na tak postawione pytanie. - Wiesz, dlaczego wspominałem o Porgorstorsaandzie? Przyszła mi do głowy pewna myśl... nie sądzisz, że można by się stąd wydostać przez rwanaurl - Nie - odparł Jason. - Planeta i tak cię nie puści. Poza tym, hiperprzejście może działać tylko w jedną stronę: na Monaloi. Przy okazji, w jakim miejscu cię tu wyrzuciło?

- Prawie przy samym kraterze wulkanu. Góra wtedy była niżej... Myślisz, że się nie da?

- Nie myślę, jestem pewien. Teraz ważne jest co innego: to, że wszystkich narkomanów można wyleczyć, a ludzi uwolnić. Obiecuję, że ty też stąd odlecieś, jeśli będziesz pracował dla nas.

Olaf skrzywił się i cicho mruknął:

- Nie bardzo wierzę w takie bajeczki.

- Ja też nie wierzę w bajki. Ale nasi uczeni rozgryźli mechanizm działania tego miejscowego świństwa. Wystarczy przerwać vibracje skorupy planety i znaleźć antidotum, które bezpiecznie złamie strukturę czumrytu.

- Co do vibracji, to nie wiem... dla mnie to czarna magia - powiedział Olaf. - Ale antidotum... Nie rozśmieszaj mnie, Jason. Szukali go od wielu lat wszyscy nasi,

poczynając od Swampa, a kończąc na najlepszych biochemikach z uniwersytetu w Ronthobie. - To tylko znaczy, że na Sigtunie macie beznadziejnych chemików - palnął Jason. - Nasi dadzą sobie radę. Obiecuję. Nie zrozumiałeś najważniejszej rzeczy: jeśli ustaną wibracje, zostaniesz nar-komanem, ale nie będziesz już przykuty do planety. Weźmiesz cysternę czorumówki i możesz lecieć choćby do samego centrum Galaktyki, choćby na Kliandę czy Starą Ziemię. - Naprawdę?! - W oczach Olafa rozbłysło światło. Wyglądał-jakby ubyło mu dwadzieścia lat.

Ale nowa myśl od razu przygasiła ten blask.

272

_ A jeśli Krumelur i Swamp za wcześniej się o tym dowiedzą?

- Sądzę, że Krumelur już się domyślił i że go to zmartwiło. Dlatego właśnie proponuję, żebyś go śledził. On może zrobić coś nieodwracalnego, rozumiesz? Oprócz ciebie nie mam komu za-ufać.

Olaf długo się nie odzywał. O czym myślał? Czemu się wahał? Bał się odpowiedzialności przed Ligą Planet? Nie wierzył Jasonowi, podejrzewał go o oszustwo? A może po prostu bał się przebiegłego Krumelura?

W końcu odpowiedział z wysiłkiem:

- Dobrze. Zgadzam się. I niech spłonę w plazmie, jeśli cię zdradzę. To nie była najstraszniejsza ze znanych Jasonowi przysiąg, ale trudno, niech będzie. Jason nawet się ucieszył, że Olaf nie spieszył się z podjęciem decyzji.

Opowiedział alkoholikowi o szalonym doktorze Teodorze Solvitzu i jego sztucznej planecie, lecącej donikąd, o niewidocznej obecności innych łajdaków. Zasugerował, że zakrojone na szeroką skalę gigantyczne spektakle galaktyczne z udziałem pseudoobcych z innego wszechświata dostępne są najwidoczniej tylko temu jednemu człowiekowi. Czy chciał przestraszyć Olafa? Nie, chciał tylko, żeby się zastanowił. Chociaż organizm Olafa Vita był zatruty czumrytem i alkoholem, umysł miał jasny. Więc niech się zastanowi nad czymś innym niż tylko zarabianiem wielkich pieniędzy we krwi.

Olaf zastanowił się głęboko, a potem powiedział:

- Teraz zrozumiałem, że mędrzy i Ketczerzy są podobni do siebie tylko z pozoru. To muszą być różne rasy. Mędrzy nie czynią nikomu zła, a Ketczerzy... Może służą twojemu Solvitzowi? - Nie - sprzeciwił się Jason. - Solvitzowi służą tylko androidy. Poza tym Ketczerzy nikomu by nie służyli. Ale z drugiej strony nie-wykluczone, że ten szaleniec nauczył się wykorzystywać Ketczerów do swoich celów.

- To właśnie miałem na myśli! - zawołał Olaf. - Ketczerzy z jakiegoś powodu wyjawili Envisowi swoje sekrety. Akurat jemu!

Przy wszystkich swoich zdolnościach i pięknych marzeniach był skończonym łajdakiem. I umarł jak łajdak. Ale zanim umarł, nauczył pewnych ketczerskich sztuczek Krumelura i Swampa. O spowolnieniu czasu już wiesz, to u nas umie każdy głupek. A o wzmianianiu bólu słyszałeś? O hipnoobręczy, która wywraca mózg na drugą

18 - Planeta śmierci 6

273 stroną? Podejrzewam, że jest jeszcze wiele podobnych rzeczy o których nawet nie słyszałem. Ketczerzy dali Faderom moc. Po co? Tę samą się nie przydała. A Solvitzowi... ^ - Interesująca myśl. Gratuluję, Olaf! Ale przełożmy tę rozmowę na inną okazję. Leć teraz do swoich, a raczej naszych wrogów. Będę czekał na informacje.

- Dobrze - skinął głową Olaf. - Mogę jeszcze jeden łyk? Pj^y sięgam, że ostatni.
- Możesz - odparł Jason obojętnie. - Ale jeśli stracisz dziś przytomność, to zastrzelę cię jak parszywego żądłopióra. Olaf drgnął, poobracał butelkę w rękach i... schował.
No, nieźle! - ucieszył się w duchu Jason.

Wtedy zauważył, że przez pola biegnie do nich Furu. - Panie Jasonie - wykrztusił, łapiąc oddech. - Szukam lekarstwa na ślepotę i już prawie znalazłem. Opowiedzieć? Jeszcze jeden domorosły lekarz, pomyślał Jason. Niedawno bił owocowników po grzbietach i do niczego innego nie był zdolny, a teraz proszę, z miłości do Wini gotów uszczęśliwić całą niewidomą część Wszechświata.

- Opowiadaj.

- Tylko musicie najpierw znaleźć antidotum na czumryt, bo lekarstwo jest na bazie tego narkotyku.

- Aha! - powiedział tylko Jason.

- Pracujemy nad jednym zagadnieniem, a przy okazji robimy inne odkrycia.

- Na czym więc polega istota tego odkrycia? - Na tym, że czumryt w połączeniu z trucizną rogonosa i fomal-gautskim spirytusem wywołuje gwałtowny skurcz nerwu ocznego... Jason miał poważne wątpliwości, czy nerwom w ogóle zdarzają się skurcze, a skład preparatu rozbawił go jeszcze bardziej. - Nie zapomnij jeszcze dodać odrobiny cyjanku, strychniny i arseniku - zaproponował poważnym tonem. - Ślepotę jak ręką odjął. Razem z życiem.

- Niepotrzebnie pan sobie żartuje. Mówię o bardzo małych dawkach. Wydaje mi się, że brak tu jednego małego składnika... - Jeśli mówisz poważnie - powiedział Jason - to idź lepiej do Brucco. Bo ja już zaczynam mieć skurcze w obu oczach... - Będę leciał - przypomniał o sobie Olaf.

274

Wrócili do pyrrusańskiego obozu. Olaf pożegnał się i zatrzasnął drzwiczki swojej szalupy - tej samej, którą Jason wybrał się za przełęcz. Obie szalupy - jego i Mety - skonfiskowali wtedy szpicle gwampa. Gdy Krumelur je zwracał, Jason wielkodusznie zaproponował: iwał: no.. . .

- Weźcie je na razie. Mamy ich dużo, a wy, jak widzę, latacie cały czas na ciężkich kutrach. To mało rentowne. Gdyby wiedział, że Faderzy, tak samo jak pozostali bandyci la-tają nad planetą na ciężkich statkach wyłącznie w celu wywołania wrażenia! I że, delikatnie mówiąc, nie mają zwyczaju oszczędzać na paliwie!

A Olafowi bardzo się ta malutka, zwrotna łódeczka spodobała. 14 dy na niebie nad Monaloi pojawił się gwiazdolot z Gorącej, V_Jnikt nie miał najmniejszych wątpliwości, co to jest. Znaki rozpoznawcze były całkowicie zbędne. Nad głowami świadków przeleciała czarna, upstrzona czerwonymi światłami, latająca góra. Stałtek miał wprawdzie kształt obłoku, ale rozmiar bez wątplenia góry. Gwiazdolot zawisł nad Grugugużu-faj. Wtedy wszyscy zobaczyli, że statek jest sześć razy większy od wulkanu. To oznaczało jakieś dwadzieścia pięć kilometrów szerokości i pięćdziesiąt wysokości. Podobnych machin ani na planetach ani w kosmosie ludzie nie budowali. Nie było po co. Wyjątkiem był wariat Solvitz, który stworzył całą asteroidę.

Wszystkie liniowce i krążowniki, które pojawiły się na niebie, przy gwiazdlocie czarnych kuł wyglądały jak muchy, krążące wokół konia w upalny dzień. Sama myśl o kontroli sytuacji była śmieszna. Faderzy już zapewne żegnali się w myślach z

Monaloi i swoim superdochodowym biznesem. Może nawet z życiem. Pyrrusanie przeciwnie, byli radośni i podnieceni. Wiena nastroiła się na mentalną falę swartkul i wszystkich uspokoiła. Czarne kule nie mają, nie miały i nie będą miały złych zamiarów. Najważniejsze 275 to dopilnować, żeby giganty przypadkiem kogoś nie zdeptały, j[^] się ma takie rozmiary, nietrudno spowodować wypadek. W sumie operacja przebiegła bez zakłóceń. Swartkule okazały się dużo mądrzejsze i bardziej przewidujące niż można się było sno dziewać.

Najpierw z pokładu cyklopowego gwiazdolotu za pośrednictwem Wienen przesłano na wszystkie statki pytanie, czy Pyrrusanie i Monalojczycy są gotowi do operacji. Dopiero po otrzymaniu po-potwierdzenia przybysze wskazali miejsce, które należało uprzątnąć. Wyznaczony plac został zwolniony bardzo szybko, tym bardziej, że praktycznie wszyscy ludzie od dawna siedzieli w latających machinach i byli bardzo mobilni. Czarny kolos przesunął się na środek pola. Powoli zaczęła się z niego wysuwać cylindryczna noga o średnicy mniej więcej pół kilometra. Noga była przezroczysta, jakby wykonana ze szkła. Pyrrusanie domyślili się, że to najprawdopodobniej pole siłowe o bardzo wysokim napięciu. Ściany pola zaczęły wgryzać się w glebę, temperatura szybko rosła i w efekcie powstała ogromna dziura z przelewającą się w dole magmą. Już po kilku sekundach w magmie pojawili się dawni znajomi Pyrrusana i Monalojczyków - dziobate potwory, przypominające ludzi. Wymachiwały ramionami, wyskakiwały z magmy niczym delfiny i głośno świergotały. Ściany pola siłowego zdumiewająco dobrze przepuszczały dźwięk.

Ale jakim cudem? Nie mogły przecież przepuszczać dźwięku! Po prostu już ich nie było. Dlaczego? Czyżby proces załadunku musiał przebiegać w otwartym terenie? Gdyby ktoś był teraz poza statkiem, poczułby, jak ogromna fala żaru zalewa pola, niegdyś należąca do wolnych farmerów. Zewnętrzne czujniki temperatury wskazywały potężny skok.

Wtedy zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Jeden z faderskich kutrów, prezentując umiejętności godne mistrza pilotażu, wleciał w strefę przewidywanego załadunku ewakuowanych swartkul... i zaatakował. Celował przy tym jednocześnie we wszystkie strony. Zrzucił kasetowe bomby o wiadomej zawartości. Co się wtedy rozpętało, nie sposób opisać. A raczej każdy opisywał inaczej. Jedni mieli wrażenie, że pole siłowe znowu się uaktywniło, kuter uderzył o ścianę i runął w rozpaloną lawę. Inni sądzili, że lekki faderski stateczek po prostu się przegrzał i pilot nie mógł już nic zrobić. Jeszcze inni byli przekonani, że kuter prowadził samobójca i główny ładunek broni wiózł w ładowni, a pierwsza salwa była tylko manewrem odwracającym uwagę. Gdy kuter spadł już w magmę, nadal nie wszystko było jasne, potwory zaczęły się nadymać i pękać, niczym szczury pod szklaną kopułą. To widzieli wszyscy. Ale jedni twierdzili, że lawa twardnieje a inni byli równie pewni, że wrze i bulgocze. Jasona, który obserwował to piekło nie na ekranie, lecz przez wielkie spektrolitowe okno, rozboleły oczy. Zaczął widzieć płasające gwiazdki, rozmazywał mu się obraz. A potem... potem musiały się zacząć halucynacje. Potwory bulgoczącym strumieniem wpływały do wnętrza gwiazdolotu, a ze środka rozpalonego jeziora wzbil się żółty stożek, który okazał się zwiniętym w obarzanek gigantycznym robalem. Robal ożył i poruszając licznymi nieapetycznymi wyrostkami, zaczął wsysać statek swartkul. Ponieważ był bardzo długi, cały proces nieco się przeciągnął. Co za męcząca halucynacja! - myślał Jason. Później okazało się, że wszyscy widzieli to samo. Ten sam obraz zarejestrowały również wideokamery statków. W końcu gigantyczny czarny obłok zatrzasnął dolny luk i opadł na ziemię. Podłoże nawet nie drgnęło.

Co za pierogi z kociętami! - przypomniał sobie Jason idiotycz-ne przysłowie usłyszane na jakiejś planecie. Swartkule za pośrednictwem Wieny pozwoliły ludziom wyłą-dować i opuścić statki bez skafandrow. Oznajmiono również, że cała operacja zakończyła się pomyślnie. Krótko mówiąc, przybysze mo-gliby już odlecieć, pomachawszy czarnymi skrzydłami na pożegna-nie. Ale obiecali odnieść się do ludzi ze zrozumieniem i czuli, że miejscowa ludność i Pyrrusanie mają do nich pytania. Swartkule gotowe były na nie odpowiedzieć.

Aby kontakt stał się bardziej naturalny, z czarnego korpusu wysunęła się długa żółta macka, naśladowująca gesty ludzkiej ręki. Miała służyć za mówiącą część gwiazdolotu.

Wiena od razu skomentowała, że nie o to chodzi - ludzie po prostu musieli na coś patrzeć w czasie rozmowy. Gdy ma się przed sobą bezkresną czarną ścianę z migającymi czerwonymi lampkami, dyskomfort psychiczny jest zbyt duży.

W trakcie tej kolejnej wzruszająco uprzejmej dyskusji dwóch rozumnych ras przybysze wiele rzeczy wyjaśnili. Po pierwsze, nie 277 mogli pomóc swoim wcześniej, bo wydobycie diamentowej siarki jest bardzo delikatnym procesem, grożącym śmiertelnym niebezpiec-stwem. Poinformowali również ludzi, że w rzeczywistości wca-le nie są olbrzymami, a ich gwiazdolot nie j est gigantyczny. Tak na-prawdę, pełni on funkcję termosu i najwięcej miejsca zajmują systemy ochronne. Wyjaśnili, przypominając sobie pytanie Jasona, że ich cywilizacja powstała stosunkowo niedawno i została stworzona przez jakiegoś Demiurga dla żartu.

Jak głosi legenda, wszyscy rozumni mieszkańcy zamieszkaney części Wszechświata spytali kiedyś Demiurga: „Czy może istnieć rozumne życie w bardzo wysokiej temperaturze?” Odpowiedź brzmia-ła: „Nie może, ale istnieje”. „Gdzie?” - spytano. „Tutaj” - odparł De-miurg i stworzył gorące życie na planecie Gorącej. I kazał Gorącym nazywać się ludźmi. Ale oni w wielkiej pysze odmówili. Demiurg roz-gniewał się i chciał ich zniszczyć. Wtedy ukryli się w centrum wielkiej żółtej gwiazdy i stamtąd rozpoczęli wędrówkę po planetach, których jądra były jeszcze płynne i gorące. I tak wędrują do tej pory. Oto cała historia ich cywilizacji.

- To legenda czy prawdziwa historia? - spróbował uściślić Jason. - Według naszych pojęć to jedno i to samo - padła oryginalna odpowiedź.

- A kim jest Demiurg? - spytał Jason.

- Szukamy go, żeby zabić - rzekły swartkule nie odpowiadaj-ąc na pytanie.

Jasonowi to wystarczyło. Nie miał wątpliwości, że mowa o Sol-vitzu albo o innym szaleńcu, co w sumie na jedno wychodziło... Obok Jasona już od kilku minut stał wyrosły jak spod ziemi Furuhu. Chciał być przy Wienie, ale nie miał śmiałości podejść bliżej - a nuż przeszkodzi procesowi. Przez cały czas coś mamrotał. W koń-cu Jason oderwał się od epokowej rozmowy ze swartkulami i usły-szał:

- Panie Jasonie, panie Jasonie! Chciałbym teraz dać Wienie mój środek na ślepotę.

Jason był wstrząśnięty tym maniakalnym uporem.

- Właśnie teraz?

- Właśnie teraz, panie Jasonie! Chcę, żeby Wiena na własne oczy zobaczyła statek swartkul! To dla niej bardzo ważne! - A jeśli ona umrze zamiast odzyskać wzrok? - warknął Jason.

278

- Nie - powiedział Furuhu. - To niemożliwe. Konsultowałem sięBruccoiTeką.

- No to czego chcesz ode mnie?

- Przecież pan tu jest najważniejszy. Niech mi pan pozwoli dać jej kapsułkę, z lekarstwem, żeby mogła to wszystko obejrzeć... - Obejrzy potem, na taśmie - burknął Jason na odczepne. - Mam jeszcze jeden ważny argument - ciągnął Furuhu. - Chodzi o to...

- Furuhu, daj mi spokój! Chcę posłuchać.

Jason „przełączył się” na rozmowę ze swartkulami. Ale nie usłyszał już nic ciekawego - Kerk, Stan i Fermo dyskutowali z obcymi o technicznych szczegółach i rozmowa z każdą minutą stawała się nudniejsza. O nieprzyjemnym incydencie z faderskim kutrem nikt nie wspominał - ludzie ze strachu, a swartkule, jak sądzili ludzie, z poczucia taktu. Na koniec przybysze podziękowali ludziom za pomoc i podsumowali:

- Jesteśmy bardzo wzruszeni waszym udziałem. Wasz pilot poświęcił życie, żeby nas uratować.

- Co?! - wykrzyknęli oszołomieni.

Okazało się, że na faderskim kutrze leciał Pyrrusanin Ronus.

Obrażony zakazem udziału w zanurzeniu, Ronus zaplanował zemstę. Broń ukradł z „Argo”, przechytrzywszy Stana, który nie podejrzewał podobnej przebiegłości; statek wyprosił u Fermo. Co konkretnie chciał osiągnąć pyrrusański bojownik, nikt już się nigdy nie dowiedział. A co osiągnął? Okazało się, że tak zwany katalizator rozpadu odegrał odwrotną rolę. W żaden sposób nie zagroził rozumnej istocie wewnątrz planety, co więcej, w znacznym stopniu przyspieszył proces odtwarzania twardego jądra. Swartkule sądziły, że zajmie im to co najmniej tydzień.

Wyglądało na to, że ohydne twory Demiurga umiały poczuć coś na kształt wdzięczności.

Żółta macka wyciągnęła się w stronę Furuhu. Przerażony Monaloczyk cofnął się.

- Nie bój się - odezwała się Wiena. - Nie jest gorąca. Daj mi swoją kapsułkę z lekarstwem.

Macka przemawiała głosem Wieni i Furuhu nie mógł się sprzeciwić. Podał kapsułkę dziewczynie.

- To nie ja mówię, to ona - zaśmiała się dziewczyna.

279

Furuhu odwrócił się niczym nakręcana lalka. Żółta macka wzięła kapsułkę. Następnie drgnęła i po kilku sekundach zwróciła lekarstwo.

- Weź - powiedział głos Wieni.

Furuhu podstawił dłoń.

- Teraz daj ją swojej dziewczynie.

Furuhu podał kapsułkę Wieni, której dopiero teraz udało się oddzielić swoje odczucia od tłumaczenia. Zrozumiała, że mówi o sobie - Połknij - powiedział Furuhu, nie potrzebując już pozwolenia Jasona.

Jason widział, jak Wiena zamyka i otwiera oczy. Nie trzeba było medycznego wykształcenia, żeby zrozumieć, co się dzieje. A to dopiero! - pomyślał Jason. Sohtz nie może mieć z tym nic wspólnego. Jego twory nie byłyby zdolne do żadnych dobrych uczynków.

Czarny kadłub statku zaczął się unosić, tak powoli, że nawet trawa się nie zakłysała.

- Dowiedziałaś się o nich wszystkiego, co trzeba? - zapytał Jason Wienę.

- Dowiedziałam się znacznie więcej niż przypuszczasz. Ale nie chcę teraz o tym mówić. Dajcie mi wreszcie odetchnąć!... - Dodała pogodnie.

Trzymała Furuhu za obie ręce i z zachwytem patrzyła mu w twarz. Brzydki jak grzech śmiertelny, pomyślał Jason. I co ona w nim widzi?

Dla Wienu to był nie tylko pierwszy mężczyzna, ale w ogóle pierwszy człowiek, którego zobaczyła na własne oczy. Człowiek, który podarował jej nowy świat - świat obrazów. - Jak myślisz - szepnęła Meta do Jasona - czy oni udoskonali-li środek, który wynalazł Furuhu czy dali jej coś zupełnie innego? - Szczerze mówiąc - odparł Jason - myślę, że chemia nie ma tu nic do rzeczy.

- Hej! - rozległ się od wejściowego luku „Argo” radosny ko-biecy głos. - Słyszycie mnie? Już mi lepiej! Po trapie zbiegała Midi w śmiesznej szpitalnej piżamie, z okropnie potarganymi włosami, ale szczęśliwa.

Między Metą Jasonem przemknął jak meteor Archie. Biegł na spotkanie ukochanej.

280

15

a wcześniej się cieszyliśmy - powiedział Kerk na nadzwyczaj-zebraniu dowództwa. - Po pierwsze, jeśli to kogoś interese-suje, Faderzy w pełnym składzie uciekli z Monaloi w niewiadomym kierunku.

- A pieniądze? - spytał Teka.

- Pieniądze zostawili. Część gotówką, resztę przelali na konto w Międzygwiazdowym Banku. Co do kredytyki. - Dziwne - powiedział Stan.

- Pewnie, że dziwne - zgodził się Kerk. - Ale jeszcze nie powiedziałem wam, co po drugie. A więc po drugie, przyjaciele, wszy-scy co do jednego jesteśmy narkomanami i osiedlamy się tutaj. - Co takiego?! - rozległ się ogólny protest.

- Okazało się, że już drugi dzień na „Argo” i „Konkwistado-rze” pijemy wodę zatrutą czumrytem. Nie czuć go w smaku, ale daw-ka była wystarczająca, by nas uzależnić.

- Kto to zrobił?! - wrzasnęli znów zgodnym chórem.

- Action. To wiemy na pewno.

Zapadła straszna cisza. O Krumelurze i Faderach chyba zapo-mniano. Jason nie zdążył wyjaśnić, że wcale nie są przykuci do pla-nety, tylko uzależnieni. Dla Pyrrusanina popadnięcie w narkomanię było samo w sobie takim szokiem, że już nic innego się nie liczyło. Jeśli jest się narkomanem, nie może się być Pyrrusaninem.

W tym momencie z Jasonem połączył się Olaf. - Wiadomo już, dokąd poleciecieli Faderzy - oznajmił. - Jeszcze jedna interesująca rzecz... specjalnie dla ciebie, Jason. Sprawdzi-łem możliwość oderwania się od planety. Chyba miałeś rację, ale to bardziej złożony problem... Zresztą pogadamy przy spotkaniu. - Dobrze - odpowiedział jak zahipnotyzowany Jason. - Wyla-tuj. Czekamy.

Odwrócił się do Kerka.

- Wiesz, o czym właśnie rozmawiałem z Olafem? - Nie! I nie chcę o niczym wiedzieć! Archie, Brucco! - ryknął Kerk. - Co tam z antidotum?

Obaj uczeni milczeli. Ich badania w tej dziedzinie już kilka dni temu znalazły się w ślepej uliczce.

281

- Spokojnie, Kerk. Antidotum już dawno zajmuje się inny czło-wiek.

- Kto taki?

- Ronald Sane - oznajmił Jason.

Do tej pory przesądnie, żeby nie zapeszyć, ukrywał przed wszystkimi sam fakt włączenia do pracy Sane'a. Kerk przez chwilę próbował sobie przypomnieć, o kim mowa. W końcu wykrzyknął:

- Należy go bezzwłocznie wezwać!

- Sane to nie chłopiec na posyłki - przypomniał Jason - tylko właściciel jednej z największych w Galaktyce farmaceutycznych firm „Zunbar Medical Trade”. Sam się z nami łączy. Obiecałem, że nie będę mu przeszkadzał.

- Co za bzdury?! - wściekł się Kerk. - Tu ludzie giną, a ty coś obiecujesz!

- Żadni ludzie nie giną. - Jason był spokojny. - Nie ma pośpiechu. Czumryt nie zabija od razu. A lecieć możemy, gdzie zechcemy. Trzeba pomyśleć o innych problemach. Uspokój się, Kerk. -• Tego już za wiele! - wybuchł pyrrusański wódz. - Długo godziłem się na twoje eksperymenty, Jason. Zachowywałeś się tu co najmniej dziwnie. Właściwie robiłeś, co chciałeś. Ile pieniędzy przez ciebie straciliśmy! Ronus też zginął przez ciebie! Jason nie bardzo rozumiał, co ma wspólnego ze śmiercią tego świętej pamięci narwańca. Kerk wrzeszczał dalej wymachując pi-stoletem:

- Pokrzyżowałeś nam wszystkie plany! To ty sprowadziłeś na nasz statek tego szalonego Actiona. Tęka próbował go leczyć, a ten gad tymczasem szpiegował nie wiadomo dla kogo. I proszę, wszyst-ko skończyło się dywersją!

Jason nie mógł dłużej znieść podobnych bredni. Demonstracyjnie wstał i wyszedł z mesy. Spodziewał się, że usłyszy za sobą wy-strzał. Kerk jednak się opanował.

Czekając na Olafa, Jason postanowił wstąpić do pokoju, w którym przebywał chory Action. Chciał sam wszystko wyjaśnić. Brat-dywersant siedział przy tym samym komputerze i tak samo spokojnie przesuwiał te same geometryczne figury.

282

Niedobrze, pomyślał Jason. Bardzo niedobrze.

- Wstań! -krzyknąłgwałtownie.

Action poderwał się na nogi. Podniósł oczy, ale nie patrzył na Jasona, tylko przez niego. Jakby Jasona w ogóle nie było w pokoju albo stał się idealnie przezroczysty.

- Czemu to zrobiłeś?

- Nic nie robiłem... - wymamrotał Action.

W jego oczach pojawił się przeblysłk myśli. Spróbował odwrócić wzrok.

- Dlaczego kłamiesz? Powiedz, kto cię zmusił! Mów!

- Nie, nie! - Action zaczął krzyczeć, jakby go torturowano.

A potem nagle wykrztusił: - To Krumelur.

I runął nieprzytomny na podłogę.

Jason wezwał Tekę, ale zanim ten przyszedł, dinAlt już wiedział, że lekarz w niczym tu nie pomoże. Action był martwy. Ten łajdak Krumelur nie tylko zmusił nieszczęśnika, żeby zatrzał wodę na statkach, ale również stworzył w jego pamięci śmiertelną blokadę. Nikt inny nawet obcęgami nie wyciągnąłby z Actiona odpowiedzi na to pytanie. Strach przed śmiercią za każdym razem był-by silniejszy od jakichkolwiek psychotropowych preparatów. Ale Jason ze swoimi nadzwyczajnymi zdolnościami, które nałożyły się na dawne, niemal rodzinne więzi, umiał przełamać blokadę w mózgu Actiona. I został mimowolnym zabójcą własnego mlecznego brata.

- Tego ci nie wybaczę, Krumelur - wyszeptał. Tęka poinformował wszystkich Pyrrusan o śmierci Actiona. Gdy Jason wrócił na zebranie, w sali panowała cisza. Nikt już nie krzy-czał.

- Jak sobie chcecie, ale ja mam zamiar odszukać Krumelura i Faderów - oznajmił Jason. - Nie powinni się więcej zajmować swoimi przestępczymi interesami.

- Ale na to będą potrzebne pieniądze - zauważył filozoficznie Rhes.

A Kerk przypomniał:

- Ty już i tak za dużo wydałeś na całkiem niepotrzebne prze-mieszczanie się po Monaloi.

- Może już wystarczy? Co, Kerk, nie pozwolisz mi wziąć mo-jej części pieniędzy?

- I mojej! - wstała Meta. - Zostaję z Jasonem.

283

Dopiero wtedy Kerkowi zrobiło się. wstyd. Opuścił wzrok i ugo-dowo mruknął:

- Dobra, będziemy ich szukać razem. Ale mamy latać za Fade-rami niczym wesoła kompania narkomanów? - Nie! - powiedział rozdrażniony Jason. - Przecież wam tłumaczę. ..

W tym momencie rozległ się kolejny sygnał aparatu łączności.

Pilne wezwanie z planety Zunbar.

- Jason, możesz już szaleć ze szczęścia - powiedział Sane. - Zakończyłem pracę nad twoją odtrutką!

Jason nie zdążył nic zrobić, bo do mesy wpadł Olaf. - Niedobrze! - zawołał zamiast powitania. - Możemy ich stracić. Pospieszcie się, przyjaciele!

Pyrrusanie umieli się spieszyć. Trzy minuty później każdy był już na swoim miejscu. Dziewięć najpotężniejszych bojowych stat-ków było gotowych do wylotu. Pół godziny później podjęto decyzję wyruszenia na dwóch. Na razie. W trybie startu awaryjnego liniowiec „Argo” i krążownik „Konkwistador” weszły w orbitę Monaloi.

Pyrrusanie byliby gotowi nawet w pięć minut. Ale Jason nagle oświadczył, że koniecznie trzeba wziąć ze sobą ketczerski gwiazdo-lot „Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden”.

- A to po co? - nie zrozumiał Kerk.

- Intuicja mi podpowiada, że może się przydać. Wydaj rozkaz załadunku.

- Dobrze - odparł Kerk. - Ale władujemy go na „Konkwista-dora”. Tam j est teraz więcej miej sca.

Gdy rozwiązywano kwestie czysto techniczne, Kerk i Meta pró-bowali wyciągnąć z Jasona, co oprócz intuicji zmusza go do cią-gnięcia ze sobą na wpół martwego urządzenia nie całkiem kieszon-kowego formatu. W ten sposób ryzykują, że stracą trop Faderów, tak jak kiedyś stracił go Korpus Specjalny. Ciekawe swoją drogą, dlaczego nie uciekli na „Segerze”. Z pośpiechu? Wzięli tylko najbar-dziej zwrotny lekki krążownik.

- W samym pościgu - zaczął Jason - ta ketczerska niesprawna zabawka pewnie się nie przyda. Ale bardzo wątpię, żebyśmy po po-wrocie zastali „Oradda” na swoim miejscu. Te starożytne gwiazdolo-ty czasem dziwnie się zachowują. Po raz pierwszy wpadł nam 284 w ręce obiekt materialnej kultury Ketczerów, w dodatku pochodzący z „przedketczerskiego” okresu. Utrata takiego cudu byłaby niewyba-czalna. Drugi raz taka okazja się nie zdarzy. Poza tym uważam, że mamy prawo zabrać gwiazdolot jako materialną rekompensatę za straty moralne. Faderzy robią co chcą, a my odpowiemy im tym samym. Jak to się u nich nazywa? Aha: no limit! - „Nie można odpowiadać no limitem na no limit! - tak głosi Statut Ogrodu” - zacytowała Meta.

- Coś ci się pokręciło, najdroższa - uśmiechnął się Jason. - To ich ulubiony chwyt.

16

J\ /T ecie nie trzeba było tłumaczyć, w jaki sposób kryją się w pod--L V ^przestrzeni statki, które w nią uciekły, jeśli przerwa pomiędzy skokami uciekiniera i ścigającego staje się zbyt duża. Taką ko-smiczną akrobatykę przerabiała nieraz. Faderzy byli już niemal poza ich zasięgiem. Jednak przechodząc na specjalny tryb lotu, nawigato-rzy „Argo” zdążyli zarejestrować trop, bez wątplenia należący do statku Krumelura. Pyrrusanie mieli szczęście: nikt inny w pobliżu nie wchodził w podprzestrzeń w określonym przedziale czasu. Poza tym w okolicach centrum Galaktyki nie mogło być zbyt wielu ama-torów ryzykownego poruszania się w kosmosie. Pyrrusanie dużo wiedzieli. Zнали typ i moc faderskiego statku. Orientowali się mniej więcej, w jakim rejonie zamierzają skryć się Faderzy - dzięki Olafowi, który podsłuchał rozmowę Krumelura, Swampa i Re. Dokładnych namiarów nie mieli, ale ogólnym epicen-trum miała być gromada kulista EC720. Olaf podsłuchał również nazwę planety, na którą wzięli kurs Faderzy. Co prawda akurat ta informacja miała wartość zerową- w żadnym informatorze Olaf nie znalazł takiej planety. Zapisał współrzędne gwiazdy, tak jak zapisu-je się słowa w obcym języku. Aby przełożyć je na normalny system astrometryczny potrzebny byłby profesjonalny deszyfrator. Wśród Pyrrusan takiego specjalisty nie było.

285

Jason zaplanował zatem połączenie się z jedną z zamieszka-nych planet kulistego skupiska EC720, aby uzyskać niezbędne dane. Teraz musieli tylko iść tym tropem i upewnić się, że informacje zdo-byte przez Olafa nie są zwykłą podpuchą. Nie wolno im było doleć cięć do wskazanego miejsca przed uciekinierami, tym bardziej te-raz, gdy złapali ślad niczym gończe psy.

Ronald Sane już mknął na spotkanie Pyrrusan w lekkim super-bocie. W charakterze punktu orientacyjnego podano mu gromadę kulistą. W razie pomyłki jeszcze raz wykona skok - trudno! Malutki zwrotny stateczek nie był przeznaczony do poruszania się w pod-przestrzeni w trybie poszukiwania - potrzebny mu był wyraźny punkt zaczepienia.

Ronald nie wiozł ze sobą nic prócz jednego pudełka z ampułka-mi zawierającymi antidotum - tylko dla Pyrrusan. Pozostałymi nar-komanami będzie można zająć się później.

Właściwie nie były to nawet ampułki, tylko gotowe medpakiety z wmontowaną strzykawką, które przyczepia się lub przykleja do przedramienia nad zgięciem łokcia. Wynalezione przez Sane'a anti-dotum nie było jedynym lekiem. Medpakiet został zaprogramowany na złożoną, intensywną terapię biochemiczną. Piętnaście komponent-ów wprowadzano do krwi człowieka w ściśle określonej kolejności i w kon-kretnych odstępach czasu. Cały proces, według obliczeń Sane'a i jego lekarzy, zajmował około ośmiu minut, ale najmniejsze odchy-lenie od programu obracało wniwecz wszystkie starania. Sane prze-testował specyfik na sobie - skuteczność stuprocentowa. Wylecze-nie Pyrrusan wydawało się kwestią czasu.

Niestety tak to już w życiu bywa, że najprostsze sytuacje bezna-dziejnie komplikują najbardziej nieprzewidziane okoliczności. Wpew-nym momencie na statku Sane'a ożył nadajnik i niewiadomego po-chodzenia statek poprosił o pomoc. W tym celu załoga z Zunbara musiałaby wyjść w zwykłą przestrzeń.

Dwaj ochroniarze, którzy jak zwykle towarzyszyli właścicielowi jednej z największych firm w Galaktyce, jeszcze na Zunbarze próbowali przekonać swojego chlebobawcę, żeby nigdzie nie leciał. Dostawę ładunku można było powierzyć nawet robotowi. Sane nie dał się przekonać. Dawno nie widział przyjaciół i chciał przekazać 286 im długo oczekiwany środek osobiście. A teraz, być może po raz pierwszy w życiu, poczuł, że nie wie, jak ma się zachować. - Udzielenie pomocy w kosmosie jest obowiązkiem każdego przyzwoitego człowieka - stwierdził Sane.

- A naszym obowiązkiem jest ochrona pańskiego życia - sprzeciwił się ochroniarze.
- Oraz dostarczenie lekarstwa, zanim Pyrrusanie zaczną walczyć z Faderami. Sam pan mówił, że nie wiadomo, co jeszcze może knuć przebiegły Krumelur.

To była prawda. Ale mimo to Sane nalegał:

- Spróbujmy wyjść z podprzestrzeni. Zobaczmy, co się stało i czy możemy pomóc tym nieszczęśnikom. - Niech pan nie zapomina, że nasz statek jest mały, niezbyt szybki, odsłonięty na ciosy i źle uzbrojony. - Jednak wynurzymy się. Zaufajcie mojej intuicji. Ochroniarze woleli ufać swojej intuicji, więc wynurzyli się z hiperprzestrzeni „w połowie” - tak nazywali to w swoim żargonie piloci. To znaczy generator statku ustawiono na automatyczny powrót do podprzestrzeni w wypadku jakiegokolwiek zagrożenia. To nie było zwykłe zagrożenie. Nie czekał na nich normalny piracki statek, przed którym można się było ukryć w ciągu jednej setnej sekundy. Od razu powitała ich lawa ognia i tylko najnowsze ochronne ekrany i mistrzostwo ochroniarzy, którzy jednocześnie pełnili funkcje pilota i nawigatora, uratowały wszystkim życie. Nie było jednak mowy o dalszym samodzielnym locie, statek potrzebował holownika. Znalezienie go wymagało przede wszystkim naprawienia uszkodzonej łączności. Ani pilot, ani nawigator nie mieli pojęcia, jak długo to potrwa.

„Argo” i „Konkwistador”, utrzymujące ze sobą łączność, wyszły z podprzestrzeni w odległości stu kilometrów od siebie. Przyrządy obu statków jednocześnie zarejestrowały schodzący do lądowania faderski kuter. Nie musieli już szukać ani gwiazdy, ani planety. Co za błyskotliwa akcja policyjna! Tylko co dalej? Propozycja Stana, aby od razu ostrzelać statek, została odrzucona większością głosów. Bo jeśli się dobrze zastanowić, co właściwie zrobili im Faderzy? Czy wypowiedzieli Pyrrusanom wojnę? Należność zapłacili co do kredyty. A że zrobili z Pyrrusan narkomanów... W końcu są 287 tylko ludźmi, a przysługa Pyrrusan była z rodzaju niedźwiedzich - potwory wprawdzie odeszły, ale Monaloi przestała być idealnym więzieniem dla czumrynistów. Rzucili się więc na poszukiwanie nowych przygód, a Pyrrusanom chcieli tylko dać nauczkę, żeby wiedzieli na przyszłość, z kim mają do czynienia. Tak sobie to tłumaczył Jason, ale nawet jemu coś nie pasowało. W całej tej historii nadal tkwiła zagadka. Wolał się wszystkiego dowiedzieć do końca, zamiast walić na oślep. Nie mówiąc już o tym, że prócz faderskiego krążownika istniała jeszcze cała podporządkowana im eskadra i tysiące narkotykowych partnerów w całej Galaktyce. Co oni by powiedzieli na taki akt agresji? Nie można od razu zabijać ludzi, którzy zbyt wiele wiedzą. To niebezpieczne. Zawsze lepiej najpierw porozmawiać.

Jason umiał przekonywać Pyrrusan, tym bardziej, że akurat w tej chwili nie było realnego zagrożenia. „Argo” był nieporównanie lepszy od żalostnego krążownika Krumelura, a razem z „Konkwistadorem”. .. Chyba że na tej planecie udzielą Faderom pomocy militarnej. Zresztą zaraz się wszystko wyjaśni. Poza tym... taka taktyka była ciekawsza. Ten dziecienny argument był dla Pyrrusan nie bez znaczenia. Postanowili udać się za Faderami i rozpocząć per-traktacje.

Ale Krumelur uparcie milczał. I raczej nie z powodu uszkodzo-nej łączności.

Faderski statek wylądował w starym opuszczonym porcie ko-smicznym. Pyrrusanie nie lądowali. Oblecieli planetę dookoła i prze-konali się, że jest praktycznie nie zamieszkana. Chociaż nie można było wykluczyć, że to mieszkańcy próbowali nadać jej taki wygląd. Pyrrusanie stali się czujni.

W tych warunkach przybycie Sane'a wydawało się szczególnie ważne. Ale Sane się spóźniał i nie odpowiadał na wezwania. Jason już pomyślał, że ktoś chytrze zablokował wszystkie kanały łączno-ści, ale jego podejrzenia rozwiął Krumelur, osobiście wzywając Ja-sona.

- Lądujcie - poprosił. - Jesteśmy gotowi porozmawiać z wami, ale na razie nie możemy wylecieć na orbitę. Mamy problemy z blo-kiem energetycznym.

Zabrzmiało to niezbyt przekonująco, ale wypytywanie przebie-głego Fadera o szczegóły i tak nie miało sensu.

288

- Dlaczego najpierw musisz mieć antidotum od Sane'a, a dopiero potem rozpocząć rozmowy z Krumelurem? - zapytał Kerka.

- Właściwie... bo ja wiem? - zastanowił się Kerk. - Nie ma w tym logiki, ale dopóki czuję się uzależniony od tego przekłętego czumrytu, nie mam ochoty kontaktować się z ludźmi w ogóle, tym bardziej z wrogami. Krumelur zrobił to, żeby mnie... żeby nas, po-niżyć. Gdy uwolnię się od tej zarazy, znowu poczuję się jak zwy-cięzca. Po prostu źle mi z tą świadomością... - Ale gdzie jest Sane? - spytał Brucco niecierpliwie. - Co on ci właściwie obiecał?

- Sane to bardzo sumienny człowiek - zapewnił Jason. - Oba-wiam się, że miał wypadek. A to znaczy, że będziemy musieli przejść do wariantu awaryjnego...

- Jakiego znów wariantu awaryjnego? - spytał Kerk.

Jason nie zdążył odpowiedzieć, bo do mesy wpadła Meta. - Mamy poważny problem z głównym reaktorem. Ogłaszam alarm i awaryjne lądowanie na planecie.

- Może lepsze będzie awaryjne połączenie z „Konkwistado-rem?” - zaproponował Kerk. - W razie czego tam się ewakuujemy. - Możemy nie zdążyć - rzuciła ostro Meta.

- Aż tak źle? - zdumiał się Stan.

- Gorzej!

I pomknęła z powrotem na mostek kapitański. Nie pytała niko-go o zdanie - po prostu podjęła decyzję i działała. Gwałtowny manewr rzucił wszystkich na podłogę. Dziesięć mi-nut później liniowiec stał już na lądowisku opustoszałego, porośnię-tego trawą portu, pół kilometra od statku Faderów. Chwilę później obok nich wylądował „Konkwistador”. Nie mieli innego wyjścia - jeśli okaże się, że reaktor jest na granicy wybuchu, bez pomocy dru-giego gwiazdolotu się nie obejdzie.

Wyła sygnalizacja alarmowa, bezładnie migotały różnokoloro-we światła. Jason stał obok Mety przed wielkim ekranem i patrzył, jak Pyrrusanie miotają się po statku, rozpaczliwie próbując ratować sytuację. Luki były już otwarte, a załoga „Konkwistadora” przygo-towywała się do przyjęcia załogi „Argo”.

- Co się mogło stać?

- Nie wiem - odparła Meta. - Ale myślę, że to dywersja.

19 - Planeta śmierci 6

289

- Wesoło - mruknął Jason. - Czyli Krumelur był i tutaj. Do-brze przynajmniej, że nie zaczęliśmy od razu strzelać! Rozpadliby-śmy się na molekuly.

- Bzdury! - ucięła Meta. - Trzeba było od razu ich wykoń-czyć. A teraz mamy na głowie inne problemy. - Zaraz, zaraz... - zastanowił się nagle Jason. - Jak się nazywa ta planeta?

- A co, byłeś tu już kiedyś? - Meta popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Może.

- Dlaczego zawsze pół minuty przed zagładą interesują cię róż-ne głupoty? Nie pamiętam. Olaf coś mówił... A, już wiem! Nazwa brzmi po prostu - Trampa.

- Trampa? - powtórzył Jason. - A może Trama? Zresztą co za różnica. Dobrze, że nie Falla6.

To już by była bezczelność.

Meta nic nie zrozumiała, a Jason nagle zaczął chichotać. Co mu zresztą pozostawało? Czasem znajomość języków bardzo się przy-daje. Zwłaszcza, gdy się z niej w porę skorzysta. Teraz na wszystko było już za późno.

Nieoczekiwanie Stan zakomenderował:

- Wszyscy do wyjścia!

Sekundę później rozkaz powtórzył Kerk. Już w biegu pyrrusań-ski wódz wyjaśnił Jasonowi:

- Stan odkrył bombę w reaktorze. Zdołał ją rozbroić, ale nie mamy pewności, że to jedyna. Za dużo systemów przestało działać jednocześnie.

- Gdzie Olaf? - spytał Jason.

- Zgłosił się do pomocy jako specjalista od sytuacji awaryj-nych. Pierwszy pobiegł do przedziału reaktora, gdy jeszcze byliśmy na orbicie. Jak się potem okazało, po drodze skręcił i opuścił statek w szalupie.

- No, to rzeczywiście najwyższa pora wypalić w krążownik Faderów z największego działa!

- I to mówi Jason dinAlt? - zdumiał się Kerk. trampa, (rama, falla - (w jęz. hiszpańskim, włoskim i szwedzkim) pułapka.

290

Na „Konkwistadorze” wszystko było w porządku oprócz jednej rzeczy: większe działa, co do jednego, zostały zablokowane przez jakąś zagadkową zewnętrzną siłę. Kto by przypuszczał, że lekki krą-żownik ma w swoim arsenale tak sprytne i potężne środki. A może to w porzuconym kosmoporcie kryło się jakieś ketczerskie świń-stwo? Pułapka to pułapka!

Jason jeszcze podczas opuszczania „Argo” powiedział Mecie, Kerkowi i Stanowi o dowcipie Faderów.

- A ja sądzę, że to naprawdę dowcip - powiedziała Meta. - Wybrali niezamieszkaną planetę z pasującą do sytuacji nazwą ścia-gnęli nas tutaj.

- A moim zdaniem jest znacznie gorzej - odezwał się Stan, ale nie zdążył dokończyć myśli.

Gdy cała czwórka wbiegła na „Konkwistadora” i luki zostały zatrzaśnięte, rozległ się wybuch o potwornej sile. Jednak na „Argo” była druga bomba! Może nawet nie jedna.

Systemy obronne „Konkwistadora” zadziałały automatycznie. Nie ucierpiał żaden człowiek, żaden funkcyjny blok, nawet zewnętrzne czujniki były całe. I tylko spadające z góry odłamki „Argo” smutno zagrzecotały na pancerzu. Gdy rozwiął się dym, zobaczyli, że krążownik Krumelura wzbija się w powietrze. Łączność działała, więc Jason wezwał Olafa osobistym kodem.

Zdrajca chętnie podjął rozmowę.

- Dlaczego to zrobiłeś, Olaf?

- Faderzy mi więcej zapłacili - padła zdumiewająco prosta i chyba szczerą odpowiedź.

- Przecież to my daliśmy ci wolność! - nie wytrzymał Jason. - Zresztą skąd wiesz, ile my byśmy ci zapłacili? - Nie zrobiliście tego tylko dla mnie, prawda? - odparł rezolutnie Olaf. -1 tak byłbym wolny. A jeśli chodzi o pieniądze... Ni-gdy nie będziesz tak bogaty jak królowie narkotykowego biznesu. Mówiłem ci, że prawdziwie wielkie pieniądze zawsze są we krwi?

A ty nadal chcesz pozostać czysty!

- Co ty o mnie wiesz? - wycedził Jason z odrazą. - Teraz na pewno nie będę chciał zostać czysty. Z przyjemnością zanurzyłbym grot mojej kopii w twojej krwi!

To wyrażenie, zaczerpnięte z frazeologii jeźdźców Temudżyna, przypomniało mu się nie przypadkiem. Jak widać, cywilizowane

291

I

nawyki tylko przeszkadzają w kontaktach z takimi typami. Im większym jesteś dzikusiem, tym większe masz szansę na zwycięstwo. - Rozumiem twoje emocje, Jason, ale już nigdy nie uda ci się dosięgnąć Faderów. Planeta, na której wylądowaliście, to prawdziwa pułapka. Cechuje ją zwiększona aktywność sejsmiczna. Zachodzą tu ciągle wibracje skorupy ziemskiej, a ich częstotliwość jest identyczna z częstotliwością wibracji na Monaloi. Interesuje cię coś jeszcze? Pole magnetyczne, atmosfera, roślinność - wszystko jest dokładnie takie samo. Trampa jest bliźniaczką naszej kochanej planety. Serdecznie witamy. Mam nadzieję, że nie macie zamiaru rzucić się za nami w pogoń...

- Idiota! - ryknął Krumelur, włączając się do rozmowy. Najwidoczniej liczył, że impulsywni Pyrrusanie ostro wystartują i natychmiast zginą. Olaf umyślnie albo przypadkiem, pokrzyżował mu szyki.

- Idiota! Zmuszasz mnie do podjęcia ostatecznych środków! Aha, więc są jeszcze jakieś bardziej ostateczne środki? - Zdążył pomyśleć Jason, zanim wszystko okryła ciemność i cisza. Co mogli zrobić Pyrrusanie w tych krótkich sekundach między groźbą Krumelura a salwą z niewiadomej broni? Nic! Gdyby wierzyli w Boga, mogliby się do niego pomodlić, a tak... Było ciemno i cicho. Trwało to dość długo, jakieś trzydzieści sekund. Jakby cały świat przestał istnieć. Jakby nie było już nic, ani ludzi, ani planet, ani gwiazd, ani przestrzeni, ani czasu... Potem wszystko powróciło. To znaczy wróciły wrażenia. W sensie wrażań. W sensie obiektów materialnych powróciło znacznie mniej. Po faderskim krążowniku nie było nawet śladu,

„Konkwista-dor” zaś prezentował się nie mniej żałośnie niż „Argo”. Stopione odłamki zamiast potężnego pancerza. Pomieszczenia zachowały się lepiej, ale i tak w razie ulewy nie będzie tu zbyt przytulnie. Pyrrusanie rozglądali się oszołomieni. Ofiar nie było, nikt na-wet nie został ranny.

- Co to było? - spytał cicho Kerk, kompletnie zdezorientowany.

Nic dziwnego... W tej sytuacji nawet świętej pamięci Ronus nie od razu zorientowałby się, do kogo strzelać.

292

- Co to było? - powtórzył Jason. - Myślę, że broń Ketczerów, która bezprawnie trafiła w ręce tych kretynów. Wszyscy powinniśmy byli zginąć. Wiecie, dlaczego żyjemy? - Chyba się domyślam - powiedział Kerk, przyglądając się zasypanemu odłamkami, ale nie uszkodzonemu gwiazdolotowi „Oradd”.

- Dlaczego ketczerski statek obronił nas przed ketczerską bronią? - nie rozumiał Stan.

- To proste - zaczął tłumaczyć Archie. - „Dziewiętnaście sześć-dziesiąt jeden” już od tysięcy lat nie jest ketczerskim gwiazdolotem. Przegrał ostatnią walkę i od tamtej pory jest w obcej władzy. „Oradd” to tylko nowe oblicze naszego starego znajomego „Ovena”. A jak sami wiecie, „Oven” nie pozwoliłby skrzywdzić Jasona dinAlta. Ludzie wierzący w Boga nazywają podobne zjawisko aniołem stróżem. - I co dalej? - przerwała Meta te teoretyczne rozważania. - Wiecie, że żadna łączność nie działa?

- Nieźle! - gwizdnął Teka. - To jak, zostajemy tu? Przy okazji, obliczyłem, że pyrrusański organizm może pociągnąć na czumrycie dwa razy dłużej niż zwykły.

- Kiepski dowcip, Teka - zdenerwował się Kerk. - Jason, Meta, Archie! Chcecie się poddać? Reanimujcie „Oradda” i naprzód! In-nego wyjścia nie ma. Kto nas tu będzie szukał? - A ja myślę - sprzeciwiła się Meta - że ci Pyrrusanie, którzy siedzą na Monaloi, zrobią wszystko, żeby wyciągnąć z Faderów, gdzie jesteśmy.

- Raczej wątpię - zauważył Stan. - Po pierwsze, Faderzy wca-le nie muszą wracać na Monaloi. Po drugie, na pewno myślą, że nas zabili. Uważasz, że będą rozgłaszać, gdzie nas pogrzebali? Rozpoczęła się interesująca dyskusja. Jakby zapomnieli, że i tak nie mogą stąd odlecieć.

Jason nie wierzył w możliwość wykorzystania „Oradda” jako środka transportu. Już prędzej uda im się uaktywnić system łączności starożytnego gwiazdolotu. Nad tym właśnie się teraz zastanawiał, więc całej dyskusji słuchał jednym uchem. W końcu nie wytrzymał.

- O czym wy gadacie? Jedyne, co ostatecznie możemy zrobić, to spróbować przy użyciu „Dziewiętnaście sześćdziesiąt jeden” wysłać sygnał wołania o pomoc. Na szczęście wkrótce będzie tu Doiły.

293

- Kto? - zdumiała się Meta.

- Doiły Sane. To był właśnie ten wariant awaryjny, o którym wspomniałem. Przed samym lądowaniem tutaj zdążyłem połączyć się z Doiły i ona namierzyła nasz statek.

- A Ronald? - zapytał Kerk.

- Ronaldą poszukamy już razem. Mam nadzieję, że żyje. I jestem pewien, że to właśnie ludzie Krumelura weszli mu w drogę. - Dlaczego nie zlikwidowaliśmy ich od

razu? - spytał retorycznie Stan. - Dlaczego nie zniszczyliśmy ich razem z tym przeklętym Tomhetem?

- Powiedzieć ci? - uśmiechnął się Jason. - Zbyt byliście zajęci głównym zadaniem, czyli zwycięstwem nad potworami. Mówiłem wam, że walczycie z niewłaściwym wrogiem. Stan chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie z chmur wyłoniła się niczym biały ptak ich wybawczyni w eleganckiej spacerowej łódce klasy Tukan.

Co za lekkomyślność! - zmartwił się Jason. W kosmosie ban-dyta na bandycie, a ona sobie lata jak motylek z kwiatka na kwiatek. Ale skoro umie wyczuć wroga na tysiąc parseków, to pewnie mogła-by latać w samym skafandrze. Tylko gdzie było twoje słynne prze-czucie, Doiły, gdy piraci zaskoczyli całą twoją rodzinę?... To smutne wspomnienie sprawiło, że krew się w nim zagotowa-ła z nienawiści do wszystkich łajdaków Wszechświata. Zabolały go palce, tak mocno ścisnął rękojeść pistoletu, który wskoczył mu do dłoni. Mało brakowało, a zaczęłyby strzelać do poczerńskiego, poka-leczonego, straszego szkieletu ukochanego „Argo”. Ciesz się, Solvitz, twój spektakl na podstawie starożytnej le-gendy dobiegł końca! „Argo” zniszczony. Jason diAlt miał zginąć pod jego odłamkami. Ale się przeliczyłeś! W ostatnim akcie znów cię przechytryłem.

Ta myśl przywróciła Jasonowi poczucie humoru. Odwrócił się do Doiły i krzyknął:

- Witaj, zbawczyni!

Wesoła, ruda dziewczyna o błyszczących zielonych oczach szła w ich stronę uśmiechając się szeroko. W wyciągniętych dłoniach trzymała miniaturową walizeczkę z otwartym wiekiem; w niej, ni-czym ciastka na tacy, leżały w rzędach różowe okrągłaki medpakie-tów z antidotum Sane'a.

294

W ślad za Doiły z łódki wyskoczył uzbrojony po zęby Robs. Bardzo przez ten czas wydorósł. Pewnie był teraz już nie przy-jacielem, tylko narzeczonym Doiły. Uśmiechał się przeprasza-jąco, jakby chciał powiedzieć: jak mógłbym puścić samą tę wa-riatkę?

17

C* strategię dalszych działań opracowali szybko, ale starannie. Nie Omogli się pomylić.

Po burzy mózgów doszli do wniosku, że Faderów należy szu-kać na Monaloi. Po prostu musieli tam wrócić. Powinni przecież uspokoić pozostałych Pyrrusan, wymyślić jakaś bajeczkę, żeby przed czasem nie rzucili się na poszukiwania. Poza tym mieli sporo бага-ży do zabrania. Na planecie zostało wiele cennych rzeczy. Sam czum-ryt - przetworzony i popakowany - był wart wiele setek miliardów. Ogromna flota, arsenał, nowoczesna technika - nie zostawią tego wszystkiego na pastwę głupich sułtanów i kalhinbajów. „Pakowa-nie” zajmie im kilka dni. Muszą przecież udawać, że nigdzie się nie wybierają, co też spowolni cały proces.

Po opuszczeniu Monaloi byłoby dużo trudniej ich znaleźć. Może Gronszyk im pomoże, jeśli go zainteresują finansowo. O tym wa-riancie Pyrrusanie woleli na razie nie myśleć. Musieli zdążyć, mu-sieli się pospieszyć.

Najlepiej, jak powiada przysłowie, spieszyć się powoli. Co mo-gło być głupszego od ujawnienia się przed czasem? Póki Krumelur myśli, że Jason, Kerk i reszta dowództwa Planety Śmierci zginęli, Pyrrusanie mają w rękach wszystkie atuty. Z tego

względu jakiegokolwiek próby kontaktu ze znanymi Faderom planetami były wykluczone. Pyrrusańska eskadra na Monaloi pomóc im nie mogła. Zwrócenie się o pomoc na Pyrrusa czy na Zunbar było zbyt ryzykowne. Na pewno są pod kontrolą agentów Krumelura. Howard na Jamajce ma niezłe statki, ale kontaktowanie się z nim też byłoby niebezpieczne. Faderzy handlowali z Howardem. Kto jeszcze? Zwrócić się na 295 Cassylię? Rodger Wayne ma wobec Jasona dług wdzięczności. Ale Cassylia nigdy nie miała dobrej floty wojskowej, poza tym nieszczęsnym projektem „Segera”. Ale to nie Cassylianie go budowali, tylko Goldenburg wyłożył forszę.

Przegląd wariantów przebiegał w szalonym tempie urywanych zdań, w rytmie błyskawicznego przeskakiwania z pomysłu na pomysł.

W końcu odezwał się Stan:

- Słuchajcie! Po co nam właściwie wojskowy gwiazdolot? Wystarczy zwykły transportowiec. Najważniejsze, żebyśmy się zmieścili razem z „Oraddem” i żeby doleciał jak najszybciej. Nic więcej. Na Monaloi nasi przez cały czas czekają na orbicie w pełnej gotowości.

- Toprawda!-ucieszyła się Meta.-Sam „Nawigator” to jest coś!

- A krążownik „Brigetto”? - podchwycił Teka. - Nie ma problemu - podsumował Stan.
- Uwzględniając czynnik zaskoczenia, cały Tomhet rozbijemy w pył w pół godziny. Ochroniarze Ronalda Sane’a dość szybko naprawili łączność. Doiły połączyła się z nimi i cassylijski handlowo-transportowy gwiazdolot zabrał właściciela Zunbar Medical Trade jeszcze po drodze na Trampę. Od Trampy do Monaloi za sterami siedziała Meta. Podczas rozpędzania się i hamowania nikogo nie oszczędzała - dwadzieścia g i ani jednego mniej. Cassylijska załoga wytrzyma, nie są małymi dziećmi. Poza nimi na pokładzie byli tylko Pyrrusanie - Ronald z córką, Robsem i ochroniarzami polecili stateczkiem Doiły.

Nie zastanawiali się zbyt długo nad taktyką ataku: było oczywiste, że szturmować należy nocą, nie zawracać sobie głowy osiedlami ani budynkiem portu, tylko przede wszystkim zniszczyć bombami głębinowymi statki bojowe oraz bunkier, w którym okopał się stary Re z resztą bandytów. Rano się sprawdzi, czy któremuś z nich przypadkiem udało się ująć z życiem.

Na Monaloi przybyli pod osłoną nocy. Przeprowadzili zwiad radiowy i ustalili miejsce przebywania Faderów. Pyrrusanie mieli niesamowite szczęście: tej nocy cała banda była na zebraniu, i to nie w bunkrze, a w budynku portu kosmicznego. Oprócz nich mogli tam być jeszcze tylko ochroniarze. Pewnie, że szkoda bogu ducha winnych chłopców z ochrony, ale cóż, w końcu wiedzieli dla kogo pracują.

296

Pyrrusanie tak się palili do zaatakowania Faderów, że pierwsza bomba spadła właśnie na port. Posunięcie ryzykowne, ale, jak się później okazało, słuszne.

Pyrrusanie mieli nad Monalojczykami liczebną militarną przewagę, ale broń Faderów była bardziej skuteczna. Obrona Tomhetu była przemyślana do najmniejszych szczegółów i doskonale prowadzona. Najwidoczniej odpiertanie ataków to dla bandytów nie pierwszorzędne. Ale mieszkańcy Planety Śmierci nie mieli sobie równych w zaciętości i uporze. W końcu, nad ranem (a nie po półgodzinie, jak planował Stan) szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Pyrrusan. Niestety, nie obeszło się bez ofiar. Straty materialne też były olbrzymie.

Właściwie o niczym innym nie mówili. Siedzieli i obliczali. - Jak sądzisz, czy ta nasza ekspedycja przyniosła jakikolwiek pożytek? - zapytał Kerk Jasona. - Czy nie lepiej było siedzieć w domu? - Siedzenie w domu jest nudne - pouczył go Jason. - Według moich wyliczeń, jestem dwa miliardy na plusie. Akurat starczy na dwa nowe statki. A gdyby nam ich nie spalili... - .. gdyby obeszło się bez walki i ofiar, gdyby nie trzeba było wykorzystywać obcych środków, gdyby...

- Dobra, Kerk, nie drwij. Jeszcze nie wszystko policzyłem. Jest jeszcze „Oradd” i bezcenne wiadomości o Ketczerach na „Ovenie”. Potrzebuję tylko trochę czasu. Wycisnę z tego taką forszę, że ci oko zbieleje! A pomyślałeś o ludziach, którym uratowaliśmy życie? To się nie liczy?

Kerk nie pomyślał. Był potwornie zmęczony i tęsknił za do-mem. Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby na tak długo opuszcza-li ojczystą planetę? Co się tam teraz dzieje? Pyrrusański wódz za-wsze czuł się nieswojo z dala od rodzinnego domu. Ciągłe roz-wiązują cudze problemy, a z własnymi nie potrafią sobie poradzić! Kiedyś Jason obiecał Pyrrusanom, że odnajdą rozwiązanie zagadki swojego narodu na dalekiej planecie. Gdyby jeszcze wiedział, na jakiej...

Jason był tak zmęczony, że nie mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy przyjechali lekarze. A właściwie nie lekarze, tylko... coś w rodzaju armii zbawienia. Nazywali się Galaktyczny Czerwony Plus.

Kilkuset doskonale wyszkolonych ludzi, wezwanych z inicjatywy Sane'a, wzięło się za dezynfekcję Monaloi. Najpierw podali antidotum
297

ludziom, potem zwierzętom, wreszcie zajęli się roślinami, a nawet wodą w rzekach, jeziorach i strumieniach. Prawdziwi specjaliści! Jason dowiedział się przy okazji, że Galaktyczny Czerwony Plus to potężna międzygwiazdowa organizacja, bardziej operatywna i so-lidna niż Korpus Specjalny.

Jason mógł się założyć, że wśród „sanitariuszy” jest wielu prze-branych policjantów. Ale to już było nieważne. Pyrrusanie dotrzy-mali obietnicy. Jason przyrzekł, że nie doniesie na Faderów i słowa dotrzymał. Wprawdzie żaden Fader już nie żył, ale Jason chciał być uczciwy choćby w stosunku do siebie. Nie poinformował ani Ber-j vicka, ani Bronsa. Niech się dowiedzą o wszystkim z prasy. Albo od , swoich tajnych agentów. | Czerwony Plus to była zupełnie inna sprawa. Jason kilka razy ! słyszał o tej organizacji, ale nigdy nie miał z nią do czynienia. A tu się okazuje, że istnieją już prawie tysiąc lat, żeby pomagać ludziom, j Ta dobroczynna organizacja powstała w tym okresie, gdy na i wielu planetach zaczęły wybuchać pandemie i pojawiło się niebez- (pieczeństwo rozprzestrzenienia się śmiertelnych wirusów na całą \ Galaktykę. Nazwę organizacji zapożyczono z historii Starej Ziemi, i ale w związku z zawziętą antyreligijną propagandą tamtych czasów ! podejrzanе słowo „krzyż”, przy pełnym zachowaniu tradycyjnej sym-boliki, zostało zamienione na bardziej neutralny „plus”. W końcu znak organizacji bardziej przypominał właśnie ten ostatni. Poza tym lekarze powinni mieć swój plus - jako symbol przekreślonego mi-nusa, czyli choroby.

Ówczesny Czerwony Plus był zwykłą służbą specjalną, ze wszystkimi jej „zaletami”: nieusprawiedliwionym okrucieństwem, utajnie-niem, nadzwyczajnymi prawami i nieograniczoną władzą. Epidemie powstrzymano, a organizacja pozostała. Służby specjalne mają to do siebie, że chociaż przeminęły warunki, które powołały je do istnienia, one pozostają. Bez względu na reżym i epokę. Czerwony Plus był wyjątkowo żywotną służbą specjalną. Odkrycie nowej nie zamieszkanеj planety ziemskiego typu jest bardzo mało prawdopodobne we współczesnym świecie, równie

mało realne jak pojawienie się nowych czynników chorobotwórczych. Jed-nak pomysłowość natury, a tym bardziej ludzi, jest nieskończona. Wymyślili na przykład czumryt. Czerwony Plus to przegapił. Na szczę-ście zjawili się w porę Pyrrusanie i Ronald Sane, i wzięli się do roboty. Ludziom z Czerwonego Plusa pracy na Monaloi starczy na dłu-go. Potem pewnie jeszcze polecana Elesdos ratować tamtejsze dziew-czyny. Socjalnych problemów, zktórymi zetkną się monalojskie wła-dze po odlocie „lekarzy”, Jason nawet nie próbował sobie wyobrazić. Robiło mu się słabo na samą myśl. Nie miał zamiaru wieszać sobie na szyi kolejnej słabo rozwiniętej, nieszczęśliwej planety. Może kie-dyś tu zajrzy, żeby dowiedzieć się, jak sobie radzą. On ma wystar-czająco dużo nie rozwiązanych problemów u .siebie, na Pyrrusie. Znowu przyłapał się na tym, że myśli o Planecie Śmierci jako o swo-im domu.

- Żał ci odlatywać? - spytał Jason Metę, gdy Monaloi była już tylko malutkim punkcikiem na ekranie.

Krażownik „Brigetto” szykował się do wejścia w podprzestrzeń.

- Skąd? Z tego gniazda żmij? - zdumiała się.

Jason wzruszył ramionami.

- A mnie zawsze żał odlatywać. Piąta setka planet za nami, a za każdym razem tak samo mi smutno.

- Nie rozumiem tego - przyznała się Meta. - Ja myślę tylko o domu. Chodź, zajrzymy do Archiego.

Archie siedział przy stole i karmił papuziego makadryla kaszką bananową, mówiąc:

- To jak, Chłopczyku, będziemy się leczyć czy wolisz zostać narkomanem?

Makadryl wsuwał kaszę aż miło i uśmiechał się, jakby rzeczy-wicie miał zamiar skończyć z nałogiem.

- To antyczumrytowe banany - wyjaśnił Archie. - Zastrzyk zro-biłem mu już dawno. Wyobraź sobie, że zwierzęta, szczególnie małe, dużo gorzej znoszą abstynencję.

- Chciałbym mieć takie problemy - westchnął Jason.

- A co?

- A nic. Wszystko mi się znudziło. Przedtem goniła mnie tylko policja, a teraz każdy, kto tylko ma ochotę. Jakby poszaleli. Wiesz dlaczego? Przyciągam do siebie fenomeny. Zawsze tak było, a tym razem to prawdziwa parada fenomenów: Furuhu, Wiena, Envis, Olaf, potwory, „Oradd”... Nawet Krumelur też jest w pewnym sensie fe-nomenem.

298

299

- Daj spokój, Jason! Ten twój Krumelur to zwykły łajdak z po-nadprzeciętnymi zdolnościami. Z ciebie to dopiero fenomen! Ten cudowny Chłopczyk nic dla ciebie nie znaczy, a jakichś tam bandy-tów, których już dawno pora wyrzucić z pamięci, nazywasz fenome-nami.

- Żarty żartami, a ostatnio sobie przypomniałem, jak Bervick bał się umieścić trzy fenomeny w jednym miejscu. Twierdził, że nie można wyjątkowych piratów i wyjątkowego „Ovena” przywozić w jednym czasie na wyjątkową planetę Pyrrus. A tymczasem czwar-ty fenomen, czyli ja sam, zneutralizował pozostałe. Nie tak było? - Możliwe - powiedział w zadumie Archie. - Moim zdaniem, to bardziej złożona kwestia. Podejście Bervicka jest dość prymityw-ne. Pamiętasz, jak Stary Sus zapewniał cię, że na Jamajce całe zło zostało zebrane w jednym miejscu? To samo mówił Solvitz o powierzchni swojej asteroidy. Sądzę, że Monaloi to trzeci tego typu eksperyment.

- Wiesz co, Jason - odezwała się nagle Meta - tak sobie my-ślę, że to ty właśnie przyciągasz do siebie dobro w tym świecie. Jak ci się podoba taka hipoteza?

- Idealizujesz mnie - westchnął Jason. - Tyle różnego świń-stwo się do mnie klei... Powiedz mi lepiej, Archie, co myślisz o Ketczerach. W jakim celu oni kolekcjonują fenomeny? Naprawdę zbliża się koniec świata? ;

- Za wcześnie na taką rozmowę - odpowiedział surowo Archie. - Dopiero zacząłem o tym myśleć.

- A o Furuhu?

- Co o Furuhu? - nie zrozumiał Archie.

- Jak to co? Widziałeś, co wyprawia ten Monalojczyk?! Postuguje się piętnastoma językami, informatory zna już na pamięć i same-mu Brucco zadaje takie pytania, że stary nie wie, co odpowiedzieć. - Niech przyjdzie do mnie - powiedział spokojnie Archie. - Ja będę wiedział. I sam zadam mu kilka interesujących pytań. - Możesz być pewien, że przyjdzie. Nie sądzisz, że pojawienie się takiego fenomenu nie jest zwykłym przypadkiem? Weszła Midi.

- Właśnie wracam od Winy. Siedzą z Furuhu przy komputerze, nie sposób ich oderwać. Cała ta technika to dla niej absolutna nowość, nie może się napatrzeć.

300

- Nie wiem, jak z innymi ludźmi - uśmiechnęła się Meta - ale od swojego Furuhu naprawdę nie odrywa wzroku. - Dwa fenomeny - burknął Jason. - To ci dopiero będzie ro-dzinka! Wyobrażam sobie ich dzieci!

- Posłuchaj - nie wytrzymała Midi - dlaczego ciągle zrzedzisz? Wszyscy mają taki dobry humor, a ty chodzisz i gderasz jak zrzedli-wy starzec.

- Bo jestem starcem - odparł Jason poważnie.

Obie dziewczyny się roześmiały.

Jason zmierzył Midi długim spojrzeniem i nagle zauważył:

- Hej, Midi, zmieniłaś się!

- Nareszcie! - roześmiała się znowu Midi. - Ślepy kierownik projektu Jason dinAlt przejrzał! Razem z Archiem jeszcze na Pyrru-sie doszliśmy do wniosku, że już najwyższy czas. Teraz będziemy mieli maluszka.

- Maluszka to już chyba macie - Jason wskazał głową makadryła. Barwny puszysty Chłopczyk podskoczył wesoło, jakby wiedział, że o nim mowa.

- Skoro już o tym mowa - odezwał się Archie - to będzie wła-śnie chłopiec.

- Który miesiąc? - spytał Jason.

- Czwarty.

- Gratulacje, życzę szczęścia.

- Za wcześnie na gratulacje! - oburzył się Archie. - Przestań, przecież lecimy do domu. Teraz już wszystko bę-“ dzie w porządku.

Po chwili milczenia Jason dodał:

- To dlatego wtedy posiwiłaś...

- Nie wiem - odpowiedział Archie stropiony. - Szczerze mó-wiąc, najbardziej martwiłem się o Midi... Zastanawiam się teraz, czy nie ufarbować włosów pod kolor

mojego ulubionego zwierząt-ka, karłowatego makadryla zwanego Chłopczykiem. Wyobrażacie sobie, jakby to efektownie wyglądało?

Statek na sekundę wszedł w nieważkość, potem przyspieszenie zaczęło na zmianę rosnać i spadać. Standardowe przejście w hi-perprzestrzeń poprzez krótkie zmienne przeciążenia. U nowicju-szy wywoływało mdłości, u doświadczonych - tylko lekki zawrót głowy.

301

- No tak, z nimi sprawa jest jasna - powiedział Jason. - Teraz będą farbować włosy, wymyślać sobie idiotyczne przezwiska, śpie-wać piosenki. A potem urodzi się nowy człowiek i wtedy ostatecz-nie zgłupieją. Meta, lepiej popatrzmy na ekran. Chcesz? - Chodźmy - zgodziła się nagle posmutniała Meta.

- Midi będzie miała dziecko...

- No i co? - nie zrozumiał Jason.

Po chwili się zorientował.

- Wybacz.. .Przypomniało ci to twojego nieżyjącego syna? - Jego też. Ale słabo go pamiętam. A ten drugi... na imię miał Johny... gdzieś zaginął. Na Pyrrusie nie było wtedy zwyczaju inte-resować się losem swoich dzieci. Nawet teraz... ale przecież ja i ty żyjemy inaczej. Prawda? Trzeba go odszukać. - Na pewno go znajdziemy - obiecał jej Jason.

Czuł, że Meta chce powiedzieć coś jeszcze, ale nie ma odwagi.

Żeby przerwać milczenie, dodał:

- Zajmiemy się tym, jak tylko dolecimy.

- Czym? - spytała z roztargnieniem Meta.

- Jak to czym? Poszukiwaniem twojego syna. - A nie chciałbyś - zdecydowała się w końcu - żebyśmy urodzi ła nasze dziecko? | Myśl była zbyt oczywista, żeby mogła przyjść Jasonowi do gł^> wy. W pierwszym momencie nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale...

- Nie musisz - przerwała mu Meta. - Nic nie mów. Sama wiem, ile jest różnych „ale”. Pokochać swoje dziecko, jak każda normalna kobieta, oznacza stracić wolność i możliwość prawdziwej walki. - Wcale nie - sprzeciwił się Jason. - Myślę, że to można pogo-dzić. Tylko nie spieszmy się. Wrócimy do tego trochę później. Wiesz, czasem marzy mi się zwykłe ludzkie szczęście. Mówił szczerze. Nie chciał już zajmować się cudzymi proble-mami, tylko własnymi. Na myśl o bandytach, fenomenach i innych Solvitzach robiło mu się niedobrze.

Ale z drugiej strony... oboje doskonale wiedzieli, że wkrótce los rzuci ich znowu na odległe planety. Że będą nowe walki i Jason zajmie się rozplątywaniem kolejnej złowieszczej zagadki. Ale to będzie później. Na razie stali przed wielkim ekranem i zachwycali się pięknymi wzorami na niebie. Jason odwrócił się nagle do Mety.

- Wolisz chłopca czy dziewczynkę?

- Chyba jednak dziewczynkę.

- Ja też.

Meta uśmiechnęła się i mocno objęła swojego wspaniałego męża.